

GUY BRETON

**MIŁOŚĆ KSZTAŁTOWAŁA
HISTORIĘ**

MIŁOŚĆ RZĄDZI ŚWIATEM

Histoires d'amour de l'histoire de France

I. Les amours qui ont fait l'histoire

Przełożył Ryszard Dulnicz

Wydanie polskie: 1995

TMN

Dla Pierrette

*Ileż to Francja zawdzięcza kobietom
i ileż miłych słów mieszkańcy tego kraju
są im winni, z prostej choćby wdzięczności!*

Fontenelle

Poważni historycy piszący podręczniki szkolne czynią z dziejów Francji opowieść nader nudną, eliminują bowiem z niej miłość. Dla nich wydarzenia, które w ciągu stuleci wstrząsały tym krajem, winny mieć li tylko poważne przyczyny. Poczytywaliby sobie za ujmę, gdyby przyszło im przyznać, iż jakiś król wypowiedział wojnę wyłącznie dlatego, że był pijany radością po udanej nocy miłosnej, bądź też, że decyzja o przeprowadzeniu jakiegoś sławnego podboju podjęta została wskutek kaprysu faworyty...

Gwoli ochrony moralności fałszuje się prawdę i skrywa w cieniu główną postać historii: tę, która od czasów Raju nie przestaje bulwersować losów ludzkości.

Albowiem między „czterdziestoma królami, którzy stworzyli Francję w ciągu tysiąclecia”, należy – jak zawsze i wszędzie – doszukiwać się niewiasty... Kobiety, która w historii jest wszechobecna. Ona to kształtowała władców, przez nią – tracili oni czasem tron; dla niej – wypowiedano wojny; za jej przyczyną – ileż prowincji przyłączonych zostało do korony; dla przypodobania się jej – zabijano, zarzynano się, burzono miasta, wznoszono zamki, wieńczono bohaterów.

Dlaczego Chlodwig stał się chrześcijaninem? – Z miłości do Klotyldy. Dokąd podążał Henryk IV w dniu, w którym go zasztyletowano? – Jechał na spotkanie z kobietą. Kto był arbitrem wojny i pokoju za Ludwika XV? – Pani de Pompadour. Z jakiej przyczyny Napoleon III zarządził kampanię włoską? – Dla pięknych oczu pani de Castiglione...

Rzeczywista historia Francji jest historią romansów.

Trzeba to jeszcze udowodnić – rzekną niektórzy.

Książka ta ma właśnie ów cel...

1.

Chlodwig mógł powiedzieć: „Klotylda warta jest mszy!”

Rola historyczna Klotyldy winna być uważana za jedną z najważniejszych w całej historii Francji.

Andrée Lehmann

Wiosną 492 r., gdy glóg kwitł we wszystkich gajach Galii, pięciu konnych, wyjechawszy z Valence, przecinało spiesznie Burgundię, ciągnęło wzdłuż Rodanu, mijalo Lyon, Dijon, Langres i zapuściwszy się na terytorium Franków, nie zwalniając tempa przejeżdżało przez Troyes, Châlons, Reims, by zmordowani i zdyszani, lecz tryskający dumą, stanąć pewnego pięknego majowego poranka przed dworcem królewskim Chlodwiga w Soissons.

Przynosili nowinę, która – wiedzieli to – ucieszy młodego króla.

Chlodwig przyjął ich niebawem:

– Znaleźliśmy dla ciebie najpiękniejszą kobietę świata – rzekł jeden z jeźdźców.

Chlodwig uśmiechnął się szeroko, z błyskiem w oku szczerząc kły barbarzyńcy. Miał dwadzieścia pięć lat i poszukiwał małżonki, która byłaby piękna a zarazem szlacheckiego rodu. Cechy te już w owej dobie zdawały się trudne do połączenia.

– Czyjaż jest córką? – zapytał.

– Chilperyka, króla Burgundii władającego w Lyonie^{*}. Ale jest sierotą.

I opowiedział straszną historię biednej dziewczyny. Pewnego dnia jej stryj najechał Chilperyka, któremu zazdrościł jego włości. Zastał go przy stole w otoczeniu rodziny i zachował się bardzo nieładnie. Na początek jednym dobrze mierzonym ciosem topora zdmuchnął w misę głowę króla Lyonu. To oczywiście przerwało posiłek.

^{*} Za życia Chilperyka Burgundia obejmowała cztery terytoria rządzone przez czterech synów zmarłego króla Gundiocha. Chilperyk panował w Lyonie, Gundebald w Dijon, Godegisil w Genewie, a Godomar w Vienne. Jak łatwo przewidzieć, bracia nienawidzili się serdecznie.

Żona Chilperyka, Karetena, załamała ręce niczym w antycznej tragedii i jęła przeraźliwie krzyżeć. Rozeźlony Gundebald rozkazał dwóm wojom uwiesić jej kamień u szyi i wrzucić do Rodami. Następnie barbarzyńcy zaczęli zabawiać się masakrowaniem dzieci. Jedyne dwie dziewczynki, w wieku pięciu i sześciu lat, uszły z życiem. Gundebald wziął je ze sobą i w końcu adoptował. Jedna wstąpiła do klasztoru; druga wyrosła na dziewczynę pełną wdzięku i inteligencji, i ją właśnie wysłannicy Chlodwiga zoczyli w Valence*.

– Jak się zowie?

– Klotylda. Ma osiemnaście lat. Jest blondynką. Oczy ma zielone, cętkowane złotem.

Podziękowawszy wysłannikom, Chlodwig przywołał swego przyjaciela Aureliana i znając jego zręczność, polecił mu uzyskać podwójną zgodę: Klotyldy i Gundebalda.

Aurelian wyruszył natychmiast w drogę. Kilka dni później był już w Valence, przebrany za żebraka, by mieć przystęp do Klotyldy nie ściągając na siebie uwagi sług Gundebalda. „Takoż pewnego wieczoru – jak powiada nam mnich Aymoin – w porze, gdy rozdawała jałmużnę przy bramie wewnętrznej pałacu, zbliżył się do niej i ucałował kraj jej sukni, z lekka zań pociągając”*. Klotylda, zaintrygowana, pochyliła się nad nim.

– Pani – rzekł jej cichym głosem – mam ci coś do powiedzenia.

– Mów – odparła Klotylda, pochylając się jeszcze bardziej.

– Król Chlodwig chce cię poślubić i śle mnie, by prosić cię o twą zgodę. Na znak prawdziwości mej misji oto pierścień króla.

Młodą dziewczynę mogły zdziwić tak osobliwe oświadczenia. Jeśli wierzyć zacnemu mnichowi Aymoinowi, który przytacza tę scenę, tak się jednak nie stało. Posłuchajmy go:

– Daj – rzekła Klotylda. – Powiedz swemu panu, by słał po mnie pilnie do Gundebalda, a będę jego żoną.

W zamian za pierścień Klotylda dała wysłannikowi sztukę złota, tak jakby postąpiła wobec prawdziwego żebraka.

Aurelian, nie tracąc czasu, ruszył do Genewy, gdzie przebywał wówczas Gundebald, i oficjalnie poprosił o rękę Klotyldy. Król burgundzki – powiadają – „zaskoczony był i niezadowolony”, nie śmiał jednak rozdrażniać Chlodwiga odmową...

– Bratanica ma zgodzi się na twą prośbę?

– Wie o niej i przystaje; jeśli i ty dajesz swe przyzwolenie, zawiodę ją do króla.

– Bierz ją – odparł Gundebald, całkiem zawiedziony*.

Aurelian powrócił do Valence. Rychło zgotowano wozy do podróży. Gdy załadowano na nie skarby stanowiące posag, dziewczyna wsiadła do wyłożonej futrami, a więc prawie

* Grzegorz z Tours, *Histoire de Francs*, t. II.

* Według kroniki z Saint-Denis Aurelian odsunął mankiet rękawa Klotyldy i ucałował jej dłoń. Śmiały musiał to być postępek, skoro autor dodaje: „Zapłonila się ze wstydu, bo świątobliwą dziewicą, była...”

* Dialog ten przekazany nam został przez Aymoina, mnicha benedyktyńskiego, opata Fleury-sur-Loire, który w r. 1000 napisał *Histoire de France*.

wygodnej basterny*. Rada, że opuszcza Burgundię i udaje się na spotkanie oblubieńca, którego siłę, odwagę i piękno spojrzenia tak jej zachwalano, dała rozkaz odjazdu.

Wkrótce wyboistymi drogami konwój toczył się ku południowym stronom.

Niestety! Do granicy było jeszcze daleko, gdy jakiś jezdny przypadł uprzedzić Klotyldę, że stryj żałuje swego przyzwolenia i rad by ją zawrócić.

– Oddział dowodzony przez Arydiusza wyszedł za wami w pościg – powiedział.

Przerazona Klotylda wysiadła natychmiast ze swej ciężkiej basterny, siadła na koń i porzuciwszy posag wśród lasu, ruszyła w towarzystwie Aureliana.

Po pięciu dniach wyczerpującej galopady była już bezpieczna. W tydzień później wjeżdżała do Soissons.

Chlodwig, ujrawszy ją, został olśniony. Policzki mu szczerwieniły, szczęka zadrżała.

– Mielimy pobrać się jutro – rzekł – poślubię cię zaraz.

Choć jeszcze bardzo niewinna, Klotylda wyczuła, że w pośpiechu tym jest coś mało stosownego i zarumieniła się.

Dworki powiodły ją do izby i przyoblekły w suknię ślubną. Ledwie uporały się z zakładaniem szaty, Chlodwig, szalony z niecierpliwości, wpadł z oczywistym zamiarem, by ściągnąć z niej suknię z powrotem.

Służebne rozpierchły się w popłochu, a król Franków pojął za żonę piękną Burgundkę...

* * *

Odtąd ich dni wypełnione były pożądaniem, noce – pieszczotami. Chlodwig, kochanek doświadczony (jego pierwszą żoną była księżniczka nordycka), dał odkryć Klotyldzie raj prawdziwy. Z wdzięczności zapragnęła w zamian dać mu poznać raj inny. Postanowiła go nawrócić.

Młoda małżonka była bowiem chrześcijanką i przykro jej było patrzeć, że jej ukochany Chlodwig czci bogów pogańskich.

Sięgając po argumenty podszeptywane jej przez Świętego Remigiusza, próbowała wykazać, jak mało warta jest jego religia. Król, srodze zakochany, słuchał jej z zakłopotaniem. Wahał się jednak z przyjęciem chrztu, gdyż fakt porzucenia wiary ojców zagrażał jego władzy. W istocie, jak powiada Kurth: „Frankowie widzieli w swych władcach potomków bogów. Tylko bogowie i ich dzieci mieli prawo rozkazywać ludom. Stać się chrześcijaninem znaczyło wyprzeć się przodków, przeciąć łańcuch genealogii, pozbawić się tytułu władzy. Potrzeba było wielkiej odwagi, by przyjąć wiarę Chrystusa”^{*}.

* Wóz kryty, ciągniony przez woły.

* Kurth, *Clovis*.

Klotylda wiedziała o tym. Przynęła sobie wtedy natchnąć Chlodwiga odwagą nawrócenia się, siłą, która pozwoliłaby narzucić jego wojownikom zasadę królestwa oderwanego od bogów.

Zrazu dopięła tego, że ich pierwsze dziecko, chłopczyk nazywany Ingomirem, został ochrzczony. Sądząc, iż przepych uroczystości może wywrzeć pożądany wpływ na usposobienie małżonka, Klotylda zadbała, by przybrać kościół w zasłony i bogate tkaniny. Takie wspaniałości mogły wzruszyć nawet barbarzyńcę. Chlodwig został oczarowany*.

– Jakaż piękna religia! – zakrzyknął.

Niestety, w kilka dni później mały Ingomir zachorował i zmarł. Cierpliwe dzieło królowej chwiała się w posadach.

– Gdyby dziecię poświęcone zostało moim bogom – wrzał złością król – żyłoby, ale skoro ochrzczono je w imię twego Boga, przeżyć nie mogło*.

Klotylda nie zmieszła się:

– Wdzięczna jestem Stwórcy Wszechrzeczy – rzekła – że nie uznał mnie niegodną, by przyjąć do swego królestwa dziecię zrodzone z mego łona; wiem, że dzieci, które Bóg powołuje w zaświaty, gdy są one jeszcze w albach (ubrane w biel), karmią się Jego widokiem.

Chlodwigowi zabito ćwieka. Coś takiego przez myśl by mu nie przeszło. Święta rezygnacja przepelniła go takim podziwem, że jeszcze bardziej pokochał piękną Klotyldę i zapragnął dać jej natychmiast dowód tego uczucia.

Skutek jego zabiegów nie dał na siebie długo czekać: królowa powiła wkrótce małego Merowinga, którego nazwano Chlodomirem.

Urodziny te wprawiły Chlodwiga w dobry humor. Klotylda skorzystała z okazji, aby napomknąć, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby przystał na chrzest dziecka. Król ponownie uległ namowom drogiej małżonki. Ceremonia odbyła się, przenosząc wspaniałością chrzest pierwородnego. Nazajutrz jednak Chlodomir również zachorował. Chlodwig zaczynał mieć już tego dość.

– Temu dziecku przytrafić się może tylko to, co przydarzyło się jego bratu – rzekł z goryczy. – Ochrzczony w imię twego Chrystusa, musi wkrótce umrzeć.

Biedna Klotylda z trudem skrywała niepokój. Pobiegła do kościoła, zamknęła się w nim i przez dwa dni modliła się tak bardzo – powiada Grzegorz z Tours – że wyprosiła uzdrowienie chłopca*.

Czas był po temu! Chlodwig postanowił nie nawracać się już na tak niebezpieczną wiarę.

Klotylda, nie wątpimy w to, umiała szybko przywracać mu lepszy nastrój...

* * *

* Grzegorz z Tours, *op. cit.*, księga II.

* *Ibidem.*

* *Ibidem.*

Król jednakże nadal nie dawał się ochrzcić. Prawdą jest, że miał na razie inne zajęcia. Plemiona germańskie, zawsze bardzo niespokojne, bezustannie zagrażały przekroczeniem Renu i osiedleniem się w Galii. Któregoś dnia dowiedziano się, że Alamanowie, lud zuchwałych rabusiów, najechali równinę Alzacji, Nie dając im czasu na zapuszczenie się w głąb terytorium, Chlodwig wyszedł na spotkanie ze wszystkimi swoimi Frankami i powstrzymał ich, nie pod Tolbiakiem (Zulpich) koło Kolonii – tak jak od dawien dawna sądzono i jak dotąd jeszcze powtarza to większość podręczników historii – lecz niedaleko Strassburga, w miejscu, które nie zostało ustalone.

Legenda głosi, że podczas tej bitwy Chlodwig, widząc, iż przewaga chyli się na stronę przeciwnika, wpadł na pomysł pomodlenia się do „Boga Klotyldy”. Wkrótce Alamanowie rozpięchli się w nieładzie, a król frankoński postanowił dać się ochrzcić w podzięce Panu Chrystusowi...

Historycy nowożytni odrzucają tę tezę i nie zwycięstwu nad Alamanami przypisują rolę decydującą w nawróceniu się Chlodwiga, lecz miłości króla Franków do Klotyldy.

* * *

Pobiwszy Germanów, Chlodwig powrócił do żony, w której znów odnalazł płomienny zapal i wspaniałe powaby. Klotylda odznaczała się wytrwałością. Między jednym a drugim pocałunkiem prawiała mu wciąż o duszy, więc pewnego dnia król przyzwolił wreszcie, by Święty Remigiusz wprowadził go w tajniki wiary chrześcijańskiej.

Pobożny biskup udzielił mu kilku, jeszcze dość pobieżnych, lekcji katechizmu i w Dzień Narodzenia Pańskiego 496 r. Chlodwig został ochrzczony w Reims w obecności ciżby ludzi przybyłych ze wszech stron Galii. Po tym, jak „dumny Sykamber” schylił już był czoła przed biskupem, trzy tysiące wojów na jego rozkaz do chrztu także stanęło. Manewr wielkiej zręczności, albowiem Frankowie, przyjmując wiarę władcy, jak ongiś pozostali z nim związani...

To nawrócenie z miłości miało wyjątkowo ważne konsekwencje polityczne. W dobie, gdy inni królowie barbarzyńscy, Goci i Burgundczycy, byli arianami*, Chlodwig uznany został przywódcą przez miliony katolików galo-romańskich zamieszkałych w Galii. Przymiot ten dał mu poparcie biskupów, których potęga była olbrzymia, co pozwoliło odbić na Wizygotach znaczne terytoria sięgające od Loary po Pireneje*.

Tytuł „królów katolickich” umożliwił później jego synom podbój Burgundii.

Cud jednego uśmiechu!

* Tj. uczniami Ariusza – herezjarchy przeczącego boskości Chrystusa.

* Chlodwig, powracając właśnie z tej kampanii, stawszy się potężnym monarchą, zapragnął ustanowić stolicę i osiedlił się w Paryżu.

Bez przesady można stwierdzić, że dzięki czarującemu uśmiechowi Klotyldy królestwo frankońskie mogło po raz pierwszy osiągnąć jedność. Zespole, które miało zdecydować o przyszłości Francji...*

* Klotylda, owdowiawszy, udała się do Tours, gdzie zmarła w 545 r.

2.

Wojna między Fredegondą i Brunhildą pogrąża Galię w ogniu i we krwi

*Każda z nich serdecznie
nienawidziła drugiej...*

André Thomas

W VI wieku synowie Chlotara podzielili dziedzictwo na trzy królestwa: Neustrii (Paryż), należącej do Chilperyka; Burgundii (Autun), którą władał Gontran, i Austrazji (Metz), z Zygbertem na tronie.

A że każdy z tych trzech władców marzył o posiadaniu całości terytorium, stosunki między nimi były dość napięte. Tak oto Chilperyk parokrotnie próbował zgładzić swych dwóch braci... Ci zbytnio się tym nie przejmowali. Morderstwo uważano za coś zwyczajnego, a zabić człowieka znaczyło tyle, co rozdeptać muchę. Ich ojciec, gdy jakiś gość był mu nie w smak, wzywał służących i nakazywał ścinać intruzowi głowę*.

Bracia Chilperyka znali poza tym zwyczaje panujące w rodzinie Merowingów i pamiętali, w jaki prosty sposób Chlotar pozbył się bratanków.

Gdy zmarł ich stryj Chlodomir, pozostawiając trójkę małoletnich dzieci, które zwyczajem Franków miały podzielić się królestwem ojcowskim, Chlotar uznał, że bratankowie są nader krepujący.

Po namyśle zaprosił ich na popołudnie do siebie. Ich babka, królowa Klotylda, niczego nie podejrzewała; powierzyła dzieci służce, który stawił się z nimi u bram pałacu. Zaraz też Chlotar pchnął posłańca do ich matki z tak oto brzmiącym pytaniem: „Chciałbym znać twą wolę w sprawie dzieci. Chcesz, by żyły postrzyżone, czy też mają być zarżnięte?”

* Kiedy miał dobry dzień, zadowalał się obcięciem języka, ale w dobrym humorze Chlotar bywał rzadko.

Obcięte włosy były wówczas znakiem infamii. Babka okrzykiem godnym bohaterów Corneill'a obwieściła wysłannikowi:

– Wolę widzieć ich martwych niżli postrzyżonych!

Chlotar tylko czekał na taką odpowiedź. Ledwie ją otrzymał, wszedł do sali, gdzie bawiły się dzieci, i przy pomocy swego brata Childeberta zadźgał je ciosami noża. Po czym dwaj zbrodniarze podzielili się królestwem Chlodomira...

Pomni owych praktyk Zygbert i Gontran (tak zresztą jak i Chilperyk) mieli się na bacności. Nie przeszkadzało im to radować się życiem i spędzać czas na najbardziej niepohamowanej rozpuście. Zwłaszcza Chilperyk prowadził żywot wyjątkowo rozwiązły. Choć miał prawdziwy seraj, w którym każda z jego wybranek nosiła tytuł królowej, nie wzdragał się nadto uwodzić swych służących i na brzegu stołu czynić im to, co Amerykanie robią w łóżkach małżeńskich.

Znający go dobrze Grzegorz z Tours pisał przeto: „Nie sposób wyobrazić sobie czynu lubieżnego, którego Chilperyk by nie popełnił”.

Pewnego dnia zakochał się w służącej Audowery, swej aktualnej „królowej”. Ta wielkiej piękności młoda dziewczyna frankońska zwała się Fredegonda. Miała duże ambicje, zaraz zamarzył jej się tron i zaczęła robić wszystko, by usunąć w cień Audowerę. Już jej się to prawie udało, gdy wojna przeciw Sasom zmusiła króla do opuszczenia pałacu. „Kryjąc rozczarowanie – powiada André Thomas – piękna służąca musiała poskromić zapały”.

Tymczasem pod nieobecność Chilperyka Audowera wydała na świat córeczkę. Zaraz też Fredegonda wpadła na iście diabelski pomysł. Udała się do królowej:

– Winnaś pani ochrzcić tę małą nie czekając na powrót króla – powiedziała. I dorzuciła z hipokryzją: – Jestem pewna, że będzie zachwycony, gdy ty pani, sama zostaniesz jej chrzestną...

Audowera była łatwowierna. Przystała i chrzest się odbył. W miesiąc później Chilperyk powrócił w otoczeniu swej drużyny. Fredegonda wybiegła mu naprzeciw:

– Z kim pan mój spać będzie tej nocy? – spytała z miną niewiniątka.

A że król zdawał się zaskoczony takim pytaniem, wyjaśniła ze źle skrywaną ochotą do śmiechu:

– Królowa jest matką chrzestną twej córki!*

Chilperykowi zaiskrzyły się oczy:

– W takim razie – odparł rozradowany – skoro nie mogę spać z nią, będę spał z tobą!*

W trzy godziny później Fredegonda stała się królową Neustrii, Audowerę zaś wygnano nazajutrz z pałacu i zamknięto w klasztorze.

* * *

* „Stosunki” między ojcem i matką chrzestną dziecka (lub między matką a ojcem chrzestnym) były wówczas uważane za kazirodcze, a więc zakazane przez Kościół.

* A. Thierry, *Récits de temps mérovingiens*.

W tym samym czasie w Metz Zygbert prowadził żywot nieco spokojniejszy. Miał zaledwie piętnaście kochanek. Pewnego dnia, wyrzekając się wyuzdanych służących i „królowych jednej nocy”, obwieścił, że poślubi Brunhildę, córkę króla Wizygotów z Hiszpanii, oraz że będzie ona jedyną jego żoną. Prawda jest, że ta młoda osobka była ładna, elegancka, wdzięczna, dystygowana, wykształcona i „miła w rozmowie”, co niczemu nie szkodziło.

Ślub odbył się z wielką pompą w Metz i dał pretekst do zabaw, których pozazdrościł król Chilperyk. Kiedy dowiedział się, że pod koniec uroczystości specjalnie na ślub przybyły poeta Fortunat recytował hymn pochwalny własnej kompozycji, gorycz jego była ogromna. A rozmyślając o trybie, w jakim sam poślubił swe służebne, wydało mu się, że żywot wiedzie mniej królewski niż jego brat.

Zaczął więc poszukiwać sposobu uczynienia swego bytu godniejszym swego stanu. Wreszcie, jako że brakło mu wyobraźni, on również zwrócił się do króla Wizygotów z Hiszpanii z zapytaniem, czy ten nie ma przypadkiem jeszcze jednej córki.

– Jest moja najstarsza – odpowiedział król Atanagild – lecz dam ci jej rękę dopiero wówczas, gdy zobowiążesz się oddalić wszystkie swoje konkubiny.

Chilperyk miał tak wielką ochotę naśladować brata, że warunek przyjął, wygnał żony z Fredegondą włącznie i poślubił piękną Galswintę.

Uroczystość odbyła się w Rouen z tym większym blaskiem, że młoda małżonka wносиła w posagu skrzynie pełne klejnotów.

Przez kilka miesięcy stadło żyło szczęśliwie. Ale diabeł był w domu. Fredegonda wyjednała, że po swym wygnaniu pozostanie w służbie pałacowej. Korzystała z każdej okazji, by stawać na drodze króla, który obserwował ją wzdychając. Gdziekolwiek go postrzegła, przeciągała się lubieżnie, a nieszczęsny Chilperyk wracał na swe pokoje cały spięty. Wreszcie któregoś dnia nie zdierzył i pobiegł odnaleźć Fredegondę w jej izbie.

Życie królowej Galswinty stało się odtąd nieznośni. W dzień była wyszydzana, noce spędzała samotnie. Zniechęcona poprosiła w końcu Chilperyka, by zezwolił jej powrócić do rodziców. Odmówił, bojąc się utracić skarby, które wniosła mu w posagu.

– Będę miły – obiecał. – I przysięgam ci, twoje noce będą już mniej monotonne.

Słowa dotrzymał. Następnej nocy kazał słudze udusić ją we śnie*.

W tydzień później Chilperyk poślubił Fredegondę, która tym razem stała się oficjalnie królową Neustrii.

* * *

* Grzegorz z Tours, *op. cit.*, księga IV.

Jak łatwo się domyślić, zabójstwo Galswinty nie spodobało się Brunhildzie. Pobiegła do męża, króla Zygberta, i zażądała, by wypowiedział wojnę Chilperykowi. Uczynił to bez dyskusji.

Jako mediator wystąpił wówczas Gontran, król Burgundii, i zaproponował układ przyjęty przez obu braci: w zamian za miasta Bordeaux, Limoges, Cahors, Lescar i Tarbes, które Galswinta wniosła w wianie Chilperykowi, Zygbert i Brunhilda zrezygnują z prawa odwetu.

Pokój został uratowany. Lecz nie na długo. W 573 r. król Neustrii, nie mogąc pogodzić się z utratą swych miast, najechał ziemie Austrazji. Wywiązały się zażarte boje. W końcu Zygbert, wezwawszy na pomoc pogańskie wojska zza Renu, zgniótł armię Chilperyka. Ten schronił się wraz z Fredegondą w Tournai, Zygbert natomiast wkroczył do Paryża, dokąd dojechała Brunhilda z synem Childebertem i dwoma córkami noszącymi wdzięczne imiona Ingonda i Klodozynda.

Po kilkudniowym odpoczynku udał się do Vitry koło Arras, gdzie wielkie zgromadzenie Franków miało go obwołać królem Neustrii po zrzuceniu z tronu Chilperyka. Niestety, krótkie było jego panowanie. Ledwie podle zwyczaju podniesiono go na pawęży, dwóch ludzi nasłanych przez Fredegondę zadźgało go nożami, „których ostrza królowa zatrąła własnoręcznie”.

Śmierć Zygberta odwróciła sytuację, albowiem Austrazyjczycy oblegający Chilperyka w Tournai zawrócili natychmiast do domów, uwalniając króla Neustrii. Ten pospieszył do Paryża, gdzie Brunhilda oczekująca swego męża Zygberta nader zaskoczona została jego niespodziewanym przybyciem.

Czuła się królową, została zaś jeńcem. Zaraz zaczęła się zastanawiać, jak uratować syna, pięcioletniego Childeberta. Udało się jej wyprawić go nocą z miasta w wiklinowym koszyku spuszczonego z murów obronnych na długim sznurze. Wierny przyjaciel, książę Gondwald, zawiózł dziecię do Metz, gdzie od razu okrzyknięto je królem, aby Chilperykowi udaremnić sięgnięcie po Austrazję.

Na wieść o tej ucieczce król Neustrii rozeźlił się srodze i za poradą Fredegondy kazał przenieść uwięzioną królową do Rouen, gdzie, jak sądził, nie będzie mu mogła odtąd sprawiać żadnych kłopotów.

Atoli podczas pobytu na dworze Neustrii jasnowłosa, upajająca Brunhilda wzburzyła do głębi młodego chłopca, który się w niej zadurzył na zabój. Nie warto byłoby to wzmianki, tak rzecz cała brzmi banalnie, gdyby los nie był sprawił, że chłopcem tym był akurat... jeden z synów Chilperyka: młodzieńcy Merowiusz, zrodzony ze związku z nieszczęsną Audowerą*.

Dreńczony pożądaniem, które wkrótce stało się krępujące, młodzian opuścił potajemnie pałac i pojechał do Normandii odnaleźć wdowę po Zygercie. Mało go znała, zdziwiona tedy była jego pojawieniem się w jej komnacie.

– Czego chcesz? – zapytała.

* *Ibidem*, księga V.

Padł przed nią na kolana.

– Kocham cię! – odpowiedział.

Potem zaniósł ją na łożo i zręcznymi pieszczotami pozwolił zatrzeć pamięć Zygberta, zmarłego przed kilku tygodniami.

Zaczęta po huzarsku idylla szybko przyjęła poważny obrót, lecz pewnego dnia do Paryża przybył zdyszany goniec. Biegł z Rouen:

– Twój syn poślubił własną ciotkę – oznajmił Chilperykowi.

I padł martwy.

Nowina ta wprawiła króla we wściekłość. Natomiast Fredegonda była uradowana. Od dawna szukała sposobności pozbycia się synów, których mąż spłodził z Audowerą, ponieważ chciała, by jej własne dzieci mogły któregoś dnia odziedziczyć tron Neustrii. Kazała już zgładzić najstarszego Teodeberta. Miała teraz sposób na pozbycie się Merowiusza.

Poradziła Chilperykowi, by podstrzygł go i zamknął w klasztorze, wiedziała bowiem, że nieszczęśnik nie zniesie takiej hańby. Istotnie, gdy tylko obcięto mu długie blond włosy zrozpaczony Merowiusz ubłagał zaufanego przyjaciela, by ten go zabił, i otrzymał śmiertelny cios sztyletem.

Trudno jednakże mieć oko na wszystko. Zajęta przygotowaniem wstąpienia synów na tron, Fredegonda pozwoliła wymknąć się Brunhildzie, która powróciła na swe ziemie, by rządzić w imieniu siedmioletniego wówczas Childeberta...

Nastąpił rodzaj zawieszenia broni i przez kilka lat zdawało się, że Fredegonda przestała interesować się Austrazją. Jednakże nie pozostawała bezczynna. Przez cały czas wymyślała nowe tortury i udoskonalała je po to, by sprawiać cierpienia ludziom, którzy źle jej służyli lub mieli to nieszczęście, że nie spodobali się królowej.

Pewnego dnia kazała przywiązać na kole prefekta pałacu i bić go dotąd, dopóki nie skona. Po pięciu godzinach przyszła popatrzeć, co dzieje się z jej ofiarą. Usłyszała:

– Dosyć! Dosyć!

Radowała się już, że asystuje przy zgonie swego wroga, gdy spostrzegła, iż krzyczą oprawcy. Zmęczeni biciem prefekta, domagali się łaski dla siebie. Fredegonda, rozwścieczona, kazała uciąć im ręce, nogi, a potem poprosiła jednego ze swych faworytów, aby wbił drzazgi pod paznokcie skazańca, który w tym stanie rzeczy uznał, iż przezorniej będzie przenieść się na tamten świat...

* * *

W 580 r. straszna epidemia dyzenterii wybuchła we Francji, pociągając za sobą tysiące ofiar. Wszystkie dzieci Fredegondy zmarły w ciągu kilku dni i biedaczka zachodziła w głowę, czym też narazić się mogła niebiosom, że spotyka ją takie nieszczęście.

Chilperyk pocieszał ją tak skutecznie, że wkrótce powiła nowego syna*.

Urodziny podziały na Fredegondę niby eliksir młodości. Czując się młoda i płomienna, jak nigdy dotąd, przepuszczała przez swoje łóżko wszystkich mężczyzn, jacy się jej trafiali. Tak oto kochankami jej byli książęta, wojacy, chłopcy stajenni, strażnicy pałacowi, a nawet wielce czcigodny Bertrand, biskup Bordeaux, gdyż mimo swych przywar odznaczała się religijnością.

Ów gościnny temperament omal jej nie zgubił.

Pewnego ranka w Chelles, gdzie mieli swoją „wille”, Chilperyk wszedł do jej komnaty. Zastawszy ją w trakcie toalety, dla żartu klepnął ją laseczką po pupci.

– Co robisz, Landry? – zakrzyknęła Fredegonda, nie odwracając głowy.

Dorzuciła następnie parę dość frywolnych słów, sądząc, że mówi do aktualnego faworyta.

Gdy spostrzegła omyłkę, przeraziła się i – jak powiadają – „złękła gniewu króla”. Ten jednak nie zareagował tak, jak się tego spodziewała: wypadł z domu niczym potępioniec, skoczył na koń i „pogwał w las, by zapomnieć o wszystkim i ulżyć sercu swemu”^{*}.

Nie bez racji Fredegonda uznała, że nie ma co zwlekać. Tego samego wieczoru kazała zamordować powracającego w dom męża.

Mogąc już żyć wedle własnej woli, dzieliła odtąd czas między rozpustę a zbrodnię.

W 585 r. wysłała do Austrazji jednego ze swych kochanków z misją zabicia Brunhildy. Pogwał tam, lecz spisek został wykryty i młodzieniec trafił do więzienia. Na torturach wyjawiał, czym był wysłannikiem. Wypuszczono go. Nieszczęśnik uznał za słuszną zdać Fredegondzie sprawę ze swej porażki. Słabo znał tę straszną niewiastę, bo gdy tylko zaczął mówić, rozżościła się okrutnie i kazała mu uciąć ręce i nogi.

Następnie zorganizowała kolejny spisek w celu zamordowania tym razem nie tylko Brunhildy, ale również jej syna Childeberta oraz wnuków. Tu także jej się nie powiodło, lecz nie uznała się za pokonaną. Dwukrotnie wysłała jeszcze do Austrazji młodych mnichów uzbrojonych w zatrute noże. Dwukrotnie „cios nie doszedł celu” – jak to określił pewnego dnia autor „Karmanioli”. Wpadła wówczas w furję, albowiem zgon Brunhildy i jej potomstwa był jedynym sposobem, aby jej syn, ośmioletni Chlotar II, mógł pod jej opieką stać się władcą Austrazji, później zaś odziedziczyć królestwo Burgundii.

Nie udało się jej to. W 593 r. zmarł Gontran, pozostawiając królestwo burgundzkie Chilbertowi, który władał odtąd ogromnym obszarem. Fredegonda aż się rozchorowała: trzy lata zżerała ją zazdrość i nienawiść. Uśmiech odzyskała dopiero w 596 r. na wieść o śmierci Childeberta. Pozostawił po sobie dwóch synów: jedenasto- i dziewięcioletniego, którzy podzielili się królestwem. Starszy, Teodebert, wziął Austrazję, Teodoryk Burgundię^{*}.

* Przyszłego Chlotara II.

* *Chronique de Saint-Denis*.

* U Franków najstarszy syn nie obejmował automatycznie dziedzictwa po ojcu. Za każdym razem królestwo dzielono między spadkobierców. Było to źródłem ustawicznych konfliktów.

Ponieważ chłopcy byli zbyt młodzi, by panować, ster rządów na odziedziczonych terytoriach ujęła w swe ręce Brunhilda. Ozdrowiała już Fredegonda sprawowała w państwie swego syna podobną władzę. Obie niewiasty stanęły wobec siebie twarzą w twarz.

Zaraz rozpoczęła się wojna. Fredegonda najechała część Austrazji, wywiązały się straszliwe boje.

Po paru przejściowych sukcesach wojska jej musiały ustąpić pod naciskiem dobrze zorganizowanych oddziałów Brunhildy. Zniechęcona powróciła do Paryża i w parę miesięcy później w 597 r., kobieta, która popełniła tyle zbrodni, spokojnie zmarła we własnym łóżku, z jednym tylko żalem w sercu – że nie udało jej się zamordować Brunhildy...

Ta zaś na razie miała się całkiem dobrze. Stanowczą ręką władała królestwem wnuków i, będąc mądrą z natury, w sposób umiarkowany mordowała tych, co jej zawadzali.

W r. 612 zmarł Teodebert. Odziedziczywszy Austrazję, dwudziestopięcioletni Teodoryk został panem królestwa obejmującego dwie trzecie Galii. Niestety, w rok potem i on wyzionął ducha, zostawiając czterech synów.

Rozumiejąc, że podział królestwa między spadkobierców stanowi ogromną słabość merowiańskiego systemu politycznego, Brunhilda zerwała z tradycją i nakazała obrać królem Austrazji i Burgundii najstarszego ze swych prawnuków.

Decyzja ta, która pozwalała jej ponadto znów objąć władzę, zirytowała możnowładców Austrazji. Wściekli, że mają raz jeszcze znaleźć się pod rządami królowej, której stanowczość i zmysł polityczny drażniły ich srodze, postanowili pozbyć się niewiasty, wydając ją Chlotarowi II. W odpowiedzi na ich apel ów przybył zaraz ze swoją armią. Gdy znalazł się na lewym brzegu Renu, Brunhilda opuściła swą dotychczasową siedzibę w Wormacji i schroniła się w Orbe. Tam właśnie pojmał ją jeden z austrazyjskich zdrajców, konetabl Herpon, i przywiódł przed oblicze króla Neustrii. Syn Fredegondy, rad, że ma wreszcie w ręku ową królową, której tak nienawidził, kazał ją torturować przez trzy dni. Gwoli pohańbienia, siedemdziesięcioletnią nieszczęśnicę – nagi, żyjący jeszcze łachman ludzki – obwożono na wielbłądzie*. Wreszcie przywiązano ją za włosy, rękę i nogę do ogona nie ujeżdżonego konia, który włóczył ją po kamieniach. Gdy zwierzę stanęło, ciało Brunhildy było już tylko nieforemną bryłą krwawiącego mięsa...*

* W czasach Merowingów wielbłądy były często używane w Galii jako zwierzęta juczne. Welnę ich wykorzystywano do produkcji taniego, filcowego sukna zwanego camelotum, stosowanego głównie na przyodziewek dla biedaków. Stąd też w języku Francuskim słowo *camelote* stało się synonimem tandety.

* Podanie głosi, że kaźń ta odbyła się niedaleko Luwru, w miejscu, gdzie zbiegają się dziś ulice Saint-Honoré i de l'Arbre-Sec.

3.

Nantyllda – najbardziej zdradzana królowa w historii

*Święty Eligiusz z bólem
powtarzał; „Och!!! mój królu!...”*

Pewnego dnia, słuchając mszy w Reuilly*, król Dagobert zwrócił uwagę na dźwięczny głosik ulatujący pod sklepienie bazyliki. Kilkakrotnie zmaćniło mu to należyte skupienie.

Po nabożeństwie zapytał o imię pieśniarki, która tak go zaintrygowała.

– To Nantyllda, nowicjuszka – odrzekł kapłan.

Dagobert, jak wszyscy królowie frankońscy, był władczy i brutalny.

– Niechaj mi ją przywiodą. Chcę ją poznać.

W kilka minut później młoda dziewczyna, o fiołkowych oczach i długich jasnych włosach, została mu przedstawiona. Była ładna i pełna wdzięku.

– Śpiewaj! – rozkazał Dagobert.

Nantyllda zaśpiewała.

– Ciebie, iście, zauważyłem przed chwilą. Chodź ze mną.

Ksiądz znał gorący temperament króla...

– Hola! Hola! – zawołał – Zapominasz Miłościwy Panie, że chodzi tu o nowicjuszkę. Co chcesz z nią uczynić?

Dagobert, którego oko błyszczało lustrując kształty młódki, zaklął szpetnie i odepchnął księdza.

– Co cię to obchodzi! Jestem królem. Ona należy do mnie!

– Wpierw przynależna jest Bogu – odrzekł duchowny tonem pełnym słodyczy, lecz stanowczym.

Dagobert był pobożny. Pojął, że porwanie nowicjuszki będzie stanowiło poważny występki, mogący zawieść go do piekieł.

* Gród położony na południe od Paryża, gdzie królowie frankońscy mieli letnią rezydencję.

- A jeśli się z nią ożenię?
- Azali nie masz już jednej prawowitej małżonki? – zagadnął ksiądz.
- Mam. Ale niezdolna była dać mi dziedzica, przeto wygnam ją zaraz.
- Doprawdy? – zapytał jeszcze duchowny.
- Przyrzekam ci to.
- Możesz tedy brać Nantylde.

Dagobert nie dał sobie tego dwa razy powtarzać; ujął młodkę w ramiona, skoczył na koń i odjechał w kierunku królewskiego dworzyszczka. Nagle kolejna myśl przyszła mu do głowy.

- Jesteś aby krwi frankońskiej?
- Tak, Miłościwy Panie.

Uspokojony Dagobert ucałował Nantylde w usta. Przez chwilę obawiał się rzeczywiście, że dziewczyna mogłaby być cudzoziemką gnuśnego, nieczystego rodu, jedną z tych Słowianek, od których roilo się w Galii, i których nazwę przeinaczano na niewolników...*

Następnego dnia Dagobert oddalił żonę, czarującą Gomatrudę; zwołał swych doradców, aby ogłosić im decyzję, i kazał miejscowemu biskupowi pobłogosławić nowy związek.

Ów, bynajmniej nie zrażony beztróską, z jaką król wypędził Gomatrudę, zachował się elegancko i życzył nowożeńcom wielu dzieci.*

* * *

W kilka dni po zaślubinach Dagobert stwierdziwszy, że wyczerpują się zapasy żywności zgromadzone w Reully, postanowił zmienić rezydencję i zdecydował się powrócić do rodzinnego Clipiacum (Clichy), położonego na północ od Paryża, gdzie spodziewał się znaleźć spichrze i składy wypełnione pożywieniem.

Pewnego ranka orszak trzydziestu ciężkich wozów o pełnych kołach opuścił Reully. Szły zaprzęgi przeznaczone dla dziewcząt dworskich, inne – dla broni, zastawy stołowej, sukien, klejnotów itd. Nantylde miała osobny wóz, w którym spoczywała wyciągnięta na futrach.

Podczas gdy konwój włókł się przez lasy Neustrii, Dagobert, konno rozmyślał o podróży, którą w tych samych warunkach odbywał przed pięciu laty. Miał wówczas piętnaście lat, a ojciec jego, Chlotar II, mianował go właśnie królem Austrazji. Pewnego ranka wyjechał z Braine, by osiąść w Trewirze, stolicy swych ziem. Po drodze spotkał na skraju lasu młodą dziewczynę wyplatającą kosze z wikliny. Była tak ładna, z jasnymi włosami i kształtną piersią, że kazał jej wsiąść na jeden z wozów. W Trewirze stała się jego oficjalną kochanką i Dagobert nazwał ją swoją Gołąbeczką. Któregoś dnia – a było to w 626 r. – wysłannik Chlotara II przybył obwieścić młodemu królowi:

* *Slaves* – Słowianie, *esclaves* – niewolnicy (przyp. tłum.).

* Postawa taka może nas szokować, ale trzeba pamiętać, że w onej dobie niewiasty nie były przedmiotem jakiegokolwiek poważania. Brano je, gwałcono, odrzucano, zabijano w miarę potrzeby. Teolodzy stawiali sobie nawet pytanie, czy mają one duszę...

– Ojciec twój, Panie, życzy sobie, byś poślubił Gomatrudę, młodszą siostrę Zychildy, jego nowej żony. Wesele odbędzie się w Clipiacum. Nie obawiaj się, żona, którą ci przeznaczają, jest bardzo piękna.

Dagobert, jako posłuszny syn, udał się do Clipiacum. Ale że wychowanie jego pozostawiało coś niecoś do życzenia, nie widział nic zdrożnego w tym, iż przywiezie na swój ślub również i Gołąbeczkę. Przybyli więc oboje na dwór Neustrii, gdzie Gomatruda, nie wiedząc o istnieniu faworyty, była tym nieco zaskoczona; przywykła jednakże do obyczajów epoki, zadowolona się więc wzmianką:

– A to ci dopiero! Będziemy we trójkę!...

Wesele oczywiście było wystawne, gdyż Chlotar II, dla uczczenia związku, który czynił go szwagrem własnego syna, wydał dużo pieniędzy. Następnie powrócono do Trewiru, gdzie Dagobert żył odtąd z Gomatrudą i Gołąbeczką.

Dagobert wzdychał rozmyślając o życiu, jakie prowadził rozdarty między dwiema kobietami. Gomatruda okazała się później tak głupio zazdrosna o konkubinę, że król, aby zapomnieć trochę o kłopotach domowych, wyruszył wojować z plemionami Sasów. Po roku Chlotar II nagle zmarł. Dagobert objął po nim władzę, stając się jednocześnie królem Neustrii, Austrazji i Burgundii – ogromnego terytorium rozciągającego się od Bretanii po Bawarię i od kanału la Manche po Marsylię.

Czas jakiś czuł się potężny i szczęśliwy; potem Gołąbeczka zmarła wraz z synem, którego mu powiła. Różnie o tym gadano. Podwójny zgon zbyt dobrze załatwiał sprawy Gomatrudy, stąd niektórzy zadawali sobie pytanie, czy przypadkiem nie wspomogła ona biegu wydarzeń.

Tak czy inaczej, śmierć Gołąbeczki nie uczyniła bardziej płodnym łona nieszczęśliwej królowej, która teraz, w zaciszu paryskiego klasztoru, medytowała nad niedogodnościami swej bezpłodności.

Dagobert uśmiechnął się na tę myśl.

– Byle tylko Nantylida obdarzyła mnie synem! – zamruczał.

I pełen nadziei wypuścił konia galopem, zajmując miejsce na czele pochodu.

* * *

W Clipiacum Dagobert z Nantylidą spędzili w szczęściu całą zimę. Po raz pierwszy (i ostatni w życiu) król wierny był kobiecie, którą kochał.

Stale jej potrzebował. Do tego stopnia, że widziano go czasami jak gwałtownie opuszczał radę polityczną, aby pobiec do jej komnaty, wszystkie zaś przechadzki wzdłuż Sekwany, na które lubił z nią chadzać, przerywane były kilkoma przystankami w krzaczkach...

Dagobert wszakże niepokoił się, bo pomimo tak wyjątkowego traktowania, Nantylida nadal nie miała wielkich nadziei, że obdarzy go synem. Była tym mocno zasmucona.

Pewnego dnia wsiadł na koń, jako że galop pomagał mu w myśleniu, i ruszył w lasy oddzielające Clipiacum od Wzgórza Męczenników.

Świeże powietrze chłozzące mu twarz ożywiało umysł. Wkrótce oto ukończy trzydzieści lat (równało się to starości w dobie, gdy rzadko kto przekraczał czterdziestkę) i bezzwłocznie trzeba mu mieć syna, aby królestwo frankońskie pozostało we władaniu potomków Chlodwiga. Wielu kuzynów, wiedział to, czekało tylko na jego śmierć, by dorwać się do tronu.

Na tę myśl jego zielone oczy błyszczały nienawiścią.

– Jeśli nie będę miał syna, postąpię jak Chlodwig – zamruczał.

Wielki Chlodwig, gwoli spokoju rządów, stosował środek bez wątpienia mało moralny, ale nader skuteczny: wygubiwszy niemal wszystkich członków swej rodziny, udawał płacz: „Biada mi, co ostałem jako wędrowiec wśród obcych i nie mam krewnych, którzy wspomogliby mnie w przeciwnościach” – głosił.

Podstęp był szyty grubymi nićmi; znalazł się jednak zawsze jakiś kuzyn ukryty gdzieś na prowincji, który, zdjęty współczuciem, przybywał rzucić się do stóp Chlodwiga.

– Ja tu jestem Panie. I należę do twojej rodziny.

Chlodwig nakazywał zaraz go sprzątnąć...

Perfidia ta bawiła bardzo dobrego króla Dagoberta.

– Najprzyjemniejszym jednak rozwiązaniem – zadecydował byłoby pojąć trzecią żonę.

Dziewczyny w pałacu nie były zmieniane od czasu ślubu z Nantylądą, a że miał je już wszystkie w łóżku za czasów Gomatrudy, umyślił sobie, że warto by było sięgnąć gdzie indziej. Postanowił więc udać się na poszukiwanie w rejon Senlis, gdzie kobiety miały opinię pięknych i gorących.

Nazajutrz ruszył w drogę w towarzystwie Nantylidy, która oczywiście nie była powiadomiona o prawdziwym celu podróży.

W każdym napotykanym mieście król zatrzymywał się na popas pod pozorem roków sądowych lub odebrania hołdu od poddanych. W rzeczywistości lustrował z uwagą wszystkie przechodzące przed nim młode dziewczęta. I tak dostrzegł pewnego wieczoru czarującą Ragnetrudę. Zagadnął ją, wyjawiał kim jest, zaprowadził dziewczynę do królewskiego dworzyszczka i zamknął się tam z nią na trzy dni i trzy noce.

Nantylida sprytniejsza była niż Gomatruda. Ukryła łzy i z dobrocią przyjęła młodą Austrazyjkę, kiedy ta zasiadła przy wspólnym stole u boku króla. Dagobert, wdzięczny za to, nie wygnał jej tedy. Od czasu do czasu zapraszał nawet, by dzieliła z nim łożo. Tak czule względy chwilowo pocieszały łagodną Nantylidę.

Później Dagobert, obawiając się, by Ragnetruda nie okazała się równie bezpłodna jak jego pierwsze żony, zmienił dziewczki pałacowe i nowo przybyłe uczynił swymi kochankami. Nantylida, jak łatwo przypuszczać, dowiedziawszy się, że każdej nocy z coraz to inną dziewczyną król usiłuje przedłużyć dynastię Merowingów, cierpiała okrutnie.

* * *

Pewnego dnia Dagobert wpadł do komnaty królowej, krzycząc z radości.

– Raduj się – zakrzyknął – Ragnetrua zostanie matką.

Nieszczęsna znalazła jeszcze w sobie dość siły, by pogratulować mężowi, lecz gdy ten opuścił ją, aby pójść podziękować niebu, że pobłogosławiło jeden z jego związków, padła zemdlona na łożo.

Dziecię Ragnetrudy przyszło na świat w 631 r. Nazwano je Zygbertem.

Dla uczczenia tego wydarzenia Dagobert zatrudnił ładną, piętnastoletnią służącą i okazał jej swe względy. Takie miłostki nie przeszkodziły mu jednak w zajmowaniu się sprawami królestwa. I tak, przypomniawszy sobie, że ma w Tuluzie przyrodniego brata, który pewnego dnia mógłby powstać przeciw Zygbertowi, kazał go udusić.

Czyn ten uradował wielce możnowładców. Dagobert od dawna nie zgładził żadnego krewnego, obawiali się więc, że im niewieścieje. Dla udowodnienia, iż jest jeszcze żywotny mimo swych trzydziestu trzech lat, król wziął sobie nową konkubinę, niejaką Wulfgundę*.

Tym razem dwie kobiety w pałacu tonęły we łzach: Nantylida i Ragnetrua, złączone wspólną boleścią.

Ogarnięty z nagła czymś w rodzaju miłosnego szaleństwa, król przekształcił swój dwór w dom takiej rozpusty, że przewano go Salomonem Franków, Fredegar napisał zaś w swej „Kronice”: „Nie będę przytaczał tu imion jego konkubin, bo tyle ich było...”

W tym czasie biedna Nantylida spędzała długie godziny na modlitwach, aby Bóg przymykał oczy na grzechy jej męża...

Współ z księdzem Eligiuszem próbowała wyrwać monarchę z wiru rozwiązłego życia i skłonić go, by jak dawniej zajął się sprawami państwa. Ale nieszczęśnik nie był już tym wielkim królem, który rządził przez piętnaście lat i którego niektórzy historycy – jak Funck-Brentano – porównywali z Ludwikiem XIV; orgie osłabiły jego zdrowie.

Mijały miesiące. Pewnego dnia królowa przeżyła radość powicia Dagobertowi syna. Ów był tym zachwycony. Na chrzcie dał mu imię Chlodwig.

– Ten oto – powiedział – będzie mym dziedzicem, bo pochodzi od słodkiej mej Nantylidy.

Mimo wszystko, dla pocieszenia Ragnetrudy, mianował natychmiast jednorocznego wówczas Zygberta królem Austrazji*.

* Frédégaire, *Chronique*.

* W wieku trzech lat dziecię posłano do Metz, gdzie – jak powiadają – „był jego dwór”... Autor *Gesta Dagoberti* dodaje: „Z onego dziecięcia miłości Dagobert uczynił narzędzie polityczne. Wyniesienie Zygberta na tron Austrazji w 633 czy też w 634 r. było zrazu pozorem, środkiem na uspokojenie Austrazyjczyków nie powodującym zbytniego złamania jedności królestwa. W celu dokonania tego aktu król zwołał najpierw biskupów i możnowładców. Nikt nie zakwestionował nieprawego pochodzenia dziecka. W czasach frankońskich stwierdzenie takie było bez znaczenia. Dla odmiany, Austrazyjczykom nie był obojętny fakt, że ów młody król pochodził z ich krwi”.

Przypuszczalnie właśnie w tym czasie oficjalnie wziął sobie czwartą żonę, powabną Bertylde...*

„Pociąg do kobiet – powiadają kronikarze – skłonił Dagoberta do najbardziej haniebnych wybryków”. Zmarł w ich następstwie, w 639 r., w wieku trzydziestu sześciu lat, kompletnie wyczerpany.

Nantylde, która dzięki swej łagodności i dyplomacji umiała zawsze być pierwszą małżonką króla i tytułarną królową, zajęła się sprawami państwa na czas dzieciństwa Chlodwiga II. Wszyscy historycy zgodnie potwierdzają jej wielką zręczność w sposobie rządzenia. Umarła w 642 r., nie przypuszczając, że któregoś dnia pewien pobłażliwy mnich napisze o jej mężu-rozpuśniku zdanie, które warto byłoby wyryć jako epitafium na grobie każdego szefa państwa: „Siły, przez innych k’wojnie kierowane, on w swej mądrości na miłości spożytkował...”*

* Frédégaire, *op. cit.*

* *Gesta Dagobert.*

4.

Karol Wielki, dziecię miłości

Królowa Berta żyła wystawnie.

A. Etievant

Stał w Laon, w 741 r., dwór wspaniały, należący do hrabiego Charyberta. Domostwo to, jedno z najokazalszych w Austrazji, było zwiastunem nowego ustroju politycznego.

Ze swymi rozlicznymi budynkami, wzniesionymi w całości z drewna, podwórcami i wewnętrznymi ogrodami, palisadą z ostrokołów, składami broni, osobną studnią, stajniami, pomieszczeniami straży i wieżą wartowniczą, stanowiło jakby wzorzec feudalnego zamczyska, które miano budować trzy wieki później.

Charybert mieszkał tam w towarzystwie żony, piętnastoletniej córki Bertrady, służby i swej drużyny wojennej.

Kronikarze pozostawili nam niewiele wiadomości o tym człowieku i imię jego z pewnością poszłoby w zapomnienie, gdyby niebiosa nie obdarzyły go córką urzekającej piękności... Albowiem Bertrada była prześliczna. Tak ładna, że Charybert zawsze miał się na baczności, gdy jakiś możnowładca z sąsiedztwa zajeżdżał doń w odwiedziny. Prawdać to, Frankowie mieli ugruntowaną opinię lubieżników... Gdy Bertrada uczestniczyła w jakimś posiłku, goście, mocno zmieszani, popełniali grube gafy: zamiast ocierać sobie delikatnie usta rękawem, jak tego wymagał ówczesny *bon ton*, tkwili z twarzami ociekającymi sosem lub też zapominali oblizać sobie palce, przez co szpetnie plamili odzienie. Krótko mówiąc, zachwyceni byli długimi, jasnymi włosami, niebieskimi oczami i promiennym uśmiechem młodej dziewczyny.

Złośliwcy wprawdzie twierdzili, że stopę ma nieco przydużą, na co z kolei zwolennicy Bertrady rychło replikowali, iż wrażenie to przypisać należy temu, że drugą stopę ma nieco przymałą...

Spór bezcelowy; oszczercy miewają zwykle ostatnie słowo; tu też dopięli swego, albowiem średniowieczni poeci nadali Bertradzie przydomek zachowany przez historię Berty Wielkostopej...

Pozostawmy na uboczu czczą gadaninę niedoszłych kochanków i wyobraźmy sobie Bertradę taką, jaką powinna być w wieku piętnastu lat; młodą dziewczynę, wdzięczną i wesołą, przedającą wełnę u boku matki i nucącą stare piosnki merowińskie... Czyż mogła się spodziewać, że los wyznaczył ją na pierwszą królową nowej dynastii i matkę imperatora, jakiego nie widziano od czasów Juliusza Cezara?...

* * *

Pewnego dnia jacyś woje zjechali do Charyberta. Byli pod wodzą rycerza, który, zsiadłszy z konia, zadziwił swym niskim wzrostem.

Ze swego okna Bertrada ujrzała ojca, jak z oznakami wielkiego szacunku podbiega do gościa i wprowadza go do najpiękniejszej izby dworzyszca.

– To Pepin, rządcą Dworu Królewskiego – wyjaśniono młódce. Z racji niskiego wzrostu przezwano go Małym.

Bertrada pogrążyła się w zamyśleniu.

W owych czasach rządcą dworu królewskiego był czymś w rodzaju premiera mającego rozległe uprawnienia, a młoda dziewczyna słyszała, że bywał potężniejszy od króla. Po prawdzie, w początku owego VIII wieku ostatni król merowiński, Childeryk III, niewiele znaczył. Różnorakie ekscesy wycieńczyły ród Chlodwiga. Pogrążywszy się w rozpuście, dogasał w lenistwie. Oto zresztą, co z wielką szczerością powiada nam kronikarz Eginhard: „Ród Merowingów od dłuższego już czasu nie odznaczał się żadnymi cnotami. Książę ograniczał się do noszenia tytułu króla, falistych włosów i długiej brody; do zasiadania na tronie i udawania monarchy. Dawał posłuchania posłom i udzielał im dyktowanych odpowiedzi. Z wyjątkiem niepewnej renty strawnej, jaką wedle swego uznania wypłacał mu rządcą dworu, miał dla siebie jedną tylko posiadłość o znikomo małych dochodach; mieszkał tam z małą grupą sług. Gdy trzeba było, by król dokądś się udał, jechał wiejską modą na wózku ciągnionym przez woły, popędzane przez wolarza; jeśli zaś chodzi o administrację królestwa i wszelkie środki zarządzania, spoczywało to wyłącznie na barkach rządcy dworu”.

Bertrada wiedziała o tym wszystkim i, kiedy przed obiadem ojciec prezentował ją Pepinowi, była wielce onieśmielona.

Podczas posiłku zerkiała kątem oka na tak znaczącego męża i stwierdziła, że jest bardzo przystojny. On także nie pozostał obojętny.

Jedząc, lustrował ją płonącym wzrokiem i silił się na opowiadanie historii wojennych, zdolnych przyprawić ją o drzenie.

Udało mu się to kilkakrotnie i był z tego bardzo zadowolony.

Pod koniec uczty Bertrada ujęta została delikatnością Pepina, który nie wszystkimi kośćmi pozostałymi na talerzu ciskał w głowy współbiesiadników, jak to zazwyczaj czynili goście Charyberta.

Pepin zwykł to również czynić dla żartu i dla wesołego zakończenia biesiady. Lecz dnia tego jedno miał tylko pragnienie: odjechać jak najprędzej, uwożąc ze sobą Bertradę.

Gdy powiadomił o tym Charyberta, ów nie posiadał się z radości.

Nigdy nawet nie marzył o tak pięknej partii dla swojej córki. Ta zaś, zakochana po raz pierwszy w życiu, zdawała się wstępować w progi raju.

W dwie godziny później Pepin cwałował dumnie na czele swego oddziału z Bertradą czule wtuloną w jego ramiona.

Tego samego wieczoru pracowali już nad narodzinami Karola Wielkiego.

* * *

Stawszy się jedyną wybranką rządcy Dworu, Bertrada wiodła żywot nader miły. W dzień bawiła się z rówieśnicami, wieczorami spotykała drogiego Pepina, który pieścił ją z zapalem. Hołubił ją tak bardzo i tak skutecznie, że 2 kwietnia 742 r.* wydała na świat tłuściutkie niemowlę, które nazwano Karolem.

W wieku siedmiu lat dziecię było tak inteligentne, że Bertrada powzięła szalony zamysł uczynienia go królem. Skoro Childeryk III był już tylko cieniem, tron przyspaść mógł każdemu, kto ośmieliłby się go zająć. Czemu tym kimś nie miałby być Pepin, jej luby kochanek?

Przede wszystkim sprawiła, że ją poślubił, tak aby jej syn, dziecię miłości, stał się dziecięciem z prawego łoża. Ślub odbył się w 749 r.* Już następnego dnia namawiała męża, aby usunął ostatniego z Merowingów i sam został królem. Pepin Mały, choć pewien sukcesu, wahał się; obawiał się reakcji możnych. Ci, niewątpliwie, nie słuchali już wcale nieszczęsnego Childeryka, jednak równie dobrze mogli okazać wrogość wobec uzurpatora. Sprytna Bertrada podsunęła mu wówczas sposób zyskania poparcia papieża.

– Postaw mu – rzekła – to proste pytanie: godzi się zwać królem tego, kto dzierży rzeczywistą władzę, czy tego, kto ma tylko jej pozory?

Pepin usłuchał, a w kilka miesięcy później otrzymał odpowiedź Rzymu: „Ten-ci jest królem, kto ma rzeczywistą władzę”. Było to jasne. Natychmiast zwołał wielmożów do Soissons i zaznajomił ich ze zdaniem papieża. Nie musiał długo przekonywać: ledwie skończył mówić, obwołano go królem.

Następnego dnia Childeryk III, nie rozumiejąc nawet, co mu się przydarzyło, został postrzyżony i zamknięty w klasztorze...

* Rękopis opactwa Lorsch.

* Św. Berty, *Annales*

Bertrada, z niecierpliwością oczekująca tej chwili, dumna była, że przyczyniła się do tego, iż jej Pepin, w którym wciąż się kochała, stał się królem potężnym i szanowanym. Schlebiali jej również, że pozdrawiano ją mianem królowej; największe jednak szczęście ukrywała w sercu: pieściła w sobie myśl, że jej syn jest odtąd następcą tronu królestwa Franków...

* * *

Nieco później, w 752 r., Pepin i Bertrada otrzymali namaszczenie monarsze z rąk świętego Bonifacego. Ów nie znany za Merowingów akt koronacyjny podnosił prestiż króla i królowej, a także czynił z nich prawdziwych reprezentantów Boga.

W 753 r. papież, mając zatargi z Lombardczykami*, przybył aż do Neustrii szukać pomocy króla Franków. Korzystając z tej wizyty, ponownie namaścił uroczyście Pepina i Bertradę w bazylice Saint-Denis, co wywołało larum wśród wszystkich innych władców – od Morza Północnego po Bułgarię.

Od tej chwili poczynając, po urodzeniu drugiego syna Karlomana, królowa tym aktywniej zajęła się sprawami państwa; towarzyszyła Pepinowi we wszystkich jego wyprawach wojennych.

Gdy ten zmarł w 768 r., królestwo podzielone zostało wedle zwyczaju między dwóch spadkobierców. Zaledwie jednak ukoronowano Karola w Noyon, a Karlomana w Soissons, bracia zaczęli swarzyć się tak bardzo, że Bertrada użyć musiała wszelkich swych wpływów, aby zapobiec wojnie między dwoma synami.

Karloman od dawna już zazdrosny był o Karola, Uważał go za bękartą i utrzymywał, że tylko on, Karloman, jest jedynym dziedzicem Pepina Małego. Czuł się też zawiedziony podziałem ziem. Podlegany przez diuka Bawarii i króla Lombardczyków, Dezyderiusza, ustawicznie protestował.

Bertrada, rozumiejąc, że na dłuższą metę trudno będzie odwozić starcie między dwoma braćmi, wpadła na pomysł, aby pozbawić Karlomana jego głównej podpory, doprowadzając do małżeństwa Karola z córką króla Lombardczyków.

Pojechała do Pawii, by omówić ów związek. Przy okazji, aby tym mocniej zacieśnić sojusz między Lombardią a królestwem Franków, załatwiła mariaż swej córki z synem Dezyderego.

Podwójny plan, który czynił Karola sprzymierzeńcem Lombardczyków, przeraził papieża. Ostrzegł Bertradę, że sprzeciwi się małżeństwu, podając jako pretekst, iż Karol jest już żonaty.

Królowa matka ominęła tę przeszkodę, przepędziła pierwszą synową Himiltrudę i sprowadziła Desirée Lombardzką do bazyliki Saint-Denis.

* właściwie należałoby mówić o Longobardach, od których pochodzi nazwa krainy – Lombardia – przyp. red.

Karol nie był zachwycony perspektywą spędzania nocy z pannicą o niewdzięcznej buzi i płaskich kształtach. Usłuchał jednak matki i huczne weselisko odbyło się na Boże Narodzenie 770 r.

Karloman przycichł, i tak jak to przewidywała Bertrada, pokój zapanował między braćmi.

Było to wielkie zwycięstwo dyplomacji i przez kilka lat sprytna królowa matka z satysfakcją mogła przyglądać się swemu dziełu.

5.

Na politykę Karola Wielkiego wpływ miały kobiety

*Większość sławnych mężów sławę
swą zawdzięcza kobietom.*

Honoriusz Balzac

Wszyscy wiedzą, iż Karol Wielki otrzymał koronę cesarza Zachodu w osiemsetnym roku.

Jest to jedno z niewielu wydarzeń historycznych, które zapadają w pamięć, tak jak data zdobycia Bastylii czy rok bitwy pod Marignan – 1515.

Fakt to natomiast nieznany, że gdyby nie kobiety, Carolus o przydomku magnus, inaczej – Karol Wielki, prawdopodobnie nigdy nie dostąpiłby tak wysokiej godności. Pozostałby królem Franków, jak jego ojciec – Pepin Mały, i nie stanąłby – dla potomności i dla fabrykantów kart – w jednym szeregu z Dawidem, Cezarem, Aleksandrem...

Szczęściem dla niego Karol Wielki nie mógł żyć bez kobiet. Miał pięć legalnych żon i cztery... nieco mniej prawowite.

Te dziewięć towarzyszek życia w ten czy inny sposób wniosło swój wkład w dzieło stworzenia zeń człowieka wykształconego, błyskotliwego, zręcznego, o zdolnościach dyplomatycznych, jak opisują go nam historycy. Wszystkie one w istocie miały znaczny wpływ na politykę cesarza karolińskiego, na jego poglądy, obyczaje, decyzje wojskowe, sposób prowadzenia finansów itd. Powodowane słuszną ambicją, niby to do niczego się nie mieszając, skłaniały go do podejmowania zadziwiających, wielkich i śmiałych przedsięwzięć.

Mój Boże, czegoż to nie potrafi dokonać niewiasta!

A co dopiero, gdy jest ich dziewięć!...

* * *

Całej księgi trzeba by było, aby opowiedzieć historię kobiet Karola Wielkiego. Spróbujemy ją tu nieco streścić, skupiając się na wykazaniu, że każda przypada na ściśle określony moment w życiu cesarza.

Pierwsza z nich, Himiltruda, była, jak się zdaje, dość bezbarwna. Posłużyła mu po prostu jako lek na trądzik młodzieńczy, z czego zresztą był zadowolony. Uosabia ona okres terminatora wielkiego Karola. Miał lat osiemnaście, był piękny, a dziewczyny zaczynały spozierać nań z oskomą. Tak więc jego matka, pełna mądrości życiowej Bertrada, pomyślała sobie, że lepiej będzie, jeśli pozwoli mu się mieć – że tak powiem – pod ręką to, czego, być może, próbowałyby szukać gdzieś indziej...

Himiltruda była ładna, cnotliwa, łagodna, cicha, Karol zaś, którego temperament rzucał w jakiś wir miłosny, nieraz ją zadziwił.

Wyczyny męża wyczerpywały ją i nieco przerażały. Sądzi się, że była zimna, co nie przeszkadzało Karolowi oddawać się jej całkowicie w młodzieńczych porywach. Wyzwoliła go ze zwykłej dla tego wieku nieśmiałości, uczyniła zeń młodego mężczyznę o pewnym sobie spojrzeniu i obdarzyła synem, którego zwano Pepinem Garbuskiem, jako że rzeczywiście był trochę garbaty.

Drugie małżeństwo Karola, jak to już powiedzieliśmy, zawarte zostało z przyczyn politycznych. W celu przeszkodzenia bratu, chmurnemu Karlomanowi (który otrzymał w spadku Burgundię), w zawarciu przymierza z królem Lombardczyków, Karol poślubił córkę tego ostatniego.

Zwała się Desirée, była mdła, przygaszona i nie miała ani krztyny wdzięku.

Racja stanu stoi jednak ponad racjami serc, Karol rozszedł się więc z Himiltrudą, która przebywała odtąd w klasztorze pełna egzaltujących ją jeszcze miłosnych wspomnień, po czym poślubił Desirée, której imię tak mało do niej pasowało*.

Oczywiście była brzydka; on jednak znał *savoir-vivre*. Potrafił ukryć odrazę i od czasu do czasu wyświadczył jej nawet małą grzeczność...

Po roku Karloman zmarł. Karol, nie widząc dłużej potrzeby podtrzymywania przymierza z królem Lombardczyków, pierwszym pociągiem wozów zaprzężonych w woły, odjeżdżającym w kierunku Pawii, odesłał Desirée do tatusia.

Wówczas to spotkał nadobną Hildegardę, zakochał się w niej do szaleństwa i poślubił. Była tak piękna, że autor epitafium nie zawahał się napisać, iż „wdzięki jej nie miały sobie równych wśród wszystkich dziewcząt frankońskich”.

Była ponadto wesoła, żywa i gorącego usposobienia trzy cechy jak na zawołanie, by urzec króla. Tak więc Hildegarda wywarła znaczny wpływ na swego małżonka. Wpływ tak istotny, iż bez przesady można rzec, że to właśnie ona stworzyła Karola Wielkiego.

* Desirée znaczy po francusku pożądana – (przyp. tłum.).

Zakłopotanemu, nieufnemu, nieśmiałoemu w decyzjach przelała swój optymizm, zapal, dobry nastrój. To trzecie małżeństwo przekształciło go całkowicie*.

Karol wkrótce potem zorganizował swą pierwszą wyprawę przeciw Sasom. Hildegarda, z którą nie mógł się rozstać, była u jego boku podczas całej kampanii. Spała w taborach, człapała po błocie, przekraczała rzeki po pontonowych mostach, dzieliła życie wojów frankońskich, szczęśliwa, że niesie swemu królowi jedyną rzecz, bez której nie mógł się obejść: słodycz kobiecej obecności.

Karol powrócił z Saksonii jako zwycięzca i bezzwłocznie ruszył do Rzymu bronić zaatakowanego przez Lombardczyków papieża. Hildegarda oczywiście podążyła za nim.

Kampania była długa i trudna. Wreszcie, po oblężeniu Pawii, Karol pobił króla Dezyderego, swego byłego teścia, i zamknął go w klasztorze w Neustrii.

Młoda królowa, widząc, w jaki sposób mąż traktuje rodzinę Desirèe, doznała miłego uczucia, łatwego do zrozumienia tym wszystkim kobietom, które poślubiły rozwodnika...

Następnie Karol w miejsce Dezyderego kazał ukoronować siebie królem Lombardczyków. Nie miał jednak czasu dłużej zabawić w Pawii, albowiem Sasi znów się zbuntowali. Niezwłocznie siadł na koń i pojechał szepnąć im dwa słówka...

Hildegarda wyciągnęła się w luksusowym wozie i raz jeszcze podążyła za małżonkiem...

Żywot taki młoda niewiasta pędziła lat kilka, przemierzając onym sposobem jeszcze nie przetarte szlaki tworzącego się imperium.

Wreszcie w 777 r., gdy armia Franków obozowała na szlaku do Roncevaux, obwieściła Karolowi wielką nowinę: potomek jest w drodze.

Był tym zachwycony i tegoż samego wieczoru zwołał wszystkich przyjaciół na wielką ucztę: znaleźli się tam między innymi Eginhard, wielki podczaszcy, Anzelm, hrabia dworu, i Roland, margraf Bretanii. Uczta była radosna, a Roland (który wcale nie był bratankiem Karola Wielkiego, jak to się na ogół pisze w podręcznikach historii) weselił się bardziej niż pozostali. Biedaczysko nie przewidywał, że sążone mu jest w kilka dni później zadać w róg i zginać...

* * *

Hildegarda dała swemu mężowi dziewięcioro dzieci. Czterech synów: Karola, Pepina, Ludwika i Lotara oraz pięć córek: Adelajdę, Rotrudę, Bertę, Gizele i Hildegardę.

Gdy po jedenastu latach małżeństwa zmarła wycieńczona męczącym trybem życia, jakie wiodła za sprawą Karola, wszyscy ją oplakiwali. Jej dziejopisowie, by wykazać, jak wielce sam król był tym zmartwiony, prawią nam, że „nie ruszył na wojnę, póki pochówku jej nie sprawił”, co jak na owe czasy było świadectwem wielkiej delikatności...

* B. Haureau, *Charlemagne et sa cour*: „Wzruszająca prostota Hildegardy i jej ujmujący sposób bycia okiełznały tę cierpką żywiołowość, która może stworzyć dobrego żołnierza, lecz nigdy nie stworzy dobrego króla”.

A jednak w kilka miesięcy później Karol poślubił córkę jednego z hrabiów frankońskich, wyniosłą Fastradę. Była to jego czwarta żona. Ona również miała wywrzeć wielki wpływ na króla, co zresztą jednogłośnie oplakują kronikarze. Spędzała czas na podjudzaniu Karola przeciw zniechęconym przez nią dostojnikom, powodując dymisję wielu, skądinąd skrupularnych dworzan, i bez żadnego powodu prześladować dzielnych ludzi.

Zła i zawistna, nie znosiła żon możnowładców królestwa i podżegała króla do podejmowania ostrych represji wobec wydumanych wichrzycieli, co skłoniło zacnego Eginharda do stwierdzenia, że „gwoli zadośćuczynienia okrucieństwu swej małżonki, Karol niejednokrotnie wrodzonej dobroci się zbywał”...

Ulegając Fastradzie, przyszły władca Europy Zachodniej popełnił kilka błędów, które spowodowały wielkie niezadowolenie. Skorzystali z tego nieprzyjaciele, by spiskować przeciw niemu. Uprzedzony o niebezpieczeństwie, powrócił z Saksonii, gdzie właśnie wojował, i kazał ich aresztować.

Fastrada, zakłamana i podstępna, podsunęła mu wówczas pomysł mało eleganckiego manewru: udawszy, że udziela spiskowcom swego przebaczenia, Karol posłał ich na modły do kościoła.

– Kiedy odmówicie pacierze – rzekł im – nie ujrzycie mnie już nigdy zagniewanego.

Rzeczywiście, nigdy już nie mieli zobaczyć go rozzłoszczonego. W ogóle nie mieli go już nigdy ujrzeć, albowiem po wyjściu ze świątyni wylupiono im oczy...

Tylko niewielu ludzi lubi ten rodzaj czarnego humoru, wielu było przeto oburzonych i w końcu zawiązało się sprzysiężenie. Moźni, zdecydowani zgładzić Fastradę, zgromadzili się wokół Pepina Garbuska (syna Karola i Himiltrudy), wiedząc dobrze, że od chwili, gdy ten dowiedział się, iż odsunięto go od dziedziczenia, pałał nienawiścią. Postanowili zabić i króla, i królową*.

Mało brakowało, a spisek by się udał. Karol nigdy nie zostałby cesarzem, gdyby nie pewien diakon, który skryty pod ołtarzem kościoła podsłuchał rozmowę przyjaciół Pepina Garbuska.

Wszyscy spiskowcy skazani zostali na śmierć, Pepin zaś, wychłostany i postrzyżony, zakończył żywot w klasztorze.

Przestroga była poważna. Karol byłby odtąd niewątpliwie wystrzegał się rad Fastrady, gdyby ta nie wpadła na świetny pomysł by umrzeć.

* * *

Uwolniony od takiej megiery, monarcha niebawem poszukał sobie łagodniejszej towarzyszki. Znalazł córkę hrabiego niemieckiego, niejaką Liutgardę, która łączyła wszystkie

* *Annales royales.*

zalety, jakie upodobał sobie niegdyś u Hildegardy. Była piękna, szlachetna, wesoła i pilna. Ożenił się z nią.

Karol miał wówczas pięćdziesiąt dziewięć lat. Był, jak powiadają, najpiękniejszym mężczyzną w swym królestwie i czarująca Liutgarda mocno go pokochała. Miał gorące spojrzenie, nosił sumisty wąs (wbrew legendzie stworzonej przez poetów XII wieku, nie nosił nigdy brody), a ciało jego miało nadzwyczajną gibkość. Prawdą jest, iż co dzień Karol skakał do basenu i pół godziny ćwiczył żabkę merowińską...

Liuzgarda była młodzianka. Była mniej więcej w wieku córek swego męża, dzieliła więc ich zabawy i prace. Obcując z nią, Karol odnalazł drugą młodość i optymizm niezbędny do wypełniania wielkich dzieł.

Szczęśliwy w miłości, miał szczęście i w polityce; kroczył bezwiednie, lecz wierząc w szczęśliwą gwiazdę, ku uroczystości, która miała odbyć się w Rzymie w Boże Narodzenie 800 r. Niestety! Słodkiej i czarującej Liutgardzie nie dane już było uczestniczyć w tej niezwyklej koronacji. Zmarła bezpotomnie 4 czerwca 800 r. w Tours.

Smutnym zrzędzeniem losu człowiek, który żyć nie mógł bez kobiet, i który w jakimś sensie został przez nie „stworzony”, pozostał sam, bez małżonki, w dniu swej największej chwały.

Od tego czasu Karol Wielki, u szczytu sławy, nie pojął już nigdy prawowitej żony; miał tylko konkubiny.

Trudno wyciągać stąd jakiś morał...

6.

Konkubiny Karola Wielkiego

Cesarz frankoński lubił seks.

Dr Leslie Taylor

Choć Karol uwielbiał kobiety, po śmierci swej drogiej Liutgardy postanowił jednak nie wstępować już nigdy w związki małżeńskie. Postanowienie to podjął wszakże z przyczyn politycznych, a nie – jak można by przypuszczać – aby tym łatwiej uganiać się za spódniczkami.

Marzył wówczas o wzięciu pod swoje berło gigantycznego terytorium, rozciągającego się od Atlantyku po Bosfor oraz od ujścia Wisły po Baleary, i zamierzał poślubić cesarżową Irenę panującą w Konstantynopolu nad Cesarstwem Wschodnim.

Projekt ten zmuszał go więc do zachowania stanu wolnego. Niestety, Karol Wielki, traktujący tę sprawę przede wszystkim jako sposób zdobycia korony cesarskiej bez korzystania z łaski papieża, nie zdążył uwieńczyć sukcesem tych polityczno-sentymentalnych układów.

Biskup Rzymu spletał mu zupełnie nieoczekiwanego figla, który – jak powiada Eginhard – rozsierdził go do żywego.

Wszystko zaczęło się w 799 r.: papież, oskarżony podówczas o infamię, został 25 kwietnia tegoż roku poturbowany w czasie procesji. Jacyś opętańcy rzucili się nań i próbowali nawet wykluć mu oczy. Papież, nie bez powodu zirytowany, zwrócił się tedy o pomoc i opiekę do Karola.

Ten przebywał wówczas w swej stolicy, w Akwizgranie. Dowiedziawszy się, co przydarzyło się papieżowi, był tym szczerze poruszony. Wydawało mu się jednak, iż z pewnością będzie niejechać do Rzymu, by tam osobiście zapoznać się z istotą sprawy.

„Przybądźcie do Akwizgranu wasze kłopoty mi wyjawić” – napisał do Leona III.

Papieża rozeźlił wielce ów nieco bezceremonialny zwrot, ponieważ jednak pomoc Karola stała się nieodzowna, kazał przygotować wóz zaprzężony w dwa woły, wsiadł nań z wielką godnością i ruszył w kierunku Akwizgranu. Mimo swego wieku, w środku zimy przeprawił się przez Przełęcz Św. Bernarda i w dwa miesiące później przybył na dwór karoliński.

Zgotowano mu wspaniałe przyjęcie, a Karol ucałował go z takim szacunkiem, że gawiedź mogła sądzić, iż obaj mężowie szczerze się wzajem kochają.

Papież oddał mu oczywiście powitalny pocałunek, lecz w czasie audiencji prywatnych nie skrywał swego niezadowolenia. Wyrzucał Karolowi, iż ten ośmieszył go w oczach całego chrześcijaństwa, i że potraktował go niczym zwykłego sługę króla Franków.

Karol ugłaskał go i przyobiecał żadaną ochronę.

Z niewielkim orszakiem wojska Leon III puścił się w drogę powrotną do Rzymu, przezuwając złość i upokorzenie. Przybywszy do siebie, był już pogodniejszy, gdyż po drodze obmyślił sobie sposób rewanżu i wykazania Karolowi, że mimo całej swej potęgi król Franków nie może się obejść bez papieża...

* * *

Późną jesienią Karol wyruszył do Rzymu. Był w świetnym humorze. Proszono go, by przewodniczył w trybunale, który miał za zadanie rozpatrzyć zarzuty wniesione przeciwko Leonowi III. Miał sądzić papieża! Cieszyła go ta perspektywa!

Proces rozpoczął się, gdy tylko przybył na miejsce. Był długi, drobiazgowy i bogaty w wydarzenia. Większość świadków została przekupiona, łgali przeto przed sądem z nieukrywaniem zadowoleniem. Niektórzy nawet z uśmiechem sugerowali, iż Leon III być może był sodomitą, co nie pozostawało w żadnym związku z głównym punktem oskarżenia, wikłało jednak trochę sprawy i wprowadzało do rozprawy weselsze akcenty. Z braku dowodów i wobec tylu matactw Karol postanowił w końcu, że papież przysięgą może oczyścić się z zarzutów.

Gdy tylko przysięga została złożona, sprawa zdawała się zamknięta, a król frankoński, raz jeszcze potwierdziwszy swą potęgę i niezależność wobec papieża, zatarł ręce z wielkim zadowoleniem.

Pomyślał wówczas na nowo o panującej w Konstantynopolu cesarzowej Irenie, o której rękę ubiegał się już przez swych ambasadorów.

– Jeśli uda mi się ją poślubić – pomyślał sobie – zostanę cesarzem, nie zawdzięczając nic papieżowi.

Myśl ta napełniła go radością i takim zadowoleniem, że nie żywił żadnych podejrzeń, kiedy Leon III poprosił go o przybycie nazajutrz, 25 grudnia 800 r., w paradnym stroju rzymskim na mszę z okazji Narodzenia Pańskiego.

Na nabożeństwo przyjechał we wspaniałym rynsztunku. Papież oczekiwał go u wrót bazyliki Św. Piotra. Powinszowawszy sobie wzajem, weszli razem do kościoła.

– Pomódlmy się do Boga – wyszeptał łagodnie zwierzchnik Kościoła.

Wielce pobożny Karol nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Ukłękł przed głównym ołtarzem i modlił się.

Nagle jednak poczuł na głowie coś okrągłego i zimnego. Wyprostował się, z lekka oszołomiony.

Papież zniecka dokonał właśnie aktu koronacji.

Wyższe duchowieństwo, będące w zmowie z Leonem III, jęło natychmiast krzyżeć: „Karol August, przez Boga uwieńczon, pokój miłujący imperator wielki, niech żywie i zwycięża!...”

Z obłudną miną papież uśmiechał się do stojącego przed nim, całkowicie jeszcze zbitego z pantałyku Karola...

Wściekły, że tak wystrychnięto go na dudka, nowy cesarz zacisnął pięści*. W kościele nie chciał jednak wywoływać skandalu i oklaskiwany przez tłum wiernych zajął przeznaczone dlań miejsce, aby wysłuchać mszy.

Tak więc „z papieskiej łaski” został cesarzem...

Leon III zwyciężył w rozgrywce.

Sprawy potoczyły się w taki sposób, że Karol nie mógł zaprotestować. W istocie, nikt w tym weselącym się z okazji koronacji mieście nie mógłby pojąć jego niezadowolenia.

W kilka dni później Frank zemścił się wszelako: ułaskawił sprawców zamachu z 25 kwietnia, tych samych, którzy chcieli wykłuć papieżowi oczy...

* * *

Po świętach Bożego Narodzenia Karol Wielki powrócił do Akwizgranu i prowadził dalej rokowania, mające na celu związek z cesarzową Ireną. A że negocjacje przeciągały się, i że nie mógł obejść się bez niewiasty, wziął sobie konkubinę imieniem Maldegarda. Miał wówczas ponad sześćdziesiąt lat.

Młoda kobieta prowadziła życie, jakie zwykle przypadło w udziale małżonkom Karola; towarzyszyła mu we wszystkich jego podróżach do Sasów, Fryzów, Węgrów, a nawet na łowy, kiedy cesarzowi zachciało się polować na tura w lasach mogunckich.

Umiała okazać się łagodną, krotochwilną i żarliwą w igrach łożnicy; były to trzy zalety, które umożliwiły Karolowi cierpliwie oczekiwać odpowiedzi od cesarzowej Ireny.

* Eginhard, *Vie de Charlemagne*.

Pewnego dnia jednak frankońscy wysłannicy powrócili z Konstantynopola przywożąc złą nowinę – Irena została pozbawiona władzy. Wskutek niedyskrecji jednego z eunuchów wyszły na jaw jej tajne układy z Karolem. Cesarzową aresztowano i zamknięto w klasztorze.

Na tron wstąpił Nikifor, jej były skarbnik.

Ta gwałtowna przemiana obracała wniwecz plany Karola Wielkiego, nie był on jednak człowiekiem, który mógłby dać się złamać. Skoro macicielska Irena nic już nie znaczyła, wymazał ją z pamięci i skierował myśli na inne projekty.

Duńczycy przysparzali mu właśnie trochę kłopotów. Musiał ułożyć plan batalii, zbudować miasto warowne (późniejszy Hamburg) i podjąć nowy dla siebie problem – kwestię walk na morzu.

Była wtedy wiosna, a że Karol czuł w piersi przyływ uczuć mających mało wspólnego z funkcją dowódcy wojsk, rozstał się z Maldegardą, która już nudziła go, i wziął sobie nową konkubinę imieniem Gerswinda.

Dodajmy w tym miejscu, że konkubiny (jak zresztą i legalne małżonki) nie były wcale bezczynne w chwilach przerw między okresami, nader częstymi co prawda, kiedy Karol dziarsko się do nich zalecał. One to zajmowały się administracją dworu i posiadłości państwa. Funkcje ich można by porównać do obowiązków, jakie dziś pełnią ministrowie finansów, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości.

To właśnie one miały w swej pieczy królewskie dochody, podarki obcych władców, trybut płacony przez podbite ludy. One też czuwały nad wszelkimi wydatkami króla, opłacały armię, budowniczych królewskich rezydencji itd. Gerswinda umiała stanąć na wysokości zadania i bez wątpienia żyłaby szczęśliwie w pałacu akwizgrańskim, gdyby zapal miłosny jej „małżonka” nie dawał jej powodu do pewnych zmartwień...

W miarę upływu lat starzejący się cesarz, który przez całe życie dawał dowody niepowszedniej męskości, stawał się prawdziwym rozpustnikiem. Nie potrafił spojrzeć na żadną ładną dziewczynę, nie uciekając się zaraz do bezwstydných czynów.

Pewnego dnia zadurzył się w jasnowłosej dzierlatce imieniem Amalberga. Spotkawszy ją w pałacowym korytarzu, rzucił się na nią i chciał ją zgwałcić. Przestraszona dziewczyna zaczęła się z nim szamotać. Udało się jej uwolnić z uścisku i schronić w kaplicy. Zaślepiiony pożądaniem Karol pobiegł za nią i pochwycił w chwili, gdy korzyła się przed ołtarzem. Złapał ją za ramię z taką siłą, że złamał jej rękę.

Dziewica Maryja czuwała jednak i obie części ramienia zrosły się w jednej chwili.

Widząc ów cud, Karol uznał za stosowne powstrzymać swe zapaly i, pozostawiając Amalbergę przy modlitwie, udał się na piętnastominutowy spacer...

Wieść o przygodzie Amalbergi rozeszła się szybko po pałacu i młoda dziewczyna stała się przedmiotem wielkiego szacunku ze strony całego dworu. Aby oprzeć się Karolowi Wielkiemu – powiadano – musiała wykazać nadziemską odwagę. Kościół wyniósł ją wreszcie na ołtarze, a Karol Wielki, gracz wytrawny, pierwszy cnotę jej sławić począł...

* * *

Po Gerswindzie odnotowano jeszcze dwie oficjalne konkubiny: Reginę i Adelajdę. Nie były one jednak ostatnie, bo do końca życia Karol wykazywał dziarskość wobec dam.

Nieco wybujałe zamięłowanie do figlików dało zresztą początek licznym, nader zajmującym historyjkom, które zacny naród frankoński złośliwie podawał z ust do ust.

Opowiadano na przykład, że odprawiając nabożeństwo przy ołtarzu, opat Idzi (przyszły święty Idzi) ujrzał anioła Gabriela. Ów z zaambarasowaną miną wręczył mu jakiś list.

– Weź to. List pochodzi od Karola Wielkiego. Nie śmiać wypowiadać się na głos, cesarz spisał tu swe główne grzechy.

I gdy opat Idzi rozpieczętował pismo, anioł Gabriel ulotnił się dyskretnie.

Kapłan odczytał spowiedź z wielce zrozumiałym zażenowaniem. W liście cesarz wyznawał, iż zgwałcił jedną ze swych rodzonych sióstr i matką ją uczynił...

Lud zawsze lubuje się w melodramatach...

Powiadano też, że pewien mnich z Reichenau, imieniem Wetyn, miał dziwne widzenie: Karol Wielki jak Prometeusz przykowany został do skały, a sęp bezustannie wyżerał mu organa męskości.

– Cóżżeś uczynił, by na kaźń takową zasłużyć? – Wetyn nie mógł powstrzymać okrzyku.

Natenczas anioł zawołał:

– Do listy jego sławnych czynów dodaj opis jego haniebnej rozpusty, zrozumiesz wonczas, że musiał ponieść tę pokutę, nim uda się do Boga błogosławieństwa wiecznego zażywać...

Kiedy 28 stycznia 814 r. Karol Wielki zmarł, zjednoczywszy na czas jakiś całą Europę Zachodnią, oplakiwały go liczne niewiasty. Gorące łzy tych, które przyjmował w swojej łóżnicy, i gorzkie słowa niezliczonych panien z dobrego domu, które bardzo pragnęłyby zostać zgwałcone przez cesarza, zanim ten na zawsze zszedł z tego świata...

7.

Z miłości Ludwika do Judyty narodziła się Francja

*Jeśli świat miłością żyje.
Miłość rządzi światem.*

Stara piosenka

Na dworze w Akwizgranie w 815 r. wyczuwało się atmosferę skandalu. Spotykając się w korytarzach czy w ogrodach, dowódcy cesarscy, urzędnicy dworscy, żony możnowładców – wszyscy ustawicznie szeptali sobie na ucho tajemnicze wieści. Słyszeć było wówczas przytłumione okrzyki:

– Och, dobry Boże!

Lub też:

– Ta dziewczka jest demonem, a cesarz jest zbyt naiwny!

Chodziło bowiem, oczywiście, o przygodę miłosną.

Ludwik, którego w przyszłości zwać będą Pobożnym bądź Dobrodusznym, i który po swym ojcu Karolu Wielkim odziedziczył imperium zbyt dlań potężne, a zarazem urząd zbyt trudny do piastowania, zachowywał się, istotnie, w dziwny sposób.

Podczas gdy w ubiegłym roku, z chwilą śmierci Karola, zabawił się w obrońcę cnoty i wygnał z pałacu młode niewiasty kupczące swymi wdziękami, monarcha wybrał sobie teraz kochankę spośród pokojówek.

Była to młoda, szesnastoletnia Żydówka, imieniem Judyta, która odznaczała się nie tylko niezrównaną urodą, ale i wszelkimi przymiotami ducha. Była córką hrabiego Welfa z Bawarii.

Wpadła w oko Ludwikowi, mającemu wówczas trzydzieści sześć lat, i choć był małżonkiem czarującej Hermenegardy, pozwolił Judycie zostać jego kochanką*.

* Wbrew temu, co się zwykle powiada, Judyta wcale nie została przedstawiona Ludwikowi w czasie konkursu piękności, zorganizowanego w 829 r. dla najładniejszych cór wasali. Od dawna przebywała już w pałacu w

Fakt, iż monarcha bierze sobie kochankę, nigdy nie stanowił czegoś wyjątkowego, i pod tym względem wiek IX wcale nie był surowszy, niż taki na przykład wiek XVIII. Nikt też nie gorszyłby się takim związkiem, gdyby cesarz Ludwik był jedynym beneficjentem wyszukanych wdzięków Judyty. Aliści cesarz miał rywala.

Jak dotąd, młode kobiety stające się metresami króla tak rade były szczęśliwemu obrotowi fortuny, że zrywały ze swymi dotychczasowymi kochankami, Judyta natomiast zatrzymała przy sobie swego amanta.

Był to młody człowiek związany z dworem królewskim. Zwał się Bernard i był dalszym kuzynem cesarza, albowiem jego ojciec, hrabia Wilhelm, Tuluzy, ród swój wywodził od Karola Młota.

Oczywiście, Ludwik nie wiedział nic o tym związku, żył w błogiej szczęśliwości, a jego zaślepienie wielce wszystkich martwiło.

W trzy lata później, kiedy 3 października 818 r. cesarzowa Hermenegarda zmarła w Angers, Judyta wciąż była kochanką i Ludwika, i Bernarda.

– Zobaczycie – szeptali dworzanie – ta szczwana liszka dopnie tego, że cesarz ją poślubi.

Mieli rację. W lutym 819 r. świętowano zaślubiny Ludwika z Judytą. Dworscy poeci głosili jej urodę, która zaćmiewała wszystkie znane im królowe, a w pochwałach tych nie mijali się z prawdą*.

Mimo małżeństwa, Judyta pozostała nadal kochanką Bernarda i pewnego dnia „poczuła, że w jej łonie poruszył się owoc ich grzesznej miłości”*.

Wielce tym zakłopotana, miała bowiem całkiem słuszne powody, aby być pewną, że Ludwik nie ma żadnego związku z tą sprawą, odprawiła zaraz Bernarda, który w formie rekompensaty otrzymał księstwo Septymanii*. Potem zaczęła się czulić do naiwnego małżonka, zaciągnęła go do łóżnicy i tak sobie tam z nim poczyniała, że nigdy nie powziął on żadnych podejrzeń.

Wszystko skończyło się pomyślnie. W 820 r. wydała na świat grubego bobaska, który na chrzcie świętym otrzymał imię Karol; był to przyszły Karol Łysy*.

Narodziny sprawiły wielką radość Ludwikowi i Judycie (Bernardowi także), ale powstał wskutek nich pewien problem polityczny. Z pierwszej żony cesarz miał już trzech synów: Lotara, Pepina i Ludwika, a w 817 r. uregulował sprawę sukcesji. Pragnąc zapewnić niepodzielność cesarstwa za radą Kościoła, zwłaszcza zaś świętego Benedykta z Aniane, Ludwik promulgował sławetną ustawę zwaną *Ordinatio Imperii*, w myśl której niemożliwy był jakikolwiek podział.

Akwizgranie i cesarz nie potrzebowal żadnego pośrednictwa, aby móc ją poznać. Otrzymałem te informacje od pana Jacquesa Alphauda, biografą Judyty, który zechciał łaskawie udostępnić mi swe dzieło.

* *Annales royales.*

* T h é g a n, *Vie et geste de Louis de Débonnaire.*

* Południowo-zachodnia część Galii, przez długi okres zajęta przez Wizygotów, zwana również Gocją (*przyp. tłum.*).

* Powtarzam: w 820, a nie w 823 r., jak mylnie informują wszystkie podręczniki historii Francji.

Ustawa przewidywała, że z chwilą śmierci Ludwika na tron cesarski wstąpi jego najstarszy syn, Lotar.

Dwóm młodszym synom (Ludwikowi i Pepinowi) Ludwik Dobroduszny legował: jednemu Akwitanię, drugiemu Bawarię.

Była to niewątpliwie niebezpieczna wielkoduszność, nie sprzeczna wszelako z duchem „Ordynacji”, jako że oba te państwa uznawane były za prowincje pozostające w ścisłej zależności od Lotara, a Pepin i Ludwik mieli być tylko ich zarządcami.

Pojawienie się małego Karola waliło w gruzy tę piękną budowlę polityczną, nieco pochopnie wzniesioną. W gruncie rzeczy żadne prawodawstwo nie dopuszcza, aby jakaś poczyniona przez ojca darowizna mogła skrzywdzić nie narodzonego jeszcze potomka. Słusznie więc było, aby cesarz przyznał Karolowi jego dział.

To właśnie, ledwie powstawszy z połogu, Judyta udowadniała małżonkowi. Ponieważ ów nie był pewien, czy należy zmieniać akt sukcesyjny z 817 r., podsunęła mu, by nie wprowadzać w nim żadnych zmian, okroić tylko obszary przypadające Pepinowi i Ludwikowi i utworzyć w ten sposób trzeci dział, na którym w przyszłości królować będzie Karol. Jak łatwo przypuszczać, rozwiązanie to nie całkiem było po myśli obu młodszych braci i Judyta rozumiała, że trzeba obawiać się ich reakcji. Aby temu zapobiec, wpadła na bardzo sprytny pomysł: poprosiła Lotara, by zgodził się zostać ojcem chrzestnym jej syna. Ten, nie dostrzegłszy manewru oddzielającego go od braci, na prośbę Judyty pod przysięgą zobowiązał się bronić małego Karola przeciw wszelkim wrogom.

Judyta, której jedynym dążeniem było uwieńczyć Bernardowego syna koroną królewską, miała czym się szcycić. Umiała dobrze poprowadzić swoje sprawy.

* * *

Był jednak na dworze człowiek dobrze poinformowany w sprawach miłostek cesarzowej: Wala – były doradca Karola Wielkiego. Poślubił on przyrodnią siostrę Bernarda i nienawidził go ze względów rodzinnych. Wala udał się do Lotara i wyjawiał mu, że Karol nie jest synem Ludwika Dobrodusznego, w konsekwencji nie ma żadnych praw dziedzicznych.

Lotar zrozumiał teraz manewr Judyty i, czując się oszukany, uznał, że zwalnia go to z przysięgi.

W kilka tygodni później zawiązała się opozycja przeciw Ludwikowi Dobrodusznemu i Judycie. Na czele jej stanęli: Wala, Lotar i jego dwaj bracia, którzy oczywiście zostali powiadomieni o pochodzeniu Karola.

Cesarzowa natychmiast skazała Walę na niełasę i stworzyła partię powołaną do obrony interesów swego syna. Na przywódcę ruchu wyznaczyła Bernarda, który zamieszkał znów w Akwizgranie i... ponownie stał się jej kochankiem.

Powrót ten wywołał oczywiście plotki, zwłaszcza gdy dowiedziano się, że Judyta tak dalece posunęła się w zuchwalstwie i ironii, iż kazała mianować Bernarda zarządcą komnat cesarskich...*

Zakrawało to co najmniej na paradoks!

* * *

Wkrótce wydarzenia nabrały rozmachu.

Na zjeździe w Wormacji w 829 r. Ludwik Dobroduszny ogłosił swe postanowienie o utworzeniu królestwa dla Karola. Niebawem trzech bracia, podżegani przez Walę, rozpętały gwałtowną kampanię przeciwko Judycie i oskarżyli ją wprost, że jest kochanką Bernarda.

Ludwik, wierzący święcie w wierność swej małżonki, uznał te oskarżenia za oszczerstwo i nadal spał spokojnie.

Sypiał jednak samotnie.

Grupie Lotara udało się w końcu wzniecić bunt w armii i pojmać Judytę. Nieszczęsna cesarzowa została wtrącona do klasztoru, podczas gdy cesarz, zdany również na łaskę i niełaskę trójki synów, musiał zobowiązać się do przestrzegania „Ordynacji” z 817 r.

Gdy w rok później udało mu się odwrócić sytuację, sprowadził z powrotem Judytę do Akwizgranu. Ta zaś, aby oczyścić się z „kalumnii”, których przedmiotem się stała, przysięgła na swą cześć i na wiarę chrześcijańską, że nigdy nie zdradziła swego męża...

Złożona bez zmrużona oka przysięga wyprawiła dworzan w osłupienie.

– Zapewne – mawiali – nie jest ci ona chrześcijanką...

Ludwik Dobroduszny, miłujący żonę jak w pierwszym dniu, gdy się spotkali, był tak szczęśliwy z jej odzyskania, że zgodził się rozważyć ponownie kwestię podziału imperium.

Judyta podsunęła mu zresztą rozwiązanie, o którym nie ważył się myśleć: podziału terytorium na cztery części, bez przyznawania żadnemu z synów prawa do tytułu cesarza. Stawiało to Karola na równym stopniu z braćmi.

W 831 r. dokonano podziału i wkrótce potem trzech starsi synowie Ludwika Dobrodusznego podjęli znowu walkę z Judytą.

Raz jeszcze ujęto ją, osadzono w klasztorze, potem restytuowano w prawach. Siłą uporu, energii, zręczności i podstępności udało się jej w końcu ostatecznie pokonać zwolenników trzech synów Hermenegardy. Przystąpiła wówczas do prac nad utworzeniem królestwa, które wymarzyła sobie dla ukochanego syna.

Śmierć Pepina w 838 r. postawiła wszystko znowu pod znakiem zapytania. Lotar zażądał wykonania postanowień „Ordynacji”.

– Skoro nadal jest jeno trzech dziedziców – powiedział – pretenduję do stolca cesarskiego. Karol otrzyma Akwitanie, a Ludwik ziemie Germanii.

* T h é g a n, *Vie et geste de Louis le Débonnaire*.

Judyta nie życzyła sobie jednak, aby jej syn był wasalem Lotara. Zażądała od męża nowego podziału. Ludwik Dobroduszny podzielił więc swoje imperium na trzy królestwa, których granice – a była to nowość – przebiegały w kierunku północ południe.

Część Karola utworzona została z ziem położonych na zachód od linii łączącej Antwerpię z Marsylią, przebiegającą mniej więcej wzdłuż Mozy, Saony, łańcucha Cevennes i Rodanu. Dział Ludwika obejmował wszystkie państwa leżące na wschód od Renu i Alp. Jeśli chodzi o Lotara, otrzymał on, poza Italią, region leżący między tymi dwoma królestwami, to jest pas ziemi rozciągający się od Morza Północnego aż do księstwa Benewentu.

* * *

Ludwik Dobroduszny zmarł w roku 840. Judyta, która pozostała nadal kochanką Bernarda, poszła za mężem do grobu w trzy lata później, 15 kwietnia 843 r., nie doczekawszy się końca swego dzieła. Układ z Verdun, podpisany w sierpniu tegoż roku, w istocie przyznawał Karolowi, owocowi jej grzesznej miłości, królestwo oparte na całkiem nowych założeniach, które przybrało nazwę zachodniego państwa Franków. Narodziła się Francja.

Historie miłosne często miewają jednak tragiczny finał. Któregoś dnia Karol dowiedział się, że nie jest synem Ludwika Dobrodusznego. Rozwścieczony, kazał zasztyletować Bernarda*.

* Ród Karolingów rychło uległ degeneracji. Dowodzi tego zabawny szczegół. W miejsce przydomków „sławny”, „mocny”, „wielki”, noszonych przez Karola Wielkiego, królowie otrzymywali potem miana odarte z prestiżu. Zaczęto o nich mówić: Dobroduszny, Łysy, Jąkała, a nawet Prostack... Monarchowie ci, pozbawieni włosów, o brzuchach nadmiernie wydętych i niepewnej mowie, stali się niebawem przedmiotem pogardy ludu, który skłaniać się zaczął ku diukom Francji (to jest obecnego obszaru Île-de-France). Wielokrotnie bronili już oni terytoriów najeżdżanych przez Normanów i Węgrów. Po śmierci Ludwika V Hugo Kapet, diuk Francji i hrabia Paryża, został obrany królem. Założyciel trzeciej dynastii był synem Hugona Wielkiego i pięknej, młodej niewiasty, Jadwigi, córki króla Germanii Henryka Ptasznika. W 970 r. Hugo Kapet poślubił wdzięczną brunetkę, Adelajdę z Akwitanii, córkę Wilhelma Świszczypały... W swej pracy na temat królowych Francji A. Celisz pisze o niej, że „wspomagała swego męża, a swą zrzecznością przyczyniła się do ustabilizowania korony na skroniach przedstawicieli nowej dynastii”. Nie przeszkodziło to Hugonowi Kapetowi zdradzać jej z pewną młodą osóbką, której imienia historia nie zachowała, ale która obdarzyła nowego króla chwackim bękartem imieniem Ganzlin. Został on później biskupem Bourges i jednym z najbardziej uczonych prałatów swych czasów.

8.

Robert Pobożny został ekskomunikowany, albowiem ukochał Bertę

*Jesteśmy zawsze dłużnikami kobiet: dobrych,
bo zawdzięczamy
im szczęście, złych, bo zawdzięczamy im
doświadczenie.*

Louis Depret

Gdyby nie gwałtowna miłość, która wstrząsnęła całym jego życiem, król Robert II, syn Hugona Kapeta, mógłby równie dobrze zostać świętym.

Był wielce pobożny, bardzo łagodny, czas spędzał na modlitwie i sam przyznawał, że nie zna rozkoszniejszej rozrywki, niż odmawianie litanii. Niektórzy kronikarze zapewniają ponadto, że dla odświeżenia umysłu komponował niekiedy nabożne pieśni kościelne. Już tych kilka słów wystarczy, aby wyrobić sobie pogląd, iż nie miał w sobie raczej nic frywolnego.

Niestety! Pewna niewiasta miała to wszystko odmienić i przekształcić tego surowego, koronowanego mnicha w kochanka zdolnego do najgorszych szaleństw.

Kiedy los zetknął ich ze sobą, kobieta ta, Berta z Burgundii, była mężatką, małżonką Odoną, hrabiego Chartes, i miała pięcioro dzieci.

* * *

Jak się zdaje, po raz pierwszy król ujrzał ją w Orleanie. Pod wpływem promiennej i majestatycznej urody dwudziestosiedmioletniej podówczas Berty, znajdującej się w pełnym rozkwicie swej krasoty, Robert uczuł kielkującą w nim skłonność, która jego samego zadziwiła.

Dotychczas ani razu nie pragnął tak naprawdę żadnej kobiety i nawet jeśli w wieku osiemnastu lat zmuszony został do poślubienia Rozalii, wdowy po Arnulfie, akt ten

podyktowany był oportunizmem politycznym. Rozalia była zresztą trzydzieści cztery lata starsza od niego i młody król nigdy nie spoglądał na nią z jakimkolwiek pożądaniem; tak bardzo uskarżała się co dzień z tego powodu, iż Robert, znużony wymaganiami, które uważał nie tylko za sprośne, lecz i wygórowane, odsunął ją od siebie.

W wieku dwudziestu dwóch lat król zachowywał wciąż czystość i był równie niewinny jak dziecię służące do mszy.

Ogniste spojrzenie Berty, a zwłaszcza jej zmysłowy sposób poruszania się, otwały przed nim całkiem nowe horyzonty. Uzmysłowił sobie, że zbyt dużo czasu stracił na litaniach...

Tego samego wieczoru z właściwą neofitom gorliwością chciał od razu zabrać żonę Odoną do łóżnicy. Pożądanie wyraził zapewne w sposób zbyt obcesowy, albowiem Berta przybrała obrażoną minę i z godnością wycofała się do swych apartamentów.

Robert, znajdujący się w stanie kłopotliwego podniecenia, pomyślał sobie, że nie odwzajemniona miłość to wielce bolesne uczucie. Poszedł wziąć zimną kąpiel...

* * *

Nazajutrz Berta udała się z powrotem do Chartres. Robertowi pozostawiła po sobie zamęt w głowie. Prawdę mówiąc, nikt nie poznawał już króla, albowiem trawiąca go namiętność uczyniła z dobrodusznego i miłego monarchy „rozjuszzonego byka”.

Od chwili gdy Berta odmówiła mu swych wdzięków, rzeczywiście miał w głowie jedną tylko obsesję: zrobić z niej wdowę... Niepomny na jakiegokolwiek nakazy religii, jeszcze wczoraj wyznawane, zaczął obmyślać, jak by tu szybko pozbyć się Odoną.

Działać trzeba było jednak subtelnie. Choć znał kobiety jeszcze bardzo słabo, Robert podejrzewał, że bezpośredni zamach mógłby tylko odstraszyć jego lubą. Postanowił więc dojść sprytnie do celu drogą okrężną.

W tym celu spotkał się z nieprzyjaciółmi hrabiego Chartres i zaproponował im pomoc wojskową.

– Dostaniemy go żywego czy martwego – rzekł.

Stając osobiście na czele wojsk, rozpoczął zażarte boje ze swym rywalem. Wynikła z tego zaciekle, trwająca latami wojna. A miłość Roberta nie słabła. Wprost przeciwnie: gdy tylko wracał myślą do wdzięcznych kształtów Berty, ogarniała go taka żądza krwi, że całe pułki pierzchały na sam jego widok. Udałoby mu się też pewnego dnia ściąć głowę rywalowi, gdyby nie to, że Odo zmarł niespodziewanie wskutek źle leczonej grypy.

Zgon ten natychmiast zakończył wojnę. Nie czekając już ani chwili, Robert popędził do Chartres prosić o rękę Berty. Ta zgodziła się, ujęta stałością uczuć króla, i na poczet przyszłego szczęśliwego pożycia Robertowi udało się wreszcie zainkasować zaliczkę, na którą czekał od trzech lat.

Roztropna przezorność zaiste, albowiem ślub nie mógł tak szybko dojść do skutku. Wkrótce pojawiły się nowe przeszkody: Berta była dla Roberta kuzynką trzeciego stopnia, a Kościół rygorystycznie zabraniał wszelkich związków między krewnymi. Trzeba było zwrócić się o dyspensę do papieża. Ten oczywiście odmówił.

– Król Francji chrześcijaninem jest, jak każdy inny człowiek. Powszechnemu prawu podporządkować się musi.

Pobłażliwi słabostkom ludzkim (i królewskim) biskupi udali się do Rzymu w nadziei złagodzenia stanowiska zwierzchnika Kościoła. Grzegorz V nie zgodził się ich przyjąć.

Po całorocznych rokowaniach Robert, którego namiętność czyniła wręcz zuchwałym, zlekceważył zakazy Kościoła, pojął Bertę za żonę, zdołał nawet namówić arcybiskupa z Tours do odprawienia ceremonii ślubnych...

Dowiedziawszy się, że nie znalazł posłuchu, papież Grzegorz V zawrzał świętym oburzeniem. Zwołał w Pawii w 996 r. synod biskupi, na którym uchwalono, co następuje: „Król Robert, wbrew zakazowi apostolskiemu krewną swą poślubiwszy, do Nas winien przybieżać, aby zadośćuczynienie Nam złożyć, tako jak i biskupi, co na kazirodczą swadźbę zwolili. A jeśli przybycia odmówią, sakramentu komunii świętej niechaj pozbawieni będą”.

Na cztery lata przed sławetnym rokiem tysięcznym, przedstawianym przez egzaltowanych mnichów jako rok końca świata, groźba ta miała dużą wagę.

Aby ułagodzić papieża, Robert wysłał do Rzymu ambasadora znanego ze swej zręczności.

– Mamy parę spraw spornych ze Stolicą Apostolską – powiedział – proszę zapewnić Grzegorza V, że zadość uczynię wszystkim jego życzeniom, o ile zostawi mi moją żonę.

Papież nie poszedł na kompromis i ponownie nakazał Robertowi rozstać się z Bertą.

Wysłannik, wielce zakłopotany, powrócił na dwór francuski, gdzie relację jego przyjęto wybuchem złości.

– Nigdy nie rozłączę się z żoną – oświadczył król, – Droższa mi ona nade wszystko w świecie! Chcę, by wszyscy o tym wiedzieli!

* * *

Minęło parę miesięcy i, widząc upór Roberta, papież zwołał w Rzymie sobór powszechny, który podjął następujące ważne postanowienia: Kanon I: „Król Robert opuści Bertę, krewną swą, którą wbrew prawu był poślubił. Nałożoną przez Kościół siedmioletnią pokutę odprawi. W razie odmowy, wyklęty niechaj będzie. To samo i Berty się tyczy”. Kanon II: „Archibald, arcybiskup Tours, co związek ów uświęcił, i wszyscy biskupi, co przy onych kazirodczych zaślubinach przytomni byli, od świętej komunii zasuspendowani zostają, póki do Rzymu nie przybędą, by tam winę swą zmazać”.

Postanowienie Grzegorza V wprawiło Roberta w osłupienie. Mimo nieposłuszeństwa wobec papieża, nadal był głęboko religijny. Ekskomunika stawiała go poza orbitą Kościoła, a ponadto klątwa – najsroźsza kara, jaką papież mógł zastosować – za życia skazywała go na wieczne potępienie.

Mimo udręki serca nie ugiął się ani na krok i zatrzymał przy sobie żonę, którą przedkładał nad zbawienie duszy.

Jak łatwo się domyślić, różnie komentowano tę postawę. Niektórzy zarzucali królowi, że szczęście osobiste stawia ponad interesami kraju, które wymagały dobrych stosunków ze Stolicą Apostolską; inni uważali, że z winy Roberta cała Francja pogrąży się w grzechu.

– Przez tę kobietę wszyscy będziemy potępieni – wołali.

Bo gdy zgorszony, zacny narodek bywa zawsze skłonny do przesady...

* * *

Po ceremonii ekskomuniki Robert z Bertą, zmartwiali z przerażenia, zamknęli się w pałacu.

Gdy król udawał się czasem do miasta, wszyscy umykali przed nim, jak przed zapowietrzonym. Znakiem krzyża żegnano dzieci, na które spojrzał, i palono przedmioty, którymi się posłużył.

Wkrótce został z żoną sam. Jadło przygotowywali im dwaj służący, którzy po każdym posiłku obowiązni byli oczyszczać ogniem misy i kubki dotknięte ręką monarszą.

Jednakże, mimo strasznej udręki przysporzonej wyrokiem papieskim, Robert pozostał miły i czuły wobec Berty, tej żarliwej niewiasty, która nauczyła go kochania i dla której poświęcił coś więcej niż życie.

Minęło pięć okrutnych lat.

Nękana taką sytuacją, Berta zaczęła gasnąć. Król oświadczył wówczas papieżowi, że gotów jest się poddać.

Nieoczekiwany zwrot zaskoczył ludzi i zasugerował, że małżonkowie są w niezgodzie. Robert chciał po prostu umożliwić Bercie powrót do normalnego życia, tak aby nie była ona żywcem pogrzebana w posepnym pałacu. Oficjalnie oddalił ją więc od siebie, podając jako pretekst, że nie obdarzyła do dziecięciem^{*}; mimo to pozostawił ją w pałacu i co noc potajemnie dzielili z nim łożę.

Papież uradowany wygraną przyjął ponownie dwoje kochanków na łono Kościoła, ale że był przebiegły, postawił Robertowi pytanie:

– Kiedy zamierzasz poślubić inną niewiastę?

Udręki Berty jeszcze się nie skończyły...

* Według Abbona urodziła ona monstrum z gęsią głową i szyją. Źródła tego kronikarza nie są jednak na ogół zbyt wiarygodne.

Ponaglany do małżeństwa król wybrał Konstancję z Akwitanii.

Ta skąpa, próżna i zła kobieta o twardym charakterze tak bardzo zajęta była sobą, że nigdy nie dostrzegła więzów łączących aż po grób Bertę i Roberta.

Sprowadziła w ślad za sobą kilku poetów wędrujących po dworach południa kraju. Byli to pierwsi trubadurzy. Mieli nieco zniewieściały wygląd i dziwaczne maniere, które głęboko szokowały pałacowych dworzaków. Oto, co pisze o nich jeden z kronikarzy: „Włosy ich sięgały ledwie do pół głowy. Prawdziwi histrioni, których golone podbródki, krótkie pluderki, wymyślne trzewiki, zakończone zawiniętym noskiem, i cała źle dobrana powierzchowność o rozprężeniu ducha świadczyły. Ludzie bez wiary, bez reguł, bez wstydu, których przykład zaraźliwy nację francuską, tak niegdyś przystojną, zepsował i pchnął ją w rozpustę a niegodziwości wszelakiego rodzaju”^{*}.

Ponieważ królowa pozwalała im robić, co im się żywnie podobało, trubadurzy skorzystali z okazji, aby organizować zaloty dość szczególnego rodzaju, co nie robiło dobrego wrażenia wśród ludzi pocziwych... I król rozeźlił się na Konstancję.

Ta zresztą okazała się tak swarliwa, tak chciwa, że Robert szybko się nią znużył. Zwłaszcza trudne do wytrzymania było jej okrucieństwo, które objawiała przy każdej okazji. Gdy pewnego dnia prowadzono na stracenie grupę heretyków, rozpoznawszy wśród nich swego byłego spowiednika, wyklęła mu patykiem oko... Król był tym wielce zażenowany.

* * *

Incydent ten nappełnił go taką odrazą do Konstancji, że wkrótce udał się do Rzymu w nadziei, iż zdoła uzyskać u nowego papieża (Grzegorz V zmarł) zezwolenie na rozwód i na ponowne złączenie się z drogą Bertą. Zabrał ją zresztą ze sobą do Rzymu, uznając, że stosowniej będzie odwiedzić papieża w towarzystwie ukochanej konkubiny, niż znieawidzonej małżonki.

Papież nie podzielił tego rozumowania i prosto z mostu odmówił mu swego przyzwolenia.

Zasmuceni kochankowie powrócili do Paryża i znów podjęli żywot w trójkącie.

– Swą surowością – mawiał z goryczą król – Kościół zmusza nas czasem do życia w stanie grzechu...

Ta paradoksalna sytuacja smuciła go głęboko.

Biorąc pod uwagę jedynie ostatni okres życia Roberta II, można by sądzić, że król ten był rozpustnikiem. Błędne byłoby to mniemanie, dbał bowiem wielce o czystość obyczajów. Choć brzydził się występkiem, był wyrozumiały na słabostki bliźnich. Idąc pewnego dnia na mszę poranną, natknął się na jakieś dwie osoby, oddające się na skraju drogi nader czułym

* R. Glaber, *Chroniques*.

igraszkom. Nie zgromił ich wcale, jak by to mógł zrobić jakiś pobożniś, poprzestał na okryciu ich swym płaszczem królewskim. Po czym spokojnie poszedł na mszę.

Berta zmarła w 1031 r. Nieutulony w żalu Robert przeżył ją ledwie kilka miesięcy.

9.

Pewien młodzieniec porywa królową Francji

*Zakaz związków małżeńskich,
obowiązujący krewnych aż do
siódmego stopnia pokrewieństwa,
niezwykle utrudniał życie ludziom
jedenastego i dwunastego stulecia.*

Mézeray

Pewnego ciepłego wiosennego wieczoru 1045 r. król Henryk I, syn Roberta Pobożnego i Konstancji, zażywał przechadzki w parku zamku orleańskiego w towarzystwie swego szwagra, Baldwina. Było mu smutno. Szedł w milczeniu.

Znając monarsze zmartwienia, Baldwin podążał za nim bez słowa. Wiedział, że Henryk z niepokojem zadaje sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie mógł pojąć prawą małżonkę.

Prawda to, jak dotąd zabiegi młodego króla były raczej nieudane.

Gdy miał dwadzieścia pięć lat, zaręczył go z córką cesarza Niemiec, Konrada II, lecz młoda księżniczka zmarła, nie zdążywszy nawet ujrzeć przeznaczonego jej małżonka. Mając lat trzydzieści pięć, poślubił siostrzenicę cesarza Henryka III niemieckiego. W trzy miesiące później biedna królowa również zmarła.

„Doprawdy myślał smętnie – nie mam za grosz szczęścia”.

Od dwóch lat był wdowcem i stan ten mocno mu doskwierał.

Dodajmy za kronikarzami, że wiosna 1045 r. była bardzo piękna, co wcale nie ułatwiało sprawy...

Wprawdzie kilka dni wcześniej król wziął sobie czarującą konkubinę, lecz choć ów środek łagodził mu nieco nerwy, nie zdołał wszakże uwolnić od trosk. Król pragnął bowiem małżonki prawie poślubionej, która mogłaby być królową Francji i dać mu dziedzica...

Z rozpaczą w sercu przechadzał się tedy onego wieczoru w ogrodzie pośród pierwszych rozkwitających róż. Majowa noc przesycona była zapachem wiosny, słowik podśpiewywał tak jak w opowieściach trubadurów i Henryk, który pozostawił swą kochankę w towarzystwie poetów, zaczął się raptem zwierzać druhowi ze swych kłopotów.

– Od dwóch lat próżno szukam małżonki – westchnął. – Czyż muszę sprowadzać ją sobie gdzieś z jakiejś Turcji, kiedy tyle pięknych dziewcząt żywie w naszym kraju?

– A widziałeś już wszystkie te, które nadawałyby się na królową? – spytał Baldwin.

– Tak. I dziesięć spośród nich wielce mi się spodobało. Ale nie mogę ich poślubić. Prawo zabrania.

Baldwin znał to prawo. Narzucone zostało przez Kościół.

W dobie, gdy królowie żenili się głównie w celu powiększenia swych posiadłości i brali za żony najbliższe krewniaczki, nie troszcząc się o mogące stąd płynąć różnego rodzaju niedogodności, papież istotnie uznał za słuszne zabronić małżeństw między krewnymi. Tak się jednak zwykle składa, że chcąc ukrócić jakiś występki, popada się w drugą skrajność: Kościół uznał wkrótce za kazirodztwo wszelkie związki rodzinne, bardzo nawet odległe, i zabronił ślubów między kuzynami aż do siódmego stopnia.

Posunięcie to przysporzyło królom wiele kłopotów. Biedacy, niemal wszyscy pokrewieni ze sobą w stopniu objętym postanowieniami interdyktu, nie wiedzieli wkrótce, gdzie mają szukać sobie żon. Wynikły stąd niebawem trudne do rozwiązania problemy, a dla niektórych monarchów oznaczało to całkowitą niemożność poślubienia księżniczki z królewskiego rodu.

To właśnie dręczyło Henryka I.

Nadal spacerując, dodał szeptem:

– Niemcy były moją jedyną nadzieją. Teraz i ta dynastia jest mi zabroniona.

Była to prawda. Powinowactwo traktowane było przez Kościół na równi z pokrewieństwem, a więc wszystkie kuzynki zmarłej królowej, aż do siódmego stopnia powinowactwa, były niedostępne dla nieszczęsnego wdowca.

– Moim zdaniem – rzekł Baldwin – powinienes nakazać kilku zaufanym podróżnikom, aby donosili ci o wszystkich księżniczkach na wydaniu, o których zasłyszą w odwiedzanych krajach. Dziwne byłoby zaiste, gdyby gdzieś tam nie znalazła się jakaś kobieta, którą mógłbyś pojąć za żonę.

Pomysł ten wydał się Henrykowi I wręcz genialny. Zaraz też postanowił wysłać szperaczy do wszystkich monarchii Wschodu. Po czym, by zapomnieć o kłopotach matrymonialnych, poszedł spędzić noc bezsenną u boku konkubiny...

* * *

Cztery długie lata biedny Henryk oczekiwał, że wreszcie doniosą mu o jakiejś potencjalnej narzeczonej. Niestety! Wszystkie księżniczki, które mu zachwalano w mniejszym czy większym stopniu były z nim spokrewnione. Zaczynał tracić już nadzieję.

W miarę upływu czasu zmienił mu się humor. Stał się wybuchowy i niedobry, nawet w stosunku do swych konkubin, a kiedy te objawiały chęć czułości, jak powiada pewien kronikarz, „król jeżył się wielce i bijał je bezlitośnie”. Uciekały przeto w końcu z pałacu, zostawiając króla zgorzkniałego, zawiedzionego i niepokieszonego.

Wreszcie pewnego kwietniowego dnia 1049 r. jakiś człowiek wszedł do królewskiej komnaty z rozradowaną miną. Był zdyszany, albowiem pędził konno z krańca Europy.

– Siadaj i mów – rozkazał Henryk.

Ów podał wówczas, że panujący w Kijowie wielki książę Jarosław Władimirowicz ma córkę imieniem Anna, która nie pozostaje w żadnym związku pokrewieństwa z Henrykiem, a na dobitkę jest urzekająco piękna.

Król kazał podać wina, rozsiadł się wygodnie w fotelu i długo wypytywał podróżnika na temat córki wielkiego księcia. Oko mu rozbłysło, gdy dowiedział się, że fama o jej urodzie, zaletach umysłu, jasnych włosach i zmysłowych ustach niosła się aż po Konstantynopol.

Natychmiast wezwał Rogera, biskupa Châlons-sur-Marne.

– Wyruszajcie do Kijowa – rzekł doń. – Klejnoty te w darze od króla Francji zawieziecie Jarosławowi i poprosicie o rękę jego córki. Z niecierpliwością oczekiwać was będę.

Roger wyruszył nie mieszkając.

W Kijowie, gdzie wielki książę władał monarchią bardziej zjednoczoną i potężniejszą niż jedenastowieczna Francja, biskup Châlons przyjęty został z wielkim przepychem. Spał mało, pił dużo, obżerał się niesamowicie. Po czym, bez trudu uzyskawszy rękę Anny dla swego króla, powrócił na dwór francuski.

Henryk uradował się wielce na wieść, że został przyjęty. Kazał zgotować dwa wozy wypełnione pysznymi darami i zlecił kolejnym dwóm biskupom misję przywiezienia mu narzeczonej.

Anna przybyła do Reims na wiosnę 1051 r., przywożąc ze sobą znaczny posąg w postaci znacznych, bitych w Bizancjum złotych monet.

Henryk oczekiwał jej z wielkim wzruszeniem, ale i z pewnym niepokojem. Zadawał sobie pytanie, czy dobrze uczynił, zaręczając się w pewnym sensie korespondencyjnie, i czy przypadkiem nie będzie żałował tego kroku do końca swych dni. Obawy jego rozwiały się, gdy tylko ujrzał córę wielkiego kniazia. Piękniejsza była i więcej miała wdzięku niż się spodziewał...

Natychmiast się w niej zakochał.

Legenda głosi, że w chwili, gdy wysiadła z wozu król, nie mogąc się już pohamować, przypadł do niej, aby ucałować ją z wielkim zapalem. Księżniczka nie zaprotestowała przeciw

tej przedwczesnej trochę żarliwości, tłum zaś podziwiać mógł narzeczonych, którzy, choć nigdy jeszcze się nie widzieli, tulili się do siebie jak dwoje kochanków.

Powiadają również, że gdy skończyli się całować, Anna wysunęła się z objęć Henryka i, czerwieniąc się z lekka, zapytała:

– Przypuszczam, że to wy, panie, jesteście królem?

Henryk potwierdził.

* * *

Ślub odbył się w Teirns 19 maja 1051 r. Henryk liczył sobie wówczas lat trzydzieści dziewięć, Anna dwadzieścia siedem.

Szczęśliwy, że ma wreszcie rozkoszną żoneczkę, król odzyskał humor, i w 1052 r. Anna wydała na świat syna, któremu na chrzcie dano imię Filip. Henryk, coraz bardziej ujęty słowiańskim urokiem swej towarzyszki życia, spisywał się tak dziarsko (i tak skutecznie), że ta obdarzyła go jeszcze trójką dzieci.

Niestety, niedługo trwało pierwsze przymierze francusko-rosyjskie. Po dziewięciu latach szczęścia król zmarł 4 sierpnia 1060 r. w Vitry-aux-Loges koło Orleanu.

Wraz z synem Filipem, który otrzymał namaszczenie królewskie 23 maja w roku 1059, jeszcze za życia króla, Anna wyjechała do zamku w Senlis.

Ponieważ młody król miał zaledwie osiem lat, szwagier Henryka I, Baldwin, mianowany został regentem królestwa. Anna żyła z dala od trosk politycznych w swych dobrach w Valois. Jeden z kronikarzy mówi nam, że bardzo lubiła Senlis „tako dla powietrza dobrego, jako i dla łowów przyjemności zażywania, w których szczególnie gustowała”. Prędko dodała do tego i inne rozrywki...

Mimo świeżego wdowieństwa, królowa Anna zaczęła wydawać cieszące się dużym powodzeniem dworne przyjęcia.

Liczni feudałowie z sąsiedztwa zaczęli zalecać się do niej i niejeden z nich, jak powiada nam wicehrabia de Caix de Saint-Aymour, „hołdy składał nie jeno królowej, ale także i niewieście”. Prawda, że Anna miała wówczas trzydzieści pięć lat i uroda jej lśniła niezrównanym blaskiem. Wszyscy jej goście kochali się w niej. Jeden z nich był wszakże bardziej nadskakujący od innych i Anna wyróżniała go. Zwał się Raul, był od niej o kilka lat starszy i nosił rozliczne tytuły: hrabiego de Crépy, de Valois, du Vexin, d’Amiens, de Bar-sur-Aube, de Vitry, de Péronne i de Montdidier. Był to w istocie jeden z najzamożniejszych feudałów Francji. Nie bez dumy zwykł mawiać, że nie obawia się ani oręza królewskiego ani napomnień Kościoła.

Anna spacerowała z nim czasem po lasach, rada słuchać jego opowieści myśliwskich czy wojennych, żalując być może odrobinę, że jej piękny towarzysz jest żonaty...

Pewnego czerwcowego dnia 1063 r., kiedy znaleźli się sam na sam i przeglądali w źródółku, podszedł do niej i ucałował.

Królowa dłuższą chwilę rozkoszowała się pocałunkiem hrabiego, po czym bez słowa pobiegła do zamku. Upewniwszy się co do płomienności uczuć pięknej Anny, Raul pospiesznie wrócił do Crépy, stolicy swych dóbr, i natychmiast odprawił żonę, czułą i młodzieńczą Haquenez.

– Wynoś się – powiedział jej po prostu.

– Ależ dlaczego? – zakrzyknęła nieszczęśliwa, która niczego takiego się nie spodziewała.

– Bo zdradzasz mnie – odparł Raul trochę zbity z tropu.

Biedna hrabina, będąca wzorem wierności małżeńskiej, rozplywając się we łzach, spakowała bagaże i pojechała schronić się za murami klasztoru.

Oczyściwszy w ten sposób grunt, Raul w kilka dni później powrócił do Senlis, zdecydowany działać z otwartą przyłbicą. Powiedziano mu, że królowa zażywa przechadzki w lesie. Pobiegł za nią, zastał przy zbieraniu kwiatów, wziął w ramiona, wsadził na koń, sam zaś skoczył na siodło i porwał królową Francji, tak jakby chodziło o zwykłą pasterkę*.

Dodajmy od razu, Anna nie pomyślała nawet o wołaniu o pomoc. Wręcz przeciwnie, z policzkiem przytulonym do piersi drogiego hrabiego, uśmiechała się sama do siebie. Gdyby ktoś w tym momencie zadał jej pytanie, co sądzi o swym uprowadzeniu, z pewnością wyszeptaby jedyne zdanie, odpowiednie zresztą w podobnych okolicznościach:

– Jestem zachwycona...

* * *

Raul zawiózł ją do Crépy-en-Valois, gdzie jakiś przychylny (chyba, że przymuszony) ksiądz natychmiast związał ich węzłem małżeńskim.

Porwanie królowej i jej na wpół potajemne zaślubiny wywołały wielki skandal w całym królestwie. Zacni ludzie oburzali się, nie bez racji stwierdzając, iż młodym księżętom potrzebna jest jeszcze matka, ta zaś bez cienia żalu porzuciła ich dla żonatego mężczyzny i w trzy lata po śmierci króla Henryka winna jest teraz cudzołóstwa.

– Tyle w niej godności, co u suki – mawiano.

– A hrabiego Raula powinno się ekskomunikować...

Kochankowie czas jakiś nic nie wiedzieli o krążących złośliwych docinkach. Obojętni na zgorszenie wywołane ich zachowaniem, większość czasu spędzali w łożu, zawzięcie starając się zaspokoić wzajemne pożądanie.

Ale pewnego dnia zamknięta w klasztorze Haquenez dowiedziała się, z jakich powodów została wygnana. Słusznie oburzona na Raula, postanowiła bronić swej czci, a że nie

* *Recueil de pièces historiques sur la reine Anne ou Agnès, filie de Iaroslav I^{er}, grand-duc de Russie*, pióra księcia Aleksandra Łabanowa z Rostowa, adiutanta cara.

zawahała się wytoczyć ciężkich armat, udała się do Rzymu na skargę do papieża Aleksandra II.

Ojciec Święty przyjął ją z życzliwością, wysłuchał opowieści o jej nieszczęściu, ale poprzestał na ckliwym oświadczeniu:

– Radzę powrócić do Francji, moja córko, bo próżno w dal odbiegasz od tego, coć drogie...

I biedna Haquenez z goryczą w sercu wróciła do klasztoru.

Mimo wszystko papież przejął się jej losem. Zlecił Gerwazemu, arcybiskupowi Reims, przeprowadzenie dochodzenia i, gdy uzyskał potwierdzenie faktów, nakazał Raulowi rozstać się z królową i wrócić do Haquenez. Hrabia oczywiście odmówił. Wówczas papież obłożył go ekskomuniką i ogłosił, że małżeństwo jest nieważne.

Wyrok ten, powiedzmy to sobie od razu, nie zmaćcił zakochanym ich miodowego miesiąca. Lekceważąc gromy padające z Rzymu, poprzysięgli sobie nigdy się nie rozstawać...

Słowa zresztą dotrzymani.

Obojętni na wrogość ludu, podróżowali razem po królestwie, tak mało się kryjąc, wykazując taki brak wyrzutów sumienia, że w końcu uznano ich związek. Po kilku latach król Filip doszedł zresztą do wniosku, że lepiej będzie się z nimi pojednać, i Raul został nawet przyjęty na dworze...

Anna z kolei pojawiła się tam z tytułem królowej matki, z chwilą gdy hrabia zmarł w 1074 r. Żywiono dla niej najgłębszy szacunek. Ale choć rządziła pałacem, nie zajmowała się zupełnie sprawami państwa.

Niektórzy historycy twierdzili, że następnego roku powróciła na Ruś, aby tam umrzeć. Pytanie tylko, po cóż stara już dama miałaby jechać do kraju, w którym nikogo wtedy nie znała? W rzeczywistości królowa Anna zmarła we Francji, przypuszczalnie około roku 1076, i sądzi się, że została pochowana w opactwie Villiers koło La Ferté-Alais.

10.

„Porwij mnie” – rzekła Bertrada – i Francja obłożona została interdyktem

*Są kobiety, które przechodzą
przez życie jak podmuch wiosny
i ożywiają wszystko na swej drodze.*

Mme Necker

Nie kończąca się plucha jesienna wisiała nad Orleanem. Warowne miasteczko, będące z końcem owego XI wieku ulubioną siedzibą królów Francji, z pewnością nie miało zbyt radosnego wyglądu. Czarniawa woda lała się z hałasem ze wszystkich dachów, ulica zamieniła się w jedno wielkie jezioro błota.

Próżno też było szukać jakiegokolwiek orleańczyka na ulicach, na których hulał wiatr znad Loary, trzaskając okiennicami, zrywając szaldy i kręcąc chorągiewkami na dachach.

Wszyscy mieszkańcy, łącznie z czatami, które winny były znajdować się na posterunkach, w narożnikach murów, skupili się wokół kominków, gdzie płonęły grube kłody drzewne.

W innych czasach i jedni, i drudzy skorzystaliby z okazji, aby wychylić szklanicę perlistego wina lub opowiedzieć jakąś pieprzną historyjkę, przygrzewając dłonie nad żarem ogniska. Dziś jednak, 15 listopada 1080 r., tańczące płomyki oświetlały jednako skupione twarze, tak orleańczyków, jak i królewskich żołnierzy.

Kłęcząc na gołej ziemi modlili się. Osobliwa była to modlitwa.

– Boże nasz i Panie – szeptali – spraw, by nasza królowa Berta, żona naszego króla Filipa, wkrótce dziecię na świat wydała. Spraw, by nasz dobry władca odnalazł w lędźwiach moc płodzenia, a we krwi nasienie życia...

Od ośmiu lat modlitwa ta obowiązywała w całym królestwie. Każdy poddany mający chwilę przerwy w pracy winien był wykorzystać ją, aby z żarliwą pobożnością zanosić modły

w tej intencji. Mnisi w swych opactwach, biskupi w kaplicach, zakonnicy w klasztorach zobowiązani byli do tego samego: wszyscy modlili się, aby królewskie stadło nie pozostawało bezpłodne.

Takiego właśnie dnia, w chwili gdy orelañczycy, być może z pewnym roztargnieniem, wznosili swe myśli ku niebu, dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, klęcząc na płytach posadzki kaplicy w zamku orelañskim, wymawiało kolejno na głos słowa, które dla nich nie były wyuczoną na pamięć modlitwą, lecz wzruszającą improwizowaną prośbą zanoszoną z łkaniem.

Był to Filip I, król Francji, i Berta, jego małżonka.

– Obdarz dziecięciem nas, Panie...

Po dwóch godzinach modłów powrócili do komnaty, a że pora wieczery odległa jeszcze była, poszli do łoża, aby tam dopomóc niebiosom w spełnieniu ich prośby...

* * *

Całe królestwo zanosilo daremne modły od ośmiu już lat (od daty ślubu królewskiego w 1072 r.); od ośmiu lat król to kładł się, to klękał – bez rezultatu. Wyczerpany taką gimnastyką Filip zamyślał już oddalić królową i wziąć sobie za żonę którąś z dziewczek niemieckich, znanych z nadzwyczajnej płodności.

Szczęściem dla królestwa, nie musiał uciekać się do tak okrutnej skrajności, albowiem modły całego unieruchomionego ulewą miasta poruszyły wreszcie niebiosy, które wlały w krzyże Filipa moc przezeń pożądaną...

Następnego lata królowa wydała na świat niemowlę, które w przyszłości nazywać miano Ludwikiem VI Grubym.

Królestwo Francji rozbrzmiało głośnym wiwatem i powróciło wnet do modłów.

Ale tym razem Bogu w podzięce...

Uradowana i uwolniona od trosk para królewska żyła szczęśliwie aż do 1092 r. Później tak się stało, że Filip nabrał niesmaku do żony i przepędził ją.

– Wynoś się – rzekł – spasaś się nadmiernie.

Bez żadnych dyskusji, lecz rozdarta bólem, biedna królowa odjechała do Montreuil-sur-Mer.

Filip miał wówczas lat czterdzieści i gorący temperament. Gdy tylko odzyskał wolność, zaczął się rozglądać za jakąś smuklejszą małżonką.

Nie dokonał jeszcze wyboru, kiedy zgłosił się doń jakiś człowiek, przybywający z polecenia Bertrady z Monfort, żony Fulka de Réchin, hrabiego Andegawenii.

– Dostojna pani Bertrada – powiedział posłaniec królowi – obawia się wielce, że przez męża swego wygnana zostanie. Nie wahał się on dwakroć już swe pierwsze żony wygonić w sposób nadzwyczaj niegodziwy. Przeto Bertrada uprzedzić go woli i porzucić, by męża

innego poślubić. Jako, że wielce podziwia was, Miłościwy Panie, i żeście teraz od żony uwolnion, życzyłyby sobie was uźrzeć!

Znając reputację Bertrady, Filip nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Wyruszył zaraz do Tours, gdzie przebywała wraz z mężem.

Został wręcz olśniony urokiem młodej niewiasty, która miała nie tylko najbardziej omdlewające spojrzenie, ale też coś tak lubieżnego w ruchach, że na ogół wszystkim się to podobało.

Oto zresztą, co o tej ładnej, lecz niebezpiecznej osobce powiada nam kronikarz Suger: „Niewiasta to była powabu pełna, biegła we właściwych jej płci sztuczki wdzięcznych, za pomocą których śmiało białogłowy pod stopy swe łzonych przez się mężów rzucają. Lubo od je łoża odsunięty ze szczeniem, hrabia d’Anjou przed wolą jej tak się był ugiął, że jak monarchinię ją adorował. Na podnóżku u stóp jej siadywał niby zauroczony i rozkazów jej ślepo słuchał”.

Zakochanemu do szaleństwa Filipowi udało się uzyskać (dość łatwo) nader intymne spotkanie z Bertradą.

Spędziwszy razem niezłe wypełnioną chwilkę, mieli właśnie pożegnać się ostatnim pocałunkiem, gdy nagle namiętna hrabina d’Anjou rzuciła się znów gwałtownie w ramiona króla.

– Porwij mnie, Panie – rzekła nieoczekiwanie.

– Dziś to niemożliwe – odpowiedział Filip z uśmiechem – ale tejże nocy przysposobię nas do wyjazdu. Bądźcie, pani jutro w kościele Św. Jana w porze, gdy udzielać będą błogosławieństwa...

Nazajutrz, w wigilię Zielonych Świąt, Bertrada udała się do wyznaczonego kościoła, i z bijącym sercem słuchała nabożeństwa. Filip dołączył wkrótce do niej i udawał, że modli się równie nabożnie, jak to niegdyś czynił z Bertą w Orleanie.

Nagle, w chwili gdy zacni kanonicy byli zajęci poświęcaniem wody chrzcielnej, król na oczach oniemiałego tłumu porwał Bertradę w ramiona i wypadł z nią z kościoła. U wrót postawił grupę jeźdźców.

– Niech nikt nie waży się wyjść z kościoła! – krzyknął.

Po czym wsiadł na koń, jego ukochana za nim, i oboje szybkim galopem odjechali w stronę Orleanu.

Łatwo wyobrazić sobie skandal wywołany tym porwaniem. Wyższe duchowieństwo zebrało się w wielkim pośpiechu, by rozważyć tę sytuację, a hrabia d’Anjou, wielce miłujący żonę, tak bardzo był nieszczęśliwy, że aż musiał pójść do łóżka.

Wszelako po kilku dniach wstał, wysłał królowi list z obelgami i zaczął sposobić się do wojny.

Przepelniony szczęściem Filip nie pofatygował się nawet, by mu odpisać. Fulko zaczął wówczas grozić:

„Oddajcie mi żonę albo stanę na czele wrogiej wam koalicji i rozpocznę oblężenie Orleanu... Zostaniecie pobici, albowiem mam za sobą wszystkich mężów Francji, których oburza wasze postępowanie”...

Filip przyjął ów list ze śmiechem:

– Skoro stają za nim wszyscy rogaże – powiedział – isticie zdarzyć się może, że armia królewska może być zbyt słaba...

W końcu Fulko uspokoił się, a po paru miesiącach Bertrada, znając swą absolutną władzę nad nieszczęsnym hrabią d’Anjou, dla żartu zaprosiła go do pałacu w Orleanie.

Fulko przyjechał.

Przez cały czas trwania biesiady Bertrada okazywała wobec niego taką samą czułość jak wobec Filipa. Całowała ich na przemian i postępowała tak umiejętnie, że pod koniec posiłku dwaj mężczyźni pojednali się na nowo.

– Trzeba wracać – szepnęła czule Bertrada.

Uściskawszy królewską dłoń i ucałowawszy żonę w czółko, Fulko powrócił do Tours...

Mniej powodzenia mieli Bertrada i Filip w rokowaniach z Kościołem. Ten zajął stanowisko nieprzejednane i nakazał królowi odprawić konkubinę. Dodawał, że w chwili gdy waleczni rycerze gotują się do wyprawy w celu uwolnienia Grobu Świętego, żal wielki przygniata, kiedy obserwuje się niegodne postępowanie monarchy mieniącego się królem chrześcijańskim...

Istotnie, był to rok 1096. Pewien mieszkaniec Amiens, nazwiskiem Cucupietre, szerzej jednak znany pod przydomkiem Piotra Eremity, wzywał właśnie do pierwszej wyprawy krzyżowej. Wydarzenie wielkiej wagi, które miało wstrząsnąć zachodnią cywilizacją, a którym Filip zbyt zajęty Bertradą, zupełnie się nie interesował. Przede wszystkim zajmowała go sprawa małżeństwa ze zmysłową hrabiną.

– Nie pobierzecie się – orzekł papież.

Nie przejmując się tym, Filip zwołał do Paryża kilku zaprzyjaźnionych biskupów i kazał im pobłogosławić związek z Bertradą, będącą wszak nadal prawną małżonką Fulka.

Zagniewany tym nieposłuszeństwem papież Urban II zrazu ekskomunikował króla, po czym zwołał w Nimes sobór pod swoim przewodnictwem. Nieco zakłopotany takim obrotem sprawy Filip przyrzekł wyrzec się Bertrady. Papież udzielił mu rozgrzeszenia i zadowolony powrócił do Rzymu.

W dwa dni później Filip gościł jednak znów Bertradę w swym łożu.

Powiadomiony rychło o tym papież zawrzał wielkim, ale świętym oburzeniem i po raz wtóry ekskomunikował Filipa. Nadto obłożył interdyktem całe królestwo. Wyrok ten zabraniał odprawiania nabożeństw i udzielania sakramentów w każdej diecezji, w której przebywał król.

Filip nie ustąpił i zatrzymał przy sobie ponętą Bertradę.

– Niechaj papież wie, że miłość jest odeń silniejsza – oświadczył.

Oznaczało to napytać sobie z lekkim sercem wielu kłopotów, albowiem życie obojga małżonków stało się odtąd nader skomplikowane, a nawet wręcz niemiłe. Posługi religijne urywały się natychmiast, gdy tylko przybywali do jakiegoś miasta, wszyscy zaś mieszkańcy chronili się w popłochu w swych domostwach, by tam modlić się przy zamkniętych okiennicach. Wyklęci przechadzali się wówczas opustoszałymi ulicami, gdzie dolatywały do nich czasami odgłosy smętnych modłów, jakie zacni ludzie odmawiali w ich intencji. Wreszcie odjeżdżali, a wnet odzywały się dzwony, aby wywołać wiernych pochowanych w domach. Słuchając ich brzmienia, Filip próbował żartować:

– Słyszysz, moja śliczna, jak nas wypędzają przy dźwiękach muzyki?

Jednakże po jakimś czasie król znużony życiem zapowietrzonego powiadomił papieża, że tym razem szczerze zobowiązuje się nie mieć żadnego grzesznego związku z Bertradą. Wezwany do Paryża, z ręką na Ewangelię zmuszony był wypowiedzieć następujące przyrzeczenie: „Ja, Filip, król Frangi, błędów się wyrzekam; niedozwolonych stosunków z Bertradą nigdy już utrzymywać nie będę; widywać ją będę odtąd jeno w przytomności osób nieposzlakowanych; zobowiązaniom tym wiary dochowam, tak mi dopomóż Bóg”.

Bertrada złożyła taką samą przysięgę i oboje uzyskali rozgrzeszenie.

Niestety, namiętność ich była tak ogromna, że nie minął miesiąc, a znów znaleźli się w jednym łóżku...

Znużony poprzednimi interwencjami papież tym razem przymknął oczy. Zmagając się z cesarzem Niemiec, potrzebował co prawda wówczas poparcia króla Francji...

* * *

Zgubny był wpływ Bertrady na Filipa. Suger powiada: „Od czasu gdy z uszczupleniem spraw swej ślubnej małżonki Filip związał się był z hrabiną d’Anjou, niczego, co majestatu królewskiego godne by było, już nie uczynił; gnany nierozumną namiętnością ku tej niewieście, jeno za chuci folgowaniem baczył, państwa potrzeby zaniedbując, a rozkoszom nadmiernym się oddając, cielesnego zdrowia także nie szczędził”.

Jak wiemy, wręcz urzeczony przez swą umiłowaną, król nie wziął udziału w pierwszej wyprawie krzyżowej. Później nic też nie zdziałał, by przed Bertradą bronić swego syna, przyszłego Ludwika Grubego. Na tronie Francji chciała ona osadzić własnego potomka*, nienawidziła więc młodego królewicza. Któregoś dnia zadała Ludwikowi dużą dawkę trucizny i ten cudem tylko uniknął śmierci...

Kilkakrotnie zresztą próbowała zgładzić wadzącego jej grubego chłopaczka. Bez wątplenia w końcu dopięłaby swego, gdyby Filip nie zgasł nagle w 1108 r. Wypędzona

* Bertrada obdarzyła króla trójką dzieci.

natychmiast z pałacu Bertrada udała się do klasztoru w Fontevrault, gdzie w sposób przykładowy żywot swój zakończyła...*

* Ze względów politycznych Ludwik Gruby poślubił najpierw trzynastoletnią Lucjanę de Rochefort. Rozczarowany wkrótce dziecinnością swej towarzyski, rozwiódł się z nią. Za radą Św. Iwona pojął wówczas za żonę siostrzenicę papieża, Adelajdę z Maurienne, gorącą chwatkę, z którą żyło mu się zupełnie dobrze.

11.

Eleonora ofiarą nocy orientalnych

*Niepohamowanie tej niewiasty dla
nikogo w Antiochii nie było tajemnicą.
Prowadziła się nie jak królowa,
a jak dziewczka publiczna.*

Alberyk, mnich z XII w.

Pewnego ranka roku 1137 czarujące młode dziewczę, którego pierś zaczynała się już mile zarysowywać, przedło wełnę w ogrodach zamku w Bordeaux.

Była to Eleonora, spadkobierczyni Wilhelma de Poitiers, księcia Akwitanii, jednego z najzamożniejszych feudałów Francji.

Miała na razie lat czternaście, ale blask jej zielonych oczu miał w sobie taką siłę przyciągania, że rycerze nie mogli spojrzeć na nią, nie odczuwając silnego wzburzenia, a niektórzy trubadurzy układali już dla niej płomienne wiersze, w których pod osłoną kwiecistych słów, wyjawiali pragnienie, by mieć ją w łożu.

Hołdy te zachwycaly Eleonorę, gdyż także zaczynała już spoglądać na mężczyzn z ledwie skrywanym zainteresowaniem.

O jednym z zakochanych w niej poetów ułożyła nawet pewnego wieczoru piosenkę, której śmiałość przypadła adresatowi do gustu.

Były to jeszcze tylko igraszki umysłu i wyobraźni, pozwalały jednak przeczuwać bujny temperament.

Prawda to, że wdzięczna Eleonora miała po kim dziedziczyć swe talenty. Jej dziad, trubadur Wilhelm IX de Poitiers, wsławił się ongiś swą wielką „gorączką miłosną”. Jeden z kronikarzy podsumował przeto jego życie jędrnym zdaniem: „Krażył długo po świecie, aby podbijać serca niewieście”.

Eleonora знаła wszystkie pieśni swego dziada, nawet te najbardziej junackie, takie, które swawolny rozpustnik skomponował na pamiątkę niektórych, szczególnie wyczerpujących nocy miłosnych...

Onego ranka nie miała wszakże ochoty do śpiewu. Przędąc, myślała o rodzicu, który przed trzema miesiącami udał się na pielgrzymkę do grobu Św. Jakuba w Composteli. Tęskniła za ojcem.

– Do spółki z siostrą ułożymy pieśń na jego powrót – pomyślała.

Uradował ją ten pomysł.

Nagle w ogrodzie pojawili się trzej mężczyźni, którzy podeszli do młodej dziewczyny. Jednym z nich był Godfryd III, arcybiskup Bordeaux. Mieli smutne miny, co zaniepokoiło Eleonorę. Kiedy stanęli przed nią, ukłękli płacząc.

– Pani – rzekł Godfryd – złą nowinę niesiemy.

– Ojciec? – spytała Eleonora.

Arcybiskup pochylił głowę.

– Zachorował w drodze – rzekł – i zmarł przed przybyciem do grobu Św. Jakuba!

Eleonora ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

– Jesteście teraz, pani księżną Akwitanii – rzekł Godfryd – przeto hołd wam złożyć przyszliśmy*.

Ucałowawszy kraj jej sukni, trzej mężczyźni powstali.

– Przed śmiercią – dorzucił prałat – ojciec wasz swą ostatnią wolę przekazać jeszcze zdążył. A że tyczy się to waszej przyszłości, miłościwa pani, musimy was o tym poinformować.

I duchowny oświadczył młodej księżniczce, że Wilhelm de Poitiers, obawiając się, by jego księstwo nie padło łupem któregoś z pozbawionych skrupułów baronów, wysłał ambasadorów do Île-de-France prosić Ludwika VI o wzięcie w opiekę jego spadkobierczyń, Eleonory i Alicji.

– Wasz ojciec uczynił i coś więcej – dodał arcybiskup. – Zobowiązał wysłanników, by rzekli królowi, iż jego ostatnim wypowiedzianym przed śmiercią życzeniem było, abyście, pani, poślubili jego syna, Ludwika Młodego...*

Słyszając te słowa, dziewczyna pobladła. Nakaz poślubienia człowieka z Północy napawał ją strachem, ale myśl, że któregoś dnia zostanie królową Francji, przyprawiała ją o zawrót głowy...

– Sądzicie, że król zgodzi się na to? – zapytała.

Trzej mężczyźni uśmiechnęli się półgębkiem.

– Mogę was zapewnić, że będziecie, pani królową – odrzekł prałat.

Eleonora powstała.

* Matka Eleonory zmarła w 1132 r.

* Suger, *Vie de Louis VI*.

– Chodźmy pomodlić się – powiedziała po prostu.

* * *

Ludwik VI, gdy poinformowano go o życzeniu Wilhelma de Poitiers, nie posiadał się z radości. Złączyć syna z możną dziedziczką Akwitanii była to gratka prawdziwa. Włości należące do Eleonory obejmowały Owernię, Poitou, Marchię, Limousin, Angoumois, Saintonge, Perigord, Gaskonię i Gujennę.

Choć było zastrzeżone, że księstwo nie zostanie przyłączone do królestwa i że przyszły król Francji mieć będzie jedynie tytuł księcia Akwitanii, Ludwik Gruby słusznie mniemał, iż jest to ważny krok na drodze do zjednoczenia kraju. Nie stawiając warunków, przystał tedy na małżeństwo.

W kilka tygodni później następca tronu przybył do Bordeaux. Miał siedemnaście lat, piękne jasne włosy, błękitne oczy, niewinną minę. Od razu przypadł do gustu Eleonorze, która oczekiwała go z pewnym niepokojem. Uśmiechnęła się do niego, a oczy jej tak dziwnie zaśmiały, że poczuł się jakby naelektryzowany.

Krótko mówiąc, dla obu stron był to grom z jasnego nieba.

Nazajutrz odprawiono nabożeństwo ślubne w bazylice Św. Andrzeja w Bordeaux.

Natychmiast po uroczystości nowożeńcy wyruszyli do Paryża, gdzie czekał na nich Ludwik VI. Powiadają nawet, że nocy poślubnej nie spędzili w Bordeaux, lecz gdzieś w drodze do Poitiers... Niestety młody Ludwik nie miał żadnego doświadczenia i, jak się zdaje, Eleonora musiała udzielać mu objaśnień, co należy czynić. Dowiadując się, czego od niego oczekuje, biedak, będący uosobieniem niewinności, przeraził się wielce. Długo musiała go przekonywać. Okazał się lichym kochankiem.

Okrutne było rozczarowanie Eleonory, która marzyła o małżonku żarliwym i pełnym wigoru, zdolnym spełnić tysiące rozkosznych gwałtów...

Nazajutrz w smętnym nastroju ruszyli w dalszą drogę.

W Poitiers czekała ich nowina: król Ludwik VI zmarł właśnie. Eleonora natychmiast puściła w niepamięć złe reminiscencje nocy poślubnej. Myślała tylko o tym, że jest teraz królową...

Koronacja nowej pary monarszej odbyła się w Bourges podczas świąt Bożego Narodzenia. Wszyscy możnowładcy i wszyscy rycerze uczestniczący w uroczystościach zazdrościli królowi i byli zachwyceni urodą Eleonory. Kronikarze powiadają, że wielu rycerzy w pielesze domowe wróciło z sercem wezbranym miłością do zielonookiej młodej królowej.

* * *

Eleonora przywiodła ze sobą na dwór Francji młodszą od niej o rok siostrę Alicję.

Ta wdzięczna osóbką, szczególnie gorącej krwi, nie mieszkając, poczęła zerkać płomiennym oczkiem na młodych hrabiów, bywalców pałacu. Jej bezczelna minka przedwcześnie rozwiniętego podlotka zwiódła wkrótce pięknego Raula de Vermandois, noszącego tytuł seneszała Francji. Pewnego wieczoru Alicja poszła do komnaty Raula i została jego kochanką. Nie miała jeszcze piętnastu lat. Ich igraszki były tak mało dyskretne, że wszyscy w zamku spędzili noc bezsenną. Następnego dnia król, który odznaczał się wielką pruderią, wezwał Raula i objawił mu swe wielkie niezadowolenie. Nieco zawstydzony seneszał wybełkotał coś na swoje usprawiedliwienie i przyrzekł poślubić ognistą Alicję.

Był jednak już żonaty z Gerbertą z Szampanii...

– Cóż uczynisz ze swą małżonką?

– Sądzę – odrzekł obłudnie Raul – że jesteśmy ze sobą spokrewnieni w stopniu zabronionym przez Kościół. Powiem o tym biskupowi Reims i nasze małżeństwo uznane zostanie za nieważne.

Cała historia pokrewieństwa była oczywiście zmyślona. Biskup Reims odmówił przeto rozwodu, tym bardziej zaś nowego małżeństwa. Raul jednak, popierany przez Eleonorę, która chciała uszczęśliwić siostrę, puścił to mimo uszu i dwa miesiące później, gdy jego związek z Gerbertą został uznany przez konsylium kapłanów-przyjaciół królowej za niebyły, poślubił Alicję.

Gerberta nie była jednak niewiastą dającą się wodzić na pasku: pojechała poskarżyć się swemu wujowi, Tybaldowi z Szampanii, który, dowiedziawszy się, jak potraktowano jego siostrzenicę na dworze francuskim, zawrzał gniewem i wypowiedział wojnę Ludwikowi VII. Niebawem rozgorzały zacięte walki między wojskami szampańskimi i francuskimi. Podczas działań wojennych król, wzięwszy już Dormans i Epernay, obległ Vitry i zajął je, dając dowód wielkiego okrucieństwa. Przerażeni mieszkańcy schronili się w kościele. Stwarzając precedens zbrodni w Oradour, król kazał podpalić budynek i tysiąc trzysta osób zginęło tam spalonych żywcem...

Odzyskawszy zimną krew, Ludwik VII czynił sobie z tego powodu wyrzuty, a ponieważ był tchórzem, miał za złe Eleonorze, że wraz ze swą siostrą stała się przyczyną owej wojny.

Wróciwszy do Paryża, wypowiedział się przed Św. Bernardem, który obiecał mu odpuszczenie grzechów, jeśli wyruszy do Palestyny na wojnę z niewiernymi.

Ludwik przystał na to i postanowił, że Eleonora pojedzie razem z nim do Jerozolimy. Czy był tak w niej zakochany, że nie potrafił się z nią rozstać? Nie, był zazdrosny! Wiedział, że młoda królowa ma temperament burzliwy i że oczekuje tylko sposobności, aby paść w ramiona jakiegoś junaka, bardziej odeń męskiego. Sądził też, że zabierając ją ze sobą do Jerozolimy, działa wielce roztropnie. Nikt nie przestrzegł go, że ciepłe noce orientalne miewają zgubny wpływ na kobiety...

* * *

Wyjazd do Ziemi Świętej nastąpił 1 czerwca 1147 r. Para monarsza w otoczeniu liczego rycerstwa przecięła Niemcy, przekroczyła Dunaj pod Ratyzboną, zatrzymała się w Belgradzie, Adrianopolu, Bizancjum i Efezie, po czym wsiadła na statek.

Następnej wiosny, popłynąwszy w górę Orontu, przybyli do Antiochii. Księżę tego miasta, Ramund z Gujenny, był wujem Eleonory. Przyjął parę monarszą w swym wspaniałym pałacu i natychmiast zaczął zalecać się do własnej siostrzenicy...

Biedna królowa, której Ludwik od wyjazdu z Francji kazał sypiać samotnie, zaczynała już odczuwać podniecające właściwości klimatu.

Pewnej nocy sen nie przychodził, a jakiś mężczyzna wślizgnął się do jej komnaty. Nie pytając kim jest, uchyliła mu zasłony swego łoża...

Tajemniczy kochanek opuścił ją o świcie, pozostawiając Eleonorę wyczerpaną i szczęśliwą. Czy był to jakiś Turek, jak twierdzą niektórzy historycy?* Jakiś krzyżowiec, który tej nocy nie mógł oprzeć się pożądaniu, jakie w nim obudziła, czy po prostu – wuj Rajmund? Nie wiadomo!

Tak czy inaczej, Eleonora następnego dnia miała dziwną minę, co obudziło podejrzenia króla. Postanowił ją nadzorować. Tak się składało, że od czasu do czasu księżę Rajmund odbywał długie rozmowy z siostrzenicą, i to na osobności. Spodziewał się wykorzystać wielki wpływ, jaki wywierała ona na Ludwika, aby doprowadzić do tego, by wojska krzyżowców dopomogły mu w obronie jego interesów w Syrii. Pewnego wieczoru, gdy rozmawiał z nią o swych sprawach, ściskając może nieco zbyt poufale, król wszedł nagle do komnaty.

W pierwszym odruchu chciał się rzucić na Rajmunda; Eleonora stanęła przed nim.

– Bronisz swego kochanka – wrzasnął Ludwik.

– Nie – rzekła Eleonora z wielką godnością – nie chcę, żeby król Francji bił się niczym jakiś stajenny...

– Królowa, która prowadzi się jak dziewczka publiczna – krzyczał król – nie będzie dawać mi żadnych pouczeń. Winna jeno słuchać! Zresztą już jutro ruszamy do Jerozolimy. Zbyt długo oddychamy niezdrowym powietrzem Antiochii!

Zielone oczy Eleonorii zaiskrzyły się.

– Jedź, jeśli chcesz – odrzekła – ja zostaję tutaj!...

Ludwik aż zaniemówił. Wreszcie wyjąkał:

– Zapominasz, żeś mą małżonką...

Po czym dodał patrząc jej prosto w oczy:

– Zdaje się nawet, że od pewnego czasu zbyt łatwo o tym zapominasz.

Eleonora wytrzymała spojrzenie Ludwika.

* M. Paris, *Chroniques*: „Ta dziewczka szalona zhańbiła się cudzołożąc z niewiernym, synem szatana”.

– Być może dlatego, że sam o tym zapominasz – powiedziała. – Nie króla poślubiłam, lecz mnicha!*

To ostatnie słówko rozwścieczyło Ludwika. Zaczął krzyczeć:

– Występna niewiasto! Diabelski pomocie! Psi, kazirodczy rodzie!

Stojąc w kącie komnaty, księżę Rajmund milczał, zaambarasowany.

– Kazirodczy? – zaśmiała się Eleonora. – Zdajesz się całkiem dobrze z tym zgadzać.

Nieszczęsny Ludwik, będący uosobieniem czystości, przeraził się.

– Co takiego?

– Z przykrością muszę ci donieść, przyjacielu, że jesteśmy krewnymi w stopniu uniemożliwiającym małżeństwo. Nasz związek jest więc kazirodczy, a nasze łóżko to świętokradztwo*.

Ludwik wielce szanował reguły Kościoła. Spuścił głowę:

– Doskonale – rzekł. – W takim razie rozejdziemy się.

– Tego tylko pragnę – odrzekła Eleonora.

Nie mając sobie więcej nic ważnego do powiedzenia, Eleonora i Ludwik, każde osobno, wrócili do swych komnat.

Jak nigdy przedtem król zdecydowany był teraz opuścić Antiochię. Obawiając się, by Rajmund nie przeciwstawił się siłą wyjazdowi Eleonory, król postanowił wyjechać nocą. Zebrał kilku rycerzy i wyłożył im swój plan. Po cichu przygotowano konie i bagaże, po czym dwaj żołnierze otrzymali polecenie sprowadzenia królowej, która tej nocy na szczęście spała samotnie.

O świcie wojsko Francuzów było już daleko od Antiochii, w drodze do Jerozolimy...

* * *

Na kilka dni, żałująca zapewne gorących nocy antiocheńskich, Eleonora zagłębiła się w wyzywającym milczeniu.

Wreszcie zgodziła się rozmawiać z królem. W Jerozolimie raczyła się doń uśmiechać. Ludwik, głęboko dotknięty wymówkami na temat swej męskości, skorzystał z tego, by tegoż wieczora pójść do jej łóżka.

Został w nim przyjęty, że tak powiem, z otwartymi ramionami...

Ale noc rozkoszy nie odmieniła zamiarów króla, który napisał do opata Sugera (regenta królestwa pod nieobecność Ludwika VII), że pragnie się rozwieść.

Suger był wytrawnym politykiem. Z przerażeniem pomyślał, że jeśli para królewska się rozwiedzie, Eleonora odbierze wniesione w posagu ogromne terytorium. Co gorsza, mając

* S u g e r, *Vie de Louis VII.*

* *Ibidem.*

dwadzieścia lat, mogła ponadto równie dobrze wyjść za mąż i znacznie wzmocnić któregoś z nieprzyjaciół króla Francji.

Tłumiąc skrupuły religijne, regent odpisał więc Ludwikowi VII:

„Co się tyczy królowej, małżonki waszej, radzimy wam, jeśli wola, ukryć trawiący was niepokój do chwili, gdy, do Francji wróciwszy, będziecie mogli na spokojnie rozważyć tę sprawę i wiele innych rzeczy”.

List ten udobruchał trochę króla. I para królewska, niemal pogodzona, wyjechała z Ziemi Świętej w drogę powrotną do Francji.

W Rzymie, gdzie zatrzymali się na krótko, uprzedzony przez Sugera papież oświadczył, „że nie może być między nimi mowy o przeszkodach z racji pokrewieństwa” i uroczyście potwierdził ich małżeństwo.

Ludwik VII, nadal zakochany w Eleonorze, doznał wielkiej radości i tego wieczoru zapragnął gracko uświęcić nowe zaślubiny.

Sprawił się tak dzielnie, że w kilka tygodni później ogłoszono, iż królowa oczekuje następcy tronu...

Krzyżowcy wrócili do Francji i królowa, która wydała na świat córkę, przez pewien czas była doskonałą żoną, czułą dla króla i troskliwą dla niemowlęcia. Ale trwało to krótko. To, co kronikarze zwą jej „potrzebą podobania się i uwodzenia”, skłoniło wkrótce do czynienia rozlicznych głupstw z zapraszaną na dwór młodzieżą szlacheckiego rodu.

Była, powiadają, tak płocha, że król znów zaczął objawiać zazdrość. W końcu nabrał pewności, że Eleonora ma kochanka.

Tym razem nie powiedział o tym opatowi Sugerowi, który sprzeciwiał się rozwodowi, i ograniczył się do zasięgnięcia rady kilku swych przyjaciół, biskupów. Jak większość ministrów, niewielką przyjaźnią darzyli oni eks-regenta. Uradowani sposobnością pokrzyżowania jego polityki, oświadczyli królowi, że pokrewieństwo istnieje i że unieważnienie królewskiego małżeństwa jest sprawą prostą.

Tymczasem Suger zmarł niespodziewanie... i w marcu roku 1152 sobór zebrany w Beaugency zwrócił wolność obojgu małżonkom.

Eleonora, bawiąca podówczas w Blois, z radością przyjęła tę nowinę. Znudzona już była tym zbyt skrupulatnym i zbyt nabożnym mężem, który spędzał czas szpiegując ją.

Poza tym mogła wreszcie zrealizować swe marzenie: zorganizować wraz z paru trubadurami i kilkoma ładnymi przyjaciółkami trybunał miłosny...

* * *

Młoda niewiasta, posiadająca teraz w wyłącznym władaniu trzecią część Francji, została natychmiast otoczona przez konkurentów do jej ręki. Uciekając przed nimi, schroniła się na zamku w Poitiers. Tam pewnego kwietniowego poranka spotkała eleganckiego,

dziewiętnastoletniego młodzieńca, którego dobrze już znała, gdyż poprzedniego lata rozmawiała z nim czule o miłości w Paryżu. Ów uwodzicielski młodzian był hrabią Andegawenii i Turenii, a zwał się Henryk Plantagenet*.

– Gdy będę wolna – powiedziała mu w Paryżu – to się pobierzemy.

I dzień ten nadszedł. W miesiąc później, to jest w dwa miesiące po postanowieniach soboru w Beaugency, 18 maja 1152 r. Eleonora brała ślub ze swym młodym kochankiem.

Jej posiadłości natychmiast złączyły się z ziemiami Plantageneta i na zachód od terytorium królewskiej utworzyło się nagle potężne państwo, rozciągające się od Pikardii po kraj Basków.

Ludwik VII zrozumiał swój błąd. Tracąc zimną krew, wypowiedział Henrykowi Plantagenetowi wojnę w nadziei, że odzyska utracone prowincje; prędko musiał jednak zaniechać walki i pożałował, że nie zastosował się do mądrych rad Sugera.

W tym czasie mąż Eleonory, będący wnukiem Wilhelma Zdobywcy i mający prawa sukcesyjne do tronu angielskiego, odnawiał sojusze za kanałem la Manche. W końcu udał się do Londynu, gdzie zabawił blisko rok, roztaczając swój wdzięk przed zachwyconym dworem. Skutek był cudowny: nie mający syna król Wielkiej Brytanii naznaczył go następcą tronu.

Radosna nowina dotarła do Eleonory w chwili, gdy wydała na świat tego syna, którego nazwano Wilhelmem. Cieszyła się sukcesem męża i wzdychała. Miała więc ponownie zostać królową?

I owszem, w 1154 r. zmarł król Anglii Stefan i Henryk wstąpił po nim na tron.

Ludwik VII tym razem był zdruzgotany, ponieważ wszystkie posiadłości Plantagenetów: Normandia, Andegawenia, Turenia, Poitou, Owernia, Angoumois, Marchia, Limousin, Saintogne, Perigord, Gaskonia i Gujenna stawały się koloniami angielskimi...

Król Francji chciał protestować. Nowy król Anglii uśmiechał się tylko.

W ten sposób narastał między obu państwami konflikt, który miał lec u podłoża wojny stuletniej.

15 grudnia tegoż roku Eleonora ukoronowana została w katedrze westminsterskiej razem z Henrykiem.

Wiwatowano na jej cześć i bez wątpienia wszyscy uważali ją za szczęśliwą. Ale nowa królowa Anglii była smutna...

Była smutna, bo podczas długiej nieobecności męża poznała pewnego trubadura, który układał dla niej piosenki, i którego uwielbiała. Zwał się Bernard de Ventadour i w tym triumfalnym dniu ku niemu właśnie ulatywały wszystkie jej myśli...*

Czy ujrzy go jeszcze kiedyś?

* * *

* D. Bouquel, *Histoire d'Aquitaine*.

* Ucede Saint-Circ, *Chroniques*.

Po koronacji Eleonora zamieszkała w pałacu londyńskim. Nie czuła radości. Przędąc wełnę czy grając na wioli, bezustannie rozmyślała o Bernardzie i słonecznej Gujennie. Czemu los uczynił ją królową tego mglistego i zimnego kraju?

Myślała również o swych dwóch córkach, pozostawionych na dworze francuskim, i o Ludwiku VII, który właśnie ożenił się z Konstancją z Kastylii... Próbowała czasem wyobrazić sobie, jak wygląda teraz życie jej eks-małżonka... Choć nie była już przywiązana do Ludwika, nie wiedzieć czemu wprowadzało ją to w smutny nastrój...

Siedząc przy głównym kominku zamkowym, w którym ustawicznie płonęły dwa pnie drzewne, rozmyślała o Królestwie Francji. Wysoko strzelające płomienie całymi godzinami odbijały się w jej zielonych oczach.

Pewnego dnia jej damy dworu zastały ją płaczącą cichutko w fotelu. Dworki z jej świty pochodziły z francuskiej prowincji Poitou.

– Czy to słodki klimat Poitou oplakujecie, pani?

– Nie – odrzekła królowa – płaczę nad niewdzięcznością króla.

Eleonora dowiedziała się właśnie, że Henryk ma romans. Zdradzał ją z córką jednego z angielskich baronów, młodą blondynką o niewinnych oczkach; nazywała się Rozamunda Clifford.

Choć sama niestałego charakteru, Eleonora była srodze zazdrosna. Tego samego wieczoru, podczas gwałtownej sprzeczki, zażądała, by mąż natychmiast wygnał faworytę. Henryk II obiecał jej to; Eleonora wkrótce jednak miała się przekonać, że król nie dotrzymuje słowa i spotyka się z Rozamundą w sąsiednim zamku.

– Jeśli ją spotkam, zabiję – rzekła spokojnie.

Henryk zdrztał. Wiedział, że jedna z prababek Eleonory, pochwyciwszy którąś ze swych rywalek, wydała ją na całą noc na pastwę żołnierzy, a potem kazała wylupić jej oczy. Pomyślał więc, że będzie przezorniej, jeśli każe wybudować w Woodstock pawilon w formie labiryntu, i ukrył tam słodką Rozamundę*.

Następnie zdecydował, że w celu polepszenia nastroju królowej wybiorą się w małą podróż do posiadłości francuskich. Było to zręczne posunięcie. Nic nie mogło sprawić większej przyjemności nudzącej się w Anglii Eleonorze. Uradowana, że znów zobaczy swoją Gujennę, zapomniała o zazdrości.

Parę monarszą przyjmowano z entuzjazmem od Rouen po Bordeaux. W Poitiers Eleonora spostrzegła Bernarda de Ventadour, który przesłał jej piosenkę:

Nie umiem dłużej sobą władać,

* Autorzy podręczników utrzymują na ogół, że królowej udało się odkryć schronienie rywalki i że uśmierciła ją własnymi rękami. Cała ta historyjka, wymyślona przez angielskiego poetę Dickinsona, jest nie tylko fałszywa, ale i absurda, albowiem Rozamunda zmarła w 1172 r., to jest w osiemnaście lat później. W tym czasie Henryk II dawno już o niej zapomniał i zastąpił innymi kochankami...

*Nie mogę dłużej sobą być
Od dnia, gdy dała oczom moim
Przejrzeć się w lustrze marzeń mych.*

*O lustro, za to, że mój los
Odbił się w tobie, w tobie ginę,
Moje westchnienia gubią mnie
Tak jak Narcyza – lustro wody...*

Mocno wzruszonej królowej udało się spotkać na chwilę z Bernardem. Oboje rozplakali się.

– Wkrótce powrócę – rzekła Eleonora. – I wierzajcie mi, nie będziecie już mieli powodów do smutku.

Bernard umiał chwycić sedno sprawy w pół słowa. Uniósł się radością...

* * *

Złożona pięknemu trubadurowi obietnica nie przeszkodziła Eleonorze czulić się do męża. Podczas tej podróży zaszła w ciążę i do Anglii wróciła, niosąc w łonie przyszłego Ryszarda Lwie Serce.

Następnego roku, wbrew swym oczekiwaniom, Eleonora nie wyjechała do Francji, gdyż przebywał tam jej mąż, mający załatwić sprawę sukcesji po zmarłym arcybiskupie Bordeaux. Właśnie w czasie tej podróży król Anglii podpisał rozejm z Ludwikiem VII i zawarł wstępną umowę małżeńską między Małgorzatą, najmłodszą córką króla Francji, i swym najstarszym synem, mającym podówczas trzy latka. Narzeczona miała ich dwa. Według zwyczaju została natychmiast oddana pod opiekę teścia i miała wychować się w Wielkiej Brytanii.

Eleonora musiała więc zająć się córką, którą jej eks-mążzonek spłodził z nową żoną.

Uczyła to z wielką życzliwością niczemu się nie dziwiąc.

Jednakże w rok później udało jej się wyjechać do Francji na święta Bożego Narodzenia. Bernard de Ventadour, który posyłał jej do Anglii liczne, tchnące miłością pieśni, czekał na nią w Poitiers.

Ujrawszy ją wreszcie, napisał wesoły poemat, który odśpiewał przy kominku jeszcze tego samego wieczoru, akompaniując sobie na rebabie*:

*Serce me radość zdjęła taka,
Że wszystko wokół, zda się, odmieniło.*

* rebab – średniowieczny, arabski, smyczkowy instrument muzyczny, zazwyczaj kształtu małej lutni o 1-3 strunach (przyp. *thum.*).

*Dostrzegam zimą
Jeno kwiaty białe, czerwone i żółte;
Z wichrem i z ulewą
Rośnie szczęście moje,
Mój talent wyżej buja
I mój śpiew pięknieje.
Mam w sercu uczuć tyle,
Rozkoszy i radości
Że lód jest dla mnie kwiatem,
A śnieg zielenią.*

Na dworze wiatr miewał śniegiem.

Eleonorę poruszyła ta piosenka. Pomyślała, że od trzech lat chłopak ten usycha z miłości do niej i że powinna coś dla niego uczynić.

Podniosła się, podeszła do Bernarda patrząc mu prosto w oczy i pocałowała go w usta. Nieszczęśnik, od trzydziestu sześciu miesięcy dręczony pożądaniem, westchnieniem dał jej poznać, że by mógł poczuć się lepiej, trzeba czegoś więcej.

Apartamenty Eleonory były niedaleko. Wykazała zrozumienie.

* * *

W czasie tej podróży Eleonora reaktywowała trybunał miłości, ustanowiony przez nią w Poitiers, zanim została królową Anglii. Trybunał ten, w którym zasiadało ze dwadzieścia dam, kilku trubadurów i paru rycerzy, znanych w galanterii wobec pań, rozpatrywał problemy miłosne i wydawał wyroki opierając się na „kodeksie miłosnym”. Oto kilka z jego trzydziestu jeden artykułów:

- „Małżeństwo nie jest legalną wymówką dla uchylania się od miłości”.
- „Kto nie umie dochować tajemnicy, nie może kochać”.
- „Nikt nie może mieć dwóch związków naraz”.
- „Miłość winna wciąż rosnać lub maleć”.
- „Nic nie dodaje takiej pikanterii w rozkoszy, jak kochanek odbity innej wbrew jej woli”.
- „Kochanek, który przeżyje drugiego kochanka, przez dwa lata powinien zachować wdowieństwo”.
- „Miłość nie ma zwyczaju mieszkać w domu skapca”.
- „Łatwość zwycięstwa zmniejsza jego cenę, trudności zwiększają”.
- „Kiedy miłość maleje, bliski jest jej kres; rzadko odzyskuje siły”.
- „Prawdziwy kochanek jest zawsze nieśmiały”.

– „Nic nie stoi na przeszkodzie temu, by jedna kobieta kochana była przez dwóch mężczyzn bądź jeden mężczyzna przez dwie kobiety”.

Sprawy, w których trybunał miał stanować, częstokroć były nader pikantne. Oto problem, który musiał szczególnie zaciekać Eleonorę: „Czy między małżonkami może istnieć prawdziwa miłość?” Być może ona właśnie była inspiratorką wyroku, który zapadł jednogłośnie:

„Niniejszym stwierdzamy i zapewniamy, że miłość na małżonków praw swych rozciągać nie może. Kochankowie wszystko sobie dają, wzajemnie i nieodpłatnie, żadną koniecznością nie będąc ku temu zmuszani, podczas gdy małżonkowie obopólny obowiązek mają woli partnera się poddawać, a jedno drugiemu niczego nie odmawiać...”

Jasno przynajmniej postanowione, stąd miło musiało być Henrykowi II, kiedy zapoznał się z tą sentencją...

Innym znów razem trybunał miłosny Eleonory miał się wypowiedzieć w następującym przedmiocie: „Rycerz ubiega się o miłość damy, której oporu przezwyciężyć nie potrafi. Posyła jej parę godziwych podarunków, dama zaś ochotnie je przyjmuje, w niczym jednak nie zmniejsza swej zwykłej surowości wobec rycerza, który skarży się, że oszukany został daremną nadzieją, jaką dama ta obudziła w nim, dary jego przyjmując”.

Sąd postanowił: „Trzeba, by niewiasta lubo odmówiła darów dawanych jej w celach miłosnych, lubo też podarki te skompensowała. Jeśli bierze je, nic nie dając, musi się z tym zgodzić, że zaliczać ją będą w poczet przedajnych kurtyzan”.

Niektóre problemy wydają się nam teraz dość interesujące. Na przykład ten: „Panna, z pewnym rycerzem miłością stosowną związana, wychodzi za innego. Czy ma prawo dawnego kochanka odtrącić i łask zwyczajowych mu odmawiać?”

Oto zaskakująca odpowiedź, sformułowana przez zgromadzenie: „Istnienie więzów małżeńskich nie wyklucza praw pierwszego związku, chyba, że dama całkiem miłości się wyrzeczy i oświadczy, że rezygnuje z niej na zawsze”.

Z tej sentencji widać, jak bardzo romantyczny zniekształcili obraz trubadurów oraz rzeczywisty sens miłości dworskiej...

Kiedy Eleonora wyruszała w drogę powrotną do Anglii, zabrała ze sobą świeżą piosenkę Bernarda, który nie otrząsnął się jeszcze ze swej wiktorii:

*Miłości naszej może teraz przeczyć,
Ja zawsze będę się chlubić,
Że słodkie świadectwo onej otrzymałem...*

Miłe to było, lecz mało dyskretne...

* * *

W ciągu dziesięciu lat Eleonora częściej bawiła w Poitiers niż w Londynie. Przewodniczyła tam trybunałowi miłosnemu i zajmowała się – z pasją i z dużą dozą inteligencji – zarządem prowincji, które stały się „koloniami brytyjskimi”.

Nie martwiła się bynajmniej tym, że przebywa z dala od Henryka II, z którym zupełnie nie mogła już dojść do ładu.

Nie zgadzali się ze sobą tak bardzo, że gdy synowie króla Anglii powstali przeciw ojcu, stanęła po ich stronie. Wywiązały się długie i krwawe walki, a któregoś dnia w Chinon Eleonora została wzięta do niewoli przez wojska jej męża, w chwili gdy zamierzała umknąć w męskim przebraniu.

Przewieziona do Anglii i uznana winną rebelii, nieszczęsna królowa została wtrącona do wieży w Salisbury.

Siedziała w niej szesnaście lat!

Dopiero jej syn, Ryszard Lwie Serce, przywrócił jej wolność po śmierci Henryka II.

Sześćdziesięcioośmioletnia wówczas królowa opuściła Anglię i osiedliła się w ukochanym Poitou. Jej kłopoty jeszcze się jednak nie skończyły. Cztery lata później w tajemniczy sposób zaginął Ryszard Lwie Serce – król trubadur powracający z wyprawy krzyżowej.

Eleonora szalała z niepokoju. Co przydarzyło się ulubionemu synowi? Rozpuściła wielu ludzi na poszukiwania. Jeden z nich, niejaki Blondiau, z którym Ryszard ułożył kiedyś piosenkę, trafił przypadkiem, jak głosi legenda, do podnóża fortecy leżącej nad brzegiem Dunaju. W wieczornej ciszy posłyszał dolatującą z jednej z wież piosenkę:

*Nikt, czarująca pani,
Nie patrzy na cię, nie kochając.*

Była to właśnie romanca, którą niegdyś napisał pospołu z Ryszardem. Blondiau dośpiewał zakończenie zwrotki, aby dać przyjacielowi znak swej obecności, i natychmiast pospieszył powiadomić Eleonorę, że jej syn jest w niewoli u cesarza.

Czy anegdota ta jest prawdziwa? Nie wiadomo. Tak czy inaczej, mimo swych siedemdziesięciu dwóch lat, królowa, zapytawszy wprzód Henryka IV niemieckiego, jakiego domagać się będzie okupu, sama podjęła się dostarczenia za Ren kolosalnej jak na owe czasy kwoty stu tysięcy marek srebrem...

Uwolnwszy syna, Eleonora wróciła do Akwitanii i wynegocjowała przymierze, które w przyszłości będzie miało wielkie znaczenie dla Francji: mariaż Ludwika, syna Filipa Augusta, z Blanką z Kastylii... jej wnuczką.

Po czym Eleonora, która podpisywała się „z bożej niełaski – królowa Anglii”, przeniosła się do opactwa Fontevrault, gdzie zmarła w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

12.

Nazajutrz po nocy poślubnej Filip August odtrąca Ingeborgę

*Złej baletnicy przeszkadzać będzie
i rąbek spódnicy*

Przysłowie ludowe

Pewnego marcowego poranka roku 1184 mieszkańcy Senlis ujrzeli nader dziwne widowisko. Główną ulicą, krętą i wąziutką, na której zaczynały tańczyć pierwsze promienie wiosennego słońca, tłum żebraków, kalek i trędowatych kroczył za ubraną w długą, białą koszulę młodą niewiastą, idącą boso, ze świecą w dłoni.

Orszak wzięty niby z sennych majaków szedł z gwarem rojowiska szerszeni. Czasem z jakichś kobiecych ust wyrывała się piskliwa skarga.

– Boże, zmiłuj się...

Pomruk zbiorowej modlitwy zagłuszał koniec zdania.

Wszyscy mieszkańcy Senlis stali w oknach i ze strachem zadawali sobie pytanie, co się dzieje? Czyżby to koniec świata? Któż jest ta młoda niewiasta, która ma tak smutną minę i której jasne włosy tak pięknie powiewają na wietrze?

Raptem ktoś krzyknął:

– To królowa!

Pokutnica, za którą szli nędzarze w łachmanach, była to istotnie młoda królowa Francji, Izabela z Hainaut*.

Niepokój zacnych mieszczan wzrósł teraz jeszcze bardziej. Zapadło głuche milczenie.

Łucznicy, których pierwszym odruchem było rozpędzić tłum zalewający trakt publiczny, stanęli porażeni przestraszeniem, kiedy oni również rozpoznali królową.

* R i g o r d, *Gesta Philippi Augusti*.

Rosnący bezustannie pochód przeciął miasto i zatrzymał się przed pałacem królewskim.

Otworzyła się brama i pojawił się Filip August. Ubrany był w suknię, ze szkarłatnego aksamitu i, choć miał zaledwie dziewiętnaście lat, wyglądał imponująco. Stał w bezruchu. Roziskrzonych oczu nie spuszczał z królowej. Widząc ją w tym stroju i w takim towarzystwie, był wstrząśnięty i upokorzony zarazem...

Okrzyki tłumu stawały się coraz wyraźniejsze:

– Zlitujcie się nad królową! Królu, zlitujcie się nad królową!... Władco, zlitujcie się nad królową!... Łaski!... Łaski dla królowej!...

Czemuż to lud żądał od króla, aby był litościwy?

Albowiem tegoż popołudnia zwołane na rozkaz Filipa Augusta zgromadzenie prałatów i możnowładców miało orzec wygnanie monarchini.

Cóż uczyniła ta piętnastoletnia królowa, by zasłużyć na takie traktowanie? Nic. Król jednak ścierał się z koalicją możnych wasali, wśród których znajdowali się ojciec i stryj Izabeli, i oskarżał niesłusznie żonę, że popiera interesy własnej rodziny.

W celu usprawiedliwienia rozwodu niektórzy duchowni napomykali oczywiście o więzach pokrewieństwa istniejących między małżonkami, inni zaś, jeszcze bardziej perfidni, posuwali się aż do insynuacji, że królowa ma kochanka...

Przestraszona tym Izabela wpadła wówczas na pomysł, by w towarzystwie najuboższych poddanych iść prosić o łaskę króla.

Na razie oczyma pełnymi łez patrzyła miłośnie na Filipa Augusta.

Ów, stojąc nadal nieruchomo, ze ściągniętymi brwiami obserwował ogromny, błagalny tłum. Od razu zrozumiał, że odtrącenie Izabeli byłoby teraz błędem politycznym, i ogarnęła go wściekłość. W końcu podszedł do królowej, ujął ją za rękę. Cisza jak makiem zasiał zaległa nad placem.

– Pani – rzekł król – chcę, by wszystkim wiadome było, że odchodzicie ode mnie nie za waszą przewiną, jeno stąd, że nie mogę mieć od was potomstwa. A jeśli jest baron jakowy w moim królestwie, którego pojąć byście chcieli, rzeknijcie, a będziecie go mieli, cokolwiek kosztować mnie by to miało.

Izabela odrzekła z wielkim smutkiem:

– Królu, Bóg niechaj sprawi, by żaden śmiertelnik do łoża nie wszedł, w którym wyście spali...

Po czym siły ją opuściły, wybuchnęła płaczem, a król, srodze wzruszony, ujął ją w ramiona.

– Iście dobrze to powiedziane – wykrzyknął – albowiem nigdy od niego nie odejdziecie.

W tłumie rozległy się okrzyki radości, a para monarsza udała się na zamek...

Lud wrócił Francji królową.

* * *

Po jakimś czasie, gdy król zaczął znów odnosić się do niej z niezwykle chłodem, Izabela spotkała się ze swym ojcem i zaklęła go, by nie podnosił już więcej broni przeciw koronie. Hrabia Hainaut przyrzekł porzucić sojuszników i Filip August znów zaczął traktować królową z pełną czułością.

Chcąc mu się odwzajemnić, w roku 1187 Izabela urodziła tęgiego chłopaczka, przyszłego Ludwika VIII.

Szalejący z radości król poprzysiągł odtąd bezbrzeżną miłość tej, która obdarzyła go dzieckiem, i zażądał, aby złożono jej specjalny i gorący hołd.

– Chcę, by była największą i najbardziej honorowaną królową Francji – mawiał.

Niestety! W 1190 r., Izabela zmarła przy porodzie, nie mając jeszcze dwudziestu czterech lat.

Przygnieciony bólem Filip August wyjechał do Ziemi Świętej, by tam zapomnieć o troskach...

* * *

Po powrocie, ponieważ w łóżku zaczynał czuć się zbyt samotnie, pomyślał o zawarciu nowego małżeństwa. Jako dobry polityk, szukał w pierwszej kolejności księżniczki, która mogłaby być przydatna w wojnie przeciw Anglii. Król duński, Kanut VI, dysponujący dobrze wyposażoną flotą i mogący być cennym sojusznikiem przeciw Ryszardowi Lwie Serce, miał osiemnastoletnią siostrę imieniem Ingeborga, o której powiadano, że jest ładna i bardzo apetyczna, Filip August wysłał ambasadorów do Danii.

– Król Francji zaszczycony będzie, jeśli dacie mu rękę waszej siostry – rzekli Kanutowi.

Mile polechtany król Danii oświadczył wysłannikom, że daje swoje przyzwolenie. Po czym przywołał Ingeborgę i ogłosił jej nowinę. Młoda księżniczka pokraśniała na zawołanie, by okazać dobre wychowanie, i oświadczyła, że jest wielce zadowolona.

– W takim razie – powiedzieli ambasadorowie, którzy nie lubili tracić czasu – zechciejcie, pani przygotować bagaże. Zawieziemy was niezwłocznie do narzeczonego.

Podczas gdy Ingeborga, zachwycona i coraz bardziej kraśniejąca, napełniała skrzynie sukniami i klejnotami, wysłannicy Filipa Augusta przystąpili do omówienia zawsze delikatnej sprawy posagu.

Wyjaśnili, że król Francji nie żąda pieniędzy, lecz po prostu cesji dawnych praw dynastii duńskiej do tronu angielskiego.

– W ten sposób – dodali hipokryci – mąż waszej siostry będzie mógł któregoś dnia ubiegać się o ten tron i być może powiększy jeszcze swą potęgę...

Król Kanut był przebiegły:

– Czy mieć będzie dość środków, by poprzeć te żądania z bronią w rękę? – zapytał.

Wysłannicy musieli odkryć karty.

– Czy w takim razie – rzekli z głupia frant – nie będzie zuchwałością z naszej strony zakładać, że król może liczyć na poparcie ze strony duńskiej floty?

Kanut, w złych wówczas stosunkach z Henrykiem IV, synem i następcą Fryderyka Barbarossy, chciał zachować w gotowości całość swych sił i nie uszczuplać ich. Odmówił, czym zakłopotał wielce francuskich wysłanników.

– W zamian za to – rzekli siłąc się na szczerłość – Filip August wspomógł was oczywiście przeciw cesarstwu.

Pomoc ta wydawała się królowi duńskiemu nader niepewna... Wolał zaproponować posag w gotówce.

– W porządku – rzekli sucho wysłannicy – w takim razie król Francji weźmie dziesięć tysięcy marek srebrem*.

Król Kanut był bardzo oszczędny. Suma ta przeraziła go.

Przez chwilę myślał o zerwaniu układów, dopiero jego powiernik, opat Wilhelm, Francuz z pochodzenia, wykazał mu, że dobrze by było związać się z królem Francji, głupio zaś – dla marnych paru groszy – narażać się na swary z tym możliwym panem...

Duńczyk zgodził się wreszcie, powiedział jednak, że należność ureguluje w ratach...

– Ufamy wam – rzekli ułagodzeni wysłannicy.

W kilka dni później wieźli piękną Ingeborgę do Francji...

* * *

Filip August postanowił czekać na swą narzeczoną w Amiens, którego domy zostały przystrojone kwiatami i chorągiewkami.

Pewnego dnia około piątej po południu doniesiono królowi, że widać już długi sznur wozów wiozących z Danii wysłanników francuskich, Ingeborgę i... posag. Przywdział srebrną kolczugę i wraz z hrabiami oraz baronami stanął przed bramami miejskimi.

Jeźdźcy, poprzedzający konwój, pierwsi pozdrowili Filipa i stanęli w ordynku za królem. Później zatrzymał się wysłany futrami powóz i pojawiła się Ingeborga.

Była tak urodziwa, że od razu ujęła króla. Zeskoczył z konia i podszedł, aby jej się pokłonić.

Nigdy jeszcze nie spotkał równie wdzięcznej i ponętnej kobiety. Pojmując, że nie zdoła doczekać do jutra wieczór, by wziąć ją do swego łoża, kazał tłumaczowi powiedzieć jej, iż pragnie, by ślub odbył się natychmiast.

Ingeborga pokraśniała, jak to było w jej zwyczaju, i spuściła oczęta.

– Spieszmy do kościoła – rzekł król, ujmując narzeczoną pod ramię.

* Około miliona obecnych franków.

Cały lud ruszył w ślad za nimi do katedry, dokąd z pośpiechem ściągnięto prałata. Gdy po udzieleniu błogosławieństwa rozdzwoniły się wszystkie dzwony w Amiens, król ogłosił, że koronacja nowej królowej odbędzie się nazajutrz.

Wieczorem, gdy wszyscy mieszkańcy Amiens radośnie świętowali królewskie zaślubiny, Filip August udał się do Ingeborgi, która oczekiwała go w łożu skropionym pachnidłami.

Z wielkim wzruszeniem ułożył się u jej boku, ucałował ją czule, po chwili jednak wstał.

Młoda dziewczyna spoglądała nań, nic nie pojmując. Filip August przechadzał się nerwowo po komnacie, a pot ściekał mu z czoła.

Sądząc, że może jest nieśmiały, Ingeborga z uśmiechem dała mu znak, by wrócił do niej. Król znów się położył...

W dziesięć minut później zerwał się na nogi. Ręce jego ogarnęła okropna drżączka.

Ingeborga w przybliżeniu tylko wiedziała, jak powinna wyglądać noc poślubna, zrozumiała jednak, że to, co się tu działo, nie było całkiem normalne.

Trzykrotnie jeszcze król powracał do łoża. Trzykrotnie brał małżonkę w ramiona. Trzykrotnie powstawał, by przechadzać się z zaciśniętymi pięściami. W końcu przyszła mu do głowy myśl, która sprawiła, że pobladł.

– Jestem zauroczony, zawiązano mi supełek!...

I wstrząsany dreszczem ułożył się przy Ingebordzie, która obudziła się nazajutrz równie dziewicza, jak dnia poprzedniego...

Wczesnym rankiem dwór przybył po parę królewską, aby odprowadzić ją do katedry, gdzie miała się odbyć koronacja królowej.

Z pobladłymi twarzami obydwójce zajęli miejsca przed ołtarzem, a zacny lud wypełniający nawę zaskoczony był dziwną sztywnością ich zachowania. Niektórzy przypisywali te miny zbyt dobrze spędzonej nocy. Któż bowiem mógłby zgadnąć wewnątrz rozterki dwojga małżonków?

Rozpoczęła się uroczystość.

Arcybiskup Remis w otoczeniu dwunastu biskupów potwierdził najpierw koronację króla. Następnie, zwróciwszy się do Ingeborgi, zaczął dopełniać rytuału sakry. Ponieważ winien był dokonać namaszczenia na piersi królowej, prałat rozsznurował tunikę i nakreślił olejem świętym krzyż na skórze Ingeborgi.

W tym momencie rozległ się cichy okrzyk. Arcybiskup odwrócił się i znieruchomiał z przestrawu na widok króla zdjętego prawdziwym atakiem nerwowym. Dygocący, trzęsący się, wybałuszający oczy Filip wymachiwał rękami, jakby chciał odpędzić jakiegoś zjawy.

Podbiegło kilku duchownych, żeby zasłonić króla przed oczami tłumu, i dokończono koronacji królowej.

Po uroczystości, gdy lud, który niczego nie zauważył, świętując rozlewał się po mieście, Filip August wyznał arcybiskupowi Reims, że poczuł nagłą a silną odrazę do Ingeborgi.

– Ta kobieta jest opętana – mówił – uczyniła ze mnie impotentą. Musi wracać do Danii*.

Prałat próbował mu wyjaśnić, iż przyczyną niepowodzenia było być może zbyt gwałtowne pragnienie lub zbyt duże zmęczenie...

– Chcę, żeby odjechała! – rzekł król.

Uprzedzeni o zamiarach króla Duńczycy, którzy towarzyszyli Ingebordze, oświadczyli, że misja ich zakończona, i pospiesznie opuścili królestwo.

Filip August, srodze rozgniewany, kazał wówczas zamknąć królową w klasztorze.

* * *

Tam to właśnie spotkał się z nią w miesiąc później, aby raz jeszcze spróbować uczynić ją swą żoną... Krok ten podszepnął mu jego stryj, arcybiskup Reims:

– Udajcie się do niej – rzekł – i spróbujcie skonsumować małżeństwo. Jeśli wam się to uda, czego wam życzę, odnajdziecie ukojenie. Nie uda się, okażecie wytrwałość, a Kościół weźmie to pod uwagę w procesie anulacyjnym.

I dodał z uśmiechem:

– Ruszajcie, synu, i wiedzcie – cała Francja patrzy na was.

Niezręczne to było zdanie. Filip August dobrze wiedział, że cały naród zna perypetie jego nieszczęsnej nocy poślubnej, i myśli, że oczy całej Francji będą nań skierowane w chwili, gdy stanie twarzą w twarz z Ingeborgą, wcale nie dodawała mu otuchy. Wręcz przeciwnie.

W każdym razie Filip August pomyślał, że stryj ma rację i w interesie politycznym leży popróbować ostatniej szansy. Dlatego też onego czerwcowego popołudnia 1193 r. jechał na miejsce, gdzie trzymano w zamknięciu nieszczęsną osiemnastoletnią królową.

Przybywszy przed klasztor, zsiadł z konia, zwrócił się ku grupie towarzyszących mu przyjaciół i rzekł sucho:

– Módlcie się!

Po czym wkroczył do wieży, w której Ingeborga opłakiwała swój los.

Rycerze natychmiast zsiadli z koni i bez żadnych zdrożnych myśli zaczęli modlić się o to, aby król Francji zdołał wreszcie pozbawić królową dziewictwa...

Upłynęło sporo czasu i przyjaciele Filipa Augusta zaczęli mieć już nadzieję. Raptem drzwi otworzyły się i pojawił się w nich król. Był w stanie najwyższego zdenerwowania. Posiniała twarz ociekała mu potem, ręce drżały.

Oślupiali rycerze nie śmieli poruszyć się ni bąknąć choć słówko. Spoglądali na monarchę z ogromnym wzruszeniem.

– Znów zawiązała mu supelek – pomyśleli smętnie.

* Rigord, *op. cit.*

Król podszedł do nich na chwiejnych nogach. W chwili gdy siadał na koń, dał się ponieść gwałtownemu wybuchowi gniewu. Zaciskając pięści, wybałuszając oczy, z ciałem przejętym na wskroś konwulsyjnym drżeniem zaczął wykrzykiwać:

– Nic z tego! Nic z tego! Ona rzuciła na mnie urok...

Po czym znów uległ atakowi nerwów, zakończonym długą chwilą otepienia...

* * *

Nazajutrz cały Paryż wiedział już o kolejnej porażce króla i każdy czynił jakieś uwagi:

– Królowa musi mieć jakiś ukryty feler, skoro król nie może wcale – mawiali jedni. – Może jaszczurczą skórkę...

– Albo rybią łuskę na brzuchu, jak to się już nieraz zdarzało – mawiali inni.

– Ta, ta! – przygadywały kumoszki. – Chyba że nasz dzielny władca miał niemiłą niespodziankę, w chwili gdy zabierał się do jej dziewictwa.

– A jakąż to, jeśli łaska?

– A takąż, że na przykład stwierdził, iż to dziewictwo zostało sobie w Danii...

To ostatnie podejrzenie, powtarzane wkrótce z ust do ust, rzucono pewnego dnia na wzgórzu Św. Genowefy. Wywołało ono gniew duńskich żaków. Wywiązały się bójkę między tymi, co opowiadali się za dziewictwem królowej, i tymi, którzy twierdzili coś wręcz przeciwnego. W pewnej chwili zaczęto się nawet zastanawiać, czy król Danii nie zamierza wypowiedzieć wojny Francji.

Filip August przyspieszał tym czasem przygotowania do procesu anulacyjnego. 5 listopada zgromadzili się Combiegne prałaci i baronowie. Łatwo byłoby unieważnić małżeństwo z racji *non consumatum*. Ale byłoby to upokarzające dla króla. Sięgnięto więc po inny nieoczekiwany zgoła argument: pozbawionym skrupułów duchownym udało się wykazać, że istnieją więzy pokrewieństwa między Ingeborgą i... Izabelą z Hainaut, pierwszą żoną Filipa Augusta, i że w konsekwencji drugi związek jest kazirodczy...

Młoda królowa, którą wyciągnięto z celi, bez żadnych wyjaśnień, nie rozumiała niczego z całej tej machinacji. Zasiadła na tronie przed zgromadzeniem, zadając sobie pytanie, czegoż mogą jeszcze chcieć od niej. Nie znając francuskiego, nie pojmowała toku debaty i wzrokiem zaszczutego zwierzaka wodziła po twarzach nieznanym jej ludzi, którzy uczenie rozprawiali, wskazując ją od czasu do czasu palcem. Rozpaczliwie próbowała wydedukować, co się z nią stanie...

Dowiedziała się niebawem. Całe zgromadzenie raptem powstało i za pośrednictwem tłumacza jeden z biskupów oświadczył, że jej małżeństwo zostało unieważnione. Kiedy zabierał się do przytoczenia motywów podniesionych przez synod, zalała się łzami i zakrzyknęła:

– Mała Francja! (Podła Francjo!)

Po czym wstała i rzekła z energią:

– Roma! Roma!

Obecny przy tym legat papieski pobladł. Zdecydował orzec unieważnienie, sądząc, że Ingeborga zgodzi się z tym bez protestu. Okrzyk królowej zaniepokoił go. Jeśli będzie się odwoływać do Rzymu, należy się obawiać, że papież zażąda uczciwego procesu!...

Za radą legata tego samego wieczoru Filip August nakazał odstawić Ingeborgę do opactwa Cisoing koło Tournai...

* * *

W klasztorze niegodnie potraktowano młodą królową. Nic, nawet jedzenie, nie było przygotowane na jej przyjęcie. Biedaczka, która wniosła królowi Francji tak piękny posag, do podtrzymania życia musiała wyprzedawać i tę odrobinę, jaka jej pozostała, aż po ubrania... powiadomiony o tym, lecz niezdolny przyjść z pomocą ściśle strzeżonej królowej biskup Tournai napisał do uczestniczącego w zgromadzeniu arcybiskupa Reims następujące pismo:

„Bogu ostawiając osąd w tak delikatnej materii, żalu powstrzymywać nie mogę na widok księżnej do żebrów o chleb zmuszonej po wyprzedaniu statków i co lepszej części odzienia. Wszelkie jej momenta wypełniają ciężkie i powagi pełne ćwiczenia; śmiech i gry to rzeczy jedyne, na które czasu jej nie staje; nieznane są jej całkiem. Co dnia modły zanosi bez przerwy i z łez przelewaniem od rana aż do południa; i czego po duszy mniej niż ta cnotliwej trudno byłoby się spodziewać, błagania jej najwyższe nie losu własnego się tyczą, jeno szczęścia niezmaconego i zbawienia dla króla”^{*}.

Choć wtrącił ją do ponurej celi, Ingeborga rzeczywiście namiętnie kochała nadal człowieka, o którym marzyła, jadąc go poślubić, i który w pełnej chwale stanął przed nią u bram miejskich Amiens. Nie przestawała myśleć o nim z niezwykłą czułością...

– Jestem jego żoną – powtarzała sobie z wielkim bólem.

Bo z racji swej niewinności, wprowadzona w błąd nieudanymi usiłowaniami Filipa Augusta, biedaczka sądziła, że naprawdę został on jej mężem.

* * *

W tym czasie Kanut, król Danii, wysłał dwóch posłów do papieża Celestyna III, każąc im ujawnić niegodne postępowanie Filipa Augusta wobec Ingeborgi i wykazać niezbitcie, że więzy pokrewieństwa, na które powołało się zgromadzenie, są wymysłem szytym grubymi nićmi.

^{*} List przytoczony w *Historii Kościoła* Bérault-Bercastela.

Biskup Rzymu zbadał uważnie sprawę i postanowił uchylić wyrok rozwodowy bezprawnie wydany w Compiègne. Wysłannicy duńscy odebrali akt tej decyzji i zadowoleni z sukcesu powracali do Kanuta.

Filip August, powiadomiony przez swych szpiegów o tych negocjacjach, kazał schwytać postów, kiedy będą przejeżdżali niedaleko Dijon, ograbić ich i wtrącić do więzienia. Tak się też stało.

Król Danii i papież wystosowali wówczas do Filipa Augusta wspólny protest. Król w odpowiedzi kazał wtrącić Ingeborgę do jeszcze gorszej celi.

Następnie zaczął się zastanawiać, jak ów rozwód uczynić nieodwołalnym. Wydawało mu się, że sposób już znalazł:

– A co będzie, kiedy ożenię się na nowo? – pomyślał.

Pomysł zdał mu się przedni, natychmiast zaczął się więc rozglądać za nową małżonką. Jednakże perypetie Ingeborgi natchnęły wena wielu trubadurów i znane były teraz w całej Europie. Król Francji naraził się na afront – wiele afrontów. Jedną z księżniczek niemieckich odpowiedziała: „Znam postępowanie króla Francji wobec siostry króla Danii; przykład ten przeraża mnie”. I wyszła za mąż za księcia Saksonii. Tak samo było z Joanną angielską, która została księżną Tuluzy. I czas jakiś wszyscy książęta Europy, mający córki na wydaniu, spieszenie posyłali je za mąż, aby nie trzeba było dawać kosza królowi Francji. Upokorzenia te rozjuszyły Filipa Augusta, tracił więc na tym ton jego zalotów. Oto jak na przykład oświadczył się jednej księżniczce z Flandrii: „Przyrzekam poślubić was, chyba żeście brzydka jak straszdyło”. Łatwo pojąć, że dziewczyna nie uznała za stosowne odpowiedzieć*.

Wreszcie w 1196 r. trzydziestojednoletniemu podówczas Filipowi Augustowi doniesiono, iż Agnieszka, siostra Ottona, księcia Meranii, godzi się zostać jego żoną.

Posłowie francuscy natychmiast udali się do niej i sprowadzili z wielką pompą do Compiègne, gdzie Filip August przebywał właśnie z całym dworem w celu odebrania hołdu od hrabiego Flandrii.

Kiedy orszak wkroczył do miasta, powiadomiono o tym króla, który zawiesił obrady toczące się pod jego kierunkiem i z odkrytą głową, lecz przybrany w strój paradny, wyszedł oczekiwać narzeczonej na progu zamku. Poprzedzając główną świtę, na zakręcie drogi pojawili się wkrótce konni heroldowie otoczeni gwarnym tłumem. Istotnie, całe Compiègne chciało uczestniczyć w pierwszym spotkaniu króla i przyszłej królowej.

Pięćdziesiąt kroków przed zamkiem orszak zatrzymał się i nadzwyczajnej piękności amazonka podjechała do króla. Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Filip odgadł, że jest to Agnieszka i patrzył na nią z zachwytem pomieszanym z obawą.

– Boże, jakież ona piękna, jak jej oczy błyszczą! – myślał. – Oby tylko znów nie zawiązał mi się supelek...

* W. Le Breton, *Chroniques*.

Uśmiechnięta Agnieszka zbliżała się stępą na ognistym rumaku i z ciekawością przyglądała się królowi, o którym tyle jej naopowiadano.

Oczarowana stwierdziła, że coś majestatycznego emanuje z całej jego postaci. Zafascynowana też została spojrzeniem króla, czułym i władczym zarazem.

– Musi być silny – pomyślała naiwnie. – Miło będzie z nim sypiać...

Krótko mówiąc, kiedy zsiadła z konia, była już zakochana...

* * *

Ślub odbył się nazajutrz z wielką pompą. Pod koniec ceremonii liczny tłum zgromadzony na placu przed kościołem zaczął wiwatować na cześć pary królewskiej. Wszyscy spostrzegli wówczas, że Filip August uśmiecha się i jego szczęście uradowało zacnych, pozbawionych złośliwości ludzi.

– Jakież on szczęśliwy mówiła jakaś kobiecina – że ma tak ładną królową do pieszczona...

– O ile tylko zdoła!... – rzucił ktoś szyderczo.

Nastąpił gromki wybuch śmiechu i jakiś grubas zakrzyknął:

– O właśnie! Bo nie wygląda nasz drogi król na mistrza w grze w przepychankę...

Powiedzonko chwyciło i wkrótce cały lud Compiègne zadawał sobie pytanie, czy król będzie mógł, czy też nie będzie zdolny „zasadzić drzewko” – jak to wówczas określano.

Nie odgadując ładunku ironii mogącego tkwić w wiwatach ludu, król przemierzył miasto i przeprowadził na zamek Agnieszkę ubraną w długą suknię przetykaną złotymi nićmi.

Z nadejściem wieczoru kilka nabożnych osób zaczęło prosić Boga o to, by król Francji wyszedł zwycięsko z wszelkich przeciwności, większość zaś mieszkańców Compiègne zasiadła w tawernach, aby spędzić noc nad konwią białego wińska i na sprośnych opowiastkach...

Następnego dnia najemny żołnierz straży zamkowej wpadł do sali, w której klienci, do świtania pijący i ryczący piosenki, drzemali wsparci na stołach. Przebudził ich jednym słowem:

– Zwycięstwo!

Rozległ się gwar, a otoczony gęstym tłumem strażnik zakrzyknął na nowo z wielką powagą:

– Zwycięstwo! Król zdołał!

Zaraz zapytano go, czy był przy tym obecny. Przybrał nadąsaną minę:

– Stałem za drzwiami...

Po czym objaśnił, że wszystko poszło doskonale i że prześcieradło świadczące o dziewictwie Agnieszki obnoszono po całym zamku.

Wkrótce wiedziało o tym całe Compiègne. Z okna do okna ludzie pogadywali sobie:

– Wiecie już? Król zdołał!

– Niech żyje król!

Na ulicach zbierały się grupki omawiające wydarzenie. Opróżniano kwarty wina, wznoszono toasty, w południe zaś wszyscy zgodnie orzekli, że nowina sprawi świetne wrażenie za granicą.

* * *

Filip August i Agnieszka spędzili miesiąc miodowy, który oczarował zawsze sentymentalny narodek. Król nie opuszczał młodej królowej ani na krok. Widywano ich razem na polowaniu, na turniejach, na zebraniach poetyckich. Oklaskiwano ich, trubadurzy układali pieśni pochwalne na temat ich szczęścia i zaczynało zupełnie już zapominać o Ingebordze, która w klasztorze nadal tonęła we łzach.

Biedaczka powiadomiona została o powtórnym małżeństwie Filipa Augusta. Wiedziała, że zakochał się namiętnie w Agnieszce, i to ją upokarzało. Całymi dniami szlochała, zadając sobie pytanie, w czym zawiniła, że król zapalał do niej tak dziką nienawiścią, podczas gdy ona tak go kochała.

Czasami, wiedzioną niezwykłą ufnością, odzyskiwała nadzieję i wyobrażała sobie, że Filip August wkracza do jej celi i czule prosi, żeby podjęła na nowo rolę królowej i małżonki...

I z ekstazą chwytiała się tej wizji.

Gdy Ingeborga płakała i łudziła się w ten sposób, dwór duński nie pozostawał w bezczynności i słał posłów do papieża, aby protestować przeciw ponownemu małżeństwu Filipa Augusta. Dziewięćdziesięciodwuletni podówczas Celestyn III nie miał już jednak wystarczającej energii, by wystąpić przeciw porywczemu królowi Francji. Ograniczył się do pokiwania z dezaprobatą głową i przesłania błogosławieństwa Ingebordze.

Filip August z Agnieszką, którą baronowie nazwali najprzedniejszą z dam, z całym spokojem snuć mogli nic swej miłości. Osiemnaście miesięcy trwało święto na dworze i lud chwalił sobie, że wreszcie ma króla szczęśliwego w małżeństwie, gdy nagle z Rzymu nadszedł piorunujący list. Celestyn III zmarł, a jego następcą, Innocenty II, biorąc w obronę Ingeborgę, nakazywał Filipowi Augustowi odprawić Agnieszkę, uważaną za konkubinę, i podjąć na nowo pożycie z odtrąconą królową.

Rozgniewany król podarł list i nie udzielił odpowiedzi. Wówczas Innocenty II wysłał legata z drugim napomnieniem. Filip August zgodził się go przyjąć, przeczytał pismo papieskie i odrzekł spokojnie:

– Powiedzcie Ojcu Świętemu, że Agnieszka żoną mą jest i nikt nie zdoła mnie z nią rozdzielić.

Po czym, z trudem okazując należne mu względy, odprowadził legata do drzwi. Przed odejściem wysłannik papieski z lekka się skłonił i rzekł stanowczym tonem:

– Było to ostatnie ostrzeżenie najwyższego kapłana Kościoła. Teraz możecie oczekiwać najgorszego.

Wyszedł z komnaty, zostawiając Filipa i Agnieszkę w nie najlepszych nastrojach.

* * *

Filip August był dobrym chrześcijaninem; groźba papieża głęboko nim wstrząsnęła. Ale miłość do Agnieszki była tak wielka, że odsuwał od siebie myśl o rozstaniu, nawet na krótko. Doradcy napomykali mu, by umieścić królową w pobliżu Paryża i spotykał się tam z nią potajemnie; odmówił, twierdząc, że ustąpić Innocentemu III oznaczałoby upokorzyć Agnieszkę w oczach całej Europy.

Papież odczekał jeszcze dziesięć miesięcy. Znużony tym w końcu, 6 grudnia 1199 r. zwołał synod w Dijon i ogłoszono interdykt...

„To najgorsze” zapowiedziane przez papieża stało się faktem.

Dowiedziawszy się o nowinie, Filip August, błądzący i trzęsący się ze złości, zareagował w sposób, który zadziwił cały świat. Wydał nakaz aresztowania legata papieskiego!... Ten jednak przezornie przekroczył już granicę.

* * *

Widząc spadające na Francję nieszczęście, lud był skonsternowany.

– Królowa Agnieszka to czarownica, o wiele bardziej niebezpieczna niż królowa Ingeborga – mawiano. – Musi co czarów zażywa, że tak opętała króla.

I we wszystkich miastach królestwa zaczęto ostro krytykować postawę Filipa Augusta. Nikt w istocie nie mógł zaakceptować tego, że z przyczyny kobiety monarcha z tak lekkim sercem godził się na wykluczenie Francji z chrześcijaństwa! Wtedy to poczęto określać Agnieszkę mianem nadanym jej przez papieża w jednym z jego listów: Intruzka...

Kiedy przystąpiono do wykonania straszliwego wyroku, i gdy całe życie religijne zostało sparaliżowane, skargi stały się jeszcze bardziej zaciekle. Prawdać to, że skutki interdyktu były przerażające.

Oto co mówi nam na ten temat żyjący w owych czasach mnich z zakonu cystersów, Rodulf: „Jakaż nędza wokoło! Bramy kościołów i klasztorów zaryglowane. Chrześcijan przegania się sprzed nich jak psy. Nie masz już nabożeństw ni sakramentu Ciała i Krwi Jezusa Chrystusa. Nie masz tłumów zebranych w dni świąt. Żaden zmarły po chrześcijańsku nie jest pogrzebion. Zwłoki walające się to tu, to tam zatrują powietrze i tych, co przeżyli, niewypowiedzianą grozą przejmują”.

Filip August wiedział, że cały naród wyrzuca mu, iż nie ugiął się przed papieżem; wiedział, że wszyscy nie grzebani zmarli mogą stać się powodem straszliwych epidemii;

wiedział, że w tych czasach żarliwej wiary nikt nie wybaczy mu zamknięcia kościołów; nie mógł jednak zdecydować się na rozłąkę z Agnieszką.

A że musiał wyładować na kimś złość, gniew jego obrócił się naturalnie przeciw nieszczęsnej Ingebordze.

Pewnego dnia jacyś zbrojni wkroczyli do jej celi w klasztorze w Cysoing.

– Z rozkazu króla, proszę iść z nami!

Drżąc, biedna więźniarka powstała.

– Dokąd mnie wieźcie?

– Król zakazał mówić!

Ingeborga знаła zwyczaje. Sądziła, że zaprowadzą ją w jakieś ustronne miejsce i tam spokojnie zasztyletują. Przykro jej było umierać w wieku dwudziestu pięciu lat.

Wyszła jednak z celi i dosiadła przygotowanego dla niej wierzchowca.

Wysłannicy królewscy nie mieli jednak rozkazu zgładzenia więźniarki. Ograniczyli się do przewiezienia jej do lochu, którego usytuowania nikt nigdy nie odkrył.

* * *

Agnieszka tymczasem wcale nie była tak szczęśliwa, jak się to wydawało Ingebordze. Skarżyła się, że mąż zajęty jest sprawami królestwa, podczas gdy ona wolałaby, żeby całe dnie spędzał przy niej, brał ją na kolana, a w przerwach między kochaniem się na skórze niedźwiedziej przy kominku czytał jej piękne poematy o dwornej miłości... Doszło w końcu do tego, że błagała Filipa Augusta, aby wszystko porzucił i wyjechał razem z nią daleko od Paryża, daleko od Francji... Było to co najmniej dziwaczne!

Bo czyż król mógłby opuścić swoje królestwo w chwili, gdy papież atakował go, a kraj zaczynał weń wątpić? Właśnie dlatego Filip August bardziej niż kiedykolwiek zamierzał pokazać, że jest królem! Przyłączył do posiadłości królewskich hrabstwo Evreux, należące do króla Anglii, żenił (z powodu interdyktu – w Normandii) swego syna, księcia Ludwika, z wnuczką Eleonory, Blanką Kastylijską (związek, który dawał nadzieję na dojdzie do zgody między dwoma rywalizującymi ze sobą dynastiami), i ogłosił sławetną kartę określając przywileje Uniwersytetu Paryskiego. Wreszcie, aby pokazać papieżowi, że jest panem u siebie w kraju, strącał biskupów ze stolców, wyrzucał poza granice Francji i konfiskował ich dobra.

We wrześniu roku 1200, po ośmiu miesiącach obowiązywania interdyktu, lud zaczął się burzyć. W niektórych miejscowościach zwłoki, których nie można było grzebać, wydzielaly taki fetor, że zatruwały całe wioski. Król wiedział, że poddani jego muszą borykać się z wielkimi trudnościami, ale nie chciał ustąpić. Kiedy doradzano mu, aby odprawił Agnieszkę i podjął rokowania z papieżem, wykrzykiwał z błyskiem w oku:

– Związana jest ze mną nierozdzielnie ciałem! Wolę być odszczepieńcem niż się z nią rozdzielić!

Rosnący gniew ludu groził jednak powstaniem. Król w końcu się ugiął. Wyprawił posłańców do Rzymu, aby prosił papieża o zdjęcie interdyktu i zwołanie synodu, który rozpatrzyłby sprawę ważności jego związku z Ingeborgą. Obiecywał z góry podporządkować się uchwałom tego zgromadzenia.

Nieustępliwy Innocenty III zażądał przede wszystkim odprawienia Agnieszki i przywołania Ingeborgi.

Filip August musiał ulec.

Po odprowadzeniu Agnieszki na zamek w Poissy, kazał przenieść odtrąconą królową do zamku Saint-Léger-en-Yvelines koło Paryża.

Wkrótce potem interdykt został zdjęty. Trwał dziewięć miesięcy.

* * *

W jakiś czas potem żądany przez króla synod zebrał się w Soissons w obecności wielce zdziwionej Ingeborgi. Obrady były burzliwe i Filip August rychło zorientował się, że sprawy nie potoczą się po jego myśli.

Przyszedł mu wówczas do głowy niezwykle pomysł.

Wstając raptownie, oświadczył, iż uzna Ingeborgę za prawowitą małżonkę i przywróci jej wszelkie prawa.

– Nigdy nie przestałem jej kochać – stwierdził.

Kiedy kardynałowie trwali jeszcze w osłupieniu, nieoczekiwanie pociągnął ją na podwórze zamczyska, wsadził na koń i uprowadził...*

Synod natychmiast został rozwiązany.

Tego właśnie życzył sobie król. Z jego strony była to oczywiście tylko sztuczka...

* * *

Dowiedziawszy się o wydarzeniach w Soissons, Agnieszka, którą bliskie macierzyństwo czyniło nadzwyczaj wybuchową, uległa napadowi rozpacz.

– Filipie! Filipie ukochany! – zakrzyknęła. – Czemuś mnie opuścił?

Długo szlochała sądząc, że król kocha znów Ingeborgę. Od czasu do czasu przestawała płakać, aby zasypywać pytaniami damy dotrzymujące jej towarzystwa na zamku w Poissy.

– Kiedy odjeżdżał konno z Ingeborgą, czy tulił ją do siebie? Mówił coś do niej? A ona, co ona?

* *Ibidem.*

Ponieważ nikt nie umiał jej na to odpowiedzieć, zapadła w stan niepokojącego odrętwienia. Po miesiącu urodziła jednak synka.

– Sądzicie, że król przybędzie ujrzeć dziecko? – pytała.

Dobrotliwie podtrzymywano w niej nadzieję. Nie chcąc budzić podejrzeń papieża, Filip August nie przybył wszakże do Poissy.

Siły opuściły wówczas Agnieszkę. Odmawiała wszelkiego pożywienia, a dni i noce spędzała płacząc.

Pewnego ranka doniesiono jej, że Ingeborga została odwieziona do więzienia w Etampes. Być może uznała tę wiadomość za przyjazne kłamstwo, gdyż uśmiechnęła się i rzekła po prostu.

– Wiele udręczeń król musiał znieść z mej winy...

Tegoż samego wieczoru pomarła.

Goniec wyruszył do Paryża i w kilka godzin później na zamku w Luwrze król oplakiwał istotę, którą kochał nade wszystko w świecie.

Agnieszkę pochowano w kościele Saint-Corentin koło Nantes. W celu uczczenia jej pamięci Filip August zażądał od papieża legitymizacji trojga dzieci, którymi go obdarzyła.

Innocenty III, pragnąc pogodzić się z królem Francji, przyznał mu tę łaskę, wystosowując pismo, w którym Agnieszka, nazwana kiedyś przezeń „Intruzką” i „obcą niewiastą”, określona została zwrotem: „szlachetna dama, córka męża szlachetnego księcia Meranii”.

Legitymizacja dzieci zawierała w sobie domniemane uznanie małżeństwa Agnieszki z Filipem Augustem. Lud, który tyle wycierpiał pod brzemieniem interdyktu, uznał wolę papieża za zadziwiającą*.

– Zawracano nam głowę na próżno – mawiali rozzłoszczeni ludzie.

Co było wcale niegłupią reakcją.

* * *

Filip August, którego złej wiary nie trzeba już udowodniać, zarzucił Ingebordzie, że jest odpowiedzialna za śmierć Agnieszki i wydał rozkaz, aby więźniarkę z Etampes traktowano ze skrajną surowością. Po czym umyślił sobie, że jeśli obrzydzi jej życie do ostateczności, zmusi ją być może do tego, że sama poprosi o rozwód. Zarządził przeciw nieszczęsnej kobiecie ustawiczne prześladowania.

Ingeborga najsmoższe udreki znosiła bez skargi. Tak wielka była jej miłość do Filipa, że wolała żyć w więzieniu we Francji niż wrócić do Danii...

Pewnego dnia 1203 r., gdy cierpienia jej były zbyt ostre, napisała do papieża ten oto wzruszający list:

* R i g o r d, *Gesta Philippi Augusti*.

Prześladowanam od męża mego i pana, Filipa któren nie jeno że jak żonę mnie nie traktuje, lecz obelgą a oszczerstwem poić mnie każe. Nie masz w więzieniu onym pociechy dla mnie nijakiej, jeno wieczne a nieznośne udręki. Nikt odwiedzać mnie nie ma prawa i czynić tego nie śmie. Duchowny żaden duszy mej krzepić nie zwolen, słowo boże mi niosąc. Ludziom z kraju mego rodzinnego wadzi się listy mi przynosić a rozmawiać ze mną. Żywność, którą mi tu dają, wystarczająca jest ledwie; nawet najniezbędniejszych zdrowiu posług medycznych mnie się pozbawia. Kapać się nie mogę. Jeśli krew puszczać mi trzeba, nie masz nikogo, kto by się tym zajął. Z tej racji o wzrok swój boleję i stracham się, czy insze, gorsze jeszcze kalectwa dla mnie nie wynikną. Przyodziewku mi nie staje, a ten, który wdziwam, królowej niegodny. Co niedolę ma jeszcze nieznośniejszą czyni, to to, że babska zgryźliwe od króla dla towarzystwa są mi przydane. Zwracają się do mnie w sposób szyderycy i obraźliwy. Grubiaństwa słyszę jeno a lżenie.

Listów przez Waszą Świątobliwość przysłanych otrzymać nie mogłam. Zniechęcona, zohydzona życiem i niepewna tego, co w stanie, w jakim jestem, uczynię ku wam Ojciec Święty oczy swe obracam. O duszy swej myślę, nie o ciele. Umieram co dnia, by prawo małżeństwa w całości zachować.

Jeśli władca mój, Filip sławny król Francuzów, szatańskimi wybiegami zwodzony, raz jeszcze przeciw mnie sprawę wytoczyć by żądał, w miejscu, gdzie swobodnie racje me przedstawić bym mogła, stanąć pragnę, a wolność odzyskawszy, od Waszego Apostolskiego Miłosierdzia z zeznań, które przymusem ze mnie mogły być wydarte rozgrzeszenie otrzymać.

List ten wzruszył papieża, który zwrócił się do Filipa Augusta z ostrymi wymówkami; ten nie chcąc rozpoczynać na nowo wojny z Rzymem, uznał za słuszne podporządkować się zaleceniom i złagodził więzienie Ingeborgi.

Odrażona królowa nabrała natychmiast bezrozumnej nadziei, która pomagała jej żyć w trudnych warunkach więzienia w Etampes.

Król postanowił wówczas ożenić się po raz czwarty. Od pewnego czasu nawiązał stosunki miłosne z młodą osobką, którą kronikarze określają mianem „panienki z Arras”^{*}. Wiedząc jednak doskonale, że papież nie będzie się już sprzeciwiał jego kolejnemu małżeństwu, dążył teraz do tego, aby mieć prawowitą żonę i królową. Innocenty III, istotnie, gotów był obecnie powrócić do sprawy rozwodowej, biorąc tym razem pod uwagę wniesiony przeciw Ingebordze „zarzut czarnoksięstwa”.

Nowa sytuacja dodawała pewności Filipowi Augustowi. Niewątpliwie, udałooby mu się unieważnić swoje małżeństwo i definitywnie wygnąć Ingeborgę z królestwa, gdyby nie pewne wydarzenia polityczne, które zachwiały wszystkimi jego planami.

* * *

^{*} Z faworytą tą miał syna, który został później biskupem Noyon.

W tym czasie król Anglii Jan bez Ziemi, który zawistnym okiem patrzył na Filipa Augusta i pragnął jego zguby, znalazł na kontynencie sprzymierzeńca w osobie cesarza Ottona Brunszwickiego.

Koalicja ta ciężką groźbą zawisła od razu nad królem francuskim.

Mocno zaniepokojony Filip August zrozumiał, że w powietrzu wisi starcie. Od jego wyniku zależą nie tylko losy korony, lecz i przyszłości Francji. Zaczął czynić przygotowania, ufortyfikował Paryż i główne miasta królewskie: Reims, Châlons-sur-Marne, Péronne...

Po czym doszedł do wniosku, że do stawienia czoła Anglii potrzebna mu będzie flota, i pomyślał o Danii, której statki należały do najpiękniejszych na Zachodzie.

Trudno było wszakże ubiegać się o przymierze z dworem duńskim, nie zwracając wprawdzie Ingeborgie statusu królowej Francji. Chwila była poważna, Filip nie wahał się dłużej. Ruszył do Etampes i zjawił się w celi, w której od dwudziestu lat włóczona po różnych więzieniach królowa zaczynała tracić już nadzieję, czy kiedykolwiek odzyska wolność.

Widząc go w drzwiach, padła na kolana. Podał jej rękę do ucałowania.

– Podnieście się, pani. Przychodzę po was. Za złą namową krzywdę wam wyrządziłem. Wybaczcie mi. Wasze miejsce obok mnie, na tronie Francji.

Wbrew wszelkiej logice Ingeborga zawsze wierzyła, że taki moment nadejdzie. Płakała, czepiała się rąk Filipa Augusta, chciała żeby ją ucałował. Jak jednak powiadają kronikarze, król „nie mógł odprężyć się pierwszego dnia”. Powiódł ją jednak do pałacu za rączkę trzymając.

Kilka lat upłynęło na przygotowaniach do wojny i Filip August, starając się traktować Ingeborgę jak królową, wprowadzał ją drobiazgowo w bieg wydarzeń.

Dostrzegł wtedy, że potrafi ona służyć mu celną radą. Cieszyło go to. Obecność królowej w Luwrze miała zresztą świetny wpływ na króla: wyzwolony od przesadnej wręcz odrazy, jaką napawała go Ingeborga od dwudziestu lat i która czyniła go czasem nadzwyczaj nerwowym, powoli odzyskiwał równowagę i w pełni sił przygotował się do najważniejszej w dziejach Francji batalii.

* * *

Okrażenie Francji postępowało szybko naprzód. Filip August zwołał swych wasali, którzy przybywali doń wraz z wojskiem, będącym w ich dyspozycji. W początkach lipca owego 1214 r. panowała więc atmosfera prawdziwej powszechnej mobilizacji.

12 lipca, otrzymawszy od królowej Ingeborgi „długi pocałunek w usta, który miał przynieść mu powodzenie”, król wyjechał z Luwru i pociągnął na północ. Cesarz Otton stał

za Valenciennes z osiemdziesięcioma tysiącami* żołnierzy. Trzeba było wydać bitwę i zwyciężyć...

Spotkanie nastąpiło 27 lipca koło małej wioski zwanej Bouvines, niedaleko Cisoing, gdzie tak długo więziono Ingeborgę. Była niedziela. Żar lał się z nieba. Po trzygodzinnym, strasliwym boju armia koalicyjna została rozbita w puch przez dwudziestopięciotysięczne wojsko Francuzów, którzy dokazywali cudów waleczności.

Bez tego „twórczego” zwycięstwa Francja przestałaby istnieć.

* * *

Filip August, który omal nie zginął w czasie bitwy wysadzony z siodła i podeptany końskimi kopytami, wrócił triumfalnie do Paryża, gdzie czekała nań Ingeborga...

Para monarsza dziesięć lat żyła jeszcze w zgodzie i w szczęściu. Królowa nigdy nie wypowiedziała złego słowa w sprawie dwudziestu najpiękniejszych lat swego życia spędzonych w niewoli.

W lipcu 1223 r. król, nabawiwszy się malarii pod Saint-Jean-d’Acre, zmożony został silną gorączką i zaczął gwałtownie gasnąć. Przywołał swego syna, przyszłego Ludwika VIII, i rzekł doń:

– Synu, nie sprawiłeś mi nigdy trosk. Zaklinam cię, byś czcił Boga i Kościół, tak jak ja to czyniłem. Wielki pożytek stąd miałem, takż i ty mieć będziesz. Zaklinam cię w imieniu biednych, zaklinani cię w imieniu Jej Wysokości Królowej, której zbyt wiele krzywd wyrządziłem.

Po czym, jak dodają kronikarze „jął płakać i więcej nic już nie wyrzekł”.

Wspomniawszy po raz ostatni Ingeborgę, zmarł. Miał lat pięćdziesiąt osiem.

Królowa przeżyła go o trzynaście lat, niemal ukryta w siedzibie, którą kazała sobie pobudować na wyspie położonej w nurcie rzeki Essonne, koło Corbeil. Tam zmarła w 1236 r., nadal oczarowana dziesięcioletnim okresem szczęścia u boku swego pana i władcy, Filipa.

* liczba ta, podobnie jak podana niżej liczba Francuzów, jest zawyżona – przyp. red.

13.

Miłość Tybalda z Szampanii do Blanki Kastylijskiej ratuje koronę Francji

*Posłużyła się księciem Szampanii
i jego uczuciem i rozplatała
jego bardzo długimi rękami nić
nie kończącego się spisku.*

Jean Cocteau

Na dworze kastylijskim żyły w roku 1199 dwie małe, ładniutkie księżniczki. Jedna miała na imię Urraca, druga Blanka. Liczyły sobie odpowiednio dwanaście i jedenaście lat.

Przesadą byłoby stwierdzić, że świetnie bawiły się w surowym zamku Palencja. W istocie obie dziewczynki nudziły się tam potwornie.

Ich główna rozrywka polegała na modlitwie, aby Maurowie wynieśli się z Hiszpanii. Trudno uważać to za frywolną zabawę.

W owych czasach zielony sztandar islamu powiewał jeszcze nad Grenadą, Kordobą, Sewillą oraz na cyplu, który niewierni nazywali Dżebel-al-Tarik, zanim chrześcijanie przetłumaczyli tę nazwę na Gibraltar.

Wieczorem po zakończeniu modłów Urraca i Blanka niekiedy otrzymywały przyzwolenie przysłuchiwania się w wielkiej sali zamczyska pieśniom bojowym lub snutym przez wędrownych bajarzy opowieściom o straszliwych rzeziach. Po czym drżące z przestachu dziewczynki szły spać w wielkich łóżach.

* * *

Pewnego zimowego dnia przybyła do Palencji Eleonora z Akwitanii, którą, jak pamiętamy, była matką króla Anglii i babką obu księżniczek. Cały zamek został postawiony na nogi.

Stara królowa, mająca podówczas osiemdziesiąt lat, przybyła omówić ze swym zięciem, Alfonsem Kastyljskim*, związek, którego zamysł zdumiał cały dwór. Chodziło o wydanie jednej z dwóch księżniczek za Ludwika Francuskiego*...

Ze zwykłą jej swadą Eleonora wyjaśniła, że związek ten był jednym z warunków traktatu pokojowego, który jej syn, król angielski Jan bez Ziemi, pragnął podpisać z królem Francji, Filipem Augustem.

Alfons Kastyljski pomyślał zrazu, że król Anglii dość bezrosko rozporządza swymi siostrzenicami, potem schlebila mu myśl, że któregoś dnia będzie ojcem królowej Francji, i dał swoje przyzwolenie.

– Którą z księżniczek ksiązę pragnie pojąć za żonę? – zapytał.

Eleonora odparła, że ksiązę nie ma żadnego zdania w tej sprawie, jako że na razie liczy sobie zaledwie dwanaście lat.

– W takim razie – rzekł Alfons lubiący sprawy załatwiać starannie – trzeba postawić to pytanie królowi Francji.

Gońcy pognali zaraz do Paryża...

Filip August przyjął ich uprzejmie, ale nie podjął żadnej decyzji, gdyż był nieufny.

– Powiedzcie waszemu panu, królowi Kastylii, że prześlę mu moją odpowiedź – rzekł.

I wysłał do zamku w Palencji ambasadorów, o wyrobionym smaku i biegłych wielce w sprawach niewieścich, z poleceniem, aby przywiedli tę księżniczkę, która wyda się im powabniejsza.

Pewnego pięknego poranka siostry ujrzały nadjeżdżającą dużą grupę pięknych kawalerzystów.

– Chowajcie się! – powiedziano im – To Francuzi!

I zamknięto je w komnacie.

Ambasadorzy przyjęci zostali z wielką pompą przez Alfonsa VIII i jego dwór, po czym przywołano księżniczki. Francuzi od razu zauważyli, że starsza jest ładniejsza, i już mieli oświadczyć, że na nią padł wybór Filipa Augusta, kiedy Alfons VIII ją im przedstawił:

– Królowa Urraca!

Słyszac to dziwaczne imię, ambasadorowie – jak powiada kronikarz – „odczuli wyraźną niechęć” i skierowali wzrok na drugą dziewczynkę.

– Królowa Blanka – rzekł Alfons uśmiechając się.

Francuzom ulżyło. Z galanterią oświadczyli królowi Kastylii, że jego starsza córka odznacza się wprawdzie niezrównaną urodą i że zalety jej znane są Filipowi Augustowi, ale

* Poślubił Eleonorę Angielską, córkę Eleonory z Akwitanii i Henryka II.

* Syna Filipa Augusta i jego pierwszej żony, Izabeli z Hainaut.

nosi ona imię, które stanowi zasadniczą przeszkodę dla jej małżeństwa z królewiczem Ludwikiem.

– Żadna królowa Francji – stwierdzili – nie nazywała się dotąd Urracą. Należy obawiać się, że słysząc to imię nasz dzielny lud będzie wydziwiał, a nawet zacznie układać ironiczne piosenki. Dlatego też w imieniu królewicza Ludwika mamy zaszczyt prosić was o rękę waszej córki Blanki...

Tak oto, dzięki swemu imieniu, najmłodsza córka Alfonsa Kastylijskiego otrzymała rolę w historii Francji...

* * *

W marcu roku 1200 Blanka pożegnała się z rodzicami i w towarzystwie swej niestrudzonej babki ruszyła do Francji. Na Wielkanoc były w Bordeaux. Stara królowa podjęła jednak nagle postanowienie wstąpienia do klasztoru i, zostawiwszy wnuczkę pod opieką arcybiskupa Eliasza de Mahnort, udała się do opactwa Fontevrault.

Blanka przybyła w maju do Normandii, gdzie w zamku Boutavant położonym na brzegu Sekwany czekał na nią Jan bez Ziemi. Gонец zaraz przekroczył rzekę i udał się do zamku Goulet, aby powiadomić Filipa Augusta i Ludwika, że traktat może być teraz podpisany.

Następnego dnia, 22 maja 1200 r. na polu położonym w równej odległości od obu zamków obaj królowie, tak często ścierający się w walkach, spotkali się w paradnych strojach i podbitych futrem płaszczach.

Spotkanie nastąpiło w namiocie bogato przyozdobionym flamandzkimi kobiercami. U wejścia zgodnie obok siebie łopotały: sztandar angielski z trzema szkarłatnymi leopardami i chorągiew z kwiatem lilii...

Po raz ostatni Filip August przebiegł oczyma tekst przygotowany przez królewskich sekretarzy. Jan bez Ziemi zobowiązywał się przekazać królowi Francji włości Vexin, Evrexin i Evreux. Ponadto tytułem posagu dawał delfinowi baronie Issoudun i Graçay oraz dwadzieścia tysięcy marek srebrem. Wreszcie – i był to być może główny punkt tego traktatu – zobowiązał się, na wypadek gdyby zmarł, nie zostawiając po sobie dziedzica, legować na rzecz Ludwika wszystkie posiadłości, jakie miał jeszcze we Francji.

– Małżeństwo to, które syna twego czyni moim siostrzeńcem – rzekł Jan bez Ziemi – winno otworzyć erę pokoju.

– Nie masz odtąd między nami mowy o wojnie – powiedział Filip August.

Obaj królowie złożyli podpisy na pergaminie. Kiedy pojawili się razem u wyjścia z namiotu, powitały ich owacje.

– Oto mamy pokój na tysiąc lat – myśleli prostaczkowie zawsze gotowi do entuzjazmu.

Ślub odbyć się miał nazajutrz. Ponieważ Francja objęta była wówczas interdyktem Rzymu z racji niesłusznego więzienia królowej Ingeborgi, księża nie mieli prawa

pobłogosławić nowożeńców. Trzeba było, aby królewicz Ludwik udał się na terytorium angielskie.

Nie było to w smak Filipowi Augustowi, który, mimo traktatu i ciepłych słów rzuconych w namiocie, miał się na baczności i obawiał się, żeby syn nie popadł w niewolę. Dla swego spokoju zażądał, aby Jan bez Ziemi na czas uroczystości przeszedł na terytorium Francji.

Król Anglii nie oponował wobec takiej oznaki nieufności i zgodził się zostać zakładnikiem.

Ślub odbył się z wielkim przepychem w kościele Portmort. Nabożeństwo odprawiał biskup Bordeaux, a dwoje dzieci, o których nikt nawet nie pomyślał, by zetknąć ich choć raz ze sobą przed błogosławieństwem ślubnym, spoglądało na siebie z zabawnym zaciekawieniem.

Ni jedno, ni drugie nie pojmowało nic z tego, co się działo. Uśmiechali się do siebie, niekiedy zaś westchnieniem lub jakimś grymasem wyrażali zniecierpliwienie, że wszyscy ci dorośli wyśpiewający zbyt długie modlitwy nie dają im odejść.

Po uroczystości odprowadzono ich na zamek w Goulet, gdzie dwójka nowożeńców zaczęła bawić się wesoło.

Noc poślubną mieli dopiero trzy lata później w Paryżu*.

* * *

Gwałtowna miłość połączyła wówczas Blankę i jej małżonka. Przyjemnie było patrzeć na to młode małżeństwo piętnastolatków, jak spacerują sobie ręką w rękę, promienni szczęściem, po zamkach w Luwrze, Orleanie, Blois czy Chaumont...

Krótko jednak trwała ta sielanka. Blanka wiedziała, że ma zapewnić ciągłość dynastii i sumiennie wzięła się do dzieła.

Pierwsze próby były, niestety, nieudane!

W 1205 r. wydała na świat córkę, która zmarła w dzieciństwie. W roku 1209 miała syna, Filipa, który mając dziewięć lat dostał silnej gorączki i umarł. W 1213 r. przyszli na świat bliźniacy, Alfons i Jan. Zmarli będąc dziećmi. Wreszcie w roku 1214, roku bitwy pod Bouvines, urodził się Ludwik, przyszły Ludwik IX, Ludwik Święty.

* Traktat pokojowy między Filipem Augustem a Janem bez Ziemi, zawarty w związku z tym małżeństwem, został złamany kilka miesięcy później na skutek takiej oto historii miłosnej: bawiąc w sierpniu w Charente, król Anglii podejmowany był z przepychem przez Lusignanów. Jeden z nich, Hugo, miał właśnie się zenić z przepiękną Izabelą d'Angoulême. Jan bez Ziemi zakochał się w niej, porwał, uwięził do Anglii i rozstawszy się ze swą żoną, Hervoise Gloucester, poślubił Izabelę. Rozwścieczeni Lusignanowie wnieśli skargę do króla Francji, który wezwał króla Jana na rozprawę jako księcia Normandii. Anglik nie zgodził się przybyć do Paryża. Filip August rozkazał sądzić go zaocznie, a za popełnione wiarołomstwo sąd pozbawił Jana wszelkich lenn, jakie on i jego poprzednicy otrzymali z nadania króla Francji... Ważna była to decyzja, anulowała bowiem *de iure* złowrogie skutki drugiego małżeństwa Eleonory i pozwałała Filipowi Augustowi wszystkie posiadłości angielskie, od Pirenejów po Pikardię, traktować jak własne. I tak oto miłość Jana bez Ziemi do Izabeli d'Angoulême miała jeszcze bardziej skomplikować stosunki między Anglią a Francją.

Po nim było jeszcze sześćcioro dzieci. Ten jednak był matczynym ulubieńcem.

Jak można przypuszczać, król Ludwik nie poświęcał całego swego czasu przygotowaniom tych urodzin. Wojował na czele wojsk królewskich i starał się zabłysnąć odwagą wszędzie tam, gdzie Filip August nie mógł stawać osobiście. Miał też po temu okazje.

W roku 1216 baronowie angielscy powstali przeciw Janowi bez Ziemi, którego mieli już dość, i zaproponowali koronę Plantagenetów królowi francuskiemu. Filip August, przyjąwszy ją oczywiście, miał wysłać kilka oddziałów do Anglii, kiedy legat papieski, kardynał Gualon, przybył doń z przestrogą, by „nie mieszał się w cudze sprawy”. Obawiając się nowych komplikacji z Rzymem, król poszedł na ustępstwa.

Inaczej było z Ludwikiem.

Wierząc, że może rościć sobie prawa do korony angielskiej poprzez żonę Blankę, której matka była siostrą króla Jana, wyraźnie odmówił wyrzeczenia się ofiarowanego mu królestwa.

– Królu mój i panie – rzekł w obecności legata – wybaczenie, że postąpię wbrew waszemu zdaniu, ale królestwo, które mi dają, nie jest waszym lennem i jeśli domagać się będę swych praw...

Kardynał Gualon tak się zmartwił, że Filip August uznał za stosowne zapewnić go, iż syn nie otrzyma od niego żadnej pomocy przy realizacji tych zamiarów. Świątobliwy mąż pojął jednak, że kpią sobie z niego, i opuścił pałac w stanie bardzo dalekim od pogody ducha...

20 maja książę Ludwik wyruszył z Calais z sześciuset statkami i z osiemdziesięcioma barkami. Do Doveru przybył dopiero po trzech dobach z racji gwałtownej burzy, która zniosła go z kursu. 2 czerwca stanął w Londynie. Całe miasto przyjęło go z entuzjazmem, a baronowie przybyli złożyć mu hołd w katedrze westminsterskiej. Złożywszy przysięgę na Ewangelię, sprowadził się do pałacu i przez jakiś czas mógł się czuć królem Anglii.

Ale 18 października Jan bez Ziemi zmarł w Newark-Castle, a jego osiemnastoletni syn udał się do Gloucester, gdzie legat papieski ukoronował go na króla pod imieniem Henryka III. Baronowie nie mieli żadnego powodu nienawidzić tego młodzieńca; wręcz przeciwnie, liczyli, że uda im się wykorzystać jego słabość... Tak więc Ludwika zaczęli stopniowo opuszczać ci sami ludzie, którzy go sprowadzili. Przyjął to z goryczą. Inny na jego miejscu wróciłby do Francji, on wolał walczyć.

Blanka, śledząca z Paryża jego poczynania, poszła do Filipa Augusta, prosić, by wspomógł syna. Król, słusznie uznawszy, że posunięcie jest chybione, odmówił. Zakrzyknęła wówczas:

– Wiem, co uczynię, Wasza Dostojność. Mam piękne dziatki i jeśli zwodźcie będziecie mnie chcieli, dam je w zastaw jakiemuś możnowładcy, który w zamian użyje mi wojsk i pieniędzy...

Nie musiała uciekać się jednak do tak skrajnego środka. Pojechała do Calais i przy pomocy sławnego pirata, wielkiego korsarza Eustachego le Moine wysłała mężowi flotę pomocniczą.

Była to pierwsza manifestacja jej energii i autorytetu.

Niestety, Eustachy le Moine został pobity przez marynarkę angielską i Ludwik zmuszony był powrócić do Francji, porzucając wszelką nadzieję królowania nad Anglią. Niemal natychmiast los dał mu inny tron, gdyż w lipcu 1223 r., Filip August zszedł z tego świata. W kilka dni później Ludwik VIII i Blanka Kastylijska zostali ukoronowani w Reims.

* * *

W roku 1226 nowy król wziął udział w krucjacie przeciw albigensom. Podporządkowawszy sobie częściowo Langwedocję, rozpoczął oblężenie Awinionu. Tam opuściła go niespodziewanie pewna liczba możnych wasali, stawiając w ten sposób armię królewską w trudnej sytuacji. Sprężyną tej zdrady był hrabia Tybald z Szampanii, utalentowany poeta, który niebawem miał ogromnie nadszarpać reputację królowej Blanki... Mimo to operację udało się zakończyć powodzeniem.

Wracając z tej wyprawy, w Montpensier Ludwik VIII poważnie zachorował. Nabawił się ostrej biegunki i szybko zorientowano się, że trudno go będzie uratować. Archibad de Bourbon oświadczył wtedy, że słyszał kiedyś, iż stosunki z dziewczcą mogą przynieść ulgę w tego rodzaju dolegliwościach. Nie powiadamiając króla, zaczęto zaraz szukać jakiejś ładnej dziewczyny, mogącej posłużyć za lekarstwo. Po kilku dniach poszukiwań jeden z wodzów odkrył w zacnej rodzinie uroczą, osiemnastoletnią blondynkę, która, jak mu się zdawało, mogłaby załatwić sprawę. Jako szczerzy i uczciwy rycerz wyjaśnił rodzicom, czego oczekiwano od ich córki. Zacni ludzie nie posiadali się z radości, zaczęli płakać, mówiąc, że przychylne są im niebiosy, skoro sprawiły, że takie szczęście spada na ich dom.

Młodą dziewczynę zaprowadzono więc do króla, Kazawszy jej ubrać się w nocną koszulkę, Archibald de Bourbon udzielił jej kilku rad praktycznych i zaprowadził do komnaty, gdzie podrzemywał konający. Onieśmielona przysiadła na łóżku i czekała. Ludwik VIII otworzył raptem oczy.

– Ktoś ty? – zapytał zdziwiony.

Wdzięczna osóbką czerwieniąc się wyjaśniła mu, po co tu przyszła, dodając, że „to nie gwoli jego rozkoszy, jeno by z choroby go uleczyć”.

Król podziękował jej:

– Nie potrzebuję cię, dziewczyno. Za żadną cenę nie chcę być niewierny królowej Blance.

Po czym zmarł.

* * *

Po śmierci Ludwika VIII rozeszły się wśród ludu złowrogie pogłoski. Powiadano, że król nie umarł na dyzenterię, lecz został otruty*.

– Okrutna to podłość – biadali zacni ludkowie – zbrodnia szatańska...

I wszyscy oskarżali hrabiego Szampanii, Tybalda Pieśniarza, że dosypał trującego proszku królowi do jadła. Tym, którzy powątpiewali w możliwości takiego postępuku, wyjaśniano, że Tybald tak bardzo zakochany był w królowej, iż nie mógł znieść myśli, że Ludwik VIII sypia u jej boku.

– Układa piosenki pełne namiętności, które potem śpiewa jej w Luwrze – szeptano – i nazywa ją „Swoją Damą”...

– Wyobraża sobie pewnie, że da mu ona teraz wszystko, czego pragnie ten piękny paniczyk!

– O ile, kumie, już się to nie stało!...

Ze wszystkich tych pogaduszek jedno było pewne: Tybald z Szampanii kochał Blanę z Kastylii. I to z taką żarliwością, jakiej nikt z dobrodusznych plotkarzy nie mógłby sobie wyobrazić. Prawdą też było, że układał dla niej piosenki, w których był autorem tak słów, jak i muzyki, i które wielokrotnie ośmielał się jej śpiewać, kiedy znajdowała się sama w Luwrze. Niektóre z nich były wyśmienite:

*Gdy cię ujrzałem pierwszy raz,
Pani, me serce tak zadrżało,
Że gdy rozstania nadszedł czas,
Serce me z tobą pozostało,*

I pewnie po to, by wrócić jak najszybciej do damy, która opanowała wszystkie jego myśli, opuścił on tak nagle króla podczas oblężenia Awinionu. Istotnie, żyć mógł tylko w pobliżu królowej. Dla niej zaniedbywał swój zamek w Provins, cały ukwiecony różami, gdzie zebrał przecież najpiękniejsze kobiety Szampanii, najznamienitszych rycerzy i trybunał miłosny o dobrej sławie... Śmieszne byłoby jednak uważać Tybalda za mordercę.

Był to czule kochający człowiek, którego namiętność pozbawiona widoków na przyszłość wprawiała w nastrój bezbrzeżnego smutku. „Często – powiada nam współczesny kronikarz – namiętność ta przypominała mu łagodne spojrzenie królowej i jej swobodę zachowania. Serce jego przepełniało się wówczas słodkimi i miłosnymi myślami. Ale gdy przypominał sobie, że

* M. Paris, *Chroniques*: „Jak fama głosi, hrabia Tybald truciznę królowi zadać kazał, za przyczyną królowej, którą zbrodniczo pokochał chucią cielesną; tak lubieżna namiętność nie zwoliła mu znieść długiego okresu oczekiwania”.

jest ona tak wielką damą, tak czystą i przykładną, jego tkliwe uczucia miłosne w smutek się zmieniały”^{*}.

Wskutek tej miłości biedak został niebawem wciągnięty w niezwykle awantury, z których kilka naraziło koronę Francji na poważne niebezpieczeństwo.

* * *

Podczas gdy trubadur z Szampanii usychał z miłości, Blanka z Kastylii, którą umierający Ludwik VIII naznaczył strażnikiem królestwa, jedno tylko miała na widoku: ukoronować w Reims najstarszego syna.

Podejrzewając, że możni wasale niebawem przysporzą jej kłopotów, skorzystała z okazji, aby wywiedzieć się, na kogo może liczyć, i na uroczystość koronacji zaprosiła wszystkich baronów, dowódców wojskowych, dygnitarzy duchownych, przedstawicieli gmin...

– Przybyć na koronację – rzekła do kanclerza Bartłomieja de Roye – znaczy zgodzić się na złożenie hołdu memu synowi, a więc poprzysiąc mu wierność. Zobaczymy, kto przyjmie zaproszenie...

Najpotężniejsi wasale, którzy mieli wtedy jedno tylko na celu: doprowadzić królestwo do upadku, aby wykroić sobie zeń znaczne posiadłości, odpowiedzieli, że nie przybędą do Reims. Niektórzy, jak hrabia Bretanii, księżęta z rodu Dreux oraz panowie z Poitou, zareagowali niemal w chamski sposób. Inni, bardziej przebiegli, odpowiedzieli obłudnie, że śmierć króla pogrzyżyła ich w tak wielkiej boleści, że jeszcze się z tego nie otrząsnęli i że w rezultacie nie mogą na razie udać się na uroczystości... Inni wreszcie zgodzili się przyjechać, jeśli otrzymają za to zapłatę...

Tak więc już w pierwszych tygodniach regencji Blanka z Kastylii wiedziała co sądzić o nastrojach swych wasali. Nie wszyscy jednak odnosili się wrogo do korony i 29 listopada 1226 r. wokół dziecięcia, które miało być ukoronowane królem Francji, mimo wszystko zebrała się w Reims duża grupa baronów pragnących złożyć przysięgę wiernopoddańczą.

Nie było tam wszelako najwierniejszego z nich – tego, który deklarował Blance nie tylko wiarę rycerską, lecz ponadto i całą swą miłość.

Dlaczego tak się stało? Stało się tak dlatego, że u bram miasta wydarzył się pożałowania godny wypadek. Kiedy hrabia Szampanii miał wjechać do Reims, mieszczanie rzucili się na niego, wrzeszcząc:

– Precz stąd, trucieliu! Precz, morderco! Nie życzymy sobie, byś był przy koronacji!...

I wyparli go za mury. Wówczas Tybald, sądząc, że ludzie ci wypełniają rozkaz królowej, ze zranionym sercem wrócił do swego zamku w Troyes i nie mieszkając postanowił przyłączyć się do ligi baronów przygotowujących podniesienie rewolty.

W dwa miesiące później był już wraz z nimi w Chinon, gdzie omawiano plan ataku.

^{*} *Grandes Chroniques de Saint-Denis.*

– Zmusimy „cudzoziemkę” do ucieczki – mówił Enguerrand de Coucy, który kazał już sporządzić dla siebie królewską koronę.

– Odeślemy ją do jej Kastylii – szydził Piotr, hrabia Bretanii zwany Klerykiem, jako że zrzucił habit. – Tam w spokoju będzie mogła zbytkować sobie po kryjomu z wybranymi przez się biskupami...

Podczas gdy baronowie tracili w ten sposób czas na próżną gadaninę i żołdackie dowcipy, Blanka z Kastylii działała. Potężna armia stanęła któregoś dnia pod Chinon. Królowa zaskoczyła buntowników.

Nie brali oni pod uwagę tak szybkiej ofensywy. Wpadli w panikę, skłócili między sobą i w końcu zgodzili się rozpocząć układy.

Uprzednio każdy musiał jednak stawić się osobiście przed królową. Gdy nadeszła jego kolej, hrabia Szampanii drżąc padł na kolana. Blanka spojrzała nań łagodnie i rzekła z czułością:

– Na Boga, hrabio Tybaldzie, nie powinniście być naszym przeciwnikiem.

Autor *Kronik z opactwa Saint Denis* powiada zaś, że „hrabia poźrzawszy na wielce urodziwą i mądrą królową, urodą jej porażon został ze szczętem i odpowiedział jej:

– Na honor, pani, serce, ciało i ziemie moje wszystkie na wasze są rozkazy, nie masz nic, coć się wam podoba, czyli też podobać by się wam mogło, czego bym z ochotą uczynić nie miał; i – z bożą pomocą – przeciw wam czy waszym stronnikom nigdy stawać nie będę”.

Kapitulacja Tybalda skonsternowała baronów i dokończyła dzieła ich rozbicia. Ostatecznie, 16 marca 1227 r., królowa podpisała z nimi w Vendôme wielce korzystny dla korony traktat pokojowy.

Tak to – jak powiada nam jeden z jej biografów – „w krótkim czasie i bez kropli krwi przelewu Blanka z Kastylii straszną koalicję baronów w proch obróciła”^{*}.

* * *

Tybald, mający wiele grzechów na sumieniu, udał się z królową do Paryża, gdzie znów zabrał się do układania dla niej wzruszających wierszy. Cnotliwa Blanka nadał jednak odrzucała jego zaloty i poeta kładł czasem w swe najbardziej płomienne oświadczenia kwaśne puenty, które świadczyły o jego goryczy i rozżaleniu. Tak na przykład w następującej strofie dwa ostatnie wiersze wyglądają na epigramat:

*Moje pragnienie i wszystkie me cierpienia
Pochodzą stamtąd, gdzie myśli moje wszystkie.
Obawiam się, bo wszyscy, co ją widzą,
Co znają kształt jej tak pięknego ciała,*

* D e v a i n, *Blanche de Castiile*.

*Czują, że muszą jej się przypodobać.
Bóg ją miłuje, dobrze o tym wiem,
Dziw, że tak długo bez niej się obchodzi...*

Nic też dziwnego, że w tych warunkach Tybald krótko tylko bawił w Luwrze. Pewnego wieczoru, na skutek zbyt ostrych słów królowej, znów się zirytował i wyjechał do swych posiadłości, klnąc się, że przy pierwszej okazji chwyci przeciw niej za broń.

Właśnie w jakiś czas potem baronowie, przez krótki okres spokojni, zgrupowali się wokół bastarda po Filipie Auguście, Filipa Kudłacza inaczej zwanego Potargańcem, który marzył o wstąpieniu na tron w miejsce bratanka.

Tybald przyłączył się do nich.

Nowo zbuntowani tym razem starannie opracowali swe plany, poczynając od próby pochwylenia młodego króla.

Pewnego dnia, kiedy Ludwik IX powracał z Orleanu, znalazł się raptem w obliczu uzbrojonych od stóp do głów jeźdźców, którzy pochyliwszy kopie zaatakowali z furją. Przyszły Ludwik Święty nie był przygotowany do starcia z takim przeciwnikiem. Zawróciwszy konia, pogalopował wraz ze swymi towarzyszami do zamku Monthléry, w którym znalazł schronienie. Goniec natychmiast popędził do Paryża, aby powiadomić o sytuacji Blankę Kastylijską. Mocno zaniepokojona królowa poszukiwała wraz ze swymi doradcami sposobu uratowania Ludwika. Ponieważ jednak wszystkie proponowane rozwiązania okazywały się ryzykowne, zaczęto tracić nadzieję. Na szczęście wieść przedostała się z Luwru na ulicę i paryżanie, przejęci wiadomością, że młody monarcha znalazł się w niebezpieczeństwie, zgromadzili się na placach i szybko znaleźli wyjście, którego próżno szukali zacni doradcy Blanki. Uzbrojeni w pałki, maczugi i rozmaite narzędzia, krzyczeli:

– Na Monthléry! Do króla! Ratujmy naszego króla!

Wraz z milicją miejską, malowniczą, długą kolumną ruszyli na Monthléry i „tam zastali młodego króla; przywiedli go do Paryża tak przyodzianego i przysposobionego do bitwy, jakby było to jego rzemiosłem”^{*}.

Próba porwania, ku niezadowoleniu buntowników, przemieniła się w triumfalny pochód.

* * *

W jakiś czas potem popierani przez króla Anglii baronowie zebrali się na zamku w Bellême w celu odbycia narady i postanowienia o nowych działaniach mających rozpętać wojnę domową w całym kraju.

^{*} *Grandes Chroniques...* rok 1227.

Blanka z Kastylii postanowiła powtórzyć swój manewr z Chinon. Na czele potężnej armii pociągnęła na Bellême.

Zwiadowcy wkrótce zasygnalizowali jej jakieś wojska, których straż przednia w szyku bojowym kierowała się na siły królewskie.

Jadąca na białym koniu królowa spięła obiema ostrogami klusaka, chcąc podjechać bliżej i rozpoznać barwy chorągwi zbuntowanego wasala. Kiedy zbliżyła się na tyle, aby móc je dojrzeć, pobladła.

Pierwszym nadciągającym do walki był właśnie hrabia Tybald.

Cała armia królewska stanęła w pogotowiu, by przyjąć uderzenie.

– Sposobić się do natarcia! – zakrzyknął marszałek Jan Clément.

Nieprzyjaciel był już na odległość rzutu kamieniem. Nagle żołnierze Blanki z Kastyli i spostrzegli, że ludzie, na których mieli się rzucić, wymachują wesoło tarczami i proporcami. Potem jakiś jezdny podjechał do królowej, zeskoczył z konia i ukląkł przed nią. Był to Tybald, który nie zdecydował się na walkę z tą tak uświadomioną kobietą.

– Pani moja – rzekł – nigdy przeciwnikiem waszym nie będę. Wojska me wam przywodzę, byśmy razem nieprzyjacioły wasze zwalczały...

Dzięki wsparciu Tybalda zamknięci na zamku w Bellême buntownicy musieli w kilka tygodni później skapitulować.

Miłość raz jeszcze uratowała koronę Francji!

Blanka spojrzała wówczas na Tybalda z mieszaniną uznania i czułości, po czym zabrała go ze sobą do Luwru, gdzie pewnego wieczoru zdesperowany odśpiewał jej taką oto pieśń:

*Ułożę pieśń, ochotę na to mam,
O tej najlepszej z wszystkich w świecie całym.
O tej najlepszej? Czy aby się nie mylę?
Gdyby tak było, na Boga! wszak
Nade mną by się przecie zlitowała,
Co oddan jestem sercem jej i ciałem.
Czemuż, o Boże, litości nie ma w niej
I w jej urodzie? O pani, pytam cię
Z miłości do cię ciągle schnąc:
Czy równie kochasz mnie?
Uroda twa tak mnie ujęła,
Że pragnę cię nad wszystkie w świecie,
Tak moje serce ujarzmiła,
Że o niej jedno śnię,
A ona ani wspomni.*

Kiedy Tybald skończył, spostrzegł, że królowa płacze. Czyżby miała wreszcie przestać być nieludzka?

* * *

W kilka dni później bywalcy Luwru dostrzegli zadziwiającą zmianę w zachowaniu Blanki wobec Tybalda. Była dlań czuła, obejmowała go nieco zbyt wymownymi spojrzeniami, wyciągnięto więc stąd wniosek, że trubadurovi udało się utorować drogę do królewskiej łóżnicy. Niektórzy, umiejący zręcznie posługiwać się jędrnym żartem, rozpuszczali sprośne powiedzonka, którymi delectował się cały pałac. Inni ograniczali się do przymrużenia oka, ale z tak filuternym wyrazem twarzy, że trudno było osądzić, czy milczki, czy gaduły odznaczają się większą złośliwością...

„Wieść” oczywiście od razu przedostała się poza mury Luwru i rozniosła po Paryżu. Nazajutrz całe miasto rozprawiało o niej, jak o czymś pewnym.

– Ten muzykant zagrał jej ładną aryjkę na fleciku – pogadywały kumoszki.

– Łatwo się było tego spodziewać. Jest Hiszpanką, ma gorącą krew!

Przeciwnicy korony korzystali z nadarzającej się okazji, aby szkalować Blanę. Po kraju krążyły pamflety. Królową określano jako skrytą rozpustnicę. Poeci nazwali ją nawet Damą Hersant od imienia bezwstydney pobożnisi, samki wilka Ysengrina z opowieści Renarta...

Hues de la Ferté, jeden z trubadurów na barońskim żołdzie, kuzyn zresztą Enguerranda de Coucy, ułożył kilka pełnych żółci kupletów, które wkrótce znał cały Paryż. Zarzucał w nich bezpodstawnie, że Tybald z Szampanii miesza się w sprawy państwowe i podszeptował:

*Wielce się Francja spodlila,
Słyszycie, panowie baroni?
Odkąd białka we władzy ją trzyma,
A jaka białka? Toć wiecie.
Ręka w rękę on z nią
Wiodą Francję pospołu,
A zwieńczony niedawno koroną
Króla tylko ma miano...*

Dowiedziawszy się, że naród śpiewa takie piosenki, królowa bardzo się zirytowała. Zamiast jednak zażądać, aby Tybald odjechał do swego zamku w Provins, gdzie czekała nań jego małżonka, Agnieszka z Beaujeu, co od razu położyłoby kres wszelkim oszczerstwom, zatrzymała go przy sobie*.

Baronowie triumfowali.

* *Chroniques de saint Magloire.*

– Widzicie – powiadali – nie może rozstać się ze swym kochankiem nawet w imię honoru. A pamiętajcie przecież, że ten przybłąda z Szampanii otrul Ludwika VIII. Blanka z Kastylii jest więc kochanką mordercy swego męża.

Hues de la Ferté ułożył niebawem piosenkę, która zacnemu ludowi Francji, uchodzącemu już wówczas za naród o krótkiej pamięci, przypomnieć miała zarzuty podnoszone niedawno przeciw Tybaldowi.

*Na Syna Matki Boskiej,
Co na Krzyżu był kaźniony,
Takie popełniał łotrostwa,
Że winien był być sądzony
Za nie przed trybunałem.
Na Boga! Dobrze wiecie
Nie bronilby się przecie,
Winę mu łacno dowieść
Więc na co czekacie, panowie?
Tybaldzie, hrabio chciwy,
Przewrotny i zdrażliwy,
Imię twe niezbyt głośne
W rycerskim rzemiośle,
Zręczniejszy jesteś za to
W medycznej wiedzy tajnej*.
Brudnyś, nadęty, stary*
I wszystkie masz przywary.*

W dobie gdy nie było jeszcze gazet, piosenka satyryczna zastępowała zarówno prasę opozycyjną, jak i prasę brukową. Tak więc, zjadliwe kuplety, za namową baronów układane przez Huesa de la Ferté, bardzo bawiły zacnych poddanych królestwa.

* * *

Cóż działo się zatem w Luwrze między Blanką a Tybaldem?

Konia z rzędem temu, kto mógłby na to odpowiedzieć, gdyż, choć królowa wciąż darzyła względami swego trubadura, nic nie wskazywało na to, że ich stosunki były tak intymne, jak to chciał zasugerować Hues de la Ferté.

* Aluzja do leku, którym otruto króla.

* Groteskowa obelga. Tybald miał wówczas trzydzieści lat.

Pokazywała się z Tybaldem wszędzie, ale na ogół towarzyszył im również młody król. Uśmiechała się czule do poety, nikt jednak nie widział, żeby trzymali się za ręce. Długie godziny spędzała sam na sam z Tybaldem, ale mimo to żadna dama dworu nie zaskoczyła ich w łóżku...

Jedno było pewne. Układane przez Tybalda piosenki nie tchnęły już smutkiem. Wręcz przeciwnie: jedna z nich zdawała się usprawiedliwiać tych, którzy patrzyli na nich z przymrużeniem oka. Oto ona:

*Zacząłem tedy prosić ją łagodnie,
Aby laskawiej chciała spojrzeć na mnie.
Jęła płakać i rzekła po chwili:
„Nie mogę cię słuchać
I nie wiem, co śpiewasz”.
Zbliżam się do niej i rzekę:
„O piękna, litości, na Boga”.
Uśmiecha się i odpowiada:
„Nie mów nikomu nic o tym”.*

To „Nie mów nikomu nic o tym” jest wiele mówiące. Ale czy jest to jakiś dowód? Nie. Dlatego właśnie od siedmiuset lat miłości Blanki z Kastylii i Tybalda z Szampanii są przedmiotem zacieklej sporów. Z takim zacietrzewieniem, jakby chodziło o ich własną córkę, liczni historycy opowiadają się za cnotą Blanki. Inni, równie gwałtownie, choć też nie dając żadnych dalszych dowodów, utrzymują, że Blanka była występna i zakłamana. Wobec tylu rozbieżnych zdań, przyłączmy się do wypowiedzi badacza literatury średniowiecznej Paulina Parisa, który w swym *Romancero François* pisze: „Prawdy historycznej szukać tu będę w całej jej nagości; w Blance Kastylijskiej chcę widzieć władczynię, której mądrość i zręczność nie mogą być kwestionowane, ale której przynioty, największego podziwu godne, nie są wolne być może od właściwych jej płci słabostek”.

Historyk ten, którego z pewnością nie można podejrzewać o niefrasobliwość, dorzuca zresztą o kilka stronic dalej: „Czyż byłoby to taką przewiną naszej wielkiej królowej, gdyby rzeczywiście nie chciała doprowadzić do rozpacz kochanka, który ją miłował i który tylekroć poświęcał dla niej wszystko, co miał najdroższego? Czyż nie stanowiła sama o sobie po śmierci ukochanego i nieodżałowanego małżonka? I czyż wreszcie Francja może się skarżyć, że z racji tej namiętności sprawy jej były zaniedbywane?”

Z pewnością nie! I ten ostatni argument powinien pojednać wszystkich adwersarzy.

* * *

11 lipca 1230 r. zaszło coś, co w paradoksalny sposób powikłało sprawy sercowe królowej: Tybaldowi zmarła żona.

Choć nigdy nie żywił do niej wielkiego uczucia, zmartwił się tym trochę i wyjechał do Provins w celu zorganizowania pochówku. Następnego dnia czekała go niespodziewana wizyta: odwiedził go Piotr Mauclerc, hrabia Bretanii, który za wszelką cenę i wszelkimi sposobami pragnąc przyłączyć się do stronnictwa baronów, przybył ofiarować mu rękę swej córki Jolanty.

Mimo, że kochał królową, Tybald został olśniony. Wiedział, że Jolanta jest pięknym podlotkiem o jasnopolatych włosach, wdzięcznej buzi i miłych kształtach. Przypomniał sobie, że wszyscy baronowie mieli ogień w oczach, gdy rozmawiali o niej. Bez większego trudu dał się więc przekonać.

– Córka moja znajduje się w opactwie Val Secret koło Château-Thierry – rzekł Mauclerc – czeka tam na was.

I rad z finfy, jaką wyciął królowej, odjechał do domu.

Nazajutrz o świcie Tybald z wielkim orszakiem wyruszał w drogę do Château-Thierry. Wieczorem dogonił go posłaniec Blanki, który wręczył mu następujący list:

Mości habio Tybaldzie. Dowiedziałam się, że przyrzekliście hrabiemu Piotrowi z Bretanii córkę jego pojąć za żonę. Wzywam was, jeśli Francja wam miła, nie czynić tego. Wiecie bowiem, że hrabia Bretanii wyrządził królowi więcej zła niż ktokolwiek w świecie*.

Choć musiała ją boleć zdrada przyjaciela, królowa nie pozwoliła sobie na najmniejszą skargę i nie okazywała żadnej goryczy. Dyskrecja ta ujęła Tybalda. Ze łzami w oczach oświadczył posłańcowi, że następnego dnia stawi się w Luwrze.

Po czym natychmiast wysłał list do Mauclerca, oznajmiając mu, że rezygnuje z ręki Jolanty.

Królowa zwyciężyła.

* * *

Podczas gdy Tybald starał się o przebaczenie Blanki, hrabia Bretanii, rozgniewany doznany afrontem, postanowił się zemścić. W kilka tygodni później wszyscy możni wasale, przyjaciele Mauclerka, wkroczyli do Szampanii i zaczęli pustoszyć ziemie Tybalda.

Blanka z Kastylii nie żywiła urazy. Natychmiast wysłała wojska królewskie na odsiecz ukochanemu trubadurowi, co pozwoliło mu zawrzeć honorowy traktat pokojowy.

W czasie tej dość długotrwałej wojny niezyczliwi ludzie zaczęli rozpuszczać plotki, iż królowa jest kochanką legata papieskiego kardynała Frangipaniego.

* Joinville, *Histoire de Saint Louis*.

Na początku Blanka kwitowała to wzruszeniem ramion.

Kiedy jednak aluzje zaczęły stawać się zbyt wyraźne, zaniepokoiła się. Miała tak wielkie poszanowanie dla religii, iż nie mogła ścierpieć równie nikczemnych oskarżeń. Gdy dowiedziała się, że podejrzewają ją nawet o zajęcie w ciążę z kardynałem, ubrana w samą tylko koszulę zdecydowała się stanąć przed czymś w rodzaju jury.

Niebawem miały niestety spaść na nią jeszcze sroższe oskarżenia.

* * *

Jak łatwo sobie wyobrazić prym w opowiadaniu pieprznych historyjek o „miłostkach” królowej i kardynała wiedli żacy. Któregoś dnia w ręce purpurata wpadło parę tekstów wielce plugawych kupletów, które żacy, podpisawszy sobie, śpiewali chórem wieczorami. Wprawiło go to we wściekłość.

– Pani – rzekł do królowej – w podłych śpiewkach młódź uniwersytecka cześć waszą splamić się stara. Nie mogę znieść tego, tym bardziej że i mnie w to mieszają. Trza środków jąć w surowych...

Blanka z Kastylii wiedziała o krążących o niej paszkwilach.

– Niezręczne by było – odparła – dać do myślenia, że niecne śpiewki dotknąć nas mogą. Poczekajmy na jakiś pretekst do rozprawy.

Wiedziała, że jeśli chodzi o żaków, którzy dopuszczali się wszelkich występków, porywali kobiety, zabijali i okradali mieszczan, okazja taka nadarzy się już niebawem.

I rzeczywiście, w jakiś czas potem coś wydarzyło się w dzielnicy studenckiej. Jeden z żaków, próbując wskutek zakładu zgwałcić na stole córkę oberżysty, dostał cios nożem, który przedziurawił mu klatkę piersiową. Jego kamraci natychmiast zapragnęli go pomścić. Obskoczyli oberżystę, ten zaś zaczął wołać o pomoc. Zbiegli się wszyscy kupcy z sąsiedztwa, zbrojni w pałki, sztylety i miecze. Wywiązała się straszliwa kotłowanina. Przez kilka godzin okładano się razami i żacy zostali zmuszeni do odwrotu, zaścielając bruk trzystu dwudziestoma ciałami kolegów zabitych przez kupców.

Tych ostatnich zdjęła panika na widok zalegających ulice okrwawionych zwłok; „biednych, pobitych żaczków” powrzucał więc do Sekwany.

Następnego dnia stróżów zaintrygował wszelako nieporządek panujący na ulicy, przy której mieszkał oberżysta. Wśród kałuż krwi walały się tam skrzeple rozbryzgi mózgu, kłęby włosów, gdzieniegdzie zaś zwłoki. Z wrodzoną bystrością pilnujący porządku wywnioskowali, że coś się musiało wydarzyć, i zaczęli rozpytywać mieszczan.

Ci odpowiedzieli zgodnym chórem:

– To żacy paryscy, którzy gwałcą nasze córki, napastują nasze żony i okradają nas wieczorami, gdy się koło nich przechodzi. Wczora sprowokowali nas, przetośmy ich pobili.

Kiedy zakłopotana stróża sporządzała raport, senat uniwersytetu udał się do królowej Blanki, by domagać się sprawiedliwości za masakrę studentów.

– Młodość musi się wyszumieć – stwierdzili. – To, że trochę zbyt krewki młodzian chciał dowieść dziewczę swej męskości, wcale nie uzasadnia, by łyki mieli zabijać trzystu dwudziestu naszych uczniów. Inaczej lepiej od razu zawrzeć uniwersytet.

* * *

Blanka Kastylijska, której sekundował kardynał Frangipani, oświadczyła sucho, iż bierze stronę mieszczan przeciw żakom. Władze uniwersyteckie postanowiły wówczas opuścić Paryż. Niektórzy osiedlili się w Angers, w Orleanie, w Tuluzie, inni wynieśli się aż do Anglii, gdzie Henryk III przyjął ich ze zrozumiałą skwapliwością.

Uczniowie pociągnęli oczywiście za nauczycielami, zanim jednak opuścili stolicę rozgłosili dwuwiersz, który do białości rozpalił gniew legata:

*Heu morimur strati, vincti, mersi, spoliati
Mentula legati nos facit ista pati**

Co znaczy: „Biada nam, umieramy, zabijają nas, biorą w dyby, topią, rabują. Niedole te zawdzięczamy rozwiązłości legata!”

Po odejściu żaków zapanowała w Paryżu wielka pustka. Wielu ludzi żałowało ich – zwłaszcza panny, którym doskwierała cnota, i niewiasty, które nudziły się u boku mężów. Zaczęto przeto oskarżać królową, że była niesprawiedliwa względem niesfornych chłopaczków, legat zaś stał się ponownie przedmiotem okrutnych piosenek.

Lud zmęczył się wreszcie gadaniną o rzekomych gorących nocach królowej i jej faworyta. Niektórzy piosenkarze jęli się więc na nowo ataków na hrabiego Tybalda; trubadur przebywał jednak w swym zamku w Troyes, gdzie przygotowywał się do wyprawy krzyżowej, oszczerstwa miały przeto krótki żywot. Wówczas ludzie, którym nie brakowało ani złośliwości, ani wyobraźni, zaczęli oskarżać dziewiętnastoletniego Ludwika IX o to, że ma kochanki i że „oddaje się z nimi najbardziej zbrodniczym igraszkom”^{*}.

Naturalnie kilka osób dobrze poinformowanych, jak to o sobie mówili, podawało i „szczegóły”. Wynikł ogromny skandal. Cały Paryż nie rozprawiał o niczym innym, tylko o orgiach króla.

– To zły przykład królowej – powiadały kumoszki.

Wkrótce zresztą rozeszła się plotka, że Blanka popiera te wybryki, a nawet jest ich ukrytą sprężyną...

* Minstrel z Reims.

* D. K. B é v y, *Histoire des Inaugurations des rois* 1776.

„Plotki te tak się rozniosły – powiada nam Don Karol Bévy – że jeden z duchownych zaczął czynić ostre wymówki królowej. Ta, z łagodnością, która towarzyszy zawsze niewinności, odrzekła mu, że nie tylko daleka jest od popierania takich wybryków, lecz wolałaby, lubo kocha syna nade wszystko, widzieć go martwym, niż wiedzieć, że przez jeden choćby grzech śmiertelny ściąga na siebie niełaskę Stwórcy”.

Wszystko to jednak martwiło Blankę. Aby więc ochronić młodego króla przed tak niecnymi oszczerstwami, postanowiła go ożenić.

* * *

Zaraz też rozesłała mnichów na poszukiwanie dojrzałych do małżeństwa księżniczek, które miały odpowiadać dwom warunkom: być cnotliwe i nie za bardzo ładne. Blanka w istocie pragnęła, aby młody król nie przywiązał się nadmiernie do swej przyszłej żoneczki i dla miłego buziaka nie popadł w sidła miłości zmysłowej, to jest grzechu...

Poza tym królowa obawiała się, by jakaś pięknisia nie wzięła przewagi nad królem... Tak jak w przeszłości, nadal pragnęła panować nad sercem i umysłem syna...

Czternastoletnia Małgorzata, starsza córka Rajmunda Bérangera, hrabiego Prowansji, odpowiadała – według relacji zakonnika, który ją widział – ściśle wymogom królowej. Blanka wysłała biskupa Sens do Aix-en-Provence z poleceniem zażądania ręki Małgorzaty. Uzyskawszy zgodę, biskup zabrał natychmiast księżniczkę i uprzedził królową o jej przyjeździe.

Blanka powiadomiła zaraz Ludwika, iż ma on narzeczoną i że wyruszają jej naprzeciw.

– Jakaż ona jest? – zapytał.

– Taka, jaka powinna być małżonka – orzekła Blanka – cnotliwa i pobożna.

Fałszywie byłoby stwierdzić, że na myśl o wspólnym życiu z taką kobietą młodemu królowi ślinka ciekła do ust. Podczas całej podróży miał więc raczej nadąsaną minę.

Spotkanie nastąpiło w Sens.

Na widok Małgorzaty królowa zmarszczyła brwi i pomyślała sobie, że wysłany przez nią do Prowansji mnich nie za bardzo znał się na kobietach. Młoda księżniczka była bowiem czarująca...

Tak czarująca, że Ludwik IX z rozbijającą niewinnością spoglądał na nią z wyraźnym upodobaniem. Królowa dostrzegła to i rozgniewana obrzuciła syna spojrzeniem, które nakazało mu przybrać obojętny wyraz twarzy.

Tak więc Blanka znenawidziła przyszłą synową, zanim zdążyła zamienić z nią choć jedno słowo...

* * *

Ślub odbył się nazajutrz, 12 maja 1234 r., w Sens.

Przez cały dzień królowa demonstrowała wielce zły humor, co zasmucało zaproszonych gości i mąciło uroczystość. Uczta była posępna. Z rozkazu królowej trubadurzy śpiewali przystojne jeno kuplety, popołudnie zaś przeznaczone było na gry towarzyskie, które znudziły wszystkich. Ku ogólnemu zadowoleniu zapadł wreszcie zmrok i gdzieś koło dziewiątej wieczór, gdy i najlepiej wychowani panowie ziewali już tak, że mało im szczeki nie powypadały z zawiasów, Małgorzatę z Prowansji z wielką pompą odprowadzono do jej komnaty. Położyła się do łóżka ze źle skrywaną niecierpliwością i oczekiwała swego małżonka...

Kiedy w dwie godziny później jeszcze go nie było, posłała dworkę ze świty, aby dowiedziała się, co się stało.

Dama powróciła przerażona.

– Król jest w kaplicy na modłach.

Gdy o świcie Ludwika wciąż jeszcze nie było, Małgorzata usnęła płacząc.

Następnego wieczoru znów próżne oczekiwanie. Tym razem Małgorzata miała poduszkę i darła prześcieradło.

Kolejnego dnia, gdy o północy służka doniosła jej, że Ludwik znajduje się wciąż w kaplicy, dostała prawdziwego ataku nerwowego...

Czwartego wieczoru Ludwik otrzymał wreszcie od Blanki zezwolenie, by szedł pełnić obowiązki małżeńskie.

– Idź! – rozkazała kwaśnym tonem. – I myśl o swoim potomstwie!

Sama zaś zaczęła krążyć po korytarzu, oczekując.

Kiedy osądziła, że powinno już być po wszystkim, wkroczyła do komnaty nowożeńców.

– Dość tego na dziś! – rzekła. – Wstawaj, Ludwiku!

I nie zaszczycając Małgorzaty ani słowem, rozkazała królowi, aby resztę nocy spędził samotnie w sąsiednim pomieszczeniu...

14.

Z Małgorzatą z Prowansji Ludwik IX musiał spotykać się na schodach

*Królowa Blanka królowej Małgorzacie
cierpkości rozliczne świadczyła,
a znieść myśli nie mogąc,
że syn jej w towarzystwie swej
żony przebywa, kontakty ich utrudniała
jak mogła, na obcowanie
ich niechętnie się godząc, jeno gdy
wieczorem do łoża spać się kładli.*

Joinville

Wróciwszy do Paryża, Ludwik z Małgorzatą żyli wciąż pod ciągłym nadzorem Blanki. Królowa matka tak bardzo zazdrosna była o syna, że nie mogła znieść, gdy młodzi małżonkowie gawędzili ze sobą. Cudów musieli też dokazywać, aby móc się spotkać w pałacu w Luwrze. Kryli się przed nią spieszenie, wspinali na strych lub wślizgiwali do wąskich przesmyków prowadzących pod okapami wysokich kominków. Królowa matka wciąż ich jednak ściagała i zawsze wytropiła. Jej mroczne spojrzenie nabierało wówczas srogiego wyrazu i surowym tonem besztala króla Francji:

– Co tu robisz? – mawiała. – Źle swój czas pożytkujesz. Wychodź!

I nie zaszczycając ni słowem biednej, trzęsącej się, jakby naprawdę była czymś winna, Małgorzaty, brała Ludwika pod ramię i wiodła do zajęć jej zdaniem bardziej stosownych.

– Powinieneś widywać żonę jeno wieczorem w swych apartamentach – stwierdzała Blanka, będąc sam na sam z synem. – Wszelkie inne spotkania prowadzą nieuchronnie do nieprzystojnych kontaktów, a więc do grzechu...

Młody król, przywykły do poddawania się woli matki, nie próbował nawet protestować. Ale że kochał Małgorzatę i znajdował przyjemność przebywając w jej towarzystwie, nadal nie mógł wytrzymać aż do wieczora, by móc z nią pogwarzyć i ująć w ramiona.

Zaczął więc chadzać z pieskiem, którego wytresował i który warczał, gdy tylko poczuł nadchodzącą królową matkę. W ten sposób ostrzegany, Ludwik IX miał czas, aby odskoczyć od Małgorzaty, która umykała do innego pomieszczenia.

Mimo tych wybiegów i ostrożności życie młodych małżonków w Luwrze stało się wkrótce nie do zniesienia i król postanowił poszukać sobie rezydencji odpowiedniejszej dla schadzek małżeńskich. Po kilku próbach doszedł do wniosku, że do tego celu najlepiej nadaje się pałac w Pontoise. W owym budynku pokój króla znajdował się nad pokojem Małgorzaty, oba zaś pomieszczenia połączone były spiralnymi schodami. Na tych schodkach mógł wreszcie swobodnie spotykać się z żoną i w dowolnej chwili okazywać jej swe uczucia^{*}.

Miejsce z pewnością było niewygodne. Ludwik i Małgorzata mieli jednak pewność, że nikt ich nie będzie niepokoił, tym bardziej że zęczenie rozstawione strażę otrzymały zadanie sygnalizować im nadejście królowej Blanki, nadal zajmującej się myszkowaniem po korytarzach. Oto, co zresztą prawi nam na ten temat sire de Joinville: „Gdy jeno straż dostrzegą nadchodzącą królową, stukali laską w drzwi, a król biegał do swej komnaty, by matka zastać go tam mogła. Tak samo czynili strażnicy przed komnatą królowej Małgorzaty, aby królowa Blanka znaleźć ją tam mogła, gdy udawała się do niej”.

* * *

Blanka z Kastylii nie podejrzewała wcale istnienia takiego sprzysiężenia. Nie znajdując już w ciemnych kątach Ludwika w towarzystwie synowej, doszła do wniosku, że wyczerpała się nieczysta gorętką młodych małżonków. Sprawilo jej to dużą przyjemność, obawiała się bowiem, że Małgorzata z Prowansji, wychowana na dworze, gdzie „rozkosz królowała”, może wypaczyć charakter syna. Otoczenie młodej księżniczki było przyczyną ustawicznego niepokoju Blanki. Małgorzata przyjechała wszak z całą świtą swawolnych trubadurów i panierek o zbyt ciepłym spojrzeniu, by mogły być uczciwe, i które śmiałyymi powiedzonkami zbijały z tropu bywalców Luwru. Ludzie ci, zajęci ustawicznie frywolnymi igraszkami, mogli nie tylko zmącić atmosferę pałacu, ale i dać zgubny przykład mieszkańcom stolicy. Myśl ta przyprawiała królową Blankę o drżenie.

Trubadurzy nie ograniczali się wszakże jedynie do zabaw na dworze; wałęsali się po Paryżu w poszukiwaniu niecznych przygód. Spotykano ich we wszystkich spelunkach, a królowa się złościła. Mimo swej wielkiej pobożności nie potrafiła ukryć zadowolenia na wieść, że zwłoki jednego z tych minstrelów – niejakiego Catalana – odnaleziono pewnego ranka w lesie Rouvray (obecny Lasek Buloński), na łące, która odtąd nosić miała jego imię...

* Joinville, *op. cit.*

Zabójstwo rozpustnika w miejscu, które już wtedy nie cieszyło się dobrą opinią, było dla Blanki dowodem, że istnieje wszak jakaś ponadczasowa sprawiedliwość...*

* * *

Rodzina królewska nie mogła jednak osiedlić się na stałe w Pontoise. Powróciwszy do Paryża, Blanka z Kastylii, której udało się zaprowadzić spokój w królestwie, w następstwie czego mogła mieć więcej czasu dla siebie, zaczęła na nowo patrolować korytarze. Oczywiście, któregoś dnia natknęła się wreszcie na syna i synową splecionych w uścisku za jakąś zasłoną. Była tym tak zaskoczona, iż sądzono, że zemdleje. Zdołała wszakże odzyskać zmysły i wygarnęła Ludwikowi IX, co myśli o jego postępowaniu. Zbesztala go w ostrych słowach. Słuchając kazania, wielce zmieszani król i królowa spuszczały głowy niczym karczone dzieci. Wyczerpawszy wreszcie zasób inwektyw, Blanka zaciągnęła syna do swej komnaty i zaczęła prawić mu morały. Wyjaśniła, że związek dwojga małżonków ma na celu jedynie płodzenie dzieci, i doradziła synowi, by odtąd spełniał obowiązki małżeńskie odmawiając jakąś modlitwę...

Nie wiadomo, czy Ludwik IX zastosował się do tej niecodziennej porady; w każdym razie nikt już nigdy nie natknął się nań, gdy po kryjomu ścisnął swą żonę w jakichś kątach.

Mimo to Blanka z Kastylii nadal z równym okrucieństwem odnosiła się do nieszczęsnej Małgorzaty. Tak minęło sześć lat.

Pewnego dnia królowa ogłosiła, że oczekuje dziecka. Daleka od radości Blanka przybrała zimny wyraz twarzy i zaczęła przemyślać, jaką by tu przykrość wyrządzić tej synowej, która ośmieliła się sprawić jej synowi jedną z największych radości, jaką człowiek ma w życiu. Los jej w tym dopomógł. Młoda niewiasta zachorowała, królowa zamknęła ją więc w komnacie i zakazała jakichkolwiek odwiedzin. Pewnego wieczoru, lekceważąc matczyne zakazy, Ludwik IX przyszedł do wezgłowia Małgorzaty. Przysiadł na łóżku, ujął w dłonie ręce żony i zaczął z nią rozmawiać, gdy nagle pojawiła się Blanka. Była zgorziona i rozgniewana, że syn jej nie posłuchał.

– Idź stąd – rzekła twardo – nic tu po tobie!

I wygoniła go z pokoju.

Małgorzata zaczęła szlochać.

– Biada mi, o pani! Nie zwolisz mi więc widywać mego pana ni żywej, ni umarłej!...

Po czym zemdląca i z wielkim trudem do zmysłów ją przywiedziono*.

W Luwrze wielce ganiono zachowanie Blanki, a jej surowość zaczynała już wszystkim doskwierać.

– Z Tybaldem z Szampanii nie była takim niewiniątkiem – szeptano.

* Lasek Buloński był polem działania prostytutek paryskich gorszej kategorii. Często zdarzały się tam burdy i morderstwa. Na polance zwanej Pré Catalan znajduje się obecnie luksusowa restauracja (*przyp. tłum.*).

* Joinville, *op. cit.*

– I mniej zakłamana z Frangipanem!...

– Czyżby się obawiała, że nasza młoda królowa zauroczy naszego dzielnego króla?

– Przede wszystkim boi się – mawiali ludzie lepiej znający Blankę – żeby królowa Małgorzata nie nabrała takiego miru, by móc się mieszać do spraw państwowych.

I to właśnie była prawda. Blanka przede wszystkim obawiała się odsunięcia od władzy, bo choć formalnie królem był Ludwik IX, królowała nadal ona. Zdarzało się nawet, że na niektórych aktach urzędowych imię Ludwika IX nie było wcale zamieszczane.

Pamiętając lata swej młodości u boku Ludwika VIII i Filipa Augusta, Blanka była pełna niepokoju. Obawiała się, że Małgorzata też będzie chciała odgrywać jakąś rolę polityczną bądź natchnie Ludwika IX myślą, by sam zaczął zajmować się sprawami państwa...

Pewne wydarzenia zdawały się zresztą częściowo potwierdzać obawy królowej matki.

* * *

Jedna z sióstr Małgorzaty, Eleonora z Prowansji, wyszła za króla Henryka III angielskiego. Inteligentna i ambitna, miała na męża znaczny wpływ. Interesowała się sprawami królestwa, podejmowała ważne decyzje, radziła ministrom.

Wszystkie listy, jakie wysyłała do Małgorzaty, pełne były opisów jej wystąpień. Oczarowana i trochę zazdrosna królowa Francji zapragnęła również odegrać jakąś rolę w polityce.

Wiedząc, że Blanka przeciwstawiać się będzie zawsze jej życzeniom, postanowiła działać potajemnie i Hilary Enjoubert powiada nam, iż „kilkakrotnie w wielkiej tajemnicy przyjęła ambasadorów angielskich – mieszała się – umiejętnie zresztą – w rozmaite intrygi”^{*}. Niestety, Blanka Kastylijska została wkrótce o tym powiadomiona, co pozwoliło jej triumfować wobec Ludwika IX:

– Synu mój – rzekła – poślubiłeś szczywaną lizkę, która marzy tylko o tym, by zająć twoje miejsce u steru królestwa. Widzisz, że słusznie byłam wobec niej nieufna.

Król nic nie odpowiedział. Stojąc między matką a małżonką, trudno mu było działać wedle własnej woli. Przrzekłszy Blance, że będzie surowy wobec Małgorzaty, ograniczył się do tego, że poprosił żonę, by w przyszłości siedziała cicho, i na tym zakończył się ów incydent.

Ludwik zaczynał jednak mieć już dość tych ustawicznych swarów, tej wojny między synową a teściową, zatruwającej Luwr atmosfery nienawiści.

Niekiedy zwierzał się Małgorzacie.

– Ach, gdybyśmy mogli razem wyruszyć na wyprawę krzyżową – wzdychała młoda królowa – jakże bylibyśmy szczęśliwi!

^{*} H. Enjoubert, *Les quatre soeurs qui furent eines*.

Wyruszyć na wyprawę? Uciec przed gwarem dysput? Przed scenami? Przed wrzaskiem? Przed ustawicznym nadzorem? A czemuż by nie?

* * *

Pewnego dnia Ludwik IX zebrał się w sobie na tyle, że ośmielił się powiedzieć o tym Blance Kastylijskiej. Ta skoczyła niby dźgnięta ostrogą.

– Nie wiesz, co mówisz, mój synu. Twoje miejsce nie na awanturniczych szlakach, lecz w sercu królestwa.

A gdy król nalegał, twierdząc, że pragnie iść wyzwalać Grób Święty i błogo rznąć niewiernych, przytoczyła mu przykład Tybalda z Szampanii, który dwa lata temu zorganizował wraz z Filipem z Nanteuil wyprawę krzyżową i o którym nie miano już żadnych wieści...

Spuściwszy głowę, Ludwik IX odszedł do swych apartamentów.

W jakiś czas później goniec przyniósł jednak do Luwru nowinę, która uradowała wszystkich: hrabia Tybald, zmordowany, ale zdrow i cały, powrócił właśnie do Francji.

Królowej matce, łzy napłynęły do oczu. Jej miłostki z Tybaldem dawno już się skończyły, nie potrafiła jednak zapomnieć żarliwych chwil, jakie jej ofiarował.

Tybald był teraz żonaty z księżniczką Małgorzatą de Bourbon; miał zamiar udać się do Paryża, gdzie czekała nań żona, z pewnością więc nie powróci już nigdy do Luwru; Blanka cieszyła się jednak, że jest on przy życiu. Kiedy dziękowała Bogu popłakując z cicha, Ludwik IX wszedł do jej komnaty.

On również rad był z powrotu Tybalda.

– Widzicie, pani – rzekł do Blanki – hrabia Szampanii powrócił z Ziemi Świętej. Pan Jezus chroni tych, którzy Go kochają. Zwólcie mi wziąć krzyż.

Blanka, która skrycie drżała o Tybalda w ciągu tych dwóch lat, nie życzyła sobie zaznawać nowych niepokojów.

– Nie, mój synu, nigdy nie zezwolę ci odjechać, byłoby to bowiem szaleństwem. Zrezygnuj z tych zamiarów. Rozumiem twą żądzę przygód, lecz winienes się radować, że rządysz państwem, w którym pokój panuje.

W istocie, od kilku lat Francja, na krótko zagrożona najazdem Tatarów, przeżywała prawdziwy wiek złoty.

Prosperowało rolnictwo, kwitł handel, cały kraj tchnął siłą i ładem, podróżowano bezpiecznie, a finanse królewskie tak dobrze były prowadzone, że z końcem każdego roku bilans wykazywał nadwyżki, które umożliwiły Ludwikowi IX znieść kilka opłat i obniżyć podatki...

Niestety, ów wspaniały pokój miał zostać zakłócony, i raz jeszcze – przez kobietę.

* * *

W czerwcu 1241 r. Ludwik IX zwołał do Saumur szlachtę i duchowieństwo królestwa, aby nadać apanaże swemu bratu Alfonsowi, który właśnie doszedł do pełnoletności. W czasie uroczystości, których nadzwyczajny przepych opisał nam Joinville, dał bratu ostrogi rycerskie oraz hrabstwo Poitou.

Po zakończonej ceremonii król odprowadził Alfonsa do Poitiers, aby przyjąć tam zarazem hołd wasali akwitańskich, wśród których znajdował się hrabia Marchii, Hugo X de Lusignan.

Złożywszy przysięgę wierności nowemu monarsze, Hugo wrócił do swego zamku, gdzie jego małżonka, Izabela d'Angoulême^{*}, przyjęła go bardzo nieżyczliwie. Ta zazdrosna i trawiona wielką ambicją księżniczka, która królowała Anglii, nie chciała od nikogo być zależna. Gorzko, wyrzucała mężowi, że złożył hołd królewskiemu bratu, i obrzuciła go tyłoma skargami i zarzutami, że w końcu się zirytował. Zebrawszy pokaźną armię, powiadomił Ludwika IX, bawiącego jeszcze z bratem w Poitiers, że jeśli nie otrzyma pewnych przywilejów, zaatakuje wojska królewskie. Mając przy sobie jedynie wątlą eskortę, Ludwik IX uznał za stosowne udać się do Lusignan, aby poznać warunki Hugona.

Po dwóch dniach wielce dwornych rozmów król wrócił do Poitiers, przyznając hrabiemu Marchii wszystko, czego ów żądał.

Niezmiernie rad ze zwycięstwa, Hugo udał się natychmiast do żony, spodziewając się zyskać jej pochwałę. Zastał ją wściekłą i „gorejącą nienawiścią” – jak powiadają kronikarze. Kiedy dowiedziała się, że negocjacje już się zakończyły, pobiegła do apartamentów zajmowanych przez Ludwika IX i, jakby chcąc oczyścić miasto ze zmyy królewskiego pobytu, rozkazała wynieść meble, ubiory, statki kuchenne, ozdoby kapliczne i wysłała wszystko to do Angoulême.

Ośłupiały i wielce zasmucony hrabia patrzył na nią, nie mogąc nic zrozumieć. Z wielką ostrożnością zapytał, czemu pustoszy jego zamek.

Odpowiedź wstrząsnęła murami:

– Wyjdz stąd! – krzyczała Izabela. – Precz z moich oczu, najpodlejszy ze wszystkich człecze, hańbo i wyrzutku społeczeństwa, co czcisz tych, którzy cię wywłaszczają! Precz, nie chce cię widzieć na oczy!

I wyjechała do Angoulême.

* * *

Po dwóch dniach Hugo udał się do niej. Rozkazała nie wpuszczać go do zamku, w którym mieszkała, przez trzy dni przeto jadał i sypiał u templariuszy. Za pośrednictwem

* Po śmierci Jana bez Ziemi Izabela wróciła do Francji, a wciąż w niej zakochany Hugo de Lusignan nie mógł się oprzeć i pojął ją za żonę.

pewnego mnicha wyjednał wreszcie posłuchanie u żony. Pokornym i słodziutkim tonem, był bowiem w niej zakochany, zażądał podania przyczyn głębokiej nienawiści do Ludwika IX.

Płacząc ze złości, Izabela wyjaśniła:

– Jakże to? Czyż nie widziałeś w Poitiers, jak trzy dni czekałam na to, by złożyć cześć twemu królowi i twojej królowej, a gdy stanęłam przed nimi w komnacie, król siedział po jednej stronie łóżka, królowa zaś po drugiej razem z hrabiną Chartres? Nie spostrzegłeś, że nie prosili, bym usiadła? Nie dostrzegłeś, że nawet nie podnieśli się ze swych siedzisk na moje powitanie i pożegnanie? Z bólu i wstydu mówić wprost nie mogę. Bóg nie zezwoli jednak, by uszło im to bezkarnie bo inaczej stracę wszystko, co posiadam, i zginę ze zgryzoty*.

Hugo próbował wykazać Izabeli, iż może czuć się pomszczona, zważywszy na przywileje, jakie uzyskał od Ludwika IX. Na próżno. Chciała buntu, wojny, rzezi...

Widząc, że mąż jeszcze się waha, oświadczyła stanowczo, iż odmawia mu swego łoża aż do dnia, gdy stanie na czele rebelii rycerzy z Poitiers.

Hugo, pałający pożądaniami, zebrał naprędce paru baronów i utworzyli ligę, której stał się przywódcą.

– To nie wszystko – powiedziała wówczas Izabela. – Teraz trzeba rozpocząć wojnę.

I zamknęła się na klucz w swej komnacie.

Natenczas Hugo zwołał rycerstwo, udał się do Poitiers i zażądał widzenia ze swym seniorem. Kiedy znalazł się przed hrabią Alfonsem, w obecności zdumionych baronów zakrzyknął:

– Mości hrabio, nie uznaję was za seniora i odwołuję swoją przysięgę.

Po czym opuścił pałac, siadł na koń w otoczeniu zbrojnych, którzy czekali nań z gotowymi do strzału kuszami, kazał podpalić dom, gdzie był przyjmowany, i pełnym galopem odjechał do Lusignan.

Tym razem była to już oczekiwana przez Izabelę wojna.

Anglicy obiecali pomoc rebeliantom, wylądowali wkrótce w Royon i wywiązywały się krwawe walki między ligą i dwudziestoma tysiącami żołnierzy dowodzonymi osobiście przez Ludwika IX. Lepiej zorganizowane wojska królewskie szybko uzyskały przewagę. Widząc to, oszalała z gniewu Izabela wysłała do Ludwika IX zabójców wyposażonych w doskonałą truciznę, starannie przez nią sporządzoną. Spisek został na szczęście odkryty.

Ujawnienie takiej nikczemności spotęgowało zapał wojsk walczących pod komendą króla i popędliwa hrabina de Lusignan musiała pogodzić się z faktem, iż sytuacja sprzysiężonych pogarsza się z każdym dniem. Król Anglii zrozumiał wreszcie, że sprawa została przegrana. Bez cienia wahania porzucił zbuntowanych baronów i pospiesznie wsiadł na statek.

Sprzysiężenie wkrótce się rozpadło i pewnego dnia Ludwik IX ujrzał Hugona i Izabelę na kolanach błagających o wybaczenie.

* J. S. D o i n e l, *Histoire de Blanche de Castille*.

Tak zakończyła się wojna baronów.

* * *

Wracając z tej kampanii, Ludwik został, niestety złożony złośliwą gorączką. Lekarze zbiegli się do jego łoża, a we wszystkich kościołach królestwa zaczęto odmawiać modlitwy.

Po tygodniu króla uważano już za straconego. Zgodnie z jego wolą umieszczono go na pościółce z popiołu i czekano, kiedy wyda ostatnie tchnienie.

Nagle oczy jego zamknęły się, zeszywniałe członki rozluźniły, a głowa opadła na bok.

– Umarł – szepnęli obecni.

Zapalono świecę, przykryto króla prześcieradłem, a księża zaintonowali pienia żałobne. Nagle płaczki usłyszały westchnienie. Uniosły przykrycie: Ludwik IX żył...

W kilka dni później był już w Luwrze, a Blanka z Kastylii czuwała u jego wezgłowia.

– W chwili gdy myślałem, że umieram, ślub uczyniłem – powiedział jej.

– Jaki?

– Przyrzekłem Bogu, że jeśli wyzdrowieję, wyruszę na wyprawę krzyżową.

Królowa omal nie zemdląła. Mimo swej pobożności próbowała odwieść króla od jego zamiaru. Zamiast odpowiedzi król kazał naszyć sobie na koszuli krzyż. Wówczas Blanka poleciła jednemu z biskupów, by przemówił królowi do rozsądku.

– Panie – rzekł biskup – ostawcie krzyż, by Francji nie wystawiać na wstrząsy. Byliście w gorączce; nie mieliście pełnej władzy zmysłów. Ślub was tedy nie wiąże.

Ludwik, od dawna oczekujący okazji, by móc wyjechać z Małgorzatą, pilnie baczył, by nie musiał zmienić zdania.

Nakazał ufortyfikować port w Augues-Mortes, u armatorów geneueńskich zamówił galery, zebrał fundusze niezbędne do przeprowadzenia wyprawy i w czerwcu 1248 r. pozostawiwszy Blance regencję, opuścił Paryż w towarzystwie żony, dwóch braci i tłumu rycerzy, którzy wraz z nim krzyż wzięli.

Królowa matka odprowadziła pielgrzymów aż do opactwa Cluny. Tam z płaczem pożegnała Ludwika IX. Po czym wojska, poprowadzone wielką chorągwią Świętego Dionizego, ruszyły drogą na Lyon...

– Nareszcie sami! – westchnęła Małgorzata z Prowansji, która aż do ostatniej chwili musiała znosić zazdrość świekry.

Po czym dodała z uśmiechem:

– Jakże będziemy szczęśliwi...

Niestety!

* * *

Kiedy krzyżowcy przybyli do Prowansji, Małgorzatę opanowała ogromna radość. Od blisko osiemnastu lat nie widziała swego kraju i jego słońca.

– Posłuchaj grania świerszczy – mawiała do Ludwika IX – kołysało mnie ono w dzieciństwie...

Uśmiechnięta, szczęśliwa, zapominała o mrocznych korytarzach Luwru, nawiedzanych przez postać Blanki z Kastylji. Zdarzało się jej nawet nucić czasem jakąś skoczną piosenkę.

Natomiast Ludwik IX, po raz pierwszy w życiu kosztując swobody, czuł się beztrosko i spoglądał na Małgorzatę z odnowioną czułością.

Kiedy wieczorem spotykali się w komnacie, której otwarte okna chłoneły ciepłą noc lipcową, ściskali się wzajem do utraty tchu.

Popelnili w tych szrankach tyle nieostrożności, że nim przybyli do Aigues-Mortes, gdzie miano wsiąść na okręty, Małgorzata była już w ciąży...

Ludwik IX obawiał się, że królowa może nie znieść trudów podróży morskiej. Ponieważ nie była to epoka szybkości i nie spieszo się z załatwianiem spraw, zapytał, czy nie wolałaby, aby zaczekano z odjazdem, dopóki nie urodzi.

– Nie, nie – odrzekła Małgorzata – wielceś łaskawy, mój panie, ale nie chcę opóźnić wyprawy, co więcej, pilno mi, by popłynąć z wami po morzach...

Nastąpiło więc zaokrętowanie i towarzyszący królowi Joinville w takich to, pełnych naiwnego uroku słowach opisuje nam perypetie związane z odjazdem: „Siedliśmy tedy w sierpniu na nawy, a wierzeje w nich otwarto, by konie przepuścić, które za morza zabrać mieliśmy. A gdy wszystkie wprowadzone zostały, wierzeje na powrót zawarto, a kłakami przybito, tak jak się to czyni z wina beczułka, jako że gdy statek po morzu pława, wierzeje pod wodą się najdują. Wówczas mistrz onej nawy zakrzyknął do stojących na dziobie: Waszeć teraz dzieło. Czyście gotowi? Naisto – odrzekli. A kiedy księża i klerycy także na statek weszli, na pokładzie stanąć im kazał, a Bogu śpiewać, by wieść nas raczył. Natychmiast wiatr żagle wydał i wkrótce ziemię śmy z oczu stracili, tak że widać było jeno niebo i morze. I dzień każdy oddalał nas od miejsca, z któregośmy wyruszyli”.

Większość krzyżowców płynących na pięćdziesięciu statkach królewskiej floty nigdy nie była na morzu. Chwiejba i kołysanie przerażały ich i powodowały chorobę morską. Wstydzili się tego. Ludwik i Małgorzata również nie czuli się zbyt pewnie. Co zaś do Joinville’a, to pisał: „Głupi ten, co grzech śmiertelny na duszy nosi, a na takie niebezpieczeństwa się wystawia. Bo, zasypiając z wieczoraż nikt nie wie, czy rankiem w morza głębinach się nie najdzie”.

Po tygodniu Małgorzata przywykła do kołysania statku; lubiła patrzeć na fale stojąc u boku króla.

Pewnego dnia na horyzoncie pojawiły się zarysy Cypru, gdzie Ludwik IX kazał zgromadzić stopy zboża i beczki z winem. Wyspa stanowić miała ostatni etap przed udaniem

się do krain zamieszkałych przez niewiernych. Wszyscy krzyżowcy wysiedli na ląd, a że zakątek był miły, zatrzymali się tam na ponad pół roku.

Była to przecież podróż poślubna...

Od czasu do czasu Ludwik IX zwoływał w pałacach, oddanych mu do dyspozycji przez króla Cypru, zebrania baronów towarzyszących mu w wyprawie do Ziemi Świętej i rozpatrywał z nimi szczegóły ekspedycji. Małgorzata uczestniczyła stale w tych „radach” i niekiedy bardzo swobodnie wygłaszała swą opinię. Moźnowładcy dziwowali się. Większość z nich, traktując żony jako miłą rozrywkę, nie mogła zrozumieć uległości króla wobec królowej.

– Jest moją damą i towarzyszką – wyjaśnił Ludwik – tym bardziej więc godna jest mego szacunku i zaufania.

Spędziwszy wygodnie zimę, krzyżowcy, do których dołączyło tymczasem wielu opóźnionych, wsiedli wreszcie znów na okręty i wzięli kurs na Egipt. Tym razem flota królewska była znaczna. „Wydawało się – powiada Joinville – że morze całe, jak okiem sięgnąć, pokryte było żaglami statków. Było ich tysiąc osiemset, tak wielkich, jako i małych”.

Po trzech tygodniach podróży Ludwik IX stanął przed Damietą, położoną przy jednej z odnóg ujścia Nilu. Wkrótce w mieście rozbrzmiał głos miedzianego dzwonu i tłum tubylców wyległ na wybrzeże dla obrony przed przybyszami.

Ludwik IX przywołał Małgorzatę.

– Pójdź, pani moja, spojrzij na niewiernych, którzy nas obserwują.

Po czym odbył naradę i postanowił, że z lądowaniem wstrzymają się do następnego dnia. Noc przemieniła się w niezwykle capstrzyk. Tak na statkach, jak i na nabrzeżu płonęły pochodnie, rozświetlając przystań nilową feeryczną poświatą.

Z nastaniem świtu król i legat papieski z tysiącem rycerzy skoczyli do barek i podpłynęli do Damietty.

Na czterdzieści sążni od brzegu łucznicy zasypali Saracenów strzałami; ci odpowiedzieli od razu z taką gwałtownością, że Francuzi wstrzymali bieg łodzi. Pojmując, że moment najbliższego wahania może przechylić szalę, Ludwik IX z tarczą u szyi i z kopią w dłoni skoczył w morze. Choć woda sięgała mu aż do ramion, poszedł w kierunku plaży, za nim zaś wszyscy rycerze, którzy nie chcieli, by król sam wystawiał się na niebezpieczeństwo.

Widząc wynurzających się z wody zakutych w żelazo żołnierzy, niewierni cofnęli się, zdjęci przerażeniem. Bez chwili wytchnienia krzyżowcy puścili się w ślad za nimi i wywiązała się straszliwa bitwa, trwająca cały dzień. Nocą, widząc widmo porażki, muzułmanie po cichu opuścili Damietę i umknęli co sił w nogach.

Nazajutrz Ludwik i Małgorzata uroczyście wkraczali do miasta.

– Pani moja, dając Damietę w darze – rzekł król. – Tu spędzisz ostatnie miesiące oczekiwania i tu dasz mi nowego syna.

Królowa zamieszkała w uroczym domku arabskim, którego szemrzące fontannami patio sprawiało, że powiadają „wrażenie że jest się w raj”. Podczas gdy spędzała tam najszcześniejsze chwile swego życia, rozleniwieni krzyżowcy pograżyli się w grzechu. Zabawiali się haniebnie, upijali i czas spędzali na wymianie żon, co dało jednemu z kronikarzy podstawę do stwierdzenia, że „chrześcijanie nadużywali w Damietcie darów bożych”...

Sam król tygodniami nie mógł zdobyć się na ukrócenie tych niepokojących nieporządków. Prawda, że wciąż był w „podróży poślubnej” i że Małgorzata wypełniała mu wszystkie chwile. Widziano ich, jak trzymając się za ręce powoli spacerują brzegami Nilu lub gawędzą na tarasie.

Pewnego dnia Ludwik stwierdził, że dłuższa bezczynność może być niebezpieczna. Zwołał baronów i zapowiedział, że na czele wojsk wyrusza nazajutrz zdobyć Mansourah, miasto położone przy drodze do Kairu.

Nieszczęsna była to kampania. Już na samym początku krzyżowców zatrzymał wylew Nilu. Ludwik rozbił obóz nad rzeką i postanowił zbudować groblę. Rycerze z królem na czele zrzucili zbroje i przemienili się w robotników.

Nie zdążyli skończyć pracy. Zaatakowali ich Saraceni, a przy tej okazji użyli broni, której Francuzi nie znali i która ich przeraziła – a mianowicie ognia greckiego. Była to mieszanina siarki i smoły asfaltowej, zamknięta w małych pojemnikach glinianych, wyrzuconych za pomocą kuszy. Zapalała się natychmiast, ciągnąc za sobą świetlistą smugę. „Wydawało się – powiada Joinville, relacjonując jedno z takich nocnych bombardowań – że smok leciał w powietrzu, a tyle światła miecił, że w chorągwiach widno było jak w dzień”.

Ludwik IX miał usposobienie mniej liryczne niż jego seneszał. Uznał, że broń siejąca trwogę w szeregach francuskich jest „niegrzeczna”.

Wody Nilu opadły, zanim jeszcze grobla, nad którą trudzili się krzyżowcy, została ukończona. Część wojsk mogła uderzyć na Saracenów, którzy rzucili się do ucieczki. Ścigano ich szaleńczo aż do Mansourah, gdzie wywiązały się krwawe walki, podczas których poległ brat królewski, hrabia d’Artois.

Ludwik IX zaczął wówczas przemyśliwać o powrocie do Damietty, gdzie czekała nań Małgorzata. Czyż nie po to wyjechał z Francji, żeby z nią przebywać?

Na nieszczęście krzyżowcy, jadając głównie ryby, które żywiły się niesionymi przez rzekę trupami, pochorowali się i odwrót został przerwany. Wyczerpany dyzenterią król legł jako jeden z pierwszych. Kolumna zatrzymała się w małej wiosce zwanej Kiarcé, w której wkrótce pojawili się Saraceni. Niezdolni do boju chrześcijanie się poddali...

Ludwik Świąty, dlatego, że pragnął w sposób nieskrępowany kochać swoją żonę, popadł w niewolę u niewiernych.

* * *

Tymczasem w Damietcie, będąca już blisko rozwiązania, królowa żyła w ciągłym strachu i obawiała się, że w każdej chwili Saraceni mogą wkroczyć do miasta. Nocą słyszano, jak krzyczy: „Na pomoc! Na pomoc!”, albowiem – strach ma wielkie oczy – przy najlżejszym szmerze wydawało jej się, że nieprzyjaciel jest już w pałacu. Aby podnieść ją na duchu, postawiono przy niej wielce wiekowego i staroświeckiego rycerza po osiemdziesiątce, który, gdy królowa zaczynała wołać: „Saraceni! Saraceni!”, mówił do niej: „Nie bójcie się, pani, jestem tu”. Pewnego wieczoru (od trzech dni wiadano już, że król dostał się do niewoli) królowa nakazała wszystkim wyjść z komnaty i ukłękła przed zacnym rycerzem.

– Mości rycerzu – rzekła – pragnę was prosić o dar i łaskę: jeśli Saraceni tu wejdą, utnijcie mi głowę.

– Pani – odpowiedział grzecznie rycerz – w razie potrzeby uczynię to; już o tym myślałem*.

Następnego dnia we łzach i trwodze królowa wydała na świat dziecko, któremu z racji iż urodziło się w tak smutnym okresie, nadano imię Jan Tristan*. Niemal zaraz potem powiadomiono ją, że krzyżowcy italscy pozostawieni na straży w mieście przebąkują o odwrocie z Damietty. Całe miasto wrzało. Małgorzata, która planowała wykorzystać Damietę jako środek zapłaty za uwolnienie króla, przeraziła się. Przywołała rycerzy włoskich do swej komnaty i przemówiła do nich:

– Mości panowie, powiadają, że chcecie odejść; zaklinam was w imię Boże, nie opuszczajcie miasta; wy jeno możecie go bronić, a król, pan mój i władca, i wszyscy, co przy nim przebywają, straceni będą, jeśli Damietta porzucona zostanie.

Krzyżowcy obiecali pozostać w mieście tak długo, jak tylko starczy żywności.

Małgorzata wstała wówczas z łoża i przez kilka tygodni musiała dokazywać cudów, by w garnizonie niczego nie brakowało.

Dzięki jej energii i odwadze w dwa miesiące później Damietta mogła być wydana Saracenom w zamian za wolność Ludwika*.

Małżonkowie, kiedy znów się spotkali, z płaczem rzucili się sobie w objęcia.

– Uchroniłaś mnie, pani, moja, od śmierci okrutnej – powiedział król. – Bez twej pomocy niewierni strzaskaliby mi kości i poderznięli gardło bułatem...

Na samą myśl o tym Małgorzata padła zemdlona.

* * *

Elementarna przezorność nakazywała, by król powrócił do Francji.

Ale Ludwik Święty nie odznaczał się przezornością.

* Joinville, *op. cit.*

* *Triste* znaczy w języku francuskim „smutny” (*przyp. tłum.*).

* Ludwik IX złożył ponadto za pośrednictwem templariuszy okup za swe uwolnienie.

Rad z wolności, zamieszkał z Małgorzatą w Palestynie i bawił tam cztery lata. Nic nie piliło go do powrotu do Paryża. Oczywiście, często myślał o Blance z Kastylii, która płacząc oczekiwała ich w Luwrze, tłumaczył sobie jednak, że samotność z pewnością nie polepszyła jej charakteru, i nie mógł się zdecydować, żeby wsiąść na statek.

Z bezbrzeżną radością odnalazł znów Małgorzatę i, mimo niedostatków znoszonych w niewoli u Saracenów, uczucia jego pozostały nie zmienione. Tak tedy królowa powiła w Jaffie córkę, którą nazwano Blanką „na cześć królowej matki”.

Pozbawiony wojsk i wskutek tego nie mogący wyprawić się na będącą w rękach niewiernych Jerozolimę, król musiał zadowolić się pielgrzymką do paru miejsc świętych, w których przebywał Chrystus (zwłaszcza do Nazaretu), aby tam modlić się w towarzystwie Małgorzaty i tych rycerzy, którzy nie zostali zmasakrowani pod Damietą i Mansourah.

Pielgrzymki te były wielce wzruszające i dla krzyżowców stanowiły dobry lek na nudę. Mimo to Małgorzacie bardzo się przykrzyło. Rozmyślała czasem o Paryżu, o dworze, o sukniach, które mogła tam nosić, i było jej tęskno. Król smucił się tym również i, odgadując tajemne pragnienia małżonki, posłał któregoś dnia seneszala Joinville’a do Damaszku, aby ten zakupił sto postawów kamlotu*, na podarunki dla pańien francuskich po powrocie do kraju, oraz dziesięć postawów dla Małgorzaty.

Spełniwszy swą misję, Joinville kazał zanieść dziesięć pak materiału do komnaty królowej.

– Co to jest? – zapytała Małgorzata.

– Nie wiemy – odpowiedziały dworki. – Przyszło to z Damaszku, a przywiózł to dla was imć pan Joinville.

– A więc są to święte relikwie – odrzekła królowa, przyzwyczajona do prezentów, jakimi obdarowywano się w Ziemi Świętej. – Moje panie, uczcić je potrzeba.

Uklękła przed pakami materiału, za nią zaś jej dworki.

Modliły się tak czas dłuższy, kiedy Joinville, pragnąc dowiedzieć się, jak też królowa przyjęła jego zakupy, wszedł do komnaty. Zdziwił się, widząc Małgorzatę na kolanach przed pakunkami z tkaniną z wielbłądziej wełny.

– Pani! – zakrzyknął – czemuż klękacie przed tymi belami?

– Czyż nie są to święte relikwie?

Joinville wybuchnął śmiechem.

– Są to postawy kamlotu, które przywiozłem dla was, pani, na polecenie króla. Składa je wam w darze.

Małgorzata, również wybuchając śmiechem, podniosła się i pobiegła opowiedzieć królowi o swej pomyłce.

* Tkanina z wielbłądziej wełny.

Jako że pobyt w Jaffle nie obfitował w śmieszności, incydent bawił krzyżowców tygodniami. Po jakimś czasie znudziło się aluzjami na ten temat i życie potoczyło się znowu swym nieciekawym trybem.

* * *

Ubrana w suknię z kamlotu, Małgorzata smętnie wzdychała i zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze Francję, któregoś jednak dnia przybył do krzyżowców posłaniec z wieścią o śmierci Blanki Kastylijskiej.

Ludwik IX pogrążył się w smutku. Przez dwa dni nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Wreszcie wydał polecenie, by w całym królestwie zaniesiono modły, i zaczął przygotowywać się do powrotu do Francji.

Natomiast Małgorzata była bardzo przejęta i „w wielkiej żałobie”. Pewnego dnia Joinville zastał ją we łzach. Nie mogąc powstrzymać zdziwienia, zapytał:

– Jak to! Oplakujecie pani, śmierć królowej Blanki? Toć to niewiasta, której najbardziej nienawidzicie!

Na co Małgorzata odpowiedziała szczerze, że nie oplakuje królowej, lecz boleje nad smutkiem króla...

W kilka tygodni później, 24 kwietnia 1254 r., flota królewska opuszczała Palestynę.

Pierwsze dni podróży upłynęły spokojnie, ale na wysokości Cypru statek, którym płynął Ludwik IX z Małgorzatą, wpadł na skalną ostrogę. Uderzenie było tak gwałtowne, że przez moment sądzono, iż kadłub rozpadnie się na dwoje. Wybuchła panika. Mamki przybiegły do królowej z pytaniem, co zrobić ze śpiącą dziatwą królewską.

– Czy nie trzeba ich zbudzić i ubrać? – spytały z płaczem.

Wielce przejęta Małgorzata zdobyła się na piękną odpowiedź.

– Nie – odrzekła – nie budźcie ich i nie ubierajcie. Niechaj śpiąc pójdą do Boga*.

Na szczęście awaria była lżejsza niż przypuszczano i statek mógł kontynuować podróż.

Po licznych przygodach w trzy miesiące później krzyżowcy dostrzegli wybrzeża Francji. Ludwik i Małgorzata wyjechali stąd przed sześcioma laty. Zaczęli płakać, a królowa zażądała aby natychmiast wylądowano.

– Miałem zamiar wracać przez Aigues-Mortes – rzekł król.

– Proszę cię, panie – odpowiedziała Małgorzata – dłużej już nie mogę.

Statki znajdowały się wówczas w pobliżu Hyeres. Ludwik IX wydał odpowiednie rozkazy i, aby zadowolić królową, wylądował w tym porcie.

Po czym karawana ruszyła w kierunku Paryża. Wzdłuż całej drogi tłoczył się lud, aby oklaskiwać króla, który powracał błądy, zmęczony i wychudły. Zaci ludzie wkrótce jednak

* Joinville, *op. cit.*

dostrzegli, że zachował krzyż (co wskazało na zamiar powrotu do Ziemi Świętej), i wielce się tym martwili.

* * *

Ledwie przybywszy do Paryża, Ludwik IX postanowił wyprowadzić się z Luwru, z którym wiązały mu się jedynie przykre wspomnienia, i przeniósł dwór do weselszego dlań zamku w Vincennes.

Czas jakiś Małgorzata żyła w szczęściu, pieszczona przez męża i otoczona dziećmi... Pewnego dnia jednak szczęście to omal nie zostało zniszczone w nader dziwny sposób: król z poważną miną podszedł do królowej i oznajmił, że postanowił oddać tron najstarszemu synowi, potem zaś wstąpić do stanu duchownego. Małgorzata chodziła przygnębiona. Przywołała młodych królewiczów i rzekła im:

– Synkowie moi, mnisi oto króla, ojca waszego, przekonali, iż rzecz miłą Bogu uczyni, gdy koronę porzuci i mnichem ostanie; jak chcecie, by was zwano: synami króla czy synami mnicha?

Królewiczowie jednogłośnie orzekli, że wolą zwać się synami króla. Po czym uklękli przed ojcem i prosili go, by wyrzekł się myśli o sukni duchownej. Małgorzata czołgała się u jego stóp. Krótko mówiąc, tak się spisali, że Ludwik zrezygnował z projektów.

Radość zapanowała znowu na zamku w Vincennes.

Małgorzata obawiała się jednak, że Ludwik zechce wyjechać do Ziemi Świętej, i też się tym martwiła.

„Trzeba – myślała – by jakieś ważne dzieło trzymało go we Francji”.

Dzięki królowej, której w czasie słuchania mszy przydarzyła się dziwna przygoda, Ludwik znalazł wkrótce to zajęcie.

W owych czasach panował zwyczaj, że gdy na zakończenie mszy kapłan wypowiadał słowa: „Pokój pański niechaj będzie z wami”, każdy z wiernych zwracał się do swego sąsiada z prawej i całował go.

I tak się trafiło, że otrzymawszy pocałunek pokoju, królowa Małgorzata przekazała go dziewczce publicznej, ubranej wszakże jak niewiasta uczciwego prowadzenia.

Po nabożeństwie, poinformowana o swojej pomyłce, królowa poczuła się obrażona, poszła więc do króla, by ten niezwłocznie wydał rozporządzenie zabraniające nierządnicom noszenia „sukni z trenem, z wywiniętym kołnierzem i paskiem złożonym”. Kiedy Ludwik IX ogłosił ów edykt, Małgorzata poprosiła, aby zajął się problemem prostytucji w Paryżu i zlikwidował domy rozpusty.

Ulice stolicy roiły się wówczas od „miłośnic”, które przeżywały okres niesłychanej pomyslności. Kronikarze wspominają o tym z wielkim smutkiem. Miały zresztą swój własny cech pod jurysdykcją króla ladacznic. Za patronkę uznawały Świętą Magdalенę. Często

chodziły do kapliczki przy ulicy Jussienne (zwała się ona wtedy ulicą Gippecienne – zniekształcenie słowa: egipska), leżącej w parafii uczeszczonej przez dziewczki publiczne już od jej założenia w XII wieku. Zapalały świece przed osobliwym witrażem przedstawiającym Świętą Sarę unoszącą suknię na promie. W szkłe wygrawerowano ów dziwny napis: „Święta, ofiarująca ciało swe jako opłatę za przewóz”.

Dowiedziawszy się o tym wszystkim, Ludwik IX, wielce zgorzony, zakazał pod karą wynajmowania ladacznicom domów i polecił, by tytułem odpłaty za ich rozpasanie, zostały wyświecone z miasta, pozbawione ubrań i umieszczone w domach poprawczych.

Naturalnie, rozporządzenie nigdy nie zostało zrealizowane, gdyż dzięki licznym powiązaniom dziewczki pochowały się i uprawiały odtąd swe rzemiosło potajemnie. Niebawem pojawiło się za to dwa razy więcej ladacznic niż przed ogłoszeniem rozporządzenia.

Ludwik IX został wówczas zmuszony do złagodzenia rygorów swego edyktu i wydania nowego w którym nakazywał, by „niewiasty wszeteczne ciałem i obyczajem ze wszystkich grodów i miast zacnych wygnane zostały; zwłaszcza zaś, by wyświecone były z ulic śródmieść onych miast poćwiych i pomieszczone za murami, z dala od miejsc świętych, jako to kościoły a cmentarze”.

Przewidziane było ponadto, że kto wynajmie swój dom ladacznicom, obłożony zostanie specjalnym podatkiem. Było to okężne – a zrężne – uznanie prostytucji przez Ludwika Świętego.

Niemal wszystkie dziewczki publiczne wyniosły się ze stolicy i zamieszkały w małych chatkach, do których paryżanie szybko znaleźli drogę i które ochrzcili saksońskim mianem *bordów*. Do miana tego wprędce dodano zdrobnienie, które pozostało nam do naszych czasów.

Zabrzmiało to być może osobliwie, ale gdyby nie królowa Małgorzata, słowo „burdel” zapewne nigdy nie pojawiłoby się w słowniku...

* * *

Wojna z ladacznicami i reglamentacja prostytucji zajęły Ludwikowi Świętemu blisko dziesięć lat, królowa przeto winaowała sobie, że wynalazła królowi zajęcie, które zatrzymało go we Francji.

Niestety, któregoś dnia 1268 r. Ludwik IX ogłosił, że organizuje nową wyprawę krzyżową.

W kilka miesięcy później, głuchy na prośby Małgorzaty, wyjeżdżał z Vincennes, pozostawiając rządy królestwa dwu doradcom, a opiekę nad dziećmi królowej, która „z rozdartym sercem” patrzyła na jego odjazd.

Nie ujrzała go już nigdy więcej.

Ludwik IX zmarł bowiem od zarazy pod murami Tunisu 25 sierpnia 1270 r.

Małgorzata zaś zagrzebała się w rezydencji, którą kazała pobudować podług Paryża, i żyła tam jeszcze dwadzieścia pięć lat, z melancholią wspominając szczęśliwe czasy, gdy męża jej nie nazywano jeszcze królem Ludwikiem Świątym; szczęśliwe czasy, gdy chowała się z nim na schodach w Pontoise...

15.

Czy królowa Maria Brabancka kazała powiesić niewinnego?

*Powiadano wówczas, że królowa
podłym sposobem posłała na
Sokolą Górę człowieka,
który zazdrościł jej, że jest kochana...*

C. Lenient

Pewnego dnia 1259 r. Ludwik IX wezwał swego młodszego syna na rozmowę w cztery oczy.

– Filipie – rzekł doń z uśmiechem – mam dla ciebie miłą niespodziankę.

Królewicz, który właśnie skończył czternaście lat, pomyślał, że król zamierza pewnie podarować mu miecz, i wielce się tym uradował.

Z góry podziękował królowi.

– Nie dziękuj, nim poznasz, o co chodzi. Oto, co zamierzam: zaręczyłem cię z księżniczką Izabelą Aragońską.

Filip osłupiał. Z błyszczącym wzrokiem zadał pytanie:

– Ile ma lat?

– Jedenaście – odrzekł Ludwik IX.

Królewicz był srodze rozczarowany. Czternastoletni młodzian wolałby wypróbować pączkującą męskość z jakąś nieco starszą damą. Rozmyślał o tym często i jego wzrok wielokrotnie błędził po co dojrzałszych kształtach dworek królowej, jego matki.

Wydawało mu się, że podarunek ojcowski jest bez znaczenia, zrobił więc nader kwaśną minę.

– Nie wyglądasz mi na zachwyconego – rzekł król. – Mylisz się. Twoja narzeczona jest urocza. Ponadto wiesz, że poślubisz ją dopiero za trzy lata.

Pocieszyło to Filipa, który zapomniawszy o małej narzeczonej aragońskiej, nadal spoglądał łakomie na damy dworu...

* * *

W trzy lata później młody królewicz w towarzystwie matki, królowej Małgorzaty, oraz króla udał się do Clermont-Ferrand, gdzie miał spotkać Izabelę i króla Aragonii. Był niespokojny i w złym humorze, gdyż wiedział, że nawet jeśli jego narzeczoną byłaby potwornym brzydalem, nie może odmówić jej poślubienia. Jego małżeństwo miało bowiem ważne skutki polityczne. Poprzez ten związek, będący jednym z warunków traktatu, Jakub I Aragoński oddawał Ludwikowi IX hrabstwa Forcalquier i Arles, jak również miasto Marsylię, Béziers i Mediolan. Otrzymywał w zamian hrabstwa Barcelony i Katalonii.

Pewnego wieczoru na ulicach Clermont rozległ się głośny dźwięk trąb. Nadciągała straż przednia orszaku króla Aragonii. Ludwik IX, Małgorzata i Filip stanęli zaraz przed katedrą i oczekiwali gości.

Po mieście rozniosła się wieść, że spotkanie ma nastąpić właśnie w tym miejscu i ponad dziesięć tysięcy osób zgromadziło się na placu przed katedrą, aby ujrzeć dziewczynę przeznaczoną dla królewicza.

Pierwszy pojawił się jadący na białym wierzchowcu król Jakub. Przywitano go długotrwałą owacją. Po czym na plac zajechał powóz. Królowa Izabela uśmiechała się. Jej ukazanie się wzbudziło znaczny entuzjizm. Była ładną brunetką, wielce apetyczną, a jej ogniste oczy łakomie zatrzymały się na Filipie. Ten, zmieszany, natychmiast zapomniał o swych obawach i zaczął nawet czuć się z lekka zakochany.

Ślub odbył się nazajutrz, 28 maja 1262 r., z wielkim przepychem, ponieważ z chwilą śmierci księcia Ludwika, starszego brata, Filip stał się w roku 1260 następcą tronu francuskiego. Większość możnych wasali obecna była na ślubie.

Po zakończonych uroczystościach weselnych, przy oklaskach tłumu nowożeńcy wyjechali z Owernii i osiedlili się w Vincennes, gdzie przez sześć lat żyli bardzo szczęśliwie. Brak jest szczegółów z tego okresu ich życia. Wiadomo jednak, że wielokrotnie „obcując cieleśnie” trójkę dzieci od niebios w nagrodę otrzymali.

* * *

Gdy w roku 1269 Ludwik Świąty wyruszał ponownie na wyprawę krzyżową, zabrał ze sobą synów: Filipa, Jana i Piotra. Izabela pojechała wraz z mężem. Z dużą dozą odwagi znosiła niewygody tej nieszczęsnej ekspedycji, znajdując nawet siły, by pielęgnować rycerzy złożonych gorączką. Jej bohaterstwo podziwiają wszyscy historycy, nigdy bowiem na nic się

nie skarżyła^{*}, a przecież, gdy Ludwik IX umierał na zarazę pod murami Tunisu, krzyżowcy cierpieli tak bardzo, że jeden z kronikarzy napisał: „wielu było takowych, co za świętym królem do raju pójść by pragnęli”.

Zostawszy królem Francji z chwilą śmierci ojca, Filip chciał początkowo kontynuować wyprawę krzyżową. Przez kilka miesięcy próbował zdobyć Tunis. Zrozumiał wreszcie, że jest to tylko strata czasu, postanowił więc porzucić tę przeklętą ziemię i wracać do Francji.

Odwrót był tragiczny.

Najpierw, gdzieś na wysokości Sycylii, flota królewska natknęła się na straszliwą burzę. Wiele statków poszło na dno, pięć tysięcy ludzi utonęło. Po minięciu Cieśniny Messyńskiej Filip westchnął:

– Koniec już naszych nieszczęść!

Niestety! W trzy dni później w Kalabrii królowa Izabela, od sześciu miesięcy będąca w ciąży, spadła z konia przy przejeżdżaniu brodu i poważnie się zraniła. Mimo starań lekarzy królewskich, młoda niewiasta, przeniesiona natychmiast do miasta Cosenza, zmarła po siedemnastu dniach okrutnych cierpień, wydając na świat dziecię płci męskiej, które żyło zaledwie parę godzin. Miała dwadzieścia cztery lata.

Boleść Filipa była tym większa, że w celu przewiezienia do Francji szczątków żony musiał poddać się przerażającemu zwyczajowi, modnemu wówczas w Italii: ciało Izabeli oddano specjalście, który je ugotował. Po czym pogrzebano jedynie części miękkie, kościec zaś złożono do trumny w celu odtransportowania do Paryża.

Filip wrócił więc do domu z trumnami ojca, żony i syna, co stało się powodem, iż lud zaczął mawiać, że „król przywiózł z wyprawy krzyżowej jeno kufry puste i trumny kości pełne”.

* * *

Po trzech latach zbliżający się do trzydziestki król stwierdził, że wdowieństwo zaczyna mu doskwierać. Jął więc rozglądać się za drugą żoną, i wybór jego padł na czternastoletnią Marię, córkę Henryka III, księcia Brabantu.

Pobrali się w sierpniu 1274 r., a nabożeństwo ślubne odprawiono w lasku Vincennes.

Maria z Brabancji była piękna, elegancka, wykształcona i dowcipna. Jej ojciec, przyjaciel Tybalda Pieśniarza, sam zresztą również poeta, rozsmakował ją w literaturze. Mimo młodego wieku była natchnieniem i protektorką wielu trubadurów. Lubiała wystawne przyjęcia, zabawy i bale. Jej przyjazd do Vincennes przydał dworowi nieco wesołości.

Król był tak zakochany, że niektórzy wielmoże sądzili, iż będzie mogła wywierać nań korzystny wpływ i pomoże w pozbyciu się pewnego osobnika o moralności nader wątpliwej, któremu udało się wkraść w łaski monarchy. Człowiek ów, imieniem Piotr de la Broce, był

^{*} W oryginale G. Breton cytuje „onc de son cuer n’ouit issir le plus petit plaint ou sospir”.

niegdyś balwierzem (tak nazywano cyrulików), a Filip uczynił go szambelanem i pierwszym ministrem. Obsypyany zaszczytami i darami, bogacił się w sposób skandaliczny ze szkodą dla skarbcza królewskiego, a zaślepienie króla co do jego osoby przekraczało wszelkie granice.

Wkrótce więc wokół młodej królowej zawiązało się stronnictwo, które bezustannie dążyło do obalenia faworyta. Ten jednak był przebiegły. Oto, co mówi nam o tym Wilhelm de Nangis^{*}: „Jako że królowa z dniem każdym coraz większą miłość i łaskawość królewską zdobywała, szambelan króla, Piotr de la Broce, żywiący w zażyłości z królem takowej, że każdy czci więcej niż komukolwiek mu oddawał, począł się troskać, jak zapewniają, miłością króla do królowej; człek to był bowiem zawistny, który chudł patrząc na szczęście bliźniego. Obawiał się, że ta subtelna białogłowa przejrzy go w końcu, a sprawi, że łaski królewskie utraci. Jak powiadają poniektórzy, niesprawiedliwość w sercu swym począł i środka jął poszukiwać dniami całymi, jak króla z królową powaśnić”.

Nieprzewidziane zdarzenie miało mu dostarczyć szukanej okazji.

Pewnego wieczoru, wyszedłszy z komnaty Marii, gdzie wypił szklanekę wody, książę Ludwik, najstarszy z synów Filipa i Izabeli Aragońskiej rozchorował się i zmarł w parę godzin później. Zaraz zaczęto mówić o truciznie i Piotr de la Broce oskarżył królową, że rozkazała usunąć młodego królewicza, dodając nawet, że ma pewność, iż ta „intrygantka” chciałaby pozbyć się wszystkich dzieci z pierwszego łoża, aby zapewnić następstwo tronu swoim potomkom. To straszliwe oskarżenie szybko doszło do uszu króla, który był wielce poruszony, lecz nie mógł uwierzyć w winę kochanej przezeń kobiety.

Powiadomil o tym Marię Brabancką, która natychmiast oskarżyła szambelana:

– To on – powiedziała – otrul waszego syna, aby mnie zgubić. Obwiesić go trzeba.

Słabego charakteru Filip był wielce zakłopotany. Nie wiedząc, co czynić, posłał biskupa Bayeux do pewnej zakonnicy z miasta Nivelles, która uchodziła za nawiedzoną i otrzymywała objawienia z niebios.

Biskup ów był jednak szwagrem Piotra de la Broce. Porozumiawszy się z faworytem, udał się do Nivelles i wrócił do króla, głosząc, że spełnił polecenie.

– A więc – spytał z niepokojem Filip – cóż też wam rzekła?

Biskup przybrał minę hipokryty.

– Wasza Dostojność – powiedział spuszczać wzrok – nie mogę odpowiedzieć, przesłuchałem bowiem zakonnice na spowiedzi i wedle prawa boskiego obowiązany jestem do zachowania tajemnicy.

– Tym gorzej dla was – odpowiedział rozzłoszczony król. – Nie posyłałem was tam, byście ją spowiadali.

I obracając się tyłem do biskupa, nakazał przywołać jednego z templariuszy.

^{*} W. de Nangis, *Chroniques*.

– Bieźajcie do Nivelles – powiedział – i przepytajcie tę zakonnice co do okoliczności śmierci mego syna, i co do ohydnych oskarżeń, które krążą*.

Templariusz wyruszył natychmiast i mimo wszelkich pułapek stawianych mu na drodze przez Piotra de la Broce udało mu się spotkać zakonnice; ta uśmiechnęła się na jego widok.

– Dobrze, że przybyliście – szepnęła, ujmując go za rękę.

Po czym kazała rzec Filipowi, „aby nie wierzył w nic, co przeciw żonie insynuować mu próbują; jest ona dobra i wierna i z serca całego kocha go i jego bliskich”.

Odpowiedź ta uspokoiła króla.

– Teraz, gdyście pewni mej niewinności – powiedziała Maria – domagam się od was głowy tego, co miłości waszej pozbawić mnie pragnął.

W kilka dni później Piotr de la Broce skazany został na śmierć przez powieszenie. Stracono go 30 czerwca 1278 r. na szubienicy na Sokolej Górze w obecności licznego tłumu. Przed założeniem mu stryczka na szyję kat zapytał go, czy chce coś powiedzieć.

– Nie mam nic do powiedzenia – odrzekł ze spokojem eks-szambelan.

Kat wyszarpnął mu wówczas stołek spod nóg.

Na wieść o tej śmierci, królowej przemknął po wargach uśmiešek. Radość jej dziwnie jednak przygasła, gdy dowiedziała się, że cały Paryż powątpiewa w winę Piotra de la Broce.

– Powieszono niewinnego – szepetano. – Skazano go zresztą na podstawie jakich to dowodów? Nie było ich wcale!

Niektórzy zaczęli przebąkiwać o zbrodni politycznej i opinia publiczna burzyła się czas jakiś.

– Wszakże – mawiali ludzie – skoro faworyt króla był niewinny, któż tedy otruił królewicza Ludwika?

Pytanie to zadają sobie historycy od siedmiuset już lat...

* *Grandes Chroniques...* rok 1276.

16.

W wieży Nesle królowa Joanna przyjmowała żaków

*Niejeden worek miała w wieży...**

G.B.

Osobliwym igraszkom oddawało się dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, onego ranka roku 1273 na balkonie zamku w Pampelunie. Jak powiada jeden z kronikarzy „posyłali sobie wzajem w ramiona i znów odrzucali” golutkie niemowlę.

Chwyтали je w locie jak piłkę i zabawa ta sprawiała im wielką przyjemność. Raptem jedna z bawiących się tak osób okazała się niezręczna. Zagapiwszy się, przepuściła dziecko, które przeleciało nad balustradą balkonu i roztrzaskało o ziemię dziesięć metrów poniżej.

Tybald, czternastomiesięczny dziedzic królestwa Navarry, zginął w ten sposób z winy głupiego guwernera i durnej piastunki.

Wydarzenie to miało zaważyć na losach pewnej dziewczynki urodzonej przed kilkoma tygodniami w Bar-sur-Seine*.

Król Henryk z Navarry, kiedy poinformowano go o wypadku, który pozbawił go syna, zwołał swych baronów i rzekł im:

– Królewicz Tybald nie żyje. Proszę was, byście odtąd za przyszłą królową Navarry uważali jego siostrę, dwumiesięczną królową Joannę.

Po czym dodał:

– Nie cieszę się dobrym zdrowiem, jeśli umrę, chcę, by sukcesja po mnie nie stała się przedmiotem jakichkolwiek sporów.

* „Elle avait plus d'un sac dans sa tour...” – trawestacja polegająca na przestawieniu szyku wyrazów w zwrocie, który można by przetłumaczyć jako „niejeden fortel w zanadru kryła” (*przyp. tłum.*).

* Król Navarry był również hrabią Szampanii.

W jakiś czas potem król Henryk spotkał się w Bouloc koło Bayonne z Edwardem I, królem Anglii. W czasie rozmów obaj monarchowie tak zgodnie rozwiązywali omawiane problemy, że przed rozstaniem postanowili pożenić swoje dziatki.

W ten oto sposób przyszła królowa Navarry, kwiląca sobie w kołysce w Provins, nic o tym nie wiedząc została narzeczoną angielskiego księżątka.

Zaręczyny te były krótkotrwałe, sześciomiesięczny książę bowiem je zerwał, umierając niespodziewanie. Królowa Joanna odzyskała wolność.

* * *

W kilka miesięcy później Henryk z Navarry zmarł wskutek nadmiernej tuszy, i żona jego Blanka, obawiając się, by królowie Kastylii nie zawładnęli jej królestwem, podjęła rokowania w celu przekształcenia jednego z przeciwników w sprzymierzeńca. Udała się do króla Piotra Aragońskiego.

– Cóż proponujecie mi, pani, w zamian za mą pomoc? – zapytał ów.

– Daję wam moją córkę. Będzie doskonałą żoną dla waszego najstarszego syna.

Piotr Aragoński przystał na to, uradowany myślą, że jego na razie dziesięciomiesięczny syn zostanie kiedyś królem Aragonii i Navarry.

Joanna znów mogła spać spokojnie, ssąc paluszek. Miała narzeczonego!

Rozżłoszceni tym manewrem dyplomatycznym Kastyljczycy wypowiedzieli wojnę Aragończykom i wkrótce wywiązały się krwawe starcia. Ludzie z Kastylii wykazali w bitwach taki zapał bojowy, że królowa Blanka przestraszyła się i poprosiła o pomoc swego kuzyna, króla Francji, Filipa III.

– Aragończycy zostaną pobici – rzekła – przybywajcie na pomoc.

Filip III był realistą.

– Coż obiecujecie mi w zamian za poparcie? – zapytał.

– Dam wam moją córkę – odparła królowa o małej wyobraźni. – Wydajcie ją za swego najstarszego syna.

Z tych samych przyczyn, którymi powodował się Piotr Aragoński, Filip wyraził na to zgodę, i królowa Joanna, mająca teraz piętnaście miesięcy, została zaręczona po raz trzeci.

Król Francji, wiedząc, z jaką łatwością królowa Blanka szasta ręką swej córki, zażądał jednak, aby zaraz wydano mu małą księżniczkę.

– Będzie się chować razem z moimi dziećmi na zamku w Vincennes – powiedział.

Joanna pojechała więc na dwór francuski. Wówczas – i dopiero wówczas – Filip posłał wojska do obrony królestwa Navarry, opuszczonego przez Piotra z Aragonii, którego ubodła niesłowność królowej Blanki.

* * *

Mimo bardzo młodego wieku oblubieńca, wkrótce zaczęto przemyślać o ślubie, który miał się odbyć w dwanaście lat później.

Filip Śmiały nade wszystko nie znośił improwizacji.

Przede wszystkim zażądał od papieża Grzegorza X zezwolenia na związek między kuzynostwem. To wystąpienie omal nie pozbawiło młodej królowy narzeczonego po raz trzeci, ponieważ Ojciec Święty, nie chcąc ułatwiać przyłączenia Nawarry do Francji, długo się wahał. Wydawało mu się, że wreszcie sprytnie rozwiązał ten problem, dając swą dyspensę nie Ludwikowi, dziedzicowi korony francuskiej, lecz jego młodszemu bratu Filipowi. Nie mógł przewidzieć, że Ludwik umrze następnego roku, i że na tron wstąpi właśnie jego brat.

Dwanaście lat przebywała Joanna w zamku Vincennes; otrzymała tam staranne wychowanie. Codziennie widywała swego starszego o cztery lata narzeczonego i nie kryła się ze swoją doń miłością.

– Jest to najprzystojniejszy mężczyzna pod słońcem – mawiała wszystkim.

Filip, istotnie, miał bardzo regularne rysy i godną prezencję, dzięki czemu zyskał już wśród mieszkańców Paryża przydomek „Piękny”.

Joanna chciałaby siadać mu na kolanach, gładzić po długich, rudych włosach i całować. Młodzieniec był jednak surowy w zachowaniu i miał chłodne spojrzenie, które gasiło w dziewczynce wszelką śmiałość. Wreszcie 16 sierpnia 1284 r. święcono w Paryżu ich zaślubiny. On miał lat szesnaście, ona blisko dwanaście.

Po ceremonii ślubnej, marząca o chwili, kiedy będzie już jej wolno wtulić się w ramiona męża, Joanna spostrzegła, że na jego twarzy maluje się zadowolenie, jakiego dotąd jeszcze u niego nie widziała.

– Kocha mnie – pomyślała sobie – jest równie jak ja szczęśliwy.

Kochał ją niewątpliwie. W tej chwili jednak zadowolenie jego inną miało przyczynę: ambitny Filip delectował się w sekrecie myślą, że nosi odtąd tytuły króla Nawarry, hrabiego i palatyna Szampanii i Brie...

Następnego roku, 5 października 1285 r. zmarł Filip III i syn jego wstąpił na tron Francji. Koronacja nowego króla oraz królowej Joanny odbyła się w Reims 6 stycznia 1286 r.

Tłum przed katedrą wiwatował na cześć małej królowej i każdy słusznie uważał, że jest ona najwdzięczniejszą dziewczynką, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Z czesem uroda Joanny uwydatniła się i rozkwitła wspaniale. W wieku osiemnastu lat młoda monarchini roztaczała urok, dosłownie zniewalający wszystkich, którzy się z nią stykali. Z tego powodu historyk Mèzeray^{*} pisał: „Królowa ta przykuwała do siebie oczy, uszy i serca wszystkich ludzi, tak była bowiem piękna, elokwentna, hojna i wyrozumiała”.

* * *

^{*} Mèzeray, *Histoire de France*.

Niestety, Joanna wkrótce zaczęła się nudzić u boku, surowego Filipa, który, zajmując się sprawami państwa, zostawiał ją samą całymi wieczorami.

Ona, tak marząca o mężu czułym i kochającym, najczęściej sypiała sama w swej komnacie. Zirytowana samotnością, wstawała czasem w środku nocy i spoglądała na płynącą pod oknem Sekwaną. Rzeka ta przyciągała ją od chwili, gdy dwór na powrót przeniósł się do Luwru. Wczesnym rankiem widziała na niej barczystych, urodziwych flisaków, których mięśnie i zbrązowiała skóra ją rozmarzyła. Nie umiała się powstrzymać, by nie myśleć o nich w ciągu dnia z westchnieniem i wszyscy, prócz Filipa oczywiście, zauważali jej melancholijny wygląd.

Pewnego dnia przestała wzdychać. Spojrzenie jej nadal było równie świetliste, stała się jednak spokojniejsza, pewniejsza siebie, bardziej też powściągliwa. Nie widywano już więcej, jak przy zabawach chwyta dłonie króla, by przycisnąć je do swych warg, bądź też niewinnie przytula się do niego. Przybrała godną i niemal równie surową jak Filip postawę.

Dziwne pogłoski zaczęły wówczas krążyć po Paryżu. Opowiadano sobie cichcem, że w niektóre ciemne noce królowa Joanna wymyka się po kryjomu z Luwru, przeprowia przez Sekwanę i udaje do położonej naprzeciwko wieży Nesle. Twierdzono, że na pierwszym piętrze kazała zaufanym ludziom urządzić wielką salę, do której nie zachodzili nigdy żołnierze, i do której dostęp możliwy był wyłącznie osobnymi schodkami. Sala ta, według słów dobrze poinformowanych plotkarek, była regularnie zaopatrywana w wino i wiktuały. Dwa czy trzy razy w tygodniu królowa jak się zdaje, spraszała tam żaków bądź flisaków, podsyłanych jej przez tajemniczą kuplerkę, i do białego rana oddawała się wraz z nimi skrajnej rozpuście. Powiadano, że po zaspokojeniu głodu miłosnego wdzięczna a przezorna królowa przywoływała straż, kazała zaszywać swych zmęczonych i nasyconych kochanków do wora obciążonego kamieniami, a następnie wrzucać ich do rzeki...

Przytaczano nazwisko młodego żaka, który z przygody uszedł z życiem dzięki złe zaszytemu workowi i rozgłosił infamię królowej.

Pogłoski te dotarły oczywiście do króla Filipa. Udawał jednak, że o niczym nie wie, i nigdy nie zrobił żadnej aluzji na ten temat.

Po siedmiu wiekach cóż można sądzić o tych oskarżeniach, które po części w dwadzieścia lat później zostaną znów podniesione przeciw Małgorzacie Burgundzkiej i jej szwagierkom?

Trudno to teraz rozstrzygnąć. Lud ze zwykłą sobie wyobraźnią zapewne przyczernił nieco fakty. Jest wszakże możliwe, że królowa miała parę swawolnych schadzek na wieży Nesle.

Dym rzadko kiedy bywa bez ognia.

Tłumaczyłoby to zresztą postawę króla, nazbyt dbałego o to, by nie dopuścić do wybuchu skandalu, który mógłby rozdmuchać wieść o złej konduicie królowej i pociągnąć za sobą skazanie na dożywotnie więzienie.

Mimo swej oziębłości Filip kochał Joannę. Nigdy nie przestał okazywać jej szacunku. Wręcz przeciwnie, by uciszyć plotkarki w królestwie, starał się dzielić z nią swe triumfy. Tak na przykład po podboju Flandrii wspólnie udali się na objazd dwóch prowincji świezo dołączonych do korony.

Zdarzył się tam zresztą dość znamienny przypadek.

Mieszkańcy Gaby, Ypres i Brugii, aby godnie przyjąć parę monarszą, postroili się w najlepsze szaty i wystąpili z całym przepychem. Nie wyszło im to na dobre. Widząc mieszczan Brugii we wspaniałych kostiumach i okrytych klejnotami, pyszna i mściwa królowa Joanna poczuła się zraniona w swej kobiecej próżności. Poczerwieniała ze złości i zakrzyknęła:

– Sądziłam, że jedna jest królowa Francji; widzę ich sześćset!*

I wyjednała u uległego wobec małżonki Filipa, aby podniesiono okup nieszczęsnym mieszkańcom Brugii...

* * *

Około roku 1294 Filip Piękny przeżywał poważne kłopoty finansowe. Ponieważ nie mógł obłożyć ludu nowymi podatkami – prawa feudalne były bardzo sztywne w tej materii – musiał zdecydować się na obcięcie własnych wydatków, co się bardzo nie spodobało królowej Joannie, przyzwyczajonej do klejnotów, rzadkich tkanin i wyszukanych ciast.

Poskarżyła się królowi:

– Czemu muszę sobie wszystkiego odmawiać, kiedy wszystkie niewiasty w królestwie, tak jak w przeszłości, nadal będą odziewać się pysznie i żywić wedle woli. To nie do zniesienia.

Filip Piękny spojrzał na nią urzekającym wzrokiem.

– Przykład tym lepszy, pani, im z wyższej góry płynie. Dowiedziawszy się o waszych wyrzeczeniach, wszystkie niewiasty Francji od jutra już równie surowy żywot prowadzić zaczną i cały kraj oszczędności poczyni.

– Jeśli taki wasz cel, mój panie, wydaj odpowiednią ustawę; zanim kobiety, naśladować mnie będą w zbytku, nigdy zaś w wyrzeczeniach. Nie chcę przeto być jedyną, co biednie się nosi. Jeśli zły stan waszych finansów ma dotknąć mnie, niechaj cały kraj razem ze mną dotknięty zostanie.

To rzekłszy, udała się do swych apartamentów.

Posłuszny Filip Piękny ogłosił w kilka dni później sławetną ustawę przeciwzbytkową, mającą na celu reglamentację wydatków każdego z poddanych, od możnego prałata do „drobnego wyrobnika...”

* G. de Nangis, *Chroniques*.

Prawo to określało liczbę dań, jakie można było podawać na stół, liczbę sukien, jakie można było nabyć w ciągu roku, oraz kwotę, jaką można było na nie wydać w zależności od stanu, urodzenia i zdolności.

Na przykład zabraniało ono podawać na kolację (stanowiącą wówczas posiłek główny) więcej niż dwa dania i jedną zupę na słońnie, na obiad (który nazywano małym posiłkiem lub małym jadłem) jedno danie i jedną przystawkę. Na danie składać się mógł jeden tylko rodzaj mięsa czy ryby.

Drugi artykuł ustawy stwierdzał, iż książęta, hrabiowie i baronowie mający sześć tysięcy liwrowych dochodów z ziem mogą sobie sprawić nie więcej niż cztery suknie w roku (tak samo i ich żony); prałaci i rycerze mają prawo do dwóch tylko szat, a damy i panienki, posiadaczki dochodów ziemskich w wysokości dwóch tysięcy liwrowych – do jednej, chyba że są to kasztelanki.

Trzeci artykuł stwierdzał, że żaden prałat czy baron nie może wydać więcej niż dwadzieścia pięć soldów tureńskich za łokieć paryski materiału na szatę. Żony baronów uprawnione były do trzydziestu soldów, kasztelan nie powinien przekraczać osiemnastu soldów za łokieć; giermek, syn barona – piętnastu; giermek ubierany w purpurę – dziesięciu; kleryk na urzędzie lub syn hrabiego – szesnastu; kanonik kościoła katedralnego – piętnastu; żona mieszczanina – szesnastu (pod warunkiem jednak, że mąż posiada dobra wartości dwóch tysięcy liwrowych tureńskich), inni mieli prawo najwyżej do dwunastu soldów.

Artykuł czwarty zabraniał mieszczanom „posiadania powozów, chodzenia nocą z woskowymi pochodniami, noszenia popielic, gronostajów, złota i drogich kamieni”.

Prawo to zabraniało tedy wszelkiej fantazji w ubiorze, co radowało królową Joannę.

– Tak więc – rzekła ze śmiechem – wszyscy ubierać się będą podobnie.

Zauważyliście być może, że żaden z artykułów prawa przeciwbytkowego nie odnosił się do obuwia. Poddani króla Filipa próbowali wyróżniać się w tejże więc dziedzinie. W modzie znalazł się wkrótce dziwny bucik wymyślony przez niejakiego pana Poulaina. Nazywano to pouline lub poulaine. Chodziło tu o obuwie zakończone szpicem, mniej lub bardziej wydłużonym w zależności od stanowiska osób, które je nosiły; pod panowaniem ustawy przeciwbytkowej ustaliła się samorzutnie pewna hierarchia stroju, przez wszystkich przestrzegana. Tak więc ciżmy były długie na dwie stopy dla książąt i wielmożów na jedną stopę dla bogaczy, na pół stopy dla pospólstwa*.

Obuwie to, zdobione rogami, pazurami bądź groteskowymi figurynkami, ściągnęło wreszcie na siebie uwagę biskupów, którzy bezskutecznie grzmieli przeciw niemu. Niektórzy omal nie uznali jego używania za herezję.

Poważniejsze sprawy miały jednak niebawem zaprzątnąć uwagę Kościoła.

* * *

* Stąd zresztą wywodzi się zwrot „żyć na wielką stopę”.

O ile królowa Joanna mieszała się czasem w sprawy królestwa Francji, o tyle ścierpieć nie mogła kiedy Filip Piękny wtrącał się w sprawy hrabstwa Szampanii, którym zarządzała osobiście, pospołu ze swą matką. Dowiodła tego, prowadząc sama dość osobliwą sprawę, która wywołała trochę wrzawy i zakończyła się całkiem niefortunnie.

Królowa wdowa Navarry zaczęła podejrzewać swego podskarbiego, kanonika Jana z Calais, że sprzeniewierzył pewne fundusze. Ten czmychnął i schronił się w Italii na dworze papieskim.

Rozgniewana Joanna, bez dostatecznych, jak się zdaje, dowodów, winą za ułatwienie ucieczki kanonikowi obarczyła niejakiego Guicharda, człeka o złej reputacji, choć był biskupem Troyes i członkiem Rady Królewskiej. Urażony prałat zaczął głosić swą niewinność, co nie przeszkodziło Joannie w usunięciu go z parlamentu.

W kilka dni później, 2 maja 1302 r. królowa wdowa Navarry, ciesząca się dotychczas kwitującym zdrowiem, zmarła raptem na jakąś tajemniczą chorobę. Lud od razu oskarżył Guicharda, który, jak powiadano, oddawał się praktykom czarnoksięskim, że otruł ją lub zauroczył czarną magią. Królowa Joanna, z całych sił pragnąca zguby biskupa, naturalnie wypowiedziała się zdecydowanie o jego winie i nakazała szefowi policji, by przeprowadził wobec niego ścisłe dochodzenie.

Nie zostało ono jeszcze zakończone (możliwe, że było już na ukończeniu), kiedy w kwietniu 1304 r. zmarła z kolei na zamku Vincennes w kwiecie swych trzydziestu dwóch lat również i królowa Joanna.

Głęboko zasmucony Filip Piękny odprowadził kondukt żałobny aż do kościoła franciszkanów-kordelierów, głuchy na okrzyki tłumu, który nie krepował się wcale i oskarżał Guicharda, że czarami spowodował śmierć królowej.

* * *

Przez cztery lata król nie zwracał uwagi na plotki. Pewnego jednak dnia 1308 r. w Luwrze zjawił się jakiś nędznie ubrany starzec.

– Chciałbym mówić ze spowiednikiem króla – rzekł. – To bardzo ważne.

Wprowadzono go, przyjął go jeden z dominikanów. Wyraźnie pod wrażeniem chłodnego spojrzenia duchownego, dziwny przybysz wybełkotał:

– Jestem eremitą z Saint-Avit. Przychodzę złożyć zeznania w przedmiocie śmierci królowej Joanny.

– Słucham was.

– Królowa, niech Bóg duszę jej w swej pieczy zachowa, jak już powiadano, zmarła właśnie wskutek czarów. Znam człowieka, który rzucił na nią urok, gdyż byłem jego współnikiem: to imię pan Guichard, opat z Moustier-la-Celle, biskup Troyes.

I w ciszy gabinetu eremita szeptem zrelacjonował, w jaki sposób zamieszany został w tę zbrodnię.

– Pewnego wieczoru – rzekł – biskup przybył do chatki, w której mieszkam w lesie. Wręczył mi jakąś fiołkę i rozkazał ruszyć do Paryża, by otruć trzech synów królewskich. Ze zgrozą odmówiłem. Obrzucił mnie obelgami, groził, że mnie zabije, wreszcie odszedł przeklinając mnie.

W kilka miesięcy później Guichard odwiedził znów eremitę w towarzystwie czarownicy imieniem Margueronne de Bellevillette. Groźbą zmusili go do uczestniczenia w obmierzłym nabożeństwie. Biskup uformował laleczkę z wosku podobną do królowej, zapalił świece i wypowiedział kilka niezrozumiałych zaklęć, natychmiast powtórzonych za nim przez czarownicę. Potem eremita musiał domawiać modlitwy, których znaczenia nie rozumiał, na koniec zaś Guichard, pochwycając długą igłę, przebił nią lalkę w kilku miejscach. Następnego dnia królowa Joanna zmarła w Vincennes na jakąś nieznaną chorobę.

Dowiedziawszy się o zeznaniach eremity, Filip Piękny rozkazał aresztować Guicharda i Margueronne de Bellevillette. Oboje energicznie przeczyli faktom przytaczanym przez ich rzekomego współnika i sprawa ciągnęła się parę lat. Pod koniec ósmego roku z braku dowodów musiano uwolnić biskupa.

W umysłach ludzi pozostał jednak jakiś cień powątpiewania.

– Guichardowi sprzyjały okoliczności – mawiano. – Gdyby król Filip nie był zajęty sprawą templariuszy, śledztwo wszczęte w następstwie zeznań złożonych przez eremitę z Saint-Avit prowadzone byłoby z większą gorliwością...

Była to prawda. Stale potrzebujący pieniędzy król zazdrościł bogactw potężnemu i możnemu zakonowi templariuszy i wytoczył rycerzom proces, który zajmował wszystkie jego myśli. Walka ta miała bardzo istotne znaczenie, lecz pospólstwo oczywiście nie umiało tego pojąć.

– Król przykłada swoją politykę i interesy ponad kult zmarłych – szeptano. – Woli zagarnąć skarb templariuszy, niż mścić śmierć naszej królowej.

Parę plotkarek szydziło co prawda.

– Chyba, że nasz dobry władca nie ma wcale ochoty karać zabójcę żony, która, jak się zdaje, zdradzała go tak niegodnie...

Uciszano je jednak.

Plotkarki winny były zresztą przymilknąć i szczerzyć jadu na lepszą okazję. Wkrótce miało się im to przydać...

14 marca 1314 r. Jakuba de Molay, wielkiego mistrza zakonu templariuszy, i czterech mnichów oskarżonych o herezję i sodomie spalono żywcem na Wyspie Krowiej, która w naszych czasach stała się cyplem Vert-Galant. Z balkonu Luwru Filip Piękny, przyglądał się tej kaźni z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Kiedy zgasły ostatnie płomienie, król przypuszczalnie pomyślał, że oto kończą się jego kłopoty.

Na tym samym balkonie znajdowały się także trzy młode księżniczki.
Najstarsza z nich nazywała się Małgorzata a pochodziła z Burgundii.

17.

Rozpusta Małgorzaty Burgundzkiej przyczyną wykluczenia niewiast z prawa dziedziczenia korony

*Królestwo Francji tak jest dostojne,
że samce nie może przypadać.*

Froissart

Filip Piękny kochał bardzo swe synowe, gdyż dzięki nim Luwr stał się niemal wesołym zakątkiem. Organizowały rozrywki, ożywione bale, wieczory poświęcone sztuce jakiegoś modnego lub bawiącego właśnie przejazdem w Paryżu trubadura; ich życie było niczym jedno wielkie święto. Spotykano je co chwila śmiejące się, furkoczące po korytarzach, otoczone chichotliwymi dziewczętami i kpiarskimi młodzieńcami.

Najstarsza z nich, jako się rzekło, była Małgorzata Burgundzka; miała dwadzieścia trzy lata. Ją właśnie król wyróżniał z uwagi na jej uśmiech i śmiały styl mówienia każdemu tego, co miała na myśli.

Była córką Roberta II z Burgundii; zanim zdążyła ukończyć piętnaście lat, Filip Piękny wyswatał ją w 1305 r. ze swym najstarszym synem, Ludwikiem.

Oceniał, że jest ładna, inteligentna, i cieszył się myślą, że któregoś dnia zostanie ona królową Francji.

Filuterne spojrzenie Małgorzaty krzyżowało się czasem ze wzrokiem monarchy. Nieodgadniona zazwyczaj twarz Filipa ożywiała się i uśmiezek wykwitał na wąskich wargach króla...

– Sprytna musi być ta księżniczka – mawiali urzędnicy rady znający dobrze Filipa – skoro potrafi działać, że król się uśmiecha.

* * *

Z pewnością była sprytna! Filip zaś przestałby się pewnie uśmiechać, gdyby wiedział, co krąży po głowce jego ulubionej synowej...

Przedwcześnie dojrzała i z temperamentem wykraczającym poza przeciętność, Małgorzata w chwili małżeństwa sądziła, że uda się jej wreszcie zaspokoić pragnienie pieśczoć. Młody Ludwik nad delikatne i urozmaicone igraszki alkowy przekładał jednak prymitywne rozkosze gry w piłkę*. Grywając w nią całymi dniami z kolegami, zasypiał potem twardo u boku żony, nie wyświadczywszy jej nawet najdrobniejszej grzeczności, choćby w celu udokumentowania dobrego wychowania.

Kanonik de Saint-Victor nie waha się zresztą powiedzieć o nim, że „był marnotrawny i rozrzutny, miał dziecinne jeno zainteresowania, choć wielokrotnie przez ojca karcon za to bywał”.

Małgorzata, którą lektura swawolnych wierszy układanych przez minstrelki podniecała z każdym dniem coraz bardziej, stała się wkrótce równie melancholijna, jak niegdyś królowa Joanna, a umysł jej zaczęły zaprzętać myśli na ogół potępiane przez moralistów. Marzyła o brutalnych uściskach i tajemnych schadzkach...

Od chwili gdy uzyskała tytuł królowej Navarry, miała niezależny dwór i mogła się cieszyć wielką swobodą*.

Wykorzystała to, aby otoczyć się młodymi damami i rycerzami bardziej niż mąż zainteresowanymi rozrywką duchową, i organizowała rozprawy na pasjonujące ją tematy. Mały dwór godzinami rozprawiał więc o rubasnej poezji, o filozofii i o miłości. Po czym Małgorzata porywała wszystkich do zabawy w chowanego, co pozwalało jej znaleźć się w jakimś zakamarku w towarzystwie najprzystojniejszego rycerza wieczoru i oczekiwać z drzeniem, że coś się przydarzy... Trzeba uczciwie powiedzieć, że ślicznotka za każdym razem doznawała rozczarowania.

Żaden z królewskich młodzianów zaciąganych przez nią do kryjówek nie ośmielił się uchybić jej czci. Niektórzy szeptali jej na uszko zgrabne komplementy, lecz nie posuwali się dalej...

Młoda królowa względnie rozsądnie przeżyła tak dwa lata. Intrygi bez efektu i namiastki flirtu nużyły ją jednak. Odsunęła się więc w końcu od tych chłopców zbytnio cnotliwych lub zbyt przezornych i widywano ją, jak ona z kolei wystaje teraz wieczorami w oknie wychodzącym na Sekwanę i podparta na łokciach obserwuje solidnie zbudowanych przewoźników rzecznych...

Ta przygnębiona egzystencja skończyła się w 1307 r., gdy Filip Piękny pozenił kolejno dwóch pozostałych synów, Filipa i Karola, z dwoma kuzynkami Małgorzaty: Joanną z Burgundii i jej siostrą Blanką.

* *Jeu de paume* – staroświecka odmiana naszego obecnego tenisa *przyyp. tłum.*)

* Od śmierci matki Ludwik nosił tytuł króla Navarry i hrabiego Szampanii.

Młoda niewiasta natychmiast odzyskała nadzieję. To, czego nie potrafiła czynić z towarzyszkami nierównymi jej rangą, którym nie mogła zwierzyć się ze swych intymnych pragnień, stało się odtąd możliwe do zrealizowania przy współudziale młodych szwagierek. A że i te niebawem zaczęły uskarżać się na oziębłość swych małżonków, jednakowe urazy spowodowały, że między trzema niewiastami zawiązało się wkrótce swoiste trójprzymierze. Synowie króla stanowczo za bardzo lubili grę w piłkę. Tym gorzej dla nich...

* * *

Małgorzata zaczęła reorganizować swój dwór, do którego dobrano całą młodzież z pałacu. Po czym trzy księżniczki zaczęły urządzać zabawy, rzecz zarzuconą od czasów, gdy królowa Joanna, zaniebawiana przez męża, poszukiwała również rozrywki... Wynajdowały tysiące ekstrawagancji, popełniły wiele nieostrożności, które mogłyby zaniepokoić każdego małżonka mniej zadufanego w sobie niż królewscy synowie. Ubiegały się o komplementy, „aby dać tym do zrozumienia, że nie jest przestępstwem okazywać im zainteresowanie”...

Filip Piękny z niewzruszonym spokojem przypatrywał się tym niebezpiecznym wybrykom. Mimo to nie wszystko w zachowaniu synowych mogło mu się podobać.

Ich pragnienie szokowania mężczyzn na dworze było tak ogromne, że któregoś dnia wynalazły nową, szczególnie śmiałą modę. Sprawily sobie suknie, których spódnica rozcięta była z jednego boku aż po biodro i przy każdym kroku dozwalała dojrzeć znacznie więcej niż księżniczkom pokazywać uchodzi. Wielu rycerzy wybałuszało oczy na widok migawkowych obrazków, jakie można było dostrzec przy poruszaniu się trzech szelmutek. I w całym Luwrze wkrótce rozeszła się pogłoska, że królewskie synowe są nie tylko śliczne, lecz także cudownie zbudowane.

Prowokujące zachowanie przyjęte przez trzy pozbawione miłości księżniczki przydało w końcu trochę śmiałości niektórym chłopcom z ich świty. Zaczęto też wkrótce szeptać o pocałunkach wymienionych ukradkiem pod osłoną schodów, a nawet o przelotnych uściskach. Nikt wszakże nie mógł podać konkretów i wielu ludzi uważało, że te historyjki to pospolite plotki wyssane z palca.

Ktoś jednak zajął się tym bliżej. Był to Jehan de Meung, autor kontynuacji *Romans Róży*. Przeprowadziwszy maleńkie dochodzenie, nabrał szybko pewności, że pogłoski są usprawiedliwione i że wdzięczne synowe króla Francji wcale nie są wzorem cnót.

Zaproszony któregoś dnia na dwór królowej Navarry na recytację swych utworów, zaczął śpiewać piosenkę, w której znalazło się kilka całkiem przejrzystych aluzji do miłosnych przygód trzech księżniczek. Chciał je zabawić. Rozgniewał je tylko.

Nie okazując złości, poprosiły go, aby pozostał w komnacie, same zaś przeszły do sąsiedniego pomieszczenia, żeby uzgodnić rodzaj kary, jaką należy wymierzyć za niedyskrecję.

Po krótkiej debacie ustaliły, że trzeba go wychłostać różgami. Wróciwszy do komnaty, powiadomiły biednego Jehana de Meung o tym, co go czeka.

– Aby odczytać was gadulstwa – rzekła Małgorzata Burgundzka – zwiążemy wam ręce, sługa pilnować będzie drzwi, a my kolejno będziemy siec was różgą.

Poeta wcale nie spodziewał się czegoś takiego. Przerażony, dał się już związać, gdy nagle pewna myśl przyszła mu do głowy.

– Świetnie, moje panie – powiedział z szacunkiem. – Iście, po stokroć zasłużyłem na karę takową. Na kolanach błagam was wszelako o jedną łaskę; nie dla uniknięcia kary, lecz by postawić jeden słuszny i uzasadniony warunek: niechaj ta z was, co najbardziej jest winna, a więc najbardziej urażona moimi wierszami, bije jako pierwsza.

Na takie *dictum* księżniczki spuściły z tonu, odłożyły różgi i oświadczyły z uśmiechem, że wszystko to było niewinnym żarcikiem.

Po tym wydarzeniu Jehan de Meung i pozostali poeci mieli się na baczności i nikt więcej nie gadał o tajemnych miłostkach trzech młodych kobiet.

Skandal jednak bliski już był wybuchu.

* * *

Piękne świecące słońce, dźwięk dzwonów i umajone kwiatami płótna zawieszane na fasadach domów – te elementy zawsze wystarczały, by miasto przybierało odświętny wygląd. Tak też działo się w Boulogne owego czerwcowego dnia 1309 r. Bulończycy uśmiechali się, radzi, że asystują przy niecodziennym wydarzeniu. Heroldowie od rana przebiegali ulice, zapowiadając rozweselonym ludziom rozliczne igrze, które miały dziać się następnego dnia. Tawerny przepelnione były po brzegi. Krótko mówiąc, świętowano jak należy mariaż księżniczki Izabeli, córki Filipa Pięknego, z Edwardem II, królem Anglii. Uroczystość ślubna odbyła się w katedrze właśnie dziś rano.

Baby podśmiewały się wszelako:

– Ten młody król angielski – powiadały – nie ma zbyt męskiego wyglądu. Można rzec, że to dziewczyna, tak głos ma pieszczotliwy a ruchy delikatne... Czyżby nasza królowa poślubiła „odmieńca”?

Ot, właśnie! Kumoszki bulońskie miały dobre oko. Młodego króla Edwarda II bardziej pociągali chłopcy niż panienki. Biedna Izabela wkrótce miała się o tym przekonać.

Na razie niczego nie podejrzewała. Zbyt zresztą była zajęta przygotowaniem do odjazdu, aby móc dostrzec coś nienormalnego w zachowaniu męża, którego wczoraj jeszcze zupełnie nie знаła. Wysłała na statek skrzynie pełne darów i eleganckich sukien, jakie już wówczas szyto w Paryżu, i czuwała nad pakowaniem szkatulek z klejnotami, którymi zamierzała olśnić angielskie damy.

Kiedy nadeszła pora odjazdu, ucałowała wszystkich członków rodziny i obdarowała każdego prezentem.

– Żebyście pamiętali o mnie, kiedy będę w Londynie – powiedziała – nie wiem bowiem, kiedy stamtąd wrócę.

Szwagierkom, Małgorzacie i Blance, podarowała dwie wspaniałe sakiewki, własnoręcznie przez siebie wyhaftowane.

Uradowane księżniczki natychmiast przypięły je sobie u paska.

– Niechaj te sakiewki przyniosą wam szczęście – rzekła Izabela.

Po czym w towarzystwie męża wsiadła na statek, ten najpiękniejszy, którego nadbudówka wybita była złotą materią...

Któż mógłby przewidzieć, że niewinne podarki przyczynią się w przyszłości do zguby lekkomyślnych synowych króla Francji?

* * *

Krótko po odjeździe Izabeli wśród nowo zaciężnych rycerzy pałacu królewskiego Małgorzata dostrzegła bardzo przystojnego chłopca, na widok którego doznawała uczucia, jakby trzymała w dłoniach kolczasty kłębuszek. Spytała o jego imię i dowiedziała się, że ów uwodzicielski młodzian zwie się Filip d’Aulnay.

Źle spała przez kilka kolejnych nocy. Wahała się jednak, czy zapraszać pięknego rycerza na wieczorki literackie i owe osobliwe zabawy w chowanego. Obawiała się, że z tym człowiekiem sprawy nie pozostaną na płaszczyźnie flirtu i przybiorą bardziej niebezpieczny obrót...

Prawdę mówiąc, bała się, że zakocha się po raz pierwszy w życiu. Z pewną dozą naiwności uważała, że zamężna kobieta może zażywać rozkoszy z chwackim partnerem i nie będzie jej to poczytywane za przewinę, miłość byłaby już jednak grzechem.

Tygodniami siliła się, by nie myśleć o Filipie. Zmuszała się do tego z takim zapalem, że w końcu zakochała się w nim na zabój. Straciła rumieńce, zniechęciła się do poezji i godzinami przebywała zamknięta w swej komnacie wzdychając, co niepokoiło damy ze świty.

Niezdolna wreszcie do dalszego tłumienia swych pragnień, pewnej upalnej nocy lipcowej kazała przywołać rycerza.

Odbyli długą rozmowę, podczas której odźwierny Małgorzaty wolał się ulotnić...

Zostawszy kochanką Filipa d’Aulnaya, młoda księżniczka odzyskała równowagę, ducha, werwę i rumieńce na buzi. Spotkania kochanków nie były jednak łatwe w pałacu, gdzie czujna straż donosiła królowi Filipowi Pięknemu o najdrobniejszych faktach. Musieli bezustannie mieć się na baczności...

Dla większego bezpieczeństwa do tajemnicy zostali wkrótce dopuszczeni odźwierny oraz dwie szwagierki Małgorzaty.

Te, rade, że mogą być zamieszane w podobną przygodę, pełniły straż na korytarzu i przepędzały natrętów. W zamian za pomoc wymagały, aby Małgorzata zwierzała się im i składała szczegółowe relacje z „pogawędek” ze swym kochankiem.

W tym celu co ranka trzy młode niewiasty zbierały się w wielkiej tajemnicy bądź to w komnacie Małgorzaty, bądź Blanki. Snute szeptem opowieści namiętnej królowej Nawarry rozpały pożądaniem oczy obu sióstr.

One również pragnęłyby zaznać głębokich wzruszeń jakiejś wielkiej miłości. Przelotne uściski, którymi zadowalały się dotąd, już im nie wystarczały, dlatego też popadły w stan niezwykłej egzaltacji w dniu, kiedy dowiedziały się, że Filip d’Aulnay ma równie jak on sam przystojnego brata imieniem Walter.

– On będzie dla mnie – oświadczyła Blanka.

Bardziej nieśmiała Joanna nie zaprotestowała. Nazajutrz poproszono Filipa, aby sprowadził brata. Natychmiast spodobał się on Blance. Zatrzymała go w swej komnacie, aby porozmawiać na osobności. Wyszedł stamtąd dopiero o brzasku, zdyszany, na miękkich nogach i z błędnym spojrzeniem.

Odtąd Joanna namiętnie wysłuchiwała podwójnych zwierzeń...

Nadal roztaczała czujną straż nad kochankami, uprzedzając ewentualne pojawienie się mężów, ułatwiając pospieszne ucieczki i posuwając się niekiedy aż do ukrywania rycerzy w skrzyniach w swej komnacie. Dzięki niej przez trzy lata nikt w pałacu nie podejrzewał, co działo się nocą w apartamentach księżniczek*.

Na nieszczęście niewybaczalny błąd miał wkrótce wszystko to zniweczyć.

* * *

W 1313 r. Blanka i Małgorzata popełniły rzeczywiście wielką nieostrożność. Upajająca atmosfera zabaw odbywających się wówczas w Paryżu niewątpliwie zawróciła im trochę w głowie.

Cała stolica się weseliła. Filip Piękny uroczyście pasował właśnie swych synów na rycerzy. Relacjonujący te wydarzenia kronikarze powiadają, że „przybyli na uroczystości książęta i panowie królestwa na prześcigi roztaczali wspaniałość swych zbroi i ubiorów, które zmieniali nieraz i trzykrotnie w ciągu dnia”.

* Wyjaśnijmy w tym miejscu, że wszystkie te „gorące noce” działy się w Luwrze. Albowiem wbrew temu, co Aleksander Dumas opowiada w swojej powieści, Małgorzata Burgundzka nigdy nie postawiła nawet stopy w wieży Nesle. Dumas obarczył tę księżniczkę wyuzdaniem przypisywanym królowej Joannie z Nawarry i być może Joannie Burgundzkiej, która, zostawszy królową Francji, istotnie zamieszkiwała w pałacu de Nesle i prowadziła tam dość swobodny tryb życia.

Na obchody król zaprosił swego zięcia, Edwarda II angielskiego, i Izabelę. W ogrodach Saint-Germain-des-Pres wyprawił również festyn, na którym zaproszeni goście, usadowieni pod kraszonymi złotem namiotami z jedwabiu, obsługiwani byli przez konnych służących.

Ulice stolicy oświetlano, by można było hulać i pić noc całą. Na skrzyżowaniach tryskały fontanny z winem. Mieszczanie i lud poprzebierali się na różne miłe sposoby, ladacznice zaś, pod pretekstem przedstawienia matki Ewy przed popełnieniem grzechu pierworodnego, skorzystały z okazji, aby ukazać się niemal całkiem nago.

Pierwszy dzień uroczystości zakończył się nieprzyjemnym zgrzytem. Ledwie angielska para monarsza udała się na spoczynek, w komnacie pałacu, który Filip Piękny oddał do ich dyspozycji, wybuchł pożar. Umknęli w samych koszulach, co dało powód do licznych żarcików.

Czy właśnie ta przygoda wprawiła Izabelę w zły humor? Bardzo możliwe. Tak czy inaczej, młoda niewiasta o mściwym charakterze okazała się nazajutrz bardzo nieprzyjemna wobec wszystkich, zwłaszcza wobec trzech szwagierek.

Z zaciętymi wargami, z goryczą spoglądała na nie złym okiem, zazdroszcząc im szczęśliwego wyglądu kobiet zaspokojonych, którego jej zniewieściały małżonek z pewnością nigdy nie umiał w niej wywołać.

Monarchowie, zaproszeni goście i dwór przypatrywali się po południu misteriom i procesji satyrycznej skierowanej przeciwko papieżowi Bonifacemu VIII.

Podczas gdy wszyscy się zaśmiewali, Izabela obserwowała swych sąsiadów, starając się wypatrzeć w nich coś śmiesznego, żeby swoim zwyczajem móc ich potem wykpiwać. O kilka kroków od niej stali bracia d'Aulnay, i przy ich pasach Izabela dostrzegła sakiewki, które podarowała Małgorzacie i Blance przed wyjazdem w Boulogne...

Rozzuchwalone niewątpliwie trzyletnią bezkarnością, dwie młode niewiasty popełniły w istocie ów bezrozumny błąd, że podarowały sakiewki swym amantom.

Tego samego wieczoru Izabela udała się do króla, by opowiedzieć mu o swym odkryciu. Strzegący się, by nie zdradzić wzruszenia, Filip Piękny, wysłuchawszy ją w milczeniu, poprosił o dochowanie tajemnicy i odprawił bez słowa, po czym wydał rozkaz, ażeby ściśle strzeżono synowe.

W dwa dni później urzędnicy policji złożyli mu raport nie pozostawiający żadnych wątpliwości...

Wstrząśnięty tym Filip udał się do opactwa Maubuisson, aby tam w spokoju zastanowić się i podjąć jakąś decyzję.

Czy miał zatuszować skandal, czy też uderzyć w winne przykładną karą? Wahał się tydzień. Dowiedziawszy się w końcu, że odźwierni wiedzieli o złym prowadzeniu się księżniczek i sądząc, że któregoś dnia całe królestwo zacznie natrzasać się z jego synów,

skłonił się ku surowości. Trzeba, by wiadano, iż sprawiedliwość królewska dosięga wszystkich winnych, kimkolwiek by byli*.

Wydał więc rozkaz aresztowania synowych...

* * *

Pewnego dnia przed drzwiami wiodącymi do apartamentów Małgorzaty stanęli łucznicy.

– Z rozkazu króla, otwórzcie!

Przerażony odźwierny otworzył drzwi. Został natychmiast związany i pozbawiony możliwości obrony, żołnierze zaś wkroczyli do komnaty, gdzie księżniczka spokojnie już spała.

– Z rozkazu króla... – zaczął dowodzący oddziałem sierżant.

Małgorzata przebudziła się, spostrzegła łuczników otaczających jej poślanie i zrozumiała, że stało się wreszcie to, czego obawiała się przez trzy lata.

– Czegóż ode mnie chcecie?

– Z rozkazu króla, pani, przyszliśmy was aresztować.

Zaczęła wówczas płakać i łucznicy zakłopotali się. Dłuższą chwilę patrzyli stojąc w bezruchu, pełni admiracji, na tę ładną osóbkę szlochającą w łóżku. Po czym sierżant z wielkim szacunkiem poprosił Małgorzatę, by wstała i poszła z nimi. Usłuchała go bez protestu.

W tym samym czasie podobne sceny rozegrały się w apartamentach Joanny i Blanki.

Wszystkie trzy zostały umieszczone w powozie i odwiezione do więzienia. Najmniej winną Joannę ogarnął w drodze prawdziwy atak rozpacz. Zapóźnieni przechodnie słyszeli płaczliwy głos:

– Na Boga, powiedzcie panu memu, Filipowi, że umieram bez grzechu.

Więść, że król kazał aresztować swe synowe, już następnego dnia rozeszła się po Paryżu, później zaś po całym królestwie. Wkrótce o niczym nie wiedzący zacny naród zaczął rozpuszczać najbardziej niezwykle historyjki: powiadano, że księżniczki, naśladując królową Joannę z Navarry, ściągały sobie nocą do wieży Nesle żaków i oddawały się rozpuście; jednodniowych kochanków – dodawno – kazały potem wrzucać do Sekwany. Powiadano też, że pewien wykładowca uniwersytetu, niejaki Buridan, zaproszony przez trzy szwagierki, został o świcie zaszyty w worek i rzucony do rzeki. Ale zapewniano też, że znając los, jaki go czeka, Buridan poprosił paru swoich uczniów, aby do podnóża wieży Nesle doprowadzili krypę wyładowaną sianem; w ten sposób spadł na miękkie podłoże, zaś jego współnicy cisnęli w wodę duży kamień, tak aby trzy niewiasty niczego nie podejrzewały...

* Filip Piękny miał, być może, jeszcze jeden powód skłaniający go do surowości. Okazując tym razem nieustępliwość, czyż nie rozgrzeszał tym samym swojej małżonki, której wybryki niegdyś zatuszował?

Wszystko to było oczywiście wysane z palca. Legenda jednak zapadła w umysły ludzi do tego stopnia, że w sto pięćdziesiąt lat później Villon nawiązał do niej w swej „Balladzie o niegdysiejszych damach”:

Podobnie, gdzież jest ta królowa.

Na której rozkaz Buridany

Ciskano w workach do Sekwany...

A uczeni erudyci twierdzili, że właśnie po tej przygodzie profesor napisał swój sławny sofizmat: „Wolno jest zgładzić królową, gdy jest to konieczne...”

Tak jakby filozofowie mieli zwyczaj opierać swe rozumowania na doświadczeniu...

* * *

W kilka dni po aresztowaniu księżniczki zostały przesłuchane przez trybunał złożony z wysokich osobistości. Małgorzata zeznawała jako pierwsza. Zanim zdążyła czemukolwiek zaprzeczyć, poinformowano ją, że odźwierny, wzięty na tortury, wygadał wszystko. Nie dając jej ochłonąć, dodano, że aresztowano Filipa d’Aulnaya. Zachwiała się. Ów to właśnie moment wykorzystał jeden z sędziów, by podać kilka dalszych szczegółów.

– Rycerz ten, pani, po pewnych torturach, które musimy stosować wobec ludzi dyskretnych, przyznał wreszcie, że od trzech lat był waszym kochankiem.

Małgorzata załamała się wówczas.

– Wiecie, pani – dodał sędzia patrząc jej prosto w oczy – co czeka rycerza, który ośmielił się uwieść żonę swego monarchy. Zbrodnia zdrady stanu karana jest śmiercią okrutną i powolną.

Na myśl, że Filip będzie musiał umrzeć, Małgorzata wybuchnęła szlochem, padła na kolana i wyznała wszystko.

Blanka uczyniła to samo, gdy dowiedziała się, że na łożu tortur Walter też wyznał wszystko.

Jeśli chodzi o Joannę, opanowała się i broniła zażarcie. Pragnąc całkowicie oczyścić się z zarzutów, udawała, że nie wiedziała nic o działaniach Małgorzaty i Blanki, że „nie była na ich dwór ni na rdy sekretne dopuszczana”, w końcu zażądała rozmowy z królem. Filip Piękny ją przyjął.

– Przysięgam, panie mój, żem uczciwą kobietą – zakrzyknęła.

Król zapewnił ją, że zarządzi to, co dziś nazywamy „uzupełnieniem śledztwa”, i rzekł do niej:

– Pani, dowiemy się wszystkiego i wedle prawa z wami postąpimy, do tego zaś czasu pod strażą będziecie.

Po czym rozkazał odstawić Joannę z pewnymi wszakże względami na zamek Dourdan, gdzie zatrzymano ją w areszcie.

Mniej łagodne postępowanie zastosowano wobec dwu księżniczek uznanych za winne. Blanka i Małgorzata, skazane za cudzołóstwo, nie mogły co prawda spodziewać się najmniejszego pobłażania. Ostrzyżono im głowy, ubrano w zgrzebne suknie i osadzono w wilgotnym lochu na zamku Château-Gaillard koło Andelys.

* * *

Filip i Walter d'Aulnay oczekiwali tymczasem w więzieniu w Fontoise na wykonanie wyroku skazującego ich na śmierć w męczarniach.

Pewnego ranka przyszli po nich łucznicy. Zaprowadzili ich na plac Martroi, gdzie miała się odbyć egzekucja, i gdzie zebrał się ogromny tłum, rad, że uczestniczyć będzie w tak sensacyjnym widowisku.

Gdy przewot* ubrany w uroczystą szatę podbitą futrem zajął miejsce na podwyższeniu, zapadło milczenie. Obu braci oddano w ręce katów, którzy natychmiast przystąpili do dzieła. Z uwagi na rodzaj popełnionego przestępstwa jednym machnięciem noża obcięto im najpierw narządy płciowe. Nieszczęśnicy byli następnie żywcem obdzierani ze skóry. Każdą wyrrywającą z ich gardeł przeraźliwe okrzyki trwała blisko godzinę. Następnie obięto im kończyny, a że mimo tych tortur byli jeszcze przy życiu, włóczono ich końmi po rżysku. Wreszcie ścięto im głowy, a złachmanione resztki korpusów powieszono na sznurze przeciągniętym pod pachami*.

Na tym jednak nie zakończono wymierzania sprawiedliwości. Odźwierny, który ułatwiał miłosne spotkania, damy dworu pomagające księżniczkom w ich intrygach, wszyscy podejrzani o popieranie bądź tylko o znajomość spraw, mężczyźni i kobiety, zostali aresztowani, wzięci na tortury i powieszeni. Jeden z biskupów, skompromitowany zeznaniami wyciągniętymi z jakiejś ofiary na torturach, został przekazany inkwizycji awiniońskiej, oskarżony o czary i spalony.

Długie jeszcze tygodnie ogarnięty czymś w rodzaju szału Filip Piękny nakazywał chwytać każdą osobę, nad którą zaciążyło choćby najmniejsze podejrzenie, ówcześni kronikarze mówią nam, że „wieszano ich, palono, zgładzano potajemnie na mękach, zaszywano w worki i wrzucano do rzeki”.

Wkrótce wszyscy ci, którzy w ten czy inny sposób kontaktowali się z księżniczkami, zaczęli drzeć ze strachu i terror taki panował w Luwrze aż do 1314 r., dokładnie – do 29 listopada, kiedy to do Fontainebleau dotarła zdumiewająca wiadomość; Filip Piękny zmarł niespodziewanie podczas polowania.

* Namiestnik jakiegoś okręgu administracyjnego, np. przewot kupców paryskich był burmistrzem Paryża (*przyp. tłum.*).

* Kontynuator N a n g i s a, *Grandes Chroniques*.

Natychmiast zawieszono wszelkie ścigania.

I w lepszej już atmosferze na tron wstąpił Ludwik X Kłótnik.

Nowy król miał jednak swoje kłopoty, gdyż Małgorzata, z którą nie mógł się rozwieść, jako że cudzołóstwo nie było wystarczającym powodem unieważnienia małżeństwa, pozostawała nadal królową Francji. A królowa Francji nie mogła przecież żyć uwięziona w lochu. Cóż tedy? Widząc, że nie będzie mógł przebaczyć żonie i pozostawić ją u swego boku, Ludwik Kłótnik próbował znaleźć inne wyjście z sytuacji. Myśl pewna przyszła mu wreszcie do głowy. Wezwał kilku zaufanych ludzi, wydał im dyskretne rozkazy i pewnego dnia nieszczęsna Małgorzata, dniem i nocą nie przestająca krzyżeć, że zasługuje na swą karę, została uduszona w celi.

Z ulgą w sercu Ludwik Kłótnik zabrał się natychmiast do szukania nowej małżonki...

W tym samym mniej więcej czasie Joanna, której udało się doprowadzić do końca dotyczące jej śledztwo, stanęła znów przed parlamentem^{*} w obecności stryjów – hrabiego de Valois i hrabiego d'Evreux. Mimo swej odwagi drżała odrobinę wychodząc na salę sądu, albowiem wiedziała, że policja wysłedziła pewnego młodziana, z którym popełniła niegdyś parę nieostrożności podczas owych nieco szczególnych zabaw w chowanego, jakie lubiła organizować Małgorzata. Nim przystąpiono do rzeczy, przewodniczący trybunałowi duchowny zaczął mówić o tym młodym rycerzu; na szczęście głos zabrał tylko po to, by powiadomić, że mimo poddania torturom rycerz nic nie wyjawiał. Zakończył stwierdzeniem, że krążące plotki są fałszywe i że w efekcie Joanna musi być uznana za niewinną i niezwłocznie zwolniona z więzienia.

Uratowana dzięki bohaterstwu rycerza, Joanna została, istotnie, natychmiast uwolniona i przyjęta przez męża, przyszłego Filipa V, który zwrócił jej wszystkie honory należne jej pozycji. Historykowi Mézeray dało to powód do stwierdzenia, że Filip V „miał więcej szczęścia lub był mądrzejszy od swych braci...”

* * *

Młody król, Ludwik Kłótnik, nadal poszukując nowej małżonki, zaniedbywał nieco politykę... Czas upływał mu na pisaniu listów do zagranicznych dworów z prośbami o informacje na temat wszystkich europejskich księżniczek. Wysyłał na miejsce przyjaciół, aby ci wypowiedzieli się co do urody i wdzięku kandydatek, kazał sobie sprowadzać portrety itd.

Pragnąc, by jego ślub wywarł wrażenie w narodzie i zatarł wspomnienie niedawnego procesu, zamierzał święcić uroczystość weselną z możliwie największym przepychem.

Kiedy jednak opowiedział o swych zamiarach, ministrowie pospuszczali głowy.

– Sęk w tym – wybąkali – że skarb jest pusty...

^{*} W odróżnieniu do parlamentu angielskiego, parlament francuski był wyłącznie organem sądowym (*przyp. tłum.*).

Zaskoczyło to Ludwika Kłótnika, który zażądał wyjaśnień.

Doradcy krępowali się trochę wyjawić mu prawdę. Nie śmieli powiedzieć, że zły stan finansów przypisać należy przede wszystkim Filipowi Pięknemu, który pod koniec swego panowania organizował wystawne uroczystości, następnie zaś – jego trzem synowym których wydatki na przestrzeni tych lat były ogromne; oskarżyli więc o malwersacje człowieka, któremu od dawna zazdrościli autorytetu na dworze: Enguerranda de Marigny, głównego ministra zmarłego króla.

Zagniewany pustkami w skarbcu Ludwik X rozkazał natychmiast uwięzić Enguerranda de Marigny w Vincennes i zwołał prałatów oraz możnych królestwa, aby go sądzili. Po krótkich debatach dawny minister został oskarżony o psucie pieniądza, zagarnięcie denarów przeznaczonych dla papieża Klemensa V, dewastację lasów królewskich oraz przyjmowanie pieniędzy od Flamandczyków, dawanych w celu nakłonienia go do zdradzenia Filipa Pięknego. Niektórzy dodawali sroższe oszczerstwa, twierdząc, że Enguerrand de Marigny oddawał się praktykom czarnoksiężskim...

Niezdolny do odparcia tych zarzutów, gdyż nie pozwolono mu się bronić, nieszczęśnik skazany został na śmierć przez powieszenie na najwyższej belce szubienicy na Sokolej Górze. Wyrok wykonano o świcie 30 kwietnia 1315 r.

Ludwik natychmiast zagarnął cały jego majątek o wartości czterdziestu milionów obecnych franków i pewien odtąd, że może sobie pozwolić na ślub, jaki wymarzył, znów zaczął rozglądać się za jakąś miłą żoneczką...

* * *

W dwa miesiące później król wysłuchał zwierzeń jednego z doradców, dręczonego wyrzutami sumienia. Ten poinformował go, że Enguerrand de Marigny padł ofiarą intryg i skazany został niesłusznie. Ludwik Kłótnik, dobry z natury, był szczerze zmartwiony. Bez wahania powołał nową komisję do zbadania rozliczeń pechowego ministra. Niestety, podjęta odrobinę zbyt późno inicjatywa pozwoliła stwierdzić, że deficyt skarbowy wynika z wydatków królewskich i że nieskazitelność Enguerranda w żadnej mierze nie może być podana w wątpliwość. Król zrehabilitował pośmiertnie skazanego i zwrócił jego dziedzicom część (ale tylko część) zagarniętej przez się fortuny.

I znów popadł w kłopoty, albowiem finanse znalazły się niemal w równie złym stanie, co przed aresztowaniem Enguerranda.

Wpadł wówczas na inny pomysł i zaczął poszukiwać księżniczki bogatej, w nadziei, że ta będzie mogła ponieść kosztą wystawnego wesela, o czym wciąż przemyślał.

Doniesiono mu o wielce posażnej pannie. Była nią Klementyna Węgierska. Uprzedzono go, że nie odznacza się nadzwyczajną urodą i że zdaniem niektórych jest nawet dość brzydka; Ludwik jednak tym się nie zraził i wysłał poselstwo do Neapolu, do ojca wybranki.

W początkach lipca, uszczęśliwiona, że wreszcie znalazła sobie męża, Klementyna z wielką pompą wsiadła na statek mający zawieźć ją do Francji.

Niestety! Statek, na którym płynęła, natknął się na straszliwą burzę i zatonął. Dzięki zimnej krwi rycerza de Boubille księżniczce udało się na łodzi ratunkowej dobić do lądu, ale kufry z posagiem, klejnoty i suknie zatoniły razem ze statkiem.

Nowina ta dobiła biednego Ludwika Kłótnika.

Jako gracz wytrawny, przyjął jednak narzeczoną z dużą uprzejmością i ślub odbył się w wielkiej prostocie 19 sierpnia 1315 r.

Po czym, by czymś zastąpić utracony w morzu posag, król postanowił, iż Żydzi mają płacić za prawo pobytu we Francji. Szybko nappełniło to skarbiec.

* * *

Małżeństwo Ludwika z Klementyną okazało się krótkotrwałe. W czerwcu następnego roku król, który zachował zamiłowanie do gry w piłkę, zgrzał się podczas jakiejś długiej rozgrywki. Dla ochłody zszedł do piwnicy i wypił kwartę zimnego wina. Zaraz chwyciły go silne dreszcze. Wieczorem poszedł do łóżka z gorączką. W trzy dni później już nie żył.

Młody król nie zostawił po sobie synów. Klementyna była już jednak w czwartym miesiącu ciąży. Brat Ludwika Kłótnika, Filip, hrabia Burgundii, zwołał wówczas dostojników królestwa. Zjazd odbył się 16 lipca 1316 r. w pałacu Na Wyspie i postanowiono, że do chwili ukończenia przez spadkobiercę tronu dwudziestu czterech lat regencję powierza się Filipowi (nikt nie wątpił w narodziny potomka płci męskiej).

14 listopada 1316 r. królowa wydała na świat chłopczyka, któremu nadano imię Jana i natychmiast ogłoszono królem Janem I. Żył zaledwie pięć dni. Wśród podwójnego szpaleru pochodni odwróconych do góry trzonkiem odniesiono do go bazyliki Saint-Denis i złożono do grobu, a wojsko trzykrotnie zakrzyknęło: „Umarł król!” Nazajutrz oszalała z bólu Klementyna Węgierska odjechała do klasztoru w Prowansji* ...

Regent, umocniony decyzją podjętą co do jego osoby na zjeździe z 16 lipca, nie tracąc czasu oznajmił dostojnikom królestwa, że jego koronacja odbędzie się w Reims 9 stycznia...

Ta spieszna decyzja wywołała w Paryżu wielkie poruszenie. Duża część dygnitarzy kościelnych i książąt wystąpiła przeciw roszczeniom Filipa, przypominając mu, że ze swą pierwszą żoną, Małgorzatą Burgundzką, Ludwik X miał córkę Joannę, obecnie sześciolletnią już dziewczynkę.

* Młody król Jan I ma historię pośmiertną podobną do dziejów Ludwika XVII. Koło 1350 r. rozległy się pogłoski, że król żyje. Opowiadano, że mamka królewicza zamieniła go w kołysce na swego zmarłego synka i że to jej dziecko spoczywa w Saint-Denis. Za Jana Dobrego syn owej mamki, niejaki Gianino, oświadczył, że matka przed śmiercią wyjawiała mu tajemnicę jego narodzin i stwierdziła, iż jest on prawym spadkobiercą tronu Francji. Czynił rozliczne starania na różnych dworach europejskich, żadnego z monarchów nie zdołał jednak przekonać do swego królewskiego pochodzenia. Zmarł w 1361 r., do końca klnąc się na wszystkie świętości, że jest synem Ludwika X i Klementyny Węgierskiej.

– Księżniczka ta jest „prawą spadkobierczynią Ludwika, świętej pamięci króla” – twierdzili. – Winna królować!

I zwrócił się z apelem do biskupa Reims, aby nie dokonywał sakry regenta. Prałat nie dał się jednak zastraszyć, 9 stycznia koronacja odbyła się przy ściśle strzeżonych i dobrze zamkniętych bramach oraz pod osłoną wojska.

Uroczystość nie zakończyła się wszakże bez incydentu. W chwili gdy wywoływano parów, stara księżna Burgundii, Agnieszka, z rodu królewskiego Francji, córka samego Ludwika Świętego i matka Małgorzaty Burgundzkiej, wystąpiła na środek sali i stanowczym głosem zwracając się do zebranych parów i prałatów zażądała, aby odłożyli koronację do czasu, aż uznane zostaną prawa jej wnuczki Joanny.

Nikt nie odpowiedział na jej wezwanie i ceremonia potoczyła się dalej...

Po koronacji Filip V – dręczony jakimiś spóźnionymi wyrzutami bądź jakąś obawą – zapragnął, by naród uznał jego zamach stanu. Na 2 lutego 1317 r. zwołał więc do Paryża Stany Generalne.

Podczas tego nadzwyczajnego zjazdu wywiązała się dyskusja w następującej kwestii: czy kobieta może wstąpić na tron Francji?

Bo choć Filip postawił możnowładców przed faktem dokonanym, należało rozpatrzyć uprawnienia Joanny, gdyż jej tytuł jedynej spadkobierczyni tronu francuskiego stawiał nowe, mocno kłopotliwe problemy. Od czasów Hugona Kapeta nigdy nie było okazji do roztrząsania praw kobiety do korony, jako że wszyscy królowie mieli potomków płci męskiej. Nie przeszkadzało to kobietom zajmować się polityką. Wiele dam wysokiego rodu, nieraz bardzo młodych, było seniorkami lenn, zarządzało hrabstwami, księstwami, zasiadało w gronie parów Francji i odgrywało znaczną rolę w kierowaniu państwem. Niektóre nosiły nawet korony, jak na przykład królowa Navarry. Nic nie stało więc na przeszkodzie, aby Joanna wstąpiła na tron.

Filip wiedział o tym. Dlatego przeciw małej księżniczce wytoczył oręż prawny najgroźniejszy z możliwych: zakwestionował legalność jej pochodzenia. Jego argumenty miały swoją moc, albowiem z racji złego prowadzenia się Małgorzaty Burgundzkiej można było zadawać sobie pytanie, czy Joanna rzeczywiście jest córką Ludwika X.

Jak powiada nam jeden z kronikarzy: „Możnowładcy wówczas wszyscy koronację króla Filipa potwierdzili i jak króla słuchać go poprzysięgli, a po nim – syna jego, Ludwika”^{*}.

Trudno było jednak Filipowi V ogłaszać królestwu, Europie i całemu światu, że został królem, ponieważ Małgorzata Burgundzka nie umiała trzymać nówek razem. Są sprawy, które szefowie państw wolą zatrzymać dla własnej wiadomości. Zgromadzenie podzieliło zresztą stanowisko nowego monarchy i postanowiło zbadać stare zapisy, w nadziei odnalezienia w nich jakiegoś zdania pozwalającego uczciwie uzasadnić eliminację małej Joanny. Tak oto jakiś szczególnie chytry legista wpadł na pomysł, aby powołać się na zapomniane już przez

^{*} W. de Nangis, *Chroniques*.

wszystkich stare prawo salickie. Kodeks ów, ułożony około roku 420 przez Franków salickich, zawierał istotnie jeden artykuł, stwierdzający, że ziemię dziedziczyć mogą wyłącznie mężczyźni. Wystarczyło przenieść tę zasadę ze sfery prawa cywilnego do sfery politycznej, czego dotąd nigdy jeszcze nie zastosowano, i w ten sposób uzasadnić wstąpienie Filipa V na tron. Uradowani tym odkryciem legiści nie mieli żadnych skrupułów i jednym pociągnięciem pióra ostatecznie przekreślili prawa kobiet do korony francuskiej.

Tak to postępowanie Małgorzaty Burgundzkiej, podające w wątpliwość legalność pochodzenia jej córki, pozwoliło na ustanowienie jednego z praw fundamentalnych monarchii francuskiej.

18.

Kobieta przyczyną wojny stuletniej

Plci pięknej cnoty wszelakie zawdzięczamy.

G. Agrippa

3 stycznia 1322 r. zaledwie dwudziestoosmioletni wówczas Filip zmarł nagle w Long-Champ na malarię. Kiedy ciało jego przeniesiono do bazyliki Saint-Denis, serce do kościoła franciszkanów-kordelierów, a wnętrzności – do dominikanów, królowa Joanna została zupełnie sama. Głęboko zasmucona, wyniosła się z Luwru, zdecydowana żyć z dala od gwaru, intryg i oszczerstw, i osiedliła się w pałacu Nesle.

Osobliwy zaiste pomysł, pozwalający snuć tysiące podejrzeń, których nie omieszkali głosić lud, zawsze skłonny do wydrwiwania swych książąt:

– Znów zacznijcie żyć sobie wesolutko, tak jak to czyniła kiedyś z królową Małgorzatą – powiadano.

Wszyscy zgodni było jednak co do tego, że trzeba nie lada śmiałości i wielkiej pogardy dla konwenansów, by ledwie owdowiawszy osiedlić się w miejscu, które było widownią miłosnych poczynań królowej Joanny z Navarry, w tejsze wieży Nesle owianej złą sławą...

Kiedy lud Paryża komentował w ten sposób zachowanie monarchi, na tron wstępował brat króla, Karol.

Po koronacji pierwszą jego troską było zerwanie małżeństwa z Blanką Burgundzką, która, biedactwo, siedziała wciąż w więzieniu w Château-Gaillard. Podniósł zarzut złego prowadzenia się królowej z rycerzem Walterem d'Aulnay i wstąpił do papieża Jana XXII o rozwód. Jak już wiemy, cudzołóstwo nie było wówczas kanoniczną przesłanką unieważnienia małżeństwa zwierzchnik Kościoła odpowiedział więc grzecznie, że Blanka winna pozostać żoną Karola i że król powinien kochać ją jeszcze bardziej „właśnie dlatego, że zawiniła”.

Odpowiedź ta zupełnie nie zadowoliła Karola IV.

Wybaczyć Blance nie miał najmniejszej ochoty, zwłaszcza od chwili, gdy dowiedział się, że mimo poddania jej ścisłemu nadzorowi młoda niewiasta zaszła w więzieniu w ciążę...*

Napisał więc znów do papieża, podając tym razem inny pretekst, a mianowicie, że są z Joanną spokrewnieni w czwartym stopniu i że w tych warunkach małżeństwo ich jest nieważne. Po zbadaniu sprawy Jan XXII przychylił się wreszcie do jego prośby.

Karol IV tak był uradowany pozbyciem się Blanki, że zaraz wydał rozkaz złagodzenia jej reżimu więziennego. Z Château-Gaillard przeniesiono ją do zamku w Gournay koło Coutances, później zaś uzyskała zezwolenie na wstąpienie do klasztoru w opactwie Maubuisson. Tam też dokonała żywota.

* * *

W kilka miesięcy po unieważnieniu małżeństwa Karol IV poślubił w Provins siedemnastoletnią Marię z Luksemburga, „miłą dziewczeczkę”, jak powiada Wilhelm de Nangis.

Niestety, nieszczęśliwy wypadek skrócił życie powabnej królowej. Była wtedy w ciąży i jechała do Montargis na spotkanie z królem. Powóz jej wywrócił się, upadek spowodował poronienie a w konsekwencji – śmierć.

Już w następnym, 1325 r., nie lubiący samotnego życia Karol IV ożenił się po raz trzeci. Joannie z Evreux przygotował wspaniałe apartamenty i postanowił, że przeważającą część czasu poświęca czułościom...

Wszystko szło dobrze do chwili, gdy do Luwru nadeszła wieść, która wprawiała króla w zły nastrój: siostra jego, królowa Izabela, żona Edwarda II angielskiego, zapowiadała swój przyjazd. Przybyła 16 października 1326 r. i została dość chłodno przyjęta przez paryżan, którzy nie zapomnieli roli odegranej przez nią przy aresztowaniu trzech synowych Filipa Pięknego.

Karol IV i Joanna z Evreux zorganizowali jednak parę uroczystości na jej cześć. Przyzwyczajona do dość szczególnego towarzystwa, jakim otaczał się jej mąż, Izabela rada była spotkać się wreszcie z mężczyznami przejawiającymi zainteresowanie wobec pań... Pewnego wieczoru, podczas balu wydawanego w Luwrze, natknęła się na jednego ze swych byłych wasali – Rogera Mortimera, barona Wigmore i hrabiego Marchii – który uciekł do Francji. Wiedziała, że brał udział w rewolcie baronów angielskich skierowanej przeciw Edwardowi II, że został uwięziony, potem zbiegł z więzienia, niemniej jednak, jako że był przystojny, zachowała się wobec niego bardzo uprzejmie.

Następnego dnia została jego kochanką.

* Za Micheilem historycy zadają sobie dziś pytanie, czy więźniarka nie padła przypadkiem ofiarą bestialstwa któregoś ze strażników.

Pikantnym zrządzeniem losu Izabela poszła w ślady księżniczek, do których zguby przyczyniła się przed kilku laty...

* * *

Związkowi temu towarzyszyły takie bezeceństwa, że królowa Anglii wkrótce spostrzegła, iż nigdy nie będzie zdolna opuścić swego amanta. Poprosiła więc, aby pojechał z nią razem do Londynu.

– A co na to król? – zapytał Mortimer, nieco zaniepokojony.

Izabela uśmiechnęła się.

– Nie obawiajcie się, panie! Jeśli zechcecie mi dopomóc, strącę go z tronu!

W tydzień później, wyłożywszy swój plan Karolowi i uzyskawszy od brata subsydia niezbędne, by spisek się powiódł, w towarzystwie Mortimera wsiadła na statek płynący do Anglii.

W Londynie nie miała żadnych problemów z potwierdzeniem niesławy króla, którego przywary wszystkim były znane. Dzięki zjednanym przez nią baronom, bez trudu udało się jej przeforsować proklamację o złożeniu z tronu Edwarda II, którego zamknięto w Tower.

Polityka to ciągle pasmo wzlotów i upadków. Obawiając się, by przy poparciu kilku przyjaciół więźniowi nie udało się wzniecić powstania w swojej obronie, Izabela postanowiła go zgładzić. Któregoś wieczoru w 1327 r. kilku ludzi wtargnęło do celi Edwarda II, pochwyliło go, obdarło z szat i wsunęło mu w odbyty rozgrzany do czerwoności pręt. Ugodzony w swój czuły punkt, nieszczęsny król skonał w trudnych do opisania męczarniach.

Od tej chwili Izabela panowała w Anglii razem ze swym kochankiem aż do pełnoletności Edwarda III*.

* * *

Karol IV z radością przyjął wieść o niedolach króla Anglii. Niewątpliwie spodziewał się wyciągnąć stąd jakieś dla siebie korzyści. Nie zdążył. Zmarł nagle 31 stycznia 1328, w wieku trzydziestu czterech lat.

Ponieważ zostawił po sobie tylko córki, śmierć jego stwarzała bardzo poważny problem: wygasła na nim dynastia Kapetyngów, rządząca Francją przez trzysta czterdzieści jeden lat.

Kto miał być jego następcą?

Stawił się brat stryjeczny Karola IV, Filip, hrabia de Valois, pierwszy książę krwi. Został proklamowany królem Francji i 29 maja 1328 r. kazał ukoronować się z wielką paradą w

* Mortimer okazał się takim despotą, że szlachta się zbuntowała. W 1330 r. panujący już od roku Edward III kazał go aresztować, następnie skazał na powieszenie oraz poćwiartowanie. Tak więc kochanek Izabeli zginął w taki sam sposób, co bracia d'Aulnay, do których zguby przyłożyła rękę Izabela. Jeśli zaś o nią chodzi, Edward III kazał ją uwięzić w jednym z zamków.

Reims razem ze swą żoną Joanną Burgundzką – rodzoną siostrą uduszonej w Château-Gaillard biednej Małgorzaty.

Szczęście nowej pary monarszej zostało wkrótce zakłócone reklamacją z Londynu: młody Edward III rościł pretensje do korony Francji. Z pewną dozą logiki utrzymywał, że jest bliższym niż Filip de Valois krewnym zmarłego króla, a więc – niezaprzeczalnym spadkobiercą tronu.

Roszczenia Edwarda, wysunięte z dniem, w którym dowiedziała się o śmierci Karola IV, wydawały się tym bardziej zasadne, że poprzez matkę królową Izabelę, był siostrzeńcem ostatniego Kapetynga, podczas gdy Filip był jedynie bratem stryjecznym tegoż.

Edward był jednakże spadkobiercą po kądzieli, podczas gdy Filip dziedziczył po mieczu. Powstała stąd kwestia: czy kobiety mogą być nośnikami praw sukcesyjnych których same są pozbawione?

Dostojnicy królestwa zebrani na nadzwyczajnej radzie pałacowej odpowiedzieli negatywnie i potwierdzili ważność prawa salickiego „zmodyfikowanego” po śmierci Ludwika X.

Jak łatwo zgadnąć, tego rodzaju decyzja nie mogła wpłynąć na to, by Edward III wyrzekł się swych roszczeń. Pewny swoich praw, z wielką starannością zaczął z wolna przygotowywać się do objęcia tronu Francji za pomocą oręża.

W dziesięć lat później był już gotowy. W lipcu 1338 r. przekroczył cieśninę Calais i z dwoma setkami okrętów zawinął do Middelbourgu, po czym przeniósł się do Gandawy. W kilka tygodni później Treport i Boulogne zostały bezlitośnie spustoszone.

Rozpoczęła się wojna stuletnia!

Przez ponad sto lat oba narody miały odtąd mordować się nawzajem, ponieważ pewna księżniczka okazała się zbyt kochliwa czy też zbyt frywolna.

Gdyby w związku z wybrykami Małgorzaty Burgundzkiej nie musiano odgrzebywać prawa salickiego w celu odsunięcia od władzy małej księżniczki Joanny, linia Kapetyngów (bezpośrednich) nie wygasłaby wraz ze śmiercią Karola IV, i królowi Anglii przez myśl by nie przeszło rościć sobie prawa do korony Francji.

19.

Król Francji poślubia narzeczoną własnego syna

Szczęście jest tylko w rodzinie.

Mme de Girardin

Po próbie sił z 1339 r. Anglicy wrócili do domu, a Edward III, upojony zwycięstwem, zapowiedział poddanym, że następnego roku na świętego Jana z ogromną armią dokona najazdu na Francję. Nowina ta nie spodobała się Filipowi VI, który z kolei sam zaczął przygotowywać inwazję na Anglię.

Zamiar niegłupi, ale do jego przeprowadzenia potrzebny był ktoś energiczniejszy, zręczniejszy i, być może inteligentniejszy od króla Francji. Rozpoczął on bowiem od głośnej po dziś dzień pomyłki: dowódcą floty mianował admirała odznaczającego się tą szczególną zaletą, że nigdy nie żeglował.

Powodowany pychą bądź lekkomyślnością król zaniedbał potem wykorzystania dostarczonych mu przez wywiad informacji na temat armii angielskiej. Zamiast wzorować się na nienaganej organizacji wojsk nieprzyjaciela, z którym przyjdzie mu się zmierzyć, obstawał przy staroświeckich, francuskich regułach wojny.

Od dłuższego już bowiem czasu królowie Anglii wprowadzili w swym państwie obowiązkową służbę wojskową, której podlegał każdy mężczyzna w wieku do szesnastu do sześćdziesięciu lat. Dla odmiany we Francji nie było zorganizowanej armii, lecz jedynie rycerstwo, którego ideałem pozostawały brawurowe ataki, pod warunkiem, że nikt nimi nie kieruje. Myśl o karności na wzór dyscypliny żołnierza angielskiego, dobrze wyszkolonego i poddającego się jej bez zastrzeżeń, budziła u Francuzów śmiech. Mieli oni zresztą osobliwy zwyczaj nawiązywania walki. Na widok nieprzyjaciela nacierali nań pędem, wszyscy jednocześnie, a każdy chciał być tym pierwszym, który skrzyżuje żelazo. Wynikała stąd straszna kotłowanina i częstokroć „kwiat rycerstwa francuskiego” kładł się pokotem, nim zdążył nawet dopaść przeciwnika...

Filip VI zawinił więc srodze, nie próbując utworzyć armii z prawdziwego zdarzenia.

Jest może jednak w jakimś sensie usprawiedliwiony. Albowiem w chwili, gdy powinien był skoncentrować wszystkie swe wysiłki i całą swą uwagę na obronie królestwa kwiatu lili, króla zaprzętały poważne kłopoty rodzinne. Jego małżonka, którą kronikarze nazywają „złą królową Francji”, dawała mu poznać, rzec można, barw ich pełną gamę...

* * *

Filip VI poślubił Joannę z Burgundii, rodzoną siostrę osławionej Małgorzaty. Było to babsko złe, swarliwe, brzydkie i nie do zniesienia. Odznaczała się takim okrucieństwem, że Froissart nie waha się napisać, iż kazała „bezlitośnie” uśmiercać wszystkich, do których czuła nienawiść. Król spędzał tedy czas na hamowaniu zbrodniczych zapędów żony.

Ograniczmy się tutaj do kilku szczególnie znamiennych przykładów.

W swej „Kronice normandzkiej” Piotr Cochon powiada, iż z niewiadomych przyczyn królowa znienawidziła jednego z „najbardziej przez króla lubianych rycerzy”, niejakiego Roberta Bertranda. Gdy ten przybył do Paryża, Joanna postanowiła go zlikwidować. Kazała napisać pismo skierowane do prewota Paryża, nakazujące zaprowadzić imię pana Roberta Bertranda na szubienicę na Sokolej Górze i tam „obwiesić zaraz za szyję, bez zwłoki i bez względu na rozkazy, jakie w ślad za tym nadejść by mogły”.

Wieczorem, kładąc się spać, przeciągnęła się niczym kocica, dając małżonkowi do zrozumienia, że jest w odpowiednim nastroju, by zająć się sprawą następstwa tronu. Filip niczego nie podejrzewał, okazał się więc dżentelmenem. Siedmiokrotnie rozbudzała w nim apetyt i siedmiokrotnie król dawał jej dowód swych uczuć. Kiedy wyczerpany był już do cna, wymknęła się bezszelestnie z łóżka, poszperała w prywatnej szkatułce męża, wyciągnęła królewską pieczęć, podbiła nią swój list i o świcie wysłała go do prewota.

Był on akurat przyjacielem Bertranda. Otrzymawszy taki „nakaz działania” był nim srodze przybity. Ze łzami w oczach udał się do rycerza, który zdziwił się na widok tak posepnej miny druha.

– Sęk w tym – powiedział doń prewot – że przynoszę ci nader smutną nowinę.

I okazał mu list. Przeczytawszy go, Bertrand na moment zaniemówił:

– Przysięgam ci – rzekł wreszcie – że nie mam sobie nic do zarzucenia. Proszę cię tedy o jedną tylko łaskę: zanim zawiedziecie mnie na Sokolą Górę, pozwól mi spotkać się z królem; chcę przynajmniej wiedzieć, za co mam wisieć.

W pół godziny później zjawili się w Luwrze. Filip przyjął ich wylewnie.

– Czegóż chcesz ode mnie o tak wczesnej porze, przyjacielu Bertrandzie? – zapytał wesoło.

Zamiast odpowiedzi rycerz podał królowi list otrzymany przez prewota. Filip pobladł okropnie.

– To nieporozumienie, za które winnego ukarzę – rzekł.

Po czym, odgadłszy skąd wpłynęła nieszczemność, wrócił do komnaty, kazał przywołać królową i... stłukł ją na kwaśne jabłko.

* * *

Nagana nie posłużyła Joannie za nauczkę, gdyż w jakiś czas potem próbowała pozbyć się kolejnego przyjaciela króla, biskupa Beauvais, innym wprawdzie sposobem, lecz równie źle wybranym.

Gdy prałat bawił w gościnie u Filipa, królowa rzekła doń:

– Witajcie u nas. Ja i moje damy zajmiemy się wami, jak tylko można najlepiej. Na początek kazałam zgotować wam wysmienitą kąpiel w naszej łaźni.

Biskup, znając uczucia Joanny względem swej osoby, miał się na baczności. Udał się do najstarszego syna króla i szczerze zwierzył ze swych obaw.

– Jest proste wyjście – odparł na to królewicz Jan. – Pójdę kąpać się z wami; obaczym, co z tego wyniknie.

Po czym zażądał, aby przygotowano kąpiel również i dla niego. Kiedy oba cebrzyki były już gotowe, zaniepokojona trochę królowa zaczęła kręcić się koło łaźni. Królewicz odezwał się wówczas do biskupa Beauvais:

– Czcigodny ojcze, proponuję wam zamianę. Wy wejdziecie w cebrzyk dla mnie zgotowany, a ja wejdę do waszego.

Królowa, słysząc propozycję obracającą wniwecz jej plany, przeraziła się i pobiegła przeszkodzić synowi w korzystaniu z kąpeli przewidzianej dla biskupa.

– Dlaczego? – spytał królewicz Jan. – Czyżby kąpiel ta była niebezpieczna?

Ponieważ jednak królowa zaczęła okazywać oznaki zaniepokojenia, chwycił pieska biegającego zawsze w trop za nią i cisnął go do cebrzyka przygotowanego dla prałata. Zwierzątko jęło wyc z bólu i w kilka sekund zdechło wstrząsane okrutnymi konwulsjami.

Królowa pędem wróciła do swej komnaty. Poinformowany o sprawie król udał się jednak za nią i sprawił małżonce lanie, które przez kilka tygodni uniemożliwiło jej wszelkie publiczne wystąpienia.

* * *

Łatwo zrozumieć, że w tych warunkach Filip VI nie miał spokoju ducha, niezbędnego, by móc się przygotować do dania odporu Anglikom.

Z tej przyczyny flota francuska została unicestwiona nad Skaldą, gdy Edward III zgodnie z obietnicą wylądował w noc świętojańską; dlatego również w kilka lat później jazda francuska została sromotnie pobita pod Crécy.

Podczas tej ostatniej bitwy piechota angielska, zbrojna w szybkostrzelne łuki, okazała swą wyższość nad piechotą francuską, skrzepowaną ciężkimi i nieporęcznymi kuszami. W czasie gdy żołnierze Filipa wystrzelili jeden bełt, ludzie Edwarda wyrzucali siedem strzał. Jak powiada Froissart, «król Anglii umieścił obok łuczników „bombardy”, które ogniem miały niewielkie, żelazne kule, w celu niszczenia i straszenia koni; wystrzały tych „bombard” takie wstrząśnienia i hałas czyniły, że – zda się – Bóg grzmiał, masakra zaś była ogromna i ludzi a koni padanie.» Pierwsze pojawienie się artylerii przstraszyło niezmiernie żołnierzy francuskich; pod względem uzbrojenia Francja o jedną wojnę była już w tyle.

* * *

W dwa lata po klęsce pod Crécy dwór francuski okrył się żałobą; Jan, najstarszy syn królewski utracił żonę, łagodną i powabną Bonę z Luksemburga. Filip natychmiast pomyślał o nowym ożenku. Wybór jego padł na Blankę z Navarry, której uroda spędzała sen z powiek wszystkim książętom Europy. Uzyskawszy jej rękę, posłał ambasadorów po młodą księżniczkę. Była już w drodze do Paryża, oczekiwana tam z niecierpliwością przez królewicza Jana, gdy nagle królowa Joanna Burgundzka zmarła na epidemiczne zapalenie węzłów chłonnych. Nie uroniwszy ani jednej łzy, Filip kazał spieszenie pogrzebać kłótniwą żonę, która tak go znużyła, i oczekiwał przyszłej synowej.

Kiedy Blanka przybyła do Luwru, jej wdzięk wszystkich oczarował.

– Nigdy nie wiedziałem piękniejszej nad nią kobiety! – zakrzyknął Jan.

Król dyskretnie przytaknął, wystrzegając się wszelako stwierdzenia, że i on sam zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. W kilka dni później wysłał jednak syna w małą podróż po prowincji i, korzystając z okazji, że znalazł się sam na sam z Blanką, dał jej do zrozumienia, iż jeśli pragnie zostać królową Francji, prostym i szybszym po temu sposobem będzie poślubić króla miast jego następcę. Młoda dziewczyna łatwo dała się przekonać. Przystała nawet na to, by Filip nie zwlekając poczynił z nią, co niektórzy historycy zowią „małą próbą matrymonialną”. Zapewne wypadła ona zadowolająco, odtąd uważali się bowiem za narzeczonych.

Łatwo wyobrazić sobie zdumienie Jana, gdy wróciwszy do Paryża dowiedział się o wydarzeniu. Przywieziony dla Blanki podarek roztrzaskał o ziemię.

– Zdrajcy! – wykrzyknął.

I natychmiast opuścił pałac, odmawiając uczestnictwa w weselu ojca ze swoją narzeczoną.

Małżeństwo Filipa i Blanki było krótkotrwałe. Pięćdziesięcioletni król nie mógł długo sprostać ognistej szesnastolatce. Osłabiony ekscesami miłosnymi, które, jak powiada Brantôme, „przyspieszyły kres jego dni”, Filip zmarł w rok później w stanie wielkiego wyczerpania umysłowego.

Blanka, jak się zdaje niezbyt go żałowała; nie wyszła jednak ponownie za mąż. Królowi Kastylii, który próbował zachwiać tym postanowieniem, mówiąc jej, że jest młoda i piękna, odpowiedziała dumnie:

– Królowa Francji nie wychodzi powtórnie za mąż!

Co, jak powiadają, nie przeszkadzało wcale powabnej królowej osładzać niedole wdowieństwa w towarzystwie imć pana de Rabauges, jej ochmistrza dworu...

20.

Jan Dobry umiera w niewoli u Anglików, gdyż zakochał się w młodej mieszkance Londynu

*Historia Anglii niejednokrotnie
splatała się ściśle z historią Francji...*

J.C. Picard

Na pół roku przed śmiercią króla, 22 sierpnia 1350 r., królewicz Jan poślubił Joannę z Owernii, córkę Wilhelma XII, hrabiego Owernii i Boulogne. Była to młoda wdówka o szelmowskim spojrzeniu, która ze swym pierwszym mężem, Filipem Burgundzkim, miała siedmioletniego obecnie syna, zwanego Filipem z Rouvres, „jako że zrodzony był w kasztelu Rouvres wedle Dijon”.

Jan natomiast miał siedmioro potomków, gdyż w ciągu ich osiemnastoletniego pożycia Bona Luksemburska starała się jak najlepiej służyć dynastii Kapetyngów-Walezjuszy.

Ślub ich odbył się w Nanterre, a mieszkańcy wioski rozczulali się, patrząc na idącą w orszaku weselnym progeniturę nowożeńców. Wszystkie dzieci były ładniutkie, i biorąc pod uwagę, czegoż to królewicz Jan i hrabianka Joanna potrafili dokonać z osobna, każdy radował się na myśl, co też zdziałać będą mogli pospołu.

26 września królewicz Jan, obecnie król Francji, udał się do Reims na koronację. Uroczystość ta stała się okazją do wystawnych zabaw zadziwiających pospólstwo, które naiwnie sądziło, że rodzina królewska, bolejąc po śmierci poprzedniego króla, bardziej oszczędzać będzie talary w chwili, gdy cały kraj ugina się pod ciężarem podatków.

Szybko zapomniano jednak o takich szczegółach i w kilka dni później para monarsza powróciła do Paryża, gdzie zgotowano jej wspaniałe przyjęcie. Jadąc ukwieconymi i przybranymi w gobeliny ulicami, dotarli do Luwru, podczas gdy rozentuzjasmowany tłum śpiewał pieśni powitalne. Po czym ku uciesze paryżan fontanny zainstalowane na skrzyżowaniach zaczęły tryskać winem.

Zabawy trwały cały tydzień. Ledwie się skończyły, nowa, radosna wieść spadła na rozochocony tłum, pijany jeszcze tańcem, biesiadami i szampanem. Podano, że hrabia Raul de Guines, konetabl Francji, ujęty przez Anglików w 1346 r. został właśnie zwolniony z niewoli po zapłaceniu części okupu. Był to bardzo przystojny mężczyzna, bardzo lubiany w królestwie, a jego przygód miłosnych nikt nie potrafił zliczyć. W niewoli nauwodził zresztą wiele mieszkanek Londynu, które „ze zbolałym sercem” patrzyły na jego odjazd...

Zaraz po przybyciu do Paryża hrabia Raul udał się do Luwru, aby pokłonić się królowi. Wieść szybko rozeszła się po mieście i cały tłum paryżanek w wielkim podnieceniu przybiegł pod bramę pałacową, aby ujrzeć wychodzącego konetabla i oklaskiwać go.

Noc jednak zapadła, a nikt go nie zaoczył. Wróciły więc do domów z rozżalonymi minami i sercami ciężkimi z żalu. Nazajutrz, spodziewając się mieć więcej szczęścia, większość z nich ponownie poszła czatować u mostu zwodzonego. Niestety, minął dzień, a konetabl się nie pojawił.

– Niewątpliwie – myślano – król Jan zorganizował jakąś wielką ucztę na cześć bohatera bitwy pod Caen.

Trzeciego dnia o świcie paryżanki podjęły znów wartę przed Luwrem. Raptem pewna wieść wprowadziła stolicę w osłupienie: dowiedziano się, że z rozkazu króla konetablowi ścięto głowę „bez sądu i prawa”.

Egzekucja bardzo zakrawała na morderstwo i nie wywarła dobrego wrażenia. Jehan le Bel stwierdza to wyraźnie w swych kronikach: „Wszyscy byli zmartwieni i rozsierdzeni; królowi srodze przyganieano i mniej go miłowano; nikt prócz najbliższych króla nie wiedział, dlaczego tak się stało; niektórzy zaś przypuszczali, że króla powiadomiono o miłostkach, jakie zaszły lub zająć miały między królową Boną a ślicznym konetablem”.

Cóż więc się stało? Ot, banalna scena zazdrości, której szczegóły dało się potem zestawić: kiedy konetabl zjawił się w Luwrze, Jan zaciągnął go do osobnej sali i podał mu jakiś papier, mówiąc:

– Zobaczcie to pismo; widzieliście je kiedykolwiek przedtem?

Konetabl poczuł się mocno przygnębiony, rozpoznając bardziej niż czuły list, jaki kiedyś, na krótko przed dostaniem się do niewoli, wysłał do królowej Bony, pierwszej małżonki króla Jana.

List ten król odnalazł w korespondencji osobistej królowej, po tym jak ta w ciągu dwudziestu czterech godzin zmarła od zarazy. Poprząsiął sobie wówczas, że nadawca to popamięta.

Przybycie konetabla pobudziło jego złość i biedny Raul został oddany w ręce kata, zanim zdążył nawet bąknąć coś tytułem wyjaśnienia.

Król lubił zresztą taki rodzaj doraźnego i szybkiego wymiaru sprawiedliwości. Brutalny, niezdolny do powstrzymywania namiętności, mało inteligentny, świetnie odmalowany został

w takim oto zdaniu Froissarta: „z trudem do głowy mu szło i z trudem wychodziło”, co oznacza, że nie od razu wszystko pojmował i że był wielce uparty.

W tych warunkach można by się dziwić, czemu współcześni nadali mu przydomek „Dobry”. Otóż w XIV wieku „dobry” znaczyło również „dzielny”, a król przy wielu okazjach wykazywał godne podziwu męstwo.

Niestety, odwaga i zapalczywość zastępowały w nim finezję i zmysł polityczny. Straciwszy czas, skławszy ministrów i dowiódłszy braku zdecydowania oraz przeraźliwej nieudolności, ruszał ze zmarszczonymi brwiami bić się jak bohater lub jak jakiś dzikus...

* * *

Jan II przeżył z Joanną z Owernii pięć nader przyjemnych lat. Spędzali czas na organizowaniu wystawnych uczt i kosztownych rozrywek, o których ze zdziwieniem rozprawiano na obcych dworach.

– Mamy rozejm! – mawiał król ze śmiechem – trzeba umieć z niego korzystać!

Po wzięciu Calais Francja istotnie podpisała rozejm z Anglią, ale podczas gdy król Francji myślał wyłącznie o zabawie, Edward III starannie sposobił swoje armie do przyszłych walk.

Nagle w roku 1355 wojna rozgorzała na nowo. Następnego lata wojska brytyjskie starły się z żołnierzami Jana II Dobrego na wyżynie Maupertuis o kilka kilometrów od Poitiers. Walka była zażarta. Po godzinie zmagania legło trzy tysiące Francuzów, pół tysiąca uciekło, a król Jan w straszliwym zamęcie odcinał się toporem.

Nie opuścił go czternastoletni syn Filip i uprzedzał o zagrożeniach:

– Ojczy, bacz w lewo!... bacz w prawo!

A Jan celnym ciosem topora płatał czaszkę każdego nawijającego mu się pod rękę Anglika.

Ów heroiczny opór miał już jednak na celu jedynie ratowanie honoru. W końcu ktoś krzyknął do króla Francji:

– Poddajcie się albo zginiecie!

Jan II, powtórnie już raniony w twarz, zapytał:

– Gdzie jest mój kuzyn, książę Walii? Chcę się z nim widzieć.

– Wasza królewska mość – odezwał się ktoś występując naprzód – poddajcie się mnie, zaprowadzę was do niego.

– Wasze imię? – zapytał król.

– Dionizy de Morbecque, rycerz z Artois. Służę Anglii, gdyż nie mogę służyć Francji, w której odebrano mi dobra.

Człowiek ten był rycerzem-zabójcą, który musiał uciekać z Francji, by ująć przed represją sądową. Jan II znał go. Podał mu swoją rękawicę.

– Zdaję się wam.

Króla zaprowadzono zaraz do księcia Walii, który przyjął go z wielką uprzejmością, wieczorem zaś sam obsługiwał mu przy posiłku.

W kilka dni później Jan znalazł się w Bordeaux, stolicy Gjujenny, którą Angliacy okupowali już od dwóch wieków. Zatrzymano go tam czas jakiś, po czym przewieziono do Anglii.

Jan II korzystał oczywiście ze specjalnych względów. Osobistości tej rangi nie można było wsadzić do lochu bądź nawet do jakiegoś podrzędnego „strzeżonego pomieszczenia”; urządzono go wystawnie w dworku Savoy i bez przesady można by rzec, że był tam traktowany bardziej jako gość niż jako więzień.

Edward III pozwolił mu mieć własną służbę i Jan II ściągnął z Paryża wielu członków swej świty, łącznie z prywatnym błaznem...

Ta wygodna niewola trwała cztery lata. Podczas gdy Edward III, sygnujący już pisma zwrotem „król Anglii i Francji”, układał ze swymi doradcami tekst traktatu pokojowego i obliczał okup za Jana II, ten bywał często na przyjęciach w zamku w Windsorze, uczestniczył w wesołych ucztach i wcale nie tęsknił za Francją, gdzie jego syn, delfin* Karol, mianowany generalnym namiestnikiem króla, zmagął się z Karolem Złym, Stefanem Marcelem, żakerią* itd.

Nie tęsknił też wcale za Joanną z Owernii, gdyż w Windsorze poznał wiele powabnych panierek, które przychodziły doń czasem z prośbą, by opowiedział o bitwie pod Poitiers, i często zostawały do późna w noc...

Jedna zwłaszcza wpadła mu w oko z racji swego powłóczystego spojrzenia. Nie znamy jej imienia, niektórzy historycy twierdzą jednak, że chodzi tu o samą kochankę Edwarda III, ładną hrabinę Salisbury, tę samą, która przyczyniła się do ustanowienia Orderu Podwiązki.

Znana to historia: na jakimś balu ta czarująca osóbką zgubiła błękitną podwiązkę. Król pospieszył ją podnieść. Gest ten wywołał uśmieszki wśród dworzan.

– *Honni soit qui mal y pense!** – zakrzyknął wówczas król. – Ci, co dziś się śmieją, któregoś dnia dumni będą, że mogą nosić podobną wstęgę.

I natychmiast ustanowił słynny Order Podwiązki...

* * *

W roku 1360, po długich negocjacjach, Anglia i Francja podpisały wreszcie traktat Brétigny i król został uwolniony. Tytułem okupu musiał jednak zapłacić sumę trzech

* Humnert II, delfin Vienne, sprzedał w 1349 r. swoje posiadłości Filipowi VI pod warunkiem, że najstarszy syn królów Francji nosić będzie w przyszłości tytuł delfina. Syn Jana II był pierwszym, który przybrał ten tytuł, i pierwszym władcą regionu Vienne przemianowanego odtąd na Delfinat.

* Żakeria – powstanie chłopskie w roku 1358 w płn.-wsch. Francji przeciw samowoli i bezprawiu szlachty oraz gwałtom band zbrojnych w okresie wojny stuletniej (*przyp. tłum.*).

* Hańba temu, kto zdroźnie o tym myśli.

milionów talarów w złocie, to jest ponad dwieście milionów obecnych franków, a kiesa państwowa była próżna. Wszelkimi, najbardziej haniebnymi nawet sposobami, zaczął więc poszukiwać pieniędzy. W rezultacie, jak powiada nam historyk Matteo Villano, „król sprzedał ciało swe i krew”. Za sześćset tysięcy florenów oddał swą jedenastoletnią córkę Izabelę synowi najśroźszego tyrana Italii, Jana Galeasa Viscontiego, który polował na ludzi na ulicach swej stolicy, a ofiary rzucał żywcem do rozpalonych pieców. Dzięki tym pieniądzom Jan II mógł zostać zwolniony. Powrócił zaraz do Paryża, ale Luwr wydał mu się teraz smutniejszy niż Windsor, a królowa mniej ładna niż Angielki poznane w niewoli. Wkrótce zaczął się nudzić. Jego melancholia była tak widoczna, że Joanna z Owernii któregoś dnia spytała go, dlaczego „zdarza mu się wdychać miast oddychać?”

– Bo nie odzwyczaiłem się jeszcze od Londynu – odparł bez ogródek.

Biedna królowa, która tak ciężko przeżywała rozłąkę z mężem, dotkliwie została tym urażona i aż się rozchorowała. W kilka dni później zmarła ze zmartwienia...

W celu zmiany nastroju Jan postanowił trochę podróżować i wyjechał do Prowansji. W Awinionie snuł projekty małżeństwa z Joanną z Neapolu, ale zrezygnował, dowiedziawszy się, że ta urocza kobieta kazała udusić poprzedniego męża między dwoma materacami.

W końcu ruszył znów w drogę do Paryża. Wracał etapami, marząc o Windsorze, ładnej hrabinie, którą tam zostawił, i sposobach, jakie trzeba by zastosować, by móc znów do niej pojechać. Los miał się uśmiechnąć do niego. W jakiś czas potem dowiedział się, że jego syn, którego pozostawił w Calais jako zakładnika aż do pełnej spłaty okupu, uciekł. W mig pochwycił okazję.

– Nie mogę postąpić inaczej, jak tylko wrócić do niewoli – rzekł – Choćby sprawiedliwość i dobra wiara ze świata tego zginąć by miały, muszą one odnajdywać się w ustach i sercach królów.

Po czym, pozostawiając synowi przeraźliwy bałagan, wsiadł na statek i z lekkim sercem odjechał do Londynu. Przybył tam 10 stycznia 1364 r. i wreszcie mógł uścisnąć ukochaną.

Niestety! „Spędziwszy zimę na wypoczynku i uciechach”, jak powiada Froissart, Jan II Dobry zmarł niespodziewanie 8 kwietnia roku 1364.

Tylko trzy miesiące cieszył się swą Angielką.

Ale temu lekkomyślnemu królowi udało się wyprowadzić w pole swych współczesnych. I choć wielu kronikarzy oskarża go formalnie, że do Anglii wrócił jedynie po to, by wieść tam spokojny żywot z miłą przyjaciółką, Jan II w historii zyskał chlubną reputację króla, który wolał utracić wolność niż honor...

Legendę tę powtarza się zresztą w podręcznikach szkolnych...

21.

Zbyt bliskie koligacje przyczyną oblędu króla Francji

*Śliczna to rzecz – kazirodstwo, nie
trzeba jednak z tym przesadzać!*

Dr Pierre Rousset

Rankiem 12 września roku 1360 radosny i niecierpliwy tłum kłębił się przed kościołem w Dinan, gdzie dwoje narzeczonych przyjmowało błogosławieństwo ślubne.

Czekając chwili, gdy nowożeńcy pojawią się na placu przed kościołem, kumoszki obgadywały wydarzenie z charakterystyczną dla ludzi pozbawionych kompleksów zdrową jędrnością określać.

– Na Boga – rzekła jedna z nich – to, że tych dwoje może zaszyć się w jakimś kącie i grać sobie na fleciku, zawdzięczać to mogą imć panu diukowi na Blois.

– To prawda – odpowiedziała ze śmiechem inna młoda mieszkanka Dinan – bez jego interwencji imć Bertrand nigdy by się nie ożenił, taki z niego żółtodziób przy parze cycuszków.

Powiedzonko wywołało wesołość w tłumie.

Nagle rozdzwoniły się dzwony, wieszcząc koniec ceremonii. Wrota otworzyły się i na progu kościoła pojawiła się wyjątkowo kontrastująca ze sobą para. Młoda niewiasta, nadobna, o rysach delikatnych i inteligentnych, podawała ramię mężczyźnie niemal monstrualnemu, niosącemu na zbyt szerokich ramionach głowę ogromną i okrągłą jak kula. Ona zwała się Tyfania Ragueneł, on – Bertrand du Guesclin...

Tłum najpierw przywitał młodą parę gromkimi oklaskami, po czym odprowadził nowożeńców aż do domostwa.

Idąc ulicami, Bertrand du Guesclin cały czas się uśmiechał. Pierwszy raz w życiu czuł się szczęśliwy. Bo też z racji swej okrutnej brzydoty od urodzenia daremnie szukał czułości i miłości. Bijany przez matkę, która miała mu za złe jego płaskonosą twarz i traktowała go jak

bydłatko, nauczył się w końcu skrywać potrzebę miłowania pod maską niezwyklej brutalności, co – trzeba powiedzieć – nie ułatwiało mu życia. Całymi latami sądził, że nigdy nie pokocha go żadna kobieta.

– Jestem zbyt brzydki – powtarzał sobie – przerażam je.

Potem w dość osobliwych okolicznościach poznał Tyfanię Ragueneł. Któregoś dnia stawał do pojedynku z Cantorberym, a panienska, zajmująca się astronomią i astrologią, przepowiedziała mieszkańcom Dinan jego zwycięstwo*.

Fakt, że jakaś kobieta zainteresowała się jego osobą, radował serce Bertranda, rycerz bił się więc z takim zapałem, że biednego Cantorbery'ego, posiekanego niemal na kawałki, siłą musiano wydzierać mu z rąk.

Po walce Bertrand udał się do Tyfanii, a zielone oczy dwudziestoczteroletniej panny wywarły na nim silne wrażenie. Nadto, do reszty zbiła go z pantafelku – i całkowicie podbiła – mówiąc doń z wielką słodyczą:

– Mości Bertrandzie, widziałam was w walce. Piękni byliście!

Du Guesclin był nadzwyczaj nieśmiały. Nie mogąc opanować wzruszenia, bez słowa dosiadł konia i wyruszył wojować na cztery lata...

Po powrocie, za pośrednictwem księcia Blois, poprosił o rękę Tyfanii. Kiedy jego oświadczyzny natychmiast przyjęto, ów szorstki żołnierz, którego odwaga i śmiałość zaczynała napawać przerażeniem „tych z Anglii”, ukrył swą wielką głowę w dłoniach i się rozplakał.

Łzy także ciekły mu z oczu w ów dzień 12 września 1360 r., kiedy mieszkańcy Dinan wiwatowali na cześć młodej pary. Uśmiechając się, płakał tym razem łzami radości na myśl, że żyć będzie odtąd z kimś, kto go miłuje.

* * *

Słodycz miłości była takim objawieniem dla Bertranda du Guesclin, że po ślubie nie miał najmniejszej ochoty wyruszyć na wojnę. Dni całe spędzał u boku żony oddany pasji odkrywania tysięcznych rozkoszy. Jego gwałtowność i nastrój bojowy, zrodzone z goryczy, ustąpiły miejsca czarującej pobłażliwości, płynącej z poczucia, że jest się kochanym.

Snuł pokojowe plany i tak marzył o cichej egzystencji w wygodnym domku, że aż pewnego dnia Tyfania zaniepokoiła się i zapytała, kiedy zamierza znów wyruszyć na wojnę.

Du Guesclin zbył pytanie niezdecydowanym ruchem ręki.

– Ba!... – powiedział.

Tyfania zachnęła się na to i zagniewana rzekła:

– Panie, pięknych przewag byliście zaczątkiem i waszym jeno orężem Francja utracione prowincje odzyskać może. Widzę wszelako, że z miłości do mnie honor swój utracić jesteście gotowi. Tak, panie, być nie może, zresztą znieść bym tego nie mogła, gdyż czułabym się

* Anonimus (z XV r.), *Chronique de sire Bertrand du Guesclin*.

poniżona przez was, a więc przez tego, kto cześć mi winien. Wiedźcie, że jeśli wojny wieść nie będziecie, żadna białka w świecie miłością swą darzyć nie będzie was zdolna. Niewiasta jenom, lecz serce nigdy na miłość k wam nie przystanie, jeśli przez słabość dzielności się wyzbędziecie”^{*}.

Nieco zawstydzony tymi wymówkami i zrozpaczony koniecznością rozłąki z żoną, Bertrand du Guesclin odjechał wówczas stanąć pod rozkazy delfina Karola, który na razie zmagał się z wojskami Karola Złego, króla Nawarry i sprzymierzeńca Anglików.

W jakiś czas potem zmarł w Anglii Jan II Dobry i na tron wstąpił delfin, przybierając imię Karola V.

Widząc, że koronacja nowego króla ma się odbyć 19 maja 1364 r., żołnierze nawarscy, stacjonujący podówczas w Evreux, postanowili udaremnić tę uroczystość, a nawet porwać króla w czasie jego podróży z Paryża do Reims.

Pod wodzą rycerza Jana de Grailly pociągnęli w kierunku Eury, którą przekroczyli mostem w Cocherel, i rozbili obóz na wzgórzu. Kiedy wojsko odpoczywało, Grailly pogalopował do Vernon w celu odwiedzenia swojej narzeczonej, Joanny z Nawarry. I jak powiada pewien kronikarz: „na odjeźdnym ucałował imć panią Joannę, albowiem król Nawarry przyobiecował mu ją był za żonę. Pocałunek spodobał się wielce rycerzowi, gdyż imć pani Joanna była jedną z najurodziwszych dam świata chrześcijańskiego”.

Spięty taką ostrogą, Jan de Grailly dołączył do towarzyszy właśnie w chwili, gdy Francuzi pod wodzą du Guesclina nadciągali pod Cocherel.

Zaraz wywiązała się walka. Dziwna bitwa, w której dwaj mężczyźni, dwaj wodzowie ożywni byli uczuciem miłości.

Po dwóch dniach zażartych bojów du Guesclin wreszcie zatriumfował, odnosząc po raz pierwszy od trzydziestu lat zwycięstwo dla strony francuskiej. Była to jego pierwsza wiktoria, która zadecydowała o wspaniałej karierze.

W dwa dni później Karol V, wielce podniesiony na duchu tym zwycięstwem, bez przeszkód dopełnił koronacji w Reims; można jednak postawić sobie pytanie, co by się stało, gdyby Tyfania nie skłoniła du Guesclina, by znowu poszedł wojować, mówiąc mu, że tylko „w ten sposób jej serce zachowa”.

Niewątpliwie cała historia Francji mogłaby potoczyć się innym torem.

* * *

Nowy król Francji nie mógł, oczywiście, podejrzewać, że koronę swą zawdzięcza kobiecie. Przekazawszy du Guesclinowi podziękowania, wraz ze swą małżonką Joanną de Bourbon, ruszył do stolicy.

^{*} *Ibidem.*

24 maja triumfalnie wkraczali do Paryża, Młoda królowa dosiadła wspaniałego konia prowadzonego za uzdę przez brata królewskiego, Filipa Śmiałego księcia Burgundii. Wieczorem wszyscy dostojnicy bawiący przejazdem w Paryżu zebrali się w pałacu na wspaniałej uczcie, a stolica na dwa dni stała się ogromnym jarmarkiem.

Królową zasypywano pochwałami i podarkami, co sprawiało wielką przyjemność królowi, który czule miłował żonę, choć zaczął zdradzać ją już następnego dnia po ślubie. Ślub ów odbył się wprawdzie wtedy, gdy Joanna była jeszcze niedojrzała, ukończyła bowiem dopiero dwanaście lat. Trzynastoletni Karol doszedł do wniosku, że jego łożę małżeńskie jest trochę mdłe, i zaczął się rozglądać za bardziej doświadczonymi kochankami. W wieku piętnastu lat został amantem pewnej damy dworu, która w wyszukany sposób wprowadziła go w arkana sztuki miłosnej. Obdarzony raczej bujnym temperamentem „poskromił on” – jak to wówczas określano – wszystkie zamieszkałe w pałacu niewiasty, od kucharek po małżonki doradców tronu.

Nigdy zresztą nie krył się ze swymi sukcesami; w 1363 r., w czasie gdy był kochankiem pewnej Włoszki imieniem Bietka Cassinel^{*}, nosił herby obrazowe: „K+Łabędź+Skrzydła”, które układały się w rebus odpowiadający nazwisku Cassinel^{*}.

Wstąpiwszy na tron, Karol porzucił jednak rozwiązły tryb życia. Pragnąc nienagannie wypełnić obowiązki króla i męża, oddalił wszystkie kochanki oraz wszystkich tych, którzy byli współuczestnikami jego figlików.

Poznawszy bliżej Joannę de Bourbon, Karol V spostrzegł, że odznacza się ona zaletami ducha i wdziękiem. Wkrótce wprowadził ją w sprawy rządzenia i kazał regularnie brać udział w posiedzeniach Rady Królewskiej, w której zajmowała godne miejsce. Zasiadała u boku króla również i w parlamencie. Król zasięgał jej opinii w trudniejszych sprawach i zwał ją „najpiękniejszym promykiem słońca w jego królestwie”.

Po czternastu latach małżeństwa Karol odkrywał dopiero swoją żonę. Przepelniony radością, obsypywał ją klejnotami i myślał tylko o tym, by móc ją czymś obdarować.

– Szczęsny to dzień – mawiał – kiedy nas zeswatano!

Niestety! Małżeństwo leżące u podstaw królewskiego szczęścia miało być fatalne dla Francji. Karol V i Joanna de Bourbon byli kuzynostwem. Kościół od dawna już nie przestrzegał mądrych, ustanowionych niegdyś praw dotyczących pokrewieństwa i łatwo wydawał zezwolenia na małżeństwa w rodzinie.

Błędy te podcinały dynastię Walezjuszy. Już protoplasta owej linii, Karol, hrabia de Valois, popełnił potrójnie kazirodczy związek poślubiając swą kuzynkę, Małgorzatę Sycylijską, która przekazała potomstwu zrodzonemu z tego małżeństwa brzemię sześciokrotnych więzów krwi (poprzez dynastię Francji, Prowansji i Węgier). Zamiast

^{*} Miał z tą kobietą bękart imieniem Jan de Monlaigu, który został ministrem Karola VI. Zginął na szafocie. Wcześniej Karol V miał jeszcze jednego nieślubnego syna imieniem Oudard d'Attainville ów został bajlifem Rouen.

^{*} Po francusku: „K+Cygne+Ailes” czyta się mniej więcej jak Ka-syn-el (*przyp. tłum.*).

kierować się w większym stopniu rozsądkiem, kolejny Walezjusz, Filip VI de Valois, znów powodując się uczuciem, poślubił kuzynkę...

„Aby zlikwidować nadmiar pokrewieństwa – pisze doktor Brachet* – konieczne było, aby poprzez związek małżeński z cudzoziemką Filip VI dał rodowi Walezjuszy zastrzyk świeżej krwi, który mógłby zneutralizować patologiczny wpływ dziedziczności.

Pierwszy król walecjański postąpił akurat odwrotnie; zamiast odejść od pokrewieństwa z Ludwikiem Świętym (podwójnego już w jego przypadku), pogłębił je jeszcze bardziej, żeniąc się z własną ciotką, wnuczką świątobliwego króla”. Aby chlubnie zakończyć tę serię, Karol V, wnuk Filipa VI, poślubił Joannę z Bourbonów, która, tak jak i on, była wnuczką Filipa II, Hugona IV z Burgundii i Henryka V z Luksemburga. Oznaczało to, że ich związek miał ponad sześć linii pokrewieństwa i niósł w sobie ryzyko następstw niebezpiecznych dla potomstwa.

Nie znając reguł dziedziczności, król i królowa pragnęli oczywiście mieć dzieci. Po trzech nieudanych próbach w 1368 r. Joanna wydała na świat syna. Ponieważ jej poprzednie porody były trudne, kazała przytwierdzić sobie do uda aetyt – kamień, któremu starożytni przypisywali własności przeciwporonne i antykonwulsyjne. Wszystko poszło jak z płatka!

– Jakaż radość! panie mój, Karolu – rzekła królowi, który nie odstępował od jej łoża. – Mamy spadkobiercę. Jak go nazwiemy?

– Karolem! – odpowiedział król. – A jeśli Pan Bóg zachowa go przy życiu, kiedy zapanuje po mnie, zwać go będą Karolem VI.

Tak oto, wskutek powodowanych ślepą miłością niebezpiecznych związków między krewniakami, narodził się król Francji, który miał być w przyszłości dotknięty obłędem.

* A. Brachet, *Pathologie mentale des rois de France*.

22.

Królowa Izabela Bawarska i jej kochankowie zaprzędają Francję

– Wasza Królewska Mość, jeno
Bogini Wenus panuje na waszym
Dworze!

Jacques Legrand
w kazaniu skierowanym
do Izabeli Bawarskiej

Dwór królewski mieścił się w owym czasie w pałacu Saint-Pol położonym w pobliżu bastidy (lub bastylia), którą król kazał budować na wschód od Paryża *.

Karol V lubił tę rezydencję. Dawała mu możliwość oderwania się od atmosfery Luwru, pałacu zbyt już starego i zbyt surowego *. Kazał ją zbudować, aby przypodobać się królowej, i wiódł w niej prosty żywot w otoczeniu bliskich.

Wśród nich znajdowało się kilka co najmniej dziwnych postaci. Brzydki, powykrzywiani, pokraczni i groteskowo poubierani, czas spędzali na podskakiwaniu i paplaniu żarcików.

Były to „przygłupki” *.

* Termin „bastida” odnosi się głównie do grodów warownych budowanych w XIII i XIV w. w południowo-zachodniej części kraju z inicjatywy królów Anglii i Francji. Intencją każdego z tych monarchów (król Anglii był w tym czasie władcą Akwitanii) było otoczenie swych posiadłości łańcuchem warowni w celu zatrzymania obcych najazdów. W odróżnieniu od „bastidy” – miasta warownego, termin „bastylia” określał fortyfikację wyodrębnioną z murów miejskich (*przyp. tłum.*).

* Luwr, o którym mowa, przypomina dziś jedynie linia znacząca zarys baszt i murów, widoczna na tzw. Dziedzińcu Kwadratowym. Stary pałac, zbudowany za Filipa Augusta, zajmował zaledwie czwartą część obecnego dziedzińca, a jego zachodnia i południowa fosa przebiegała mniej więcej w miejscu, gdzie stoją dziś Wenus z Milo, Nike z Samotraki i najcenniejsze zabytki rzeźby grecko-rzymskiej Muzeum w Luwrze (*przyp. tłum.*).

* Terminem *fou* język francuski określa zarówno głupca i szaleńca jak i błazna. Jego zestawienie z określeniem „Karol Mądry” daje pewną grę słów, której nie sposób oddać w języku polskim (*przyp. tłum.*).

Karol Mądry był bowiem pierwszym królem Francji, który nie ograniczył się do jednego tylko błazna, ale miał na swym dworze całą grupę trefnisiów*.

Krystyna de Pisan powiada, że niezmiernie lubił takie towarzystwo. Odmówiwszy modlitwy porannej, zbierał ich codziennie w swej komnacie i indagował na różne tematy: gości bawiących na dworze, ministrów czy aktualnych spraw. Zuchwałe odpowiedzi dawane przez trefnisiów, mających zapewnioną wyjątkową bezkarność, bawiły go bardzo i wprawiały w dobry humor, gdy udawał się następnie do prac państwowych i przewodniczył Radzie Królewskiej.

Trefnisiów było trzech. Mieli oni rangę urzędników, a swe bezczelne i złośliwe rzemiosło wykonywali nie bacząc na tytuły i stopnie. Do naszych czasów dochowało się nazwisko jednego z nich. – Thévenin de Saint-Légier był bardzo inteligentny i wielce przewrotny, jego też właśnie najbardziej obawiali się dworzanie.

Kobiety wręcz przeciwnie – łaknęły jego towarzystwa. Spoglądały nań z jakimś osobliwym zainteresowaniem. Udawał, że nie zwraca na to uwagi, ale w ich źrenicach dostrzegał ów perwersyjny błysk – zapowiedź białych nocy, których rozkoszami z góry się już delektował, albowiem wszystkie, choć odmawiały łask przystojnym rycerzom, marzyły o spędzeniu nocy z człowiekiem będącym zarazem karłem i garbusem. Thévenin wiedział, co sądzić o uczuciach, jakie wzbudzał, ale nie czuł z tego powodu goryczy. Rozpustnik pierwszej wody, korzystał z tych uśmiechów losu z podziwu godnym poczuciem oportunisty i filozofii. Przewinął się też przez łóżka niemal wszystkich dam dworu...

Nigdy jednak żadnej nie pokochał. Był bowiem zakochany w jednej kobiecie, która mogła miłować go bez perwersyjnych podtekstów; w jedynej, która mogła zrozumieć jego smutki, radości i niepokoje. Wchodziła ona w skład świty osobistej królowej Joanny, nazywała się Artolda du Puy, i była jak i on „przygłupkiem”.

Thévenin pragnął ją poślubić, obawiał się jednak zawsze, że taki mariaż byłby zbyt ucieszną gratką dla ludzi dworu królewskiego.

* * *

O ile Karol V Mądry mógł codziennie gawędzić ze swymi trefnisiami tak, że ich błazenady nie miały żadnego wpływu na jego rozum, o tyle rzecz się miała inaczej z Joanną de Bourbon. Wskutek licznych związków krwi w rodzinie dotknięta lekkim rozstrojem umysłowym, miewała czasem zaburzenia, które czyniły ją „dziwaczną”. Bardzo podatna na wpływy, rozmowy ze swoją „wariatką” kończyła zawsze nieco podenerwowana.

Pewnego dnia roku 1373 trzydziestopięcioletnia podówczas królowa dostała prawdziwego ataku szału. Rycząc, tarzała się po ziemi i tłukła biedną Artoldę du Puy, która,

* Moda na błazna dworskiego datuje się z dawnych czasów. Spotykamy go już w 814 r. na dworze Ludwika Pobożnego, syna Karola Wielkiego.

strwożona, zaalarmowała pozostałych błaznów. Przerażająca była to scena, gdy dotknięta nagłym pomieszaniem zmysłów królowa miotła się i bełkotała słowa bez związku wobec grupki przestraszonych karzełków.

Powiadomiony o tym Karol V natychmiast opuścił salę Rady i udał się do królowej. Zobaczył ją w chwili, gdy z suknią zadartą nad głową wykonywała nieprzyzwoite gesty. Głęboko tym skonsternowany, łagodnymi słowami nakłonił ją do przejścia do komnaty, gdzie wezwany na pomoc lekarz oświadczył, że królowa została prawdopodobnie zauroczona... Wielce przybity król – jak powiada autor „Kroniki czterech pierwszych Walezjuszy” – „odbył wiele pielgrzymek albowiem żonę swą miłował srodze”.

W tym smutnym stanie Joanna pogrążona była przez cały rok 1373. Po trochu odzyskała później rozum i „rzeczy pamięć”.

W 1374 r. wszystko było już dobrze, gdy z kolei zachorował Karol V. Myśląc, że jest to już kres jego życia, król sporządził testament i oświadczył, że w razie jego śmierci regentką królestwa zostanie jego ukochana żona. Musiał być bardzo zakochany ów biedny Karol, podejmując tak zadziwiającą decyzję, skoro królowa w każdej chwili mogła ponownie popaść w szaleństwo...

Szczęściem dla Francji na wiosnę 1377 r. królowa zmarła w połogu, ponieważ wzięła kąpiel, mimo że była w ciąży*.

Król tak bardzo pogrążony był w smutku, że przez kilka tygodni nie zajmował się sprawami państwa i nigdy odtąd już się nie uśmiechał. Oto co w tej materii ma do powiedzenia Krystyna de Pisan: „W sobotę królowa przeniosła się do wieczności. Król bolał nad tym okrutnie, a lubo cnotą stałości większą niż ludzie inni się odznaczał, zejście to tak wielką boleść mu uczyniło i tak długotrwałą, że nigdy żałoby większej po nikim nie okazywał: bo kochali się srodze miłością przeogromną”*.

Królowej Joannie sprawiono wspaniałą pochówkę. Bogato ustrojone zwłoki zanieśiono z wielką paradą do katedry Notre-Dame i złożono na uwieńczonym baldachimem katafalku ze złotogłowiu. Głowę owinięto jej cieniutką woalką, tak, aby luby widzieć mógł jej twarz...

Uroczystości żałobne były długie i wielce wystawne. „Król tak bardzo ciało swej żony miłując, o duszy swej myśleć zaczął” – powiada Krystyna de Pisan. Kazał odmawiać tyle modlitw, że nabożeństwo trwało całą dobę.

Powróciwszy do pałacu Saint-Pol, Karol V zamknął się w kaplicy, by opłakiwać tam istotę, której nigdy nie miał już zapomnieć. Niezdolny do opanowania żalu, zmarł zresztą w kilka lat potem w wieku czterdziestu trzech lat.

Przed zgonem, 16 września 1380 r., na zamku w Beauté-sur-Marne koło Nogent objawił swe życzenie, aby „dla mogących stąd wynikać korzyści politycznych” delfin Karol poślubił jakąś księżniczkę niemiecką.

* Froissart pisze, że „królowa w stanie błogosławionym była i medycy wzbraniali jej kąpeli jako przeciwwskazanej i niebezpiecznej. Mimo to kąpać się chciała i tym choroby śmiertelnej się nabawiła”.

* K. de Pisan, *Le Livre des faicts du sage roy Charles*.

Kiedy tylko ukoronowano w Reims nowego króla, mającego wówczas dwanaście lat, wuj jego, książę Burgundii Filip Śmiały, jako regent sprawujący rządy w królestwie, zaczął zaraz rozglądać się za księżniczką rodem zza Renu.

* * *

Po kilku latach dowiedział się, że diuk Stefan z Bawarii ma uroczą czternastoletnią córkę imieniem Izabela*. Zapytał go, czy zgodzi się wydać ją za króla Francji. Diuk Bawarii był bardzo zakłopotany, krępował go bowiem jeden szczegół. Usłyszał gdzieś, że narzeczona królewska była we Francji poddawana, całkiem naga, oględzinom dam dworu „w celu stwierdzenia, czy jest odpowiednio dla rozkoszy zbudowana i zdolna do dzieci rodzenia”. Poddanie się przez księżniczkę Bawarii tak barbarzyńskiej formalności uważał za upokorzenie.

Obawiał się ponadto, że Izabela nie przypadnie do gustu Karolowi VI.

– Powiadają, że dziwny jest ten młody książę – rozmyślał. – Nie chcę, żeby wzięto mi córkę po to, aby potem ją zwrócić.

I odpowiedział regentowi Francji, że nie da córki Karolowi VI.

Filip Śmiały był zbyt zręcznym dyplomata, by obruszyć się na takie *dictum*. Był ponadto powiązany z domem bawarskim i nie chciał targać zawartych przez się sojuszy. Udał, że godzi się z odmową Stefana, ale w trzy miesiące później zlecił księżnej Brabantu, wnuczce Filipa Pięknego i wielce szczonej niewieście, podjęcie nowych negocjacji.

Mile polechtany nowymi zabiegami, diuk tym razem zgodził się, by Karol spotkał się z Izabelą, pod warunkiem, że przed dziewczyną ukryje się intencje tego spotkania.

– W ten to sposób – powiedział – jeśli król Francji nie rozsmakuje się w niej, ja jeden poznam smak upokorzenia.

– Mogę was zapewnić, że upokorzona takowego nie zaznacie – rzekła mu księżna Brabantu – księżniczka Izabela jest na to zbyt ładna. Ale jeśli obawiacie się najgorszego, mogę wam przyrzec, że król i księżniczka spotkają się „przypadkiem”.

Uzgodniono więc, że Izabela pod opieką swego wuja Fryderyka uda się z pielgrzymką do świętego Jana z Amiens, dokąd Karol przybędzie również w towarzystwie stryja – Filipa Śmiałego.

Pewnego czerwcowego ranka 1385 r. księżniczka gotowa była do podróży. Widząc, że córka opuści go wkrótce, diuk Bawarii ucałował ją czule i wzięwszy Fryderyka na stronę, powiedział doń:

* Kronikarze ówczesni nazywali ją na przemian Izabelą, Elżbietą lub Jezabel. Nie wiedzieć czemu to ostatnie – najmniej wdzięczne imię przeważało u historyków nowożytnych.

– Z obawą powierzam ci, bracie, moje dziecko. Jeśli król Francji nie zechce jej za żonę, pohańbiona będzie. Wiedz, że jeśli przyprowadzisz mi ją z powrotem, nigdy nie będziesz mieć wroga większego nade mnie.

Nieszczęściem dla Francji, Izabela Bawarska nie musiała wracać do ojca.

* * *

Księżniczka zatrzymała się w Brukseli, gdzie księżna Brabantu dawała jej lekcje dobrego wychowania i sprawiła dla niej eleganckie suknie, jako że szaty zabrane przez nią na dwór francuski zbyt skromne były^{*}. Kiedy wreszcie była gotowa, ruszyła do Amiens, gdzie król z niecierpliwością czekał już na nią.

Karol VI miał wówczas siedemnaście lat. Odznaczał się quasi-patologiczną zmysłowością, skłaniającą się ku obsesji seksualnej, nad czym wielce boleli jego opiekunowie duchowi^{*}. Oko błyszczało mu wtedy, kiedy wyobrażał sobie ciemnowłosą Niemkę, znaną dotąd tylko z opisów.

15 lipca strojnie odziana Izabela przybyła do Amiens i zaprowadzono ją do króla. W jędrnych słowach Froissart opisuje nam to spotkanie i piorunujące wrażenie, jakie wywarła ona na Karolu VI: „Podszedłszy doń, skłoniła się w głębokim przykłęku. Król zbliżył się do niej, za rączkę ujął, podniósł z kolan i spojrzał na nią łaskawie. Wraz ze spojrzeniem błogość i miłość w serce jego spłynęły, bo młoda była i piękna i wielką miał ochotę za żonę ją pojąć. Wówczas konetabl Francji rzekł do pana de Coucy i pana de la Riviere:

– Mała ta u nas zostanie, król nie spuszcza z niej oczu.

Kiedy księżniczka Izabela ze swą świtą pożegnali się z królem, książę de la Riviere zapytał go:

– Co Wasza Królewska Mość sądzi o tej młodej damie? Czy zostanie wśród nas? Czy będzie królową Francji?

– Na honor, tak – odrzekł król – innej nie pragniemy. Na Boga, rzeknijcie stryjowi memu, księciu Burgundii, by kończył dzieło.

Książę Burgundii udał się więc do komnaty księżnej Hainaut i zastał ją z księżniczką, która miała być jego bratanicą. Książę skłonił się jej z należytyim szacunkiem, ze zwykłą sobie znajomością rzeczy, po czym śmiejąc się rzekł do księżnej:

^{*} Froissart, *Chroniques*.

^{*} Podczas uroczystości przyjmowania króla Sycylii w poczet rycerski w pobliżu bazyliki królów Francji odbywały się zdumiewające orgie. Autor *Chronique de Saint-Denis* stwierdza, że „każdy tak bardzo zabiegał o zadośćuczynienie chuciom, że zdarzali się mężowie na inkonduitę żon swych przystający, także i dziewczki, co czci swoje przepomniały”. Przytaczający te słowa dr Cabanes dodaje, że „młody król Francji Karol VI, brat fetowanego księcia, dokazywał takich «cudów» wobec dam, że od tej chwili można było powątpiewać, czy jest przy zdrowych zmysłach...”

– Pani i kuzynko, król jegomość zniweczył plany waszej podróży do Arras, gdyż do małżeństwa mu spieszo. Odpocznijcie więc dziś i jutro w mieście, a w poniedziałek wesele”^{*}.

Rozległy się radosne okrzyki.

Nie znająca francuskiego Izabela spytała księżną Hainaut, cóż też książę Burgundii powiedział takiego śmiesznego i radosnego.

Pwiadomiono ją wówczas, że pojutrze wychodzi za mąż za króla Francji, co troszkę ją zaskoczyło...

Tego samego wieczoru przybył wysłannik od diuka Bawarii z zapytaniem, jakiego posagu spodziewa się Karol w związku z poślubieniem Izabeli.

– Żadnego – odrzekł młody król, podniecony wzruszającymi kształtami niemieckiej księżniczki – zalety mej narzeczonej cenniejsze są nad złoto, jakie mógłbym otrzymać!

W miesiąc później „zalety” te miały objawiać się w osobliwy sposób...

* * *

Ślub odbył się 18 lipca w katedrze w Amiens.

Sprawy potoczyły się jednak tak szybko, że większość dam na dworze nie miała czasu przygotować strojnych toalet, takich jakie życzyłyby sobie mieć przy podobnej okazji, sama zaś Izabela Bawarska również nie miała sukni ślubnej.

Mimo to uroczystość była przepyszna. W pałacu biskupim wydano wystawną ucztę, przy której usługiwali hrabiowie i baronowie. Po czym, kiedy zaproszeni goście tańczyli „wielce obyczajnie”, Karol VI, pragnąc zaznać rozkoszy od trzech dni oczekiwanych, zaciągnął piękną oblubienicę do jakiejś komnaty, i dowiódł, że potrafi być miłym kompanem...

Wyjaśniwszy sobie w ten sposób parę spraw, nowożeńcy zamieszkali w zamku Beauté-sur-Marne, wybranym przez Karola VI na główną rezydencję.

Izabela poznała wówczas parę podejrzanych typów, którzy, mając nadzieję uczestniczyć w rabunku skarbcza królewskiego, od kilku lat kręcili się wokół młodego monarchy.

Ów bezwstydnym i skandaliczny rabunek zapoczątkowany został przez trzech stryjów Karla: księcia Burgundii, księcia Berry i księcia Andegawenii, którzy po śmierci Karola V zaprowadzili rządy „Książąt Kwiatu Lili”. Wykorzystując słabość młodego króla, przywłaszczali sobie całe prowincje, przechwytywali do własnych skarbców podatki i wygórowane opłaty, którymi uciskali lud i pełnymi garściami grabili złoto z mazołem uciulane przez Karola V.

Nieuczciwość trzech „regentów” wytworzyła wreszcie na dworze dość szczególną atmosferę, i zamek w Beauté-sur-Marne bardziej przypominał teraz zbójecką melinę niż pałac królewski.

^{*} Froissart, *op. cit.*, księga IV.

Przybycie Izabeli zaniepokoiło trochę osobistości spod ciemnej gwiazdy, pod rozmaitymi pretekstami czepiających się królewskiej klamki, a które, uciekając się do nieprawdopodobnych machinacji, potrafiły sprzątać okruchy skarbcza królewskiego.

Niektórzy obawiali się, że ładna księżniczka niemiecka okaże się bardziej przenikliwa niż Karol VI i zdemaskuje ich intrygi.

Przez kilka tygodni wszyscy obserwowali ją z wielkim napięciem. Młoda królowa była jednak zbyt sprytna, by w obliczu panującego na dworze rozpasania i innych szelmostw okazać w jakikolwiek sposób swe myśli. Zaczęto wreszcie zastanawiać się, czy pojmuje, co dzieje się wokół niej, i czy choćby dostrzega parki, których bezwstyd dawał pod koniec uroczystości okazję do nader ciekawych widoków.

Rezydencja królewska była w istocie miejscem straszliwych orgii, w których Karol VI od dnia swego ślubu wprawdzie nie uczestniczył, ale które tolerował z wielką pobłażliwością, znając z własnych doświadczeń przemożną siłę niektórych uczuć.

Sama więc obecność Izabeli z jednej strony zaniepokoiła intrygantów, z drugiej – przywróciła młodemu monarsze równowagę seksualną. Przez jakiś czas mniej było malwersacji, a Karol VI był mniej spięty... To ukojenie zmysłów było dlań wielce korzystne. Osiągnął spokój ducha, co pozwoliło mu zajmować się sprawami państwa, czuł nawet wielką potrzebę czynu.

Pewnego ranka, po nocy, podczas której dokazywał cudów męskości, wstał pijany dumą, z głową pełną ambitnych projektów i, jako że w tym momencie nic nie mogło wydawać mu się nieosiągalne, postanowił dokonać inwazji na Wyspy Brytyjskie...

W kilka dni później wyjechał na przegląd floty nad Skaldę we Flandrii.

Izabela pozostała sama w Beauté...

Samotność zaczęła wkrótce doskwierać gorąckrwistej księżniczce, którą Karol zaprawił do igrzysk miłosnych; pewnego dnia tedy, znużona wypatrywaniem, czy Karola nie widać gdzieś na horyzoncie, rozejrzała się wokół siebie. Pierwszą osobą, jaką dostrzegła, był pełen wdzięku, świetnie zbudowany, niezmiernie inteligentny i obdarzony uwodzicielskim zmysłem chłopak. Zwał się Bois-Bourdon*.

Elegancki paniczyk od pierwszego wejrzenia zakochał się w Izabeli. Spostrzegłszy, że królowa spoglądała nań ze szczególną uwagą i innym już okiem, nabrał śmiałości, a pewnego dnia wyznał jej miłość.

Izabela miała zaledwie siedemnaście lat, umiała jednak podejmować szybkie decyzje. Następnego dnia została kochanką Bois-Bourdona.

Po kilku dniach pełnej zażyłości, w czasie których młody faworyt mógł poznać zachłanny charakter Izabeli, opowiedział jej o mątanych w Beauté intrygach i udzielił kilka dość makiawelicznych rad.

* Nie zaś Bois-Redon czy Bosredo, jak go zazwyczaj określają.

– Pani, o ile w siłę nie wzrosiecie w ruchach, manierach i zachowaniu nie upodobnicie się do otaczających króla intrygantów, nie przestaną się was obawiać zaczną podziwiać i nie przejdą pod waszą władzę. Pierwszej wkraczać na oną drogę iście nie byłoby chwalebne, ale gdy wszyscy nią idą, byłoby niezręcznie, nieuczciwie i pychy oznaką na uboczu pozostać...*

Bez najmniejszego wahania królowa natychmiast zgodziła się uczestniczyć w ogólnym nieładzie i wyznała, że gotowa jest na wszystko, byle tylko zrealizować swe zamierzenia.

– Król – rzekła – dobry jest bardzo i wielu go czci. Nie liczę jednak na jego głowę, gdzie słabość tkwi jeno. Dlatego też trzeba, bym ja panowała.

I, nie zwlekając, zaczęła układać plan kampanii. Na widok młodej królowej, przekształcającej się nagle w chytrego i pozbawionego skrupułów polityka, Bois-Bourdon osłupiał. Dowiedział się, że królowa z zimną krwią zamierza zlikwidować trzech regentów, mogących być przeszkodą w realizacji jej planów, i związać się silniej i ściślej z bratem króla, księciem Turenii.

– Jest młody i pełen zapału – rzekła – jestem pewna, że mi pomoże.

Słyszając to, Bois-Bourdon wielce się zaniepokoił.

– Silnego rywala gotujecie mi, pani – pozwolił sobie wtrącić.

Izabela spojrzała nań czule.

– Przyjacielu – odrzekła – nigdy nie będziesz miał rywala. Nawet jeśli z wyrachowania przystęp do łoża mego jakimś wielmoży otworzyć będę zmuszona, zażyłość nasza tym silniejsza będzie, albowiem nasza młodość i zainteresowania nasze wiodą ku rozkoszy.

I ożywiona zapalem rozświetlającym jej błękitne oczęta dodała:

– Każdy na tym dworze zabiega jeno o grosz i użycie, co mnie także pociąga, jako że rozkoszne to rzeczy. Czemuż miałabym ich sobie wzbraniać? Przyjacielu, dobre twoje rady, postąpię, jak powiedziałeś.

Po czym uśmiechnęła się do kochanka i oboje poszli przypieczętować zgubny pakt na paradnym łożu...

W miesiąc później Karol VI przyjechał na parę tygodni do Beauté. Królowa przyjęła go bardzo czule i wylewnie. Nie podejrzewając niczego, wyruszył znów do Flandrii, zabierając tym razem część dworu ze sobą.

Księżę Turenii nie wszedł wszakże w skład tej ekipy i Izabela mogła wykorzystać nowy okres rozłąki, aby zbliżyć go do siebie.

Był to piękny młodzieniec, porywczy i popędliwy. Miał lat piętnaście, wyglądał jednak na osiemnaście, miał też już wiele chlubnych przygód z niektórymi bywalczykami pałacu...

Kiedy znalazł się niemal sam na sam ze swą intrygującą szwagierką, był tym silnie poruszony.

* Zarówno powyższe, jak i dalej przytoczone zdania, wypowiedział w czasie swego procesu sam Bois-Bourdon. Protokoły sądowe odnalazł markiz de Sade.

Pewnego dnia zorganizowała ona zabawę, na którą między innymi przybył również i wierny Bois-Bourdon. Po wesołej uczcie rozpoczęły się tańce. Bal otworzyła Izabela z księciem Turenii, goście zaś w takt powolnej i zawilej muzyki kreślili skomplikowane figury taneczne.

Kiedy wszyscy zajęci byli stawianiem stóp w takt melodii, Izabela pociągnęła dyskretnie królewskiego brata w kierunku komnaty, tak dobrze znanej biednemu Bois-Bourdonowi...

* * *

Rad z przygody, młody książę Turenii postarał się wykazać czarującej szwagierce, że jest już mistrzem w „sztuce sadzenia kwiatków”, jak to wówczas określano.

Noc upłynęła im burzliwie, tym bardziej że Izabela, ujęta biegłością młodzieńca, szybko zapomniała o przyczynach politycznych, jakie skłoniły ją do wyboru tego drugiego kochanka, i całkowicie oddała się rozkoszom.

Kiedy zbliżający się świt orzeźwił noc wiosenną, wyczerpani i „starci na proch” kochankowie, wciąż jeszcze spleceni uściskiem, zapadli w pełen szczęścia sen, będący jakby przedłużeniem rozkoszy...

Koło dziesiątej rano królowa otworzyła oczy i uśmiechnęła się na widok pięknego majowego dnia. Książę Turenii spał nadal u jej boku. Pogładziła go leciutko po włosach, ciesząc się myślą, że znalazł się na jej łasce i niełasce. Dla psoty ucałowała go. Otworzył oczy.

– Bądź pozdrowiona, pani. O czym dumasz dziś rano? – zapytał Ludwik.

– Smutnam wielce, mój piękny przyjacielu – odrzekła Izabela, której sen przywrócił trzeźwość umysłu. – Przyszło mi na myśl, że nie zajmujecie stanowiska godnego waszych cnót szlacheckich. Mój luby władca Karol jest dobry, lecz pusto ma w głowie. Wam tron winien przypaść w udziale. Czy zechcecie dopomóc mi w tym, by ująć krzepką dłonią to, co król trwonić dozwala?...

Propozycja nie mogła nie przypaść do gustu księciu Turenii mającemu wygórowane ambicje i wysokie o sobie mniemanie. Przynależąc więc królowej wspierać ją w miarę swych możliwości i, czyniąc aluzję do nieuczciwości stryjów, dodał z czułym uśmiechem:

– Trzeba bądź przeszkodzić podobnym praktykom, pani, bądź samemu wyciągnąć z nich korzyści. Zjednoczmy nasze serca i interesy. W czasach intryg i słabości nie masz innego środka na odniesienie sukcesu*.

Tego właśnie życzyła sobie Izabela.

Zaraz ułożyła plan: odsunąć ludzi, którzy mogliby mieć jakikolwiek wpływ na króla, wyswobodzić go spod kurateli trzech regentów i zmusić do samodzielnych rządów.

Kochankowie poprzysięgli sobie uczynić wszystko, aby szybko dopiąć tego celu.

* Cytat z zeznań Bois-Bourdona złożonych podczas przesłuchania (archiwa Burgundii).

Po czym Izabela wstała z łóżka, ubrała się i poszła opowiedzieć Bois-Bourdonowi o wszystkim, co się przydarzyło.

– Nasze sprawy weszły na dobrą drogę – stwierdziła.

A że faworyt mimo wszystko miał smutną minę, na wieczór nazaczyła mu spotkanie w swej komnacie.

* * *

Z regentami nie poszło Izabeli tak łatwo, jak sobie wyobrażała. Zbyt sprytna, by ponaglać bieg wydarzeń, bawiła się nadal, pozwalając, by czas pracował dla niej.

Jedną z jej ulubionych rozrywek było przyglądanie się sądom bożym. W owej epoce, gdy wymiar sprawiedliwości nie znajdował wystarczających dowodów do kontynuacji śledztwa i otwarcia rozprawy, król zezwalał oskarżycielowi na rozstrzygnięcie sporu pojedynkiem.

Pozostający przy życiu uważany był za zwycięzcę z wyroku Opatrzności i gratulowano mu gorąco, że tak dobrze potrafił dowieść swych racji. Fakt zostania nieboszczykiem wystarczająco udowadniał, jak bardzo zabity był w błędzie...

Pewnego dnia 1386 r. Karol VI zezwolił dwóm szlachcicom normandzkim – Janowi de Carrouges i Jakubowi Le Gris – na przyjazd do Paryża, aby tam rozstrzygnęli wielce ciekawą sprawę, pasjonującą lud, dwór, a zwłaszcza młodą królową.

Różnica zdań między obu rycerzami miała dość pikantne przyczyny.

Jan de Carrouges mieszkający w Alençon wyjechał w podróż, pozostawiając swą młodą i powabną małżonkę w towarzystwie samej tylko służby.

Któregoś wieczoru jakiś człowiek pojawił się przed zamkiem i poprosił o zezwolenie na zwiedzenie baszty.

– Kim jesteście – spytano go.

– Jestem Jakub Le Gris, wasz sąsiad!

Usłyszawszy to imię, pani zamku kazała wprowadzić gościa, przyjęła go z wielką uprzejmością i zatrzymała na kolacji. Nie obawiając się niczego, zaprowadziła go potem do baszty, aby mógł ją sobie zwiedzać do woli. Ledwie tam weszli, Le Gris zamknął drzwi i złożył małżonce Jana de Carrouges wyznania „najczulszych uczuć jakie do niej żywi”.

Wielce zdumiona dama poczuła pewną obawę i chciała wyjść, ale jak powiada jeden z kronikarzy, gość pochwycił ją, niezwłocznie poddał zaplanowanej z rozmysłem zniewadze, po czym, wyszedłszy z baszty, skoczył na koń i przepadł.

* * *

Kiedy Jan de Carrouges powrócił do domu, żona z płaczem opowiedziała mu, co się zdarzyło, i w jaki sposób została zbezczeszczona. Szlachcic nie skrywał swego niezadowolenia.

– Pomszczę cię! – rzekł pełnym godności tonem.

I, nie zwlekając, napisał skargę do księcia d’Alençon, będącego seniorem tak jego, jak i Jakuba Le Grisa. Księciu nie spodobało się, że takie historie mogą się trafiać w jego lennych włościach. Wielce rozdrażniony, przywołał męża, żonę i kochankę, nie ukrywając, że podejrzewa całą trójkę...

Podczas tej osobliwej konfrontacji dama de Carrouges opowiedziała ze szczegółami o „oszałamiającej chwili” przeżytej w baszcie, a o gwałt na niej popełniony oskarżyła Jakuba Le Grisa. Ów bronił się zażarcie, wszystkiemu zaprzeczył i przedstawił niepodważalne alibi. Zakłopotany książę d’Alençon, widząc, że sam nie dojdzie prawdy, przekazał obie strony pod jurysdykcję Parlamentu Paryskiego.

Parlament, mimo osiemnastomiesięcznego procesu, nie potrafiąc również niczego udowodnić Jakubowi Le Gris, postanowił zarządzić „pojedynek na śmierć i życie”.

Król bawił wówczas nad Skaldą, przygotowując się wraz ze swymi baronami do inwazji na Anglię: dowiedziawszy się, że dwaj szlachcice normandzcy potykać się będą w szrankach, powrócił do Paryża, nie chcąc stracić podobnego widowiska. Regenci i liczne grono rycerzy postąpili tak samo i w dniu potyczki tłum wielki przybył, aby przyglądać się zmaganiom obu przeciwników.

Król, królowa i cały dwór zasiedli w pierwszych rzędach. Gdy wszystko było już gotowe, Jan de Carrouges podszedł do przyodzianej w żałobę małżonki i rzekł do niej:

– Pani, na podstawie waszych zeznań stawiam życie moje, walcząc z Le Grisem. Wy jedna wiecie, czy sprawa moja słuszną jest i sprawiedliwą.

– Dostojny panie – odrzekła jego małżonka – przysięgam, że walczyć możecie spokojnie, gdyż słuszna jest sprawa.

– A więc niech się dzieje w imię Boże – rzekł wówczas rycerz.

I pozostawiwszy klęczącą żonę, wszedł w szranki. Zaraz natarli na się mieczami. W szybkim, lecz nadzwyczaj gwałtownym starciu Jakub Le Gris powalony został na ziemię. Jan de Carrouges jednym skokiem był przy nim i, wsuwając ostrze miecza w szczelinę zbroi, wezwał go, by wyznał swą zbrodnię.

– Jestem niewinny – odpowiedział Le Gris.

Carrouges dobił go wówczas bez mrugnięcia okiem. Powstawszy, spytał zgromadzonych, czy słusznie postąpił.

– Tak! Tak! – odkrzyknięto mu.

Usatysfakcjonowany, poszedł przykłąknąć przed królem i królową. Ta przyglądała się widowisku tak namiętnie, że oczy jej były pełne łez. Gorąco pogratulowała zwycięzcy i kazała wypłacić mu tysiąc talarów.

Wielce zadowolony Carrouges podszedł do żony i oboje, niesieni przez tłum w triumfalnym pochodzie, udali się na dziękczynienia do katedry Notre-Dame.

W tym samym czasie ciało Le Grisa zaniesiono na Sokolą Górę, gdzie kat obwiesił je na szubienicy.

* * *

Nikt by już o tej historii nie wspomniał, gdyby pewnego dnia jakiś skazaniec, w chwili gdy miano go wieszać, nie wyznał, że on właśnie targnął się na damę de Carrouges. Wzięty na spytki wyjaśnił, że podszył się pod Le Grisa, do którego, nawiasem mówiąc, był trochę podobny, aby wejść do zamku i zgwałcić żonę szlachcica...

Dowiedziawszy się o swej pomyłce, dama de Carrouges była szczerze zrozpaczona. Kiedy w jakiś czas później mąż jej poległ w bitwie, wstąpiła do klasztoru, wybierając pokutę pozostającą w związku ze zbrodnią, która spowodowała śmierć niewinnego człowieka – złożyła śluby wieczystej czystości.

Kiedy dowiedziano się o tym na dworze, decyzja ta ubawiła królową i jej przyjaciół. Warto wiedzieć, że w owym czasie Izabela utworzyła w Vincennes bardzo szczególny i bardzo nieprzyzwoity „trybunał miłosny”, przed którym obowiązkowo należało popisywać się występkami. Pod nieobecność króla organizowano rozwiązłe zabawy, podczas których każdy przebierał się na swój sposób: za ptaka (z piórami przyklejonymi do ciała), za rybkę lub po prostu – za Adama czy Ewę...

Bachanalie kończyły się orgiami trwającymi noce całe. W szafowaniu swą osobą młoda, gorąca królowa, jak łatwo się domyśleć, nie należała do ostatnich...

Jedna z tych skandalicznych zabaw miała któregoś dnia zakończyć się smutnie...

* * *

Podobne gry towarzyskie wycieńczyłyby każdą normalnie usposobioną młodą niewiastę. Były one jednak niezbędne dla równowagi ducha i ukojenia nerwów Izabeli, gdyż nigdy jeszcze nie widziano królowej w lepszej formie i równie pewnej siebie, jak w owych dniach. Ledwie co opuściwszy szalone zgromadzenia, nurkowała po uszy w intrygach politycznych i kontynuowała cichą walkę z zawadzającymi jej regentami.

Walka ta ciągnęła się już od roku i wydawało się, że stryjowie króla nie opuszczą już swych stanowisk, kiedy jesienią 1388 r. Izabeli udało się zyskać poparcie kardynała Laon.

Za pośrednictwem księcia Turenii podjudziła wkrótce Karola do zwołania pod błahym pretekstem książąt krwi i kilku prałatów. Zjazd odbył się w Reims. Niemal natychmiast po otwarciu obrad kardynał Laon i kilku jego przyjaciół powstali z miejsc.

– Celowe się zdaje skorzystać z okazji, co nas tu zebrała – rzekł przyjazny Izabeli prałat – i poprosić króla Karola, który ukończył właśnie dwadzieścia jeden lat, by zechciał rządzić sam.

Bardzo przychylnie przyjęta propozycja zaskoczyła stryjów królewskich. Zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, Karol z uśmiechem zwrócił się w ich kierunku i, podziękowawszy za rządy Francją w czasie jego małoletności, oznajmił, że przychylił się do udzielonej mu rady...

Regenci wyszli z sali, a wściekłość zapierała im słowa w gardle.

Następnego dnia ktoś otruił kardynała Laon.

* * *

Śmierć przyjaciela nie zmartwiła królowej Izabeli. Stwierdziła, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i, skwitowawszy uśmiechem pamięć zacnego duchownego, w upojeniu myślała o swym sukcesie.

Porażka regentów praktycznie otwierała jej drogę do władzy. Mogła odtąd istotnie narzucać swą wolę biednemu, całkowicie jej już podporządkowanemu Karolowi VI. Myśl ta przepełniała ją ogromną radością, uświęciła więc swą wiktoryę w łóżu z Bois-Bourdonem. Potem zaprosiła księcia Turenii, któremu również należało się coś z tej radości, i dała mu, co miała w sobie najlepszego...

* * *

Za radą Izabeli już w ciągu tygodnia następującego po zjeździe w Reims Karol VI dokonał głębokich zmian w rządzie. Przepędzono wszystkich dworzan w większym czy mniejszym stopniu współuczestniczących w dokonywanych przez regentów malwersacjach. Pozostało jedynie kilku rycerzy, wśród nich oczywiście – Bois-Bourdon, książę de Bourbon i... książę Turenii.

Ten zasłużył sobie nawet na królewskie podziękowanie.

– Drogi bracie, wam to zawdzięczam, że spod twardej kurateli stryjców wyzwolić się mogłem. W zamian za to zamierzam zwiększyć wasze apanaże.

Mimo tych uprzejmości Izabela obawiała się, by król nie zaczął domyślać się związków łączących ją z młodym księciem. Poradziła więc kochankowi, aby rozejrzał się za małżonką.

Ludwik wybrał Walentynę z Mediolanu, córkę Galeasa Viscontiego i Izabeli Francuskiej, siostry Karola V. Historykowi Izabeli Bawarskiej, markizowi de Sade, dało to okazję do stwierdzenia, że uczucia księcia Turenii nie wychodziły poza jego rodzinę, jako że za żonę miał kuzynkę, a za kochankę szwagierkę.

Małżeństwo to nie zmieniło oczywiście nic w stosunkach obojga kochanków, jeśli nie liczyć dodatkowych ostrożności z ich strony.

* * *

Związki pozamałżeńskie nie przeszkadzały wcale królowej być dobrą i kochającą żoną. W ciągu dwóch lat małżeństwa wydała nawet na świat syna i córkę, za co Karol VI był jej bardzo wdzięczny.

Niezmiennie, już od pierwszego dnia, król zachowywał wobec niej całą swą czułość. Choć czasem popuszczał wodze w zamięłowaniu do przygód miłosnych, jako że kronikarz z Saint-Denis mówi nam o jego „pochuciach cielesnych, którym oddawał się wbrew powinnościom małżeńskim”, Karol VI nadskakiwał swej małżonce. Bezustannie dawał jej wspaniałe podarki ozdobione monogramem przeplecionych ze sobą liter C i I; litery te znajdowały się zresztą zarówno na klejnotach, jak i na najbardziej intymnych częściach odzieży królowej, aż po zapinki podwiązek...

Krótko mówiąc, mimo obustronnych zdrad kochali się wzajemnie i w 1389 r. król któregoś dnia postanowił, że Izabela odbędzie oficjalny wjazd do Paryża i zostanie ukoronowana w katedrze Notre-Dame.

Wydarzenie to uświetniły niezwykle fety. Królowa wyruszyła z Saint-Denis w lektyce, w otoczeniu dam dworu. Prowadzący damy księżęta i szlachta szli pieszo, wszystkie zaś księżniczki nosiły na głowach korony ze złota i drogich kamieni.

Pochód wkroczył do Paryża bramą Świętego Dionizego, gdzie, jak powiada pewien kronikarz, „tłum był tak wielki, że, zda się, całe królestwo na uroczystość się zbiegło”.

Froissart, przybyły do Paryża specjalnie na to święto, relacjonuje nam, że wkraczając do Paryża królowa ujrzała na sklepieniu bastardy Świętego Dionizego niebo usiane gwiazdami, a „na tym niebie dzieciątka przybrane i uszeregowane niczym aniołki”. Dodaje nawet taki zabawny szczegół: „Znajdowała się tam rzeźba Matki Boskiej trzymającej dziecię bawiące się grzechotką z wielkiego orzecha sporządzoną...”*

Ówdzie stały fontanny z winem; wszystkie ulice przybrane były błękitnym płótnem, na którym lśniły kwiaty złotych lilii.

Idąc w kierunku śródmieścia, królowa ze swą świtą doszła do mostu głównego. Oczekiwało tam ich zadziwiające widowisko. Przeciagnąwszy linę od wieży katedry Notre-Dame do szczytu pierwszego domu na moście*, jakiś linoskoczek przeszedł po niej w sposób zapierający dech w piersiach, trzymając zamiast balansu w jednym ręku wieniec, w drugim zapaloną pochodnię. W chwili gdy królowa miała wkroczyć na most, włożył jej wieniec na głowę i z zadziwiającą szybkością wrócił na swój sznur.

* Froissart, *op. cit.* księga IV.

* W tych czasach mosty były zabudowane domami.

Widząc pochodnię lecącą niczym wędrująca gwiazda w kierunku szczytu katedry, tłum wybuchnął okrzykami podziwu.

Wreszcie odbyła się koronacja, po niej zaś uczta, na której ciżba była tak wielka, że jak powiada Froissart, parę osób udusiło się z gorąca, a sama królowa w celu zaczerpnięcia tchu zmuszona była obalić stojące za nią przepierzenie.

* * *

Po uroczystościach Izabela podjęła znów swój skomplikowany tryb życia z królem, księciem Turenii i Bois-Bourdonem.

Związki między tą trójką zacieśniły się jeszcze bardziej, kiedy Karol VI za podszeptem nie pozbawionego ironii diabła został kochankiem swej szwagierki, Walentyny Visconti...

Oczywiście wolał utrzymywać to w tajemnicy, jednakże Izabela dzięki przybocznej policji w mig została o tym poinformowana. Uznawszy za zbędne okazywać niewczesną zazdrość, poszła do Walentyny i oświadczyła, że chętnie odstąpi jej króla, pod warunkiem, że w zamian „korzystać będzie” z księcia Turenii. Uroczą i mało drobiazgową mediolanką przyjęła ten układ.

Biedny Karol VI, który nigdy nie dowiedział się o tym przymierzu, bezwiednie stał się częścią małżeństwa we czworo.

Niestety, księżę Turenii miał jednak powiernika, markiza de Craon, któremu ze szczegółami opowiadał o miłosnych wyczynach dokonywanych z królową. Nie wiedząc z jakich powodów, któregoś dnia markiz nadużył zaufania swego przyjaciela i wyjawił Walentynie Visconti, że księżę został amantem Izabeli na długo przedtem, zanim zawarto ów osobliwy układ. Tegoż samego wieczoru wielce zasmucona młoda niewiasta zaczęła robić wyrzuty mężowi, który natychmiast powiadomił królową o gadulstwie de Craona.

– Wygonić go z pałacu! – zakrzyknęła.

Dowiedziawszy się o swej nielasce, rozgniewany markiz poprzysiągł zemstę i wyjechał schronić się u swego przyjaciela, księcia Bretanii. Ten od dawna już czyhał na zgubę konetabla de Clisson, następcy du Guesclina.

– Jestem pewien, że to on nastawił królową przeciw wam – rzekł perfidnie do Piotra de Craon. – Wiecie jak bardzo ugania się za kobietami. Być może zazdrościł wam, że zostaliście przyjęci do trybunału miłosnego, o którym opowiadano mi wiele pikantnych szczegółów...

Nieco zawstydzony markiz pochylił głowę.

– Przysięgam, że wkrótce go zgładzę.

W miesiąc później, wracając z uczty wydanej przez króla, konetabl de Clisson został napadnięty na jednej z ulic dzielnicy Saint-Pol. Napastnicy uznali, że nie żyje, i pozostawili go na bruku.

Karol VI bardzo go lubił; pospieszył do łoża rannego.

– Jak się czujecie, konetablu?

– Nędznie, Wasza Królewska Mość!

– Kto was tak urządził?

– Piotr de Craon i jego wspólnicy napadli mnie zdradziecko, gdy niczego się nie spodziewałem.

– Konetablu, zapłacą oni za to!*

Clissona zanesiono do domu, „gdzie długo się kurował”.

Następnego dnia król postanowił wysłać ekspedycję karną przeciw księciu Bretanii, u którego raz jeszcze schronił się markiz de Craon.

Niestety, w czasie tej ekspedycji na Francję spaść miało straszliwe nieszczęście.

* * *

5 maja roku 1392 król na czele wojsk wyruszył z Vincennes.

Izabela żegnała go wzruszona.

– Z wielkim zatroskaniem patrzę na wasz odjazd, mój panie – rzekła – gdyż nie pochwalam tej wyprawy. Milej byłoby sercu memu, gdybym mogła was mieć przy sobie.

Po czym, ucałowawszy go, wybuchnęła świetnie udanym, choć nieco hałaśliwym szlochem, i szepnęła.

– Jedźcie więc, skoro taka wasza wola. Ja idę modlić się za was.

Ucałowała jeszcze, bardzo niewinnie, księcia Turenii towarzyszącego bratu w wyprawie i gdy armia królewska przekroczyła bramę, wróciła do swych apartamentów, gdzie czekał na nią umiłowany Bois-Bourdon.

– Piękny mamy dzionek, drogi Bourdonie – rzekła z uśmiechem.

Wyrażała tym ogrom przepelniającej ją radości.

Z wyprawą wiązała bowiem wiele nadziei. Nie chcąc zdać się wyłącznie na ryzyko wojny i, mimo wszystko, wzdragając się przed zawsze niebezpiecznym, otwartym zabójstwem, w celu pozbycia się męża przygotowała przerażającą scenę, mającą porazić i tak już chwiejny umysł biednego króla.

Istotnie Karol VI od pewnego czasu przejawiał dość niepokojącą nerwowość. Parokrotnie widziano już, jak „czynił gesta królewskiego majestatu niegodne” na byle krzyk dziecka czy na gwałtowne trzaśnięcie drzwiami...

Izabela zamyśliła więc wykorzystać tę chorobliwą obawę, aby dopełnić miary obłędu króla Francji. W czasie podróży miał się wydarzyć wyreżyserowany przez nią we wszystkich szczegółach wypadek i wywołać u Karola VI takie przerażenie, iż żaden lekarz nie będzie zdolny go już wyleczyć.

* Dialog przytoczony przez Froissarta, w: *Chroniques*, księga IV.

Książę Turenii wiózł ściśle wskazania pod tym względem, gdyż on właśnie miał się zająć organizacją wydarzenia.

Królowa zaś myślała z rozkoszą, że w razie powodzenia będzie mogła sprawować wreszcie rządy razem ze swym młodym kochankiem.

* * *

Podczas gdy królowa marzyła o objęciu steru rządów, oddział dowodzony przez króla ciągnął na Saint-Germain-en-Laye, gdzie wyznaczony był pierwszy popas. Stanęli tam wieczorem.

W owych czasach wyprawy wojenne często posuwały się spacerkiem. Karol VI dobrze czuł się we wspaniałym zamku, z którego mógł jeszcze dostrzec mury i dzwonnice Paryża, postanowił więc zabawić tam ze dwa tygodnie. Urządzano uczyty i król bawił się doskonale, zapominając po trosze Craona, Clissona i księcia Bretanii.

Powiadomiona o tym, co działo się w Saint-Germain, Izabela zawrzała gniewem i pchnęła sekretnego posłańca do księcia Turenii, naglić tamtego, by wywarł nacisk na króla w celu przyspieszenia wyjazdu.

Nazajutrz armia królewska wyjechała z Saint-Germain-en-Laye, kierując się na le Mans. Karol VI przybył tam z początkiem lipca.

Zaraz po przyjeździe zaczął jednak pleść bezsensowne zdania i biegać po ulicach niczym dziecko. Z trudem zdołano go pochwycić, gdyż zmykał „jak potępieniec”.

Przywołany naprędce lekarz wypowiedział się za „otruciem, które mąciło zmysły monarchy”.

– Któż – dopytywano się – byłby tak nikczemny, by targnąć się na zmysły naszego króla?

Odpowiedzi mógłby udzielić jedynie książę Turenii...

Ten, oczywiście, miał się na baczności i w czasie trzytygodniowej choroby króla zaprzątnięty był bez reszty drobiazgowym przygotowywaniem wykoncypowanego przez Izabelę „wypadku”.

Kiedy wszystko zapięte już było na ostatni guzik, powiedział bratu, że czas ruszać w drogę. Stan zdrowia króla uległ poprawie, więc 5 sierpnia „w palących promieniach słońca” armia królewska opuściła le Mans.

Minąwszy leprozarium Świętego Łazarza, armia wkraczała właśnie do lasu le Mans rozciągającego się na prawym brzegu Huisne, gdy jakiś człek wysokiego wzrostu, w łachmanach, z gołą głową i bosonogi, przypadł do konia Karola VI. Chwytnyjąc za uzdę, zakrzyknął strasznym głosem:

– Nie jedź dalej, królu. Zdrada!

„Wówczas – powiada jeden z kronikarzy* – umysł króla, i tak już zmacony, dał wiarę tym słowom, nowy zaś przypadek do szczętu pomieszał mu zmysły. Popchnięty przez tłum, jeden z jadących u jego boku zbrojnych upuścił miecz na ziemię. Na dźwięk żelaza król nagle wpadł w szal; wyciągnął miecz z pochwy i zabił onego człeka. Jednocześnie spiął konia ostrogami i przez całą godzinę galopował z wielką szybkością to tu to tam, krzycząc: «Chcę mnie wydać nieprzyjaciółom moim», i tnąc zarówno przyjaciół, jak i kogokolwiek, kto mu się pod miecz nawinał. Wszyscy zmykali przed nim niby przed piorunem.

W czasie onego napadu szału król usiekł czterech ludzi, wśród nich sławnego rycerza z Gaskonii imieniem de Polignac. Więcej szwanku jeszcze by poczynił, gdyby miecz nie był mu się ułomił*. Wówczas otoczono go, związano i na wózku zawieszono do le Mans dla wytchnienia. Siły jego tak były wyczerpane, że dwa dni bez pamięci przeleżał władzy w członkach pozbawion”.

Księżę Turenii pomyślał wówczas, że spisek się udał. Posłał triumfalną wieść Izabeli i oczekiwał chwili, gdy stan zdrowia brata poprawi się na tyle, że będzie można przewieźć go do Paryża.

Aby zmusić Karola VI do rezygnacji z władzy, królowa nadała wydarzeniu olbrzymi rozgłos.

– Król ogarnięty szaleństwem nie może rządzić – mawiała wzdychając.

Tego samego zdania byli i eks-regenci.

– Trzeba powołać na tron księcia Turenii – podsuwała Izabela*.

– Bynajmniej – odpowiadali stryjowie Karola VI, którzy przejrzeni grę królowej. – Ludwik jest na to za młody. Na razie my zajmujemy się władaniem.

Izabela zupełnie nie spodziewała się takiej reakcji. Zdjęła ją złość okrutna, na twarz wystąpiły krosty i przez miesiąc chorowała.

Sprawa le Mans kończyła się dla niej upokarzającą porażką.

Ale król dostał jednak obłędu!

* * *

Pod koniec sierpnia Karola VI przewieziono na rozkaz stryjów do zamku w Creil, gdzie przesiadywał zazwyczaj na balkonie z żelaznymi kratami*.

Po kilku miesiącach ciszy i odosobnienia Karol VI poczuł się lepiej i lekarz zezwolił mu wrócić do Paryża, do tegoż pałacu Saint-Pol, który królowa obrała za rezydencję. Zajmował

* Zakonnik z bazyliki Saint-Denis, *Chroniques*.

* Los nie pozbawiony jest ironii. Właśnie w miejscu, gdzie król Francji postradał zmysły, znajduje się dziś szpital psychiatryczny w le Mans.

* Syn Izabeli i Karola VI zmarł w dzieciństwie.

* Kraty tego balkonu legły u podstaw przytaczanej przez podręczniki szkolne legendy, że król zamknięty został w „żelaznej klatce”.

się tam już tylko ucztami i rozrywkami, pozostawiając troskę o sprawy państwa w rękach ludzi, którzy rwali się do władzy.

Izabela, wciąż, rozzłoszczona od chwili sztuczki, jaką splatali jej eks-regenci, szukała środka ostatecznego do pozbycia się króla, co byłoby najpewniejszym sposobem umieszczenia na tronie księcia Turenii. Wtedy powzięła wraz ze swym kochankiem zamysł przerażającej zbrodni.

Jedna z jej dam dworu, Katarzyna de Fastavrin, wyszła powtórnie za mąż. Król postanowił urządzić na jej cześć kocią muzykę – zaszczyt, do którego miały prawo „wszystkie wdowy wychodzące ponownie za mąż”.

Krotochwila odbyła się w pałacu Saint-Pol 29 stycznia 1393 r. Karol VI i jego przyjaciele w liczbie dziewięciu przebrali się za dzikusów, wdzierając szaty z płótna polanego smołą, do którego na kształt sierści przypiecali lniane kłaki*.

Kiedy wszyscy tańczyli „saraceni” złożoną z „groteskowych i nieprzyzwoitych figur”, książę Turenii, raz jeszcze będąc posłuszny królowej Izabeli, upuścił na „dzikusów” płonąca pochodnię. Rozległ się przeraźliwy krzyk i w jednej chwili dziesięciu tancerzy zapłonęło żywym ogniem. Opancerzeni w smołę i len zwijali się rycząc z bólu.

Karol VI niewątpliwie zginąłby tak jak czterech jego towarzyszy, gdyby nie przytomność umysłu młodej księżniczki de Berry, która rzuciła się nań otulając go szczelnie swymi spódnicami. Odruch ów, który jak powiada jeden z historyków, „w każdej innej okazji byłby źle zrozumiany”*, zdusił płomień i ocalił króla od okrutnej śmierci.

Izabela i jej kochanek raz jeszcze chybili.

* * *

Ponieważ strój dzikusy spłonął na nim niemal doszczętnie, monarcha półnagi wyszedł spod spódnicy księżniczki de Berry.

Zachował spokój, a w jego spojrzeniu było nawet coś z ekstazy, co zadziwiło obecnych. Wyszepiał z uśmiechem:

– Jakie piękne płomyki! Przed chwilą tańczyły tu na balu. Gdzież one?

Kilku przyjaciół zatroskanych oznaką, iż szaleństwo do tego stopnia mąci mu umysł, że nie zdaje sobie nawet sprawy, jakiego niebezpieczeństwa udało mu się uniknąć, wyprowadziło go spiesznie z sali balowej. Chcieli zaprowadzić go do jego komnaty. Karol odtrącił ich i pobiegł do apartamentów królowej. Ta tymczasem, przekonana, że król zginie,

* Zeznania faworyta Izabeli, Bois-Bourdon (Archiwum Kartuzów z Dijon. Protokoły z procesu Bois-Bourdon, plik 4, folio 3): „Wezwawszy mnie, królowa powiadomiła mnie o spisku przygotowanym w celu skrócenia dni życia króla w czasie balu wydawanego przez nią z okazji ślubu jednej z dam dworu z normandzkim szlachcicem. Zrazu chodziło o zadanie jadu do napitków podawanych monarsze, przedłożyłem jednak królowej, iż konieczność zwrócenia się do kogoś o truciznę może być niebezpieczna i że łatwo narazić mnie może na podejrzenia, jeśli się tego podejmę. Wówczas zmieniła nagle zdanie i zaproponowała przebranie się za dzikusów ubranych w łatwopalne stroje, które podpalił brat królewski”.

* A. Gassot, *Le Gal des Ardents*.

uciekła na widok pierwszych płomieni i siedząc na łożu czekała teraz aż przyjdą ją powiadomić, że została wdową. Widząc pojawiającego się wesolutkiego Karola VI, zemdląca.

Szybko przyprawiona do przytomności, oświadczyła, że omdlenie to spowodowane było nadmiarem radości. W istocie rzeczy była całkowicie załamana. Raz jeszcze wszystko waliło się w gruzy. Trzeba było szukać nowego środka pozbycia się króla.

Wbrew wywodom niektórych historyków ów tragiczny wieczór nie spowodował żadnego pogorszenia stanu zdrowia Karola VI. Bardziej oczarowany niż przerażony płomieniami zachował miłe wspomnienia z pożaru.

Niestety, 15 czerwca 1394 r. nieszczęsny monarcha ponownie popadł w obłąd i, jak powiada jeden z kronikarzy, „umysł jego pograżył się w głębokich ciemnościach”. Zapadł w jakieś otępienie przerywane jedynie straszliwymi atakami szału, w czasie których tracił całkowicie poczucie własnej osobowości. W chwilach takich wydawało się, że nigdy nie był żonaty i nigdy nie miał dzieci. Twierdził też, że ma na imię Jerzy, a w herbie lwa przeszycyego mieczem.

Ta dziwaczna obsesja popychała go do tego, że zdrapywał zawzięcie swe prawdziwe herby, gdy tylko dostrzegł je na ścianie czy na zastawie stołowej.

Niekiedy tańczył groteskowy taniec, kiedy indziej znów biegał do utraty tchu po krużgankach pałacu Saint-Pol.

– Ścigają mnie – wrzeszczał – ubijcie ich!...

Pewnego dnia pod wpływem szczególnie ciężkiego ataku położył się na łożku. Do książąt, którzy przyszedli go odwiedzić w towarzystwie medyka, wrzasnął:

– Nie zbliżajcie się i nie dotykajcie mnie, bo mnie stłuczecie!

Uważał, że jest ze szkła.

Aby nie zostać rozbity przez przyjaciół, żądał odtąd, by wzięto go w żelazne lębki.

Zapałał później odrazą, a nawet nienawiścią do Izabeli. Gdy tylko ją zoczył, wpadał w złość i wykrzykiwał:

– Co to za niewiasta, której widok mnie prześladowuje? Wywiedzcie się, czego chce, i uwolnijcie mnie od jej prześladowań i jej natręctwa, tak aby nie laziła już za mną.

Kilkakrotnie chciał ją uderzyć, co nie podobało się Izabeli, „albowiem królowa – jak powiada jeden z historyków – nie należała do kobiet zwyczajonych do bijania”.

Opuściła więc Saint-Pol, aby zamieszkać wraz z kochankiem w pałacu Barbette, który zakupiła, żeby w spokoju móc prowadzić swój skandaliczny żywot. Biedny król został sam ze swymi lękami, dziwaczными przywidzeniami i zjawami.

Od czasu do czasu przyjmował jednak wizyty szwagierki, pięknej Walentyny Visconti, dla której zachował „czułość uczucia”. Kiedy wchodziła do jego komnaty, wzrok mu się rozjaśniał i jak dziecko wyciągnął do niej rękę.

– Jakaż ona piękna! – mawiał.

I całował ją w usta.

Świadectwo uczuć, które powabna mediolanka przyjmowała z ochotą, pomna niedawnych jeszcze czasów, gdy król był jej kochankiem.

Niestety, któregoś dnia księżę Turenii na rozkaz królowej wysłał Walentynę do Châteauneuf-sur-Loire i Karol został sam, opuszczony przez wszystkich.

Przez pół roku nikt się nim nie zajmował. Gnijąc w brudzie, nie myślał o zmianie bielizny i wkrótce ciało żarło mu robactwo. Okryty wrzodami, z nie strzyżoną brodą i długimi paznokciami, wychudzony i pobladły przypominał w końcu zjawę starca z lasu le Mans.

Godzinami krążył po krużgankach, mówiąc sam do siebie lub spierając się z niewidzialnymi postaciami.

* * *

Kiedy król Francji ciągnął zawzione łachmany po pustych salach pałacu Saint-Pol, Izabela wiodła wesoły i beztroski żywot w pałacu Barbette.

Dworne uczyty i gorące noce nie przesłaniały jej jednak ambitnych planów. Pewnego wieczoru, dowiedziawszy się, że Karol VI przeżywa spokojniejszy okres, poszła go odwiedzić, rozmawiała z nim łagodnie, mimo odrażająco brudnej pościeli wyciągnęła się wraz z nim na łożu i w przerwie między jednym a drugim uściskiem podsunęła mu pomysł, by zwiększył apanaże księcia Turenii, odłączając księstwo Orleanu od królewskiej.

Król przystał na to i brat jego został księciem Orleanu. Tym tytułem będziemy odtąd go określać.

Jak łatwo się domyślać, drobne to zwycięstwo nie wystarczyło Izabeli. Chciała aby kochanek wstąpił bezpośrednio na tron w miejsce Karola, dobrze wiedząc o tym, że oddany ze szczerem młodzieniec pozwoli jej sprawować rządy wedle uznania.

Długo szukała sposobu pozbycia się męża. Nie mogąc uciec się do morderstwa, jako że stryjowie regenci ściśle ją nadzorowali, powzięła w końcu szatański plan: postanowiła spowodować śmierć Karola VI w następstwie rozpusty.

Wybór jej padł na córkę handlarza koni, młodą i piękną dziewczynę Odettę de Champdivert. Wprowadziła ją do pałacu Saint-Pol, stawiając zadanie wycieńczenia króla.

Jak powiadają, nauczyła ją w tym celu „wszelkich sposobów działania, aby tym większej nabrawszy oskomy, tym bardziej się upajał i tym szybciej dobiegł końca”.

Król oczywiście uradowany był, że ma w swym łożu tak powabną i biegłą dziewczynę. Przywiązał się do niej; pokochał jedyną, bezmierną i zachłanną miłością.

Odettę de Champdivert, którą lud zwać miał później *la petite reine* (królewienką), wkrótce zdjęła tkliwa litość dla nieszczęsnego monarchy. Doprowadziwszy go do ładu fizycznego, próbowała rozproszyć jego przywidzenia.

Jakiś czas temu do Francji przeniknęła osobliwa gra. Pochodziła, jak powiadano, ze Wschodu, a Saraceni zwali ją *naib*. Były to kawałki kartonu, na których malowano różne

postacie i znaki. Odetta poznała reguły gry, a następnie nauczyła grać Karola VI. Zachwycony król zażądał natychmiast, by ceniony przezeń dla swych talentów malarz Jacquemin Gringonneur upiększył postacie i przemaalował karteluchy (czyli karty).

Dzieła dokończono w parę tygodni później za kwotę 56 soldów paryskich, co wynika z pewnej notatki w księdze rachunkowej Pouparta, podskarbiego królewskiego: „Jacqueminowi Gringonneurowi za trzy talie kart złożonych, malowanych w różnorakie figury i godła dla rozrywki króla naszego i pana – soldów paryskich pięćdziesiąt i sześć”.

Bogato zdobione figury owych kart były pierwowzorem znanych nam króli, dam i waletów.

Karol VI i Odetta spędzali odtąd całe dni na grze w karty.

– Jeśli wygram – mawiał król przed rozpoczęciem partii – pójdziemy się kochać.

Odetta przegrywała więc – tak z miłości, jak i by podporządkować się rozkazom Izabeli...

Mimo tych miłosnych wyczynów, Karol VI nie przejawiał jednak oznak jakiegoś szczególnego zmęczenia. Bois-Bourdon martwił się tym, uznając, że sprawy nie toczą się wystarczająco spiesznie.

Izabela mitygowała niecierpliwość faworyta.

– Znalazłyby się, wiem to, szybsze środki – mawiała – ale groźne mogą być ich konsekwencje. Doszłam też do wniosku, że lepiej będzie, jeśli ten człowiek pożyje sobie jeszcze trochę. Księżę Orleanu i ja potrzebujemy tego umrzyka. Dajmy działać mojej następczyni!

I jako że księżę Orleanu bawił w podróży, kocią modą mrużąc przymilnie oczy zaciągnęła Bois-Bourdona do swych apartamentów.

* * *

Oblęd Karola VI przeplatał się z krótkimi okresami przytomności, w czasie których monarcha zachowywał się niemal normalnie. Po paru jednak dniach, podczas rady lub na przyjęciu ambasadorów przejmował go nagły dreszcz, jakby „kłuły go tysiące igieł”, i czmychał korytarzami „rycząc jak potępieniec”.

Te niepojęte nawroty szaleństwa, w dobie gdy nie wiadano nic o chorobach umysłowych, wprawiały w zdziwienie bywalców pałacu Saint-Pol.

Pewnego wieczoru, pod koniec jednego z takich spokojniejszych okresów, biedny monarcha, czując, że oblęd znów zacznie go ogarniać, wybuchnął płaczem i rzekł do otaczających go książąt:

– Zaklinam was w imię Jezusa, jeśli są wśród was ci, co winni są mej choroby, błagam ich, by przestali już mnie dręczyć i rychłą śmierć mi zadali.

Te dziwne słowa przeniknęły szybko do wiadomości paryskiego pospólstwa, które komentowało je na swój sposób:

– Oto dowód – mawiali ludziska – że choroba króla nie jest normalna.

Niektórzy zaś, ciesząc się posłuchem z racji wykazywanego zdrowego rozsądku lub po prostu z tej przyczyny, że prowadzili wyszynk, równie chętnie wypowiadali swoje opinie w tej sprawie:

– Wierzcie mi – powiadali – tak osobliwe szaleństwo spowodowane być może tylko naparem sporządzonym w celu pomieszenia zmysłów. Kiedy jadowite opary niecznych czarów ulatują, król jegomość odzyskuje na jakiś czas spokój i trzeźwy rzeczy osąd... Po czym ktoś dolewa mu znów parę kropel zatrutego napitku i ponownie pogrąża się on w szaleństwie...

– Ktoś? Kto taki, kumie? – pytali ludziska z przymrużeniem prawego oka.

– Ba! – odpowiadali inni mrugając lewym okiem – ci, co by może chcieliby rządzić w miejsce naszego zacnego władcy.

– Bóg pokarał nas prawdziwą dziwką – konkludowali – ona i jej amant doprowadzą królestwo do ruiny.

Królowa i księżę Orleanu, istotnie, afiszowali się z takim bezwstydem, że nikt nie powątpiewał już w ich związek.

W początkach 1405 r. spędzili razem kilka dni na zamku w Saint-Germain i zachowywali się tak skandalicznie, że pogłoska o ich hulankach rozniosła się po całym królestwie*. W jakiś czas potem wyjechali do Mehun, gdzie spędzili całe dwa miesiące na wesołym ucztowaniu, bynajmniej nie siląc się na ukrywanie swojej zażyłości.

Wystawianie na pokaz publiczny rozrzutności i występku, w chwili gdy miliony uginających się pod ciężarem podatków Francuzów nie miały co jeść, rozdrażniło naród. Zaczęto pomstować na Izabelę i Ludwika Orleańskiego, oskarżając oboje o trwonienie majątku królewskiego. Echo niezadowolenia narodu przebija zresztą w relacji jednego z kronikarzy: „Obojętni na bezpieczeństwo królestwa – pisze – królowa i księżę pysznili się jeno bogactwem i zadowolenia w rozkoszach ciała szukali; tak przepomnieli o obowiązkach królowania, że skandalu stali się przedmiotem we Francji, a pośmiewiskiem obcych nacji”.

* * *

Choć Izabela miała zwyczaj wszystkich oszczerców wtrącać do więzienia, wkrótce spotkała ją publiczna przygana.

Z okazji Świąt Wniebowstąpienia mnich, augustianin Jakub Legrand, wygłaszając kazanie w kaplicy zamkowej, skierował do niej niewiarygodnie surowe słowa:

– Chciałbym, szlachetna pani, nie rzec nic, co uszom waszym nie byłoby miłe, wszelako duszy waszej zbawienie droższe mi nad waszą przychylnością. Prawdę głosić więc będę, niezależnie, co czuć dla mnie potem będziecie – jeno bogini Wenera panuje na waszym dworze. Pijaństwo i rozpusta idą z nią w orszaku, dzień z nocy czyniąc wśród tańców

* Lud przezwał więc Izabelę wielką świnia, trzeba raczej powiedzieć wielką maciorą...

wszetecznych. One piekielne i przeklęte przybysze wasz dwór opanowawszy, obyczaje psowają, a serca drażnią. Wszędy, szlachetna pani, głośno o tych nieprawościach i innych jeszcze, co hańbią władztwo wasze. Jeślić mi nie wierzycie, wynijdźcie w miasto pod prostej białki przebraniem, posłyszycie wonczas, co każdy baje.

Zarzuty takie po raz pierwszy publicznie rzucono w twarz królowej. Znalazło się oczywiście paru dworzan, których to oburzyło. Wiele dam biorących udział w gorących nocach Izabeli już przy wyjściu z kościoła manifestowało swoje niezadowolenie, mówiąc, iż dziwi je, że jakiś klecha ośmiela się wobec pospółstwa gadać w taki sposób o postępkach dostojników.

Mnich miał dla nich natychmiastową replikę:

– Ja zasię dziwię się – odpowiedział – że czelność macie je popępiać.

Damy pospuszczały nosy na kwintę i odeszły bez słowa.

Niektórzy jednak książęta, pragnąc, by kaznodzieja poniósł karę za swą zuchwałość, donieśli Karolowi VI, że królowa została publicznie zelżona. Król wysłuchał ich z wielką uwagą i zapytał, jakimi słowy Jakub Legrand zgromił Izabelę. Jeden z dworzan uznał za słuszne przytoczyć parę wyjątków z kazania. Dowiedziawszy się, że królową potraktowano jak rozpustnicę i przyrównano do samej Wenery, Karol VI okazał żywe zadowolenie.

– Jakież zacny mnich! – rzekł. – Pragnę go poznać.

I kiedy książęta wychodzili od niego jak niepyszni, król postanowił, że Jakub Legrand wygłosi przed nim kazanie na Zielone Świątki.

* * *

Cały dwór w wielkim napięciu oczekiwał owego dnia. Gdy wreszcie nadszedł, król, królowa i książęta Francji udali się do kościoła. Jak łatwo sobie wyobrazić, większość wiernych nieuważnie słuchała pierwszej części mszy. Przyszli, aby być świadkami skandalu... Mnich wstąpił wreszcie na kazalnicę. Za temat homilii obrał sobie: „Duch Święty wyjawia wam całą prawdę”. W pierwszej chwili zawiódł nieco słuchaczy, rozwodząc się nad przyjściem Ducha Świętego. Był to jednak jedynie wstęp, gdyż, zmieniając znenacka ton, w gwałtownych słowach jął ganić rozwiązłość książąt, potępił panujące na dworze obyczaje i wypowiedział się twardo przeciw przywarom ludzi stojących u steru państwa.

«Ledwie posłyszawszy te słowa – powiada jeden z kronikarzy* – król powstał i poszedł zasiąść tuż na wprost kaznodziei. Każdego innego onieśmieliłby widok tak wysokiej osobistości, ów jednak nabrał tym większej pewności siebie. Pociągnął kazanie dalej i zwracając się bezpośrednio do króla rzekł, iż baczyć winien na to, co za chwilę zostanie powiedziane.»

* *Chroniques du religieux de Saint-Denis.*

«Zaczął też mówić o kimś, kogo określał jedynie tytułem książęcym, kto w swej młodości rokował jak najlepsze nadzieje, potem zaś z racji swych łajdactw i chciwości ściągnął na siebie przekleństwa ludu.»

W obecności osłupiałych wiernych król przyklasnął dzielnemu mnichowi za jego szczerość. Jeśli chodzi o Izabelę, wróciła do siebie tak rozzłoszczona, że aż musiała się położyć.

Nazajutrz wydała rozkaz aresztowania Jakuba Legranda, król jednak, który wyraźnie przeżywał okres przytomności umysłu, wziął mnicha w obronę. Królowa poczuła się tym upokorzona, a jej charakter, jak powiadają, skwaśniał jeszcze bardziej...

Prócz ataków na jej osobę i na księcia Orleanu zaprzętały ją zresztą i inne troski. Od jakiegoś czasu wiedziała już, że jej piękny kochanek zdradza ją z licznymi damami dworu, z miasta, a nawet z ulicy.

Wielce uwodzicielski, umiejący prawić miłe słówka, trzydziestoczteroletni wówczas książę Orleanu podniecał każdą napotkaną niewiastę, a współcześni opowiadają, iż miał „pierścień, którego dotknięcie miało własność fascynowania dam i poddawania ich bez oporu jego nieczystym żądom”.

Sam zresztą z niezwykłą zarozumiałością opowiadał o swych przygodach miłosnych.

– Staram się – mawiał – by żadna, od najwyższej do najniższej postawionych w świecie, nie miała powodu uskarżać się na mnie.

Nigdy więc ni królowa, ni Walentyna nie miały przywileju jego wyłącznych hołdów. Choć bez jakichkolwiek skrupułów sama zdradzała wszystkich swych kochanków, Izabela nie wyobrażała sobie, że ktoś mógłby być jej niewierny.

Pewnego dnia doniesiono jej wszakże o krążącej po Paryżu historyjce, która otworzyła jej oczy na fakt oczywisty: zdradzano ją niby prostą mieszczkę.

Oto w jakich słowach Brantôme opowiada nam tę pikantną anegdotę: «Ludwik Orleański leżał z pewną bardzo piękną i bardzo wielką damą, gdy mąż onej wszedł do jego komnaty powiedzieć mu dzień dobry. Zarzuciwszy wprędce na głowę damy prześcieradło, odkrył całe jej ciało, dając mężowi pozierać na nią nagą i tykać do woli, byle jeno, pod groźbą życia utraty, twarzy jej nie odkrywał, czemu mąż sprzeciwiać się nie śmiał. Parokrotnie książę Orleanu zapytywał onego męża, co sądzi o tym pięknym, nagim ciele; ów stał z wybałuszonymi oczyma, wielce ukontentowany. Książę wyprawił go wówczas z komnaty, co małżonek uczynił, nie dowiedziawszy się nigdy, że jego byłać to żona.»

Tu Brantôme przerywa opowieść następującą uwagą:

«Gdybyż widział ją był przedtem nagą, jako ja wiele ich widywałem, poznałby ją niechybnie po jakichś szczegółach. Dowodzi to, że dobrze jest badać czasem ich ciało.»

Po czym ciągnie dalej:

«Gdy mąż poszedł sobie, książę Orleanu jął wypytywać damę, zali wielce się strachała. Domyślcie się jej odpowiedzi – jaki był jej przestach i zmieszanie w ciągu onego

kwadransa, starczyła bowiem najmniejsza niedyskrecja bądź najmniejszy objaw nieposłuszeństwa, a mąż uniósłby prześcieradła. Księżę Orleanu odparł jednak, że ubiłby go był natychmiast w celu powstrzymania nieszczęścia, którego się obawiała.»

«Najparadniejsze, że ów mąż, ległszy nocą ze swą małżonką, opowiedział jej, że księżę Orleanu okazał mu najpiękniejszą nagą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu widział, nie może jednak nic powiedzieć o jej obliczu, gdyż księżę nie zwoił mu na nie spojrzeć.»

«Możecie sobie wyobrazić – dodaje Brantôme – co na to dama rzekła sobie w duchu.»

* * *

Owa swawolna dama, imieniem Małgorzata d'Enghien, przed trzema laty obdarzyła księcia Orleanu (oczywiście bez wiedzy męża, Alberta de Cany'ego) tęgim chłopaczkiem, który na razie dreptał pod opieką mamki rodem z Turenii, nie podejrzewając wcale, że któregoś dnia dane mu będzie pod imieniem Ludwika Dunois, ściślej zaś – „bękarta orleańskiego”, odegrać znaczną rolę w historii królestwa Francji...

Miłość czyni niekiedy cuda...

* * *

Związek królowej z księciem Orleanu gorszył lud, a także nie był po myśli karierowiczów, którzy chętnie wykorzystaliby chorobę Karola VI do uzyskania oczekiwanych tytułów i przywilejów.

Najbardziej rozjątrzony wśród nich był kuzyn króla, księżę Burgundii, Jan bez Trwogi.

Pozbawiony skrupułów i wiedziony bezrozumną żądzą władania Francją, gotów był na wszystko, nawet na przymierze z Anglikami, byle tylko usunąć ludzi zawadzających mu na drodze do władzy.

Jego głównym przeciwnikiem był oczywiście jego kuzyn, księżę Orleanu, którego tajne poczynania były mu znane.

Zwalczał go całymi latami, grząc na nadmierne wydatki i protestując głośno przeciw wystawnemu stylowi życia „w chwili gdy wiewa biedoty ugina się pod ciężarem podatków i głód cierpi”.

Postawa ta pozwoliła mu oczywiście zyskać dużą popularność w królestwie „ze szkodą dla reputacji królowej i jej faworyta, których odtąd nie nazywano inaczej jak rabusiami skarbu”.

Rozgniewana Izabela zaczęła ze wszech sił nienawidzić owego młodego, ambitnego człowieka, który śmiał krzyżować jej plany. Potem spostrzegła, że jest on dzielny, zręczny, szczwany i stokroć bardziej występny niż księżę Orleanu.

Z kochankiem tego pokroju pewnie osiągnąć mogła stawiane sobie cele. Postanowiła więc zastąpić Ludwika (który zresztą zaczynał ją nużyć) księciem Burgundii.

Trzeba było jednak uwieść tego zawadiakę. Zaraz wzięła się do dzieła, sądząc, że starczy jedno skinienie, aby, cały drżący, znalazł się w jej łóżku. Sprawa okazała się nie tak prosta, gdyż Burgundczyk wystrzegał się nazbyt powabnej królowej i wynajdywał tysiące powodów, aby odrzucać przesyłane mu, naglące zaproszenia. W chwili gdy już zaczynała się niecierpliwie, w niespodziewany sukurs przyszedł jej na szczęście jej własny kochanek.

Pewnego dnia, na przyjęciu, na którym obecny był także Jan bez Trwogi, piękny i zwycięski książę Orleanu zaczął przechwalać się, że ma u siebie portrety najpiękniejszych dam, których wdzięki pozyskał. Zachęcony książę Burgundii poszedł złożyć wizytę kuzynowi. Pierwszą rzeczą, na jaką natknął się u wejścia, było malowidło przedstawiające jego żonę, Małgorzatę z Hainaut.

Nic na to nie rzekł, ale po zakończeniu wizyty pobiegł spiesźnie do królowej.

– Pani – powiedział – radujecie się myślą, żeście sami w sercu księcia Orleanu. Otóż doniesiono mi, że macie rywalkę. Niemile mi to, bo ta rywalka to moja żona. Trzeba, pani, byśmy się razem pomścili.

I przekonał ją, że Ludwik winien ponieść śmierć.

Izabela uroniła parę łez, które zmieszały Jana bez Trwogi. Po czym pewna swego powabu długo przemawiała, patrząc mu prosto w oczy. Zakochał się w niej.

Kiedy skończyła, rzucił się jej do stóp i ucałował dłonie.

– Uwielbiam was, pani – szepnął.

Królowa przybrała na twarz swą najpiękniejszą minkę hipokrytki i rzekła do ofiary, która tylko co złożyła broń bez walki.

– Panie, pojawiajcie się na dworze w czas, kiedy moje związki z Orleańczykiem zasadzają się tylko na tym, że był mi potrzebny...

W następstwie czego zatrzymała księcia na kolacji oraz na noc „na zajęcia właściwe dla przypieczętowania przyjaźni”...

Już następnego dnia Jan bez Trwogi podjął przygotowania do morderstwa, które zaplanował z królową. Nakazawszy Normandczykowi, Raulowi d’Octonville, zebrać paru oddanych ludzi, wynajął w tajemniczy dom położony niedaleko pałacu Barbette zamieszkiwanego przez Izabelę i wkrótce osiemnastu podejrzanych typów wprowadziło się tam po cichu czekając na hasło.

Gdy pułapka, w której zginąć miał książę Orleanu, była zastawiana krok za krokiem, Jan bez Trwogi pomyślał, że dobrze byłoby uspić czujność rywala. Uroczyście i publicznie pogodził się z nim przeto. Podczas spotkania dwaj kuzyni zawarli pakt i poprzysięgli sobie „prawdziwe braterstwo broni, co *de iure* oznacza taką lojalność, jaka wszystkim szlachetnie urodzonym jest wiadoma”. Po czym wymienili między sobą insygnia swych orderów i spełnili toast z jednego kielicha.

Przez sześć dni składali sobie tysięczne dowody przyjaźni, a w niedzielę 20 listopada roku 1407 ramię w ramię wysłuchali mszy i przyjęli komunię.

Od dawna wszystko było już jednak przygotowane, morderstwo zaś wyznaczono na następną środę.

Tego dnia książe Orleanu miał spotkać się z królową, która zaprosiła go, by spędził z nią wieczór.

Bois-Bourdon, wprowadzony we wszystkie intrygi, schowany był w gabinecie sąsiadującym z komnatą, gdzie znajdowali się kochankowie. Słyszał, że długo ze sobą rozmawiali. Królowa wyrzucała Ludwikowi jego postępowanie, ale w tak łagodnych słowach, że książe wyjednał przebaczenie. Izabela posunęła swą perfidię tak daleko, że zgodziła się nawet na pieszczoty człowieka, którego chwilę później miała posłać na śmierć.

Nagle jakiś hałas rozległ się w pałacu.

– Co to? – zapytał Ludwik, niezupełnie jeszcze ubrany.

Jakiś człowiek wszedł do pomieszczenia. Książe Orleanu rozpoznał w nim pokojowca Karola VI, Schaza de Courtheuse.

– Wasza Książęca Mość – rzekł Schaz – król wzywa was, byście niezwłocznie stawili się u niego. Pilnie musi rozmawiać z wami o sprawach, które was dotyczą.

Książe zdawał się wahać. Królowa pogłaskała go po ramieniu.

– Idźcie... Idźcie, drogi szwagrze, będę na was czekać aż do świtu. Wróćcie powiedzieć mi, czego chciał od was król.

Wówczas Ludwik rozkazał podprowadzić swoją mulicę do podjazdu i, pożegnawszy królową, która odpowiedziała mu uprzejmym ruchem ręki, ruszył w stronę pałacu Saint-Pol.

Noc była bardzo mroczna. Przed księciem, podśpiewującym sobie pod nosem jakąś piosenkę w takt spokojnego kroku wierzchowca, trzech pachołcy nieśli pochodnie. Obok nich, jako eskorta, na jednym koniu jechało dwóch giermków.

Orszak przybył wkrótce przed dom wynajęty przez Jana bez Trwogi. Osiemnastu gotowych do skoku ludzi Raula d'Octonville czaiło się w cieniu po obu stronach ulicy.

Koń giermków poczuł ich zapach. Zrobił nagły odskok i puścił się galopem w noc, zanim dosiadający go jeźdźcy zdolali go powstrzymać.

Wszystko potoczyło się teraz bardzo szybko: Raul d'Octonville rzucił się na księcia i zadał mu silny cios toporem w ramię.

Ludwik sądził, że ma do czynienia ze zwykłymi złodziejami; zakrzyknął:

– Jestem książe Orleanu!

– Ciebie właśnie nam trzeba! – odparł d'Octonville.

I wymierzył bratu królewskiemu drugi cios toporem. W ślad za nim osiemnastu ludzi rzuciło się na księcia rąbiąc go mieczami, maczugami i włóczniami aż jego mózg rozprysnął się na bruku.

Jeden z paziów księcia, Jacob de Merre, skoczył mu na pomoc, lecz przewrócono go i ubito, nim zdążył krzyknąć. Inni słudzy czmychnęli w popłochu.

Na hałas czyniony przez ludzi Raula d'Octonville pastwiących się nad księciem Orleanu, którego ciało było już jedynie krwawą miazgą, mieszkańcy ulicy Barbette przebudzili się i skoczyli do okien.

Nie dane im było pisać ani słówka, gdyż chmara strzał zmusiła ich do odwrotu.

Jednakże Jaquette Griffand, żona szewca, opowiadała później, że mogła dostrzec jakiegoś mężczyznę wysokiego wzrostu, w czerwonym kapturze nasuniętym na oczy, który podszedł do rozciągniętego w kałuży krwi księcia Orleanu, trącił go nogą i rzekł:

– Nie żyje! Gaśmy wszystko i uciekajmy!

Mordercy wsiedli wówczas na koń i pospiesznie odjechali, podpalając uprzednio dom Jana bez Trwogi, myśląc przypuszczalnie, że pożar wywoła w dzielnicy zamieszanie ułatwiające im ucieczkę.

Gdy tylko zniknęli, tłum wyległ na ulicę i odkrył zwłoki księcia Orleanu.

– Trzeba powiadomić królową – powiedział ktoś.

Izabela świetnie odegrała komedię rozpaczy, kiedy doniesiono jej o nieszczęściu, jakie przytrafiło się jej faworytowi. Szlochała załamując ręce, po czym kazała się zanieść do pałacu Saint-Pol, aby powiadomić króla i zażądać ścigania morderców.

Karol grał właśnie w karty z Odettą de Champdivert. Natężył umysł, by zrozumieć, co doń mówiono. Później złapał się rękami za głowę.

– Mój brat, mój dobry braciszek – rzekł – czemu zabili go niegodziwcy? Trzeba ich aresztować!

Ciało księcia Orleanu przeniesiono następnego dnia do kościoła augustianów eremitów. Za trumną ze łzami w oczach kroczył Jan bez Trwogi...

* * *

Na rozkaz króla, pragnącego bezzwłocznie aresztować zabójców brata, w Luwrze zebrała się Rada Królewska.

Po ożywionej dyskusji książęta, wśród których znajdował się Jan bez Trwogi, doszli do wniosku, że przyczyną tego morderstwa musi być jakaś kobieta. Szybko wszczęto śledztwo; sądzono, że zabójcą może być imię pan de Cauny, któremu książę Orleanu uwiódł żonę.

Strażnicy natychmiast poszli pojmać dzielnego człeka, który, zadziwiony przygodą, opowiedział w Luwrze o swych niedolach małżeńskich z takim bogactwem szczegółów, jakiego odeń nie wymagano, ale których wysłuchano bez sprzeciwu i bez zmarszczenia brwi – przeciwnie – z błyskiem w oku, niezbyt stosownym do okoliczności...

Przesłuchiwany następnie w sprawie zabójstwa księcia Orleanu imię pan de Cauny przedstawił niepodważalne alibi. Okazało się, że pocziwca niepotrzebnie fatygowano.

Rada zasepiła się, nie wiedząc, na jakie tory skierować dochodzenie.

Obrady utknęłyby w martwym punkcie, gdyby nie prewot kupców (sprawujący funkcje prefekta policji), który przyszedł poinformować dostojników o interesującym fakcie: w noc morderstwa paryżanie słyszeli, jak jakaś tajemnicza grupa ludzi przekradała się z zachowaniem nadzwyczajnych środków ostrożności do pałacu Burgundzkiego.

– Pałac ten to jedyne miejsce, do którego straża moje nie miały dostępu – dodał. – Kraty są zamknięte na cztery spusty. Wszystko więc wskazuje na to, że zabójcy tam się zaszyli.

Książę de Berry i książę de Bourbon spojrzeli na Jana bez Trwogi. Ów pobladł. Salę zaległa cisza, której nikt nie śmiał zmącić. Wszystkie spojrzenia skierowały się na księcia Burgundii, który wyglądał jak wzięty na tortury. Znienacka wstał i chwiejnym krokiem podszedł do wykusza okiennego. Był tak blady, że książę de Berry skoczył go podtrzymać.

Jan bez Trwogi pochylił się do ucha stryja i rzekł mu:

– To ja nakazałem to zabójstwo, nie wiem wszelako, jak to się stało. Diabeł widno mnie pokusił.

– Ach! – szepnął książę de Berry ze łzami w oczach – tracę dziś dwóch bratanków.

Choć wszyscy członkowie Rady doskonale pojęli, co się zdarzyło, Jan bez Trwogi bez przeszkód opuścił salę.

Każdy wahał się oczywiście przed rozcłóśzeniem skandalu...

Wróciwszy do domu, książę Burgundii wydał polecenie swym ludziom, aby starali się zbiec, sam zaś spędził noc na układaniu manifestu mającego usprawiedliwić jego postępek. O świcie 26 listopada 1407 r. wyjechał z Paryża w towarzystwie sześciu jezdnych, którym w celu opóźnienia pościgu rozkazał obsadzić most Świętego Maksencjusza.

Kiedy galopował, królowa z drzeniem dowiedziała się, co zdarzyło się podczas obrad. Poczula do Jana pogardę za jego słabość, wdzięczna jednak była za dyskrecję. Istotnie, nie pisał ani słoweczka, które mogłoby rzucić na Izabelę podejrzenie współdziałania w zbrodni. Ostentacyjnie manifestując więc wielkie oburzenie na księcia Burgundii, którego nazywała „podłym bratobójcą”, tak starała się działać, żeby rycerze wysłani w pościg nie mogli wyruszyć natychmiast.

Jan bez Trwogi nie został więc ujęty.

Skandal, którego tak się obawiano, mimo to wybuchł, ponieważ wieść szybko się rozeszła i cały Paryż wkrótce dowiedział się, że książę Orleanu został zamordowany z rozkazu stryjecznego brata.

W umysłach ludu nastąpił wówczas dziwny zwrot: zapomniano o przywarach, korupcji i niezwykłej rozrzutności ofiary, pamiętano zaś tylko jego nieliczne przymioty. Żałowano księżnej Orleanu, która w imieniu swych dziełek wystąpiła o ukaranie sprawcy.

Jan bez Trwogi przezornie przytaił się czas jakiś we Flandrii, podczas gdy Izabela, znając chwiejność poglądów ludu, prowadziła to, co dziś nazwalibyśmy „zręczną propagandą na jego korzyść”. W pół roku później poinformowała go, że może już wracać do Paryża.

Wyruszył w drogę z tysiącem zbrojnych. Podatni na argumenty Izabeli paryżanie nie mieli mu już nic za złe. Przyjęli go nawet tak entuzjastyczną owacją, że księżna Orleanu, wielce niezadowolona, porzuciła dwór i wyjechała do swego zamku w Blois.

Nic nie pojmując z takiego obrotu sprawy, stryjowie królewscy zaczęli protestować przeciw obecności Jana bez Trwogi w stolicy. Nalegali, by Karol VI wydał nakaz jego aresztowania bądź wydalenia; biedny szaleniec, który pozostawał na co dzień pod zdradzieckimi wpływami Izabeli, odtrącił ich rady. W parę dni później zezwolił nawet księciu Burgundii, aby ten w publicznym wystąpieniu mógł usprawiedliwić swój postępek.

Mieszkańcy Paryża usłyszeli wówczas, jak zabójca księcia Orleanu znieważa pamięć swej ofiary i stawia kropkę nad „i”, stwierdzając, że popełniona przez niego zbrodnia była godną pochwały przysługą dla państwa.

Księżna Orleanu i jej syn Karol oczywiście zaprotestowali, grożąc księciu Burgundii mobilizacją wojsk, aby wygnać go z Paryża, o ile król sam się na to nie zdecyduje.

Od tego dnia królestwo zostało rozdarte wewnątrz: byli tacy, co popierali księcia Burgundii, inni brali stronę księżnej Orleanu.

We Francji nastąpił więc podział, i to w chwili, gdy król Anglii po trzydziestopięcioletnim zawieszeniu broni zamierzał znów podjąć kroki wojenne...

* * *

W jednej chwili cały naród chwycił za broń. Stronnicy księcia Burgundii przyjęli za emblemat krzyż świętego Andrzeja haftowany na czerwonej wstędze, inni, dowodzeni przez księcia de Berry i księcia de Bourbon, wyróżniali się owiniętą na ramieniu wstęgą białą.

W przebłysku rozumu król dostrzegł niebezpieczeństwo i nakazał książętom ligi złożyć broń.

Książę de Berry odpowiedział, „że ostanie w pogotowiu póki książę Burgundii nie rozpuści wojsk”. Ów, będąc panem stolicy i osoby króla, rzucił wyzwanie zarówno monarsze, jak i przywódcy partii orleańskiej, powołując pod broń nowe zastępy, którym nakazał marsz na Paryż...

Po paru miesiącach chwiejnych pertraktacji wydawało się, że dojdzie do ugody między zwaśnionymi książętami, kiedy brat księcia Orleanu poślubił córkę księcia Burgundii, królowa zaś zamieszkała w Melun (z dala od przewidywanego teatru działań wojennych) i dla uczczenia tego wydarzenia zorganizowała specjalne uroczystości.

Izabela, Jan bez Trwogi i książę Karol Orleański, syn ich ofiary, spotkali się na wieczerzy.

Pod koniec posiłku książę Burgundii pociągnął królową do kącika pod oknem i rzekł jej, że dobrze by było dla nich obojga poznać tajne zamysły młodego Karola dodając przy tym, że nic tak nie sprzyja zwierzeniom, jak miłosne sam na sam...

Izabela w pół słowa umiała chwycić takie sugestie.

W godzinę później już była w łóżku z synem swego eks-kochanka...

Wieczór pojednania nie miał oczywiście widoków na przyszłość i wojna domowa rozgorzała na dobre w całym królestwie.

Karol pojął wówczas za żonę córkę hrabiego d'Armagnaca. Związek, sam w sobie bez znaczenia, miał jednak nadać ostateczny wyraz podzielonej na frakcje Francji, jako że z jednej strony stali odtąd „burgundczycy”, z drugiej – „armaniacy”.

Kłeska pod Azincourt była jedną z pierwszych konsekwencji walk wewnętrznych, które miały toczyć się przez dwadzieścia pięć lat i doprowadzić królestwo do ruiny. 14 października 1415 r. rozgromione zostało rycerstwo, Francja utraciła trzydzieści tysięcy żołnierzy, a Karol Orleański* i książę de Bourbon dostali się do niewoli.

Izabela wcale nie przejęła się tą porażką. Wręcz przeciwnie, doszła do wniosku, że przy pomocy Anglików będzie jej łatwiej dopiąć celu: przygotowywała się do zdrady...

Na razie zaś, nie bacząc na spadające na Francję nieszczęścia, zaczęła organizować zabawy, o których wszyscy kronikarze piszą z wielkim zgorszeniem.

Wieczorami wraz z damami ze swej świty lubiła przebierać się za ladacnicę i wałęsać po ulicach Paryża, „aby oddawać się niecnym żądzom” klerków uniwersyteckich.

O tych godnych pożałowania rozrywkach powiadomiono któregoś dnia konetabla d'Armagnaca. Wszczął dochodzenie i wyszperał, że organizatorem zabaw królowej i jej najbardziej występnym faworytem był Bois-Bourdon.

Udał się do króla.

– Miłościwy panie – rzekł – jesteście podle zdradzani. Przekonajcie się o tym sami.

I zaprowadził Karola VI do Vincennes, gdzie królowa miała w owym czasie swój dwór. Los chciał, że właśnie gdy zbliżali się do apartamentów prywatnych Izabeli, wychodził stamtąd Bois-Bourdon ze swobodą wiele mówiącą o jego zażyłości w tym domu. Poznając króla, faworyt pobladł nieco, przeszedł jednak nie zatrzymując się.

Karol, dotknięty takim brakiem szacunku, wydał natychmiast konetablowi d'Armagnacowi rozkaz aresztowania zuchwalca i rezygnując z widzenia się z żoną powrócił do Paryża.

Zatrzymanego Bois-Bourдона przewieziono do Châtelet. Tam poddano go kilkakrotnie przesłuchaniom w obecności króla, który, jak powiadają kronikarze, „dowiedział się znacznie więcej, niż chciałby wiedzieć”.

Zły duch królowej został w końcu skazany na śmierć. Tego samego wieczoru dwaj strażnicy cisnęli go do Sekwany w skórzanym worze, na którym wypisane były słowa: „niechaj sprawiedliwości królewskiej zadość się stanie...”

* * *

* W więzieniu angielskim przesiedział dwadzieścia pięć lat. Tam ułożył znane nam, wdzięczne poematy.

W parę dni po egzekucji Bois-Bourдона delfin Karol w porozumieniu z konetablem d'Armagnakiem wydał rozkaz porwania królowej i odwiezienia jej pod silną eskortą najpierw do Blois, potem do Tours.

Izabela nie miała możliwości przywołać na pomoc księcia Burgundii, przebywającego podówczas w Normandii. Mimo jej protestów zamknięto ją w krytym powozie i orszak opuścił Vincennes.

Już sama jazda na wygnanie była dla królowej ciężkim upokorzeniem; omal jednak nie zemdląła na wieść, że nie zabrano dla niej żadnych klejnotów i żadnej z sukien, w które tak lubiła się stroić.

W nadziei wzruszenia eskorty w czasie trzydniowej podróży symulowała częste niedyspozycje. Nadaremnie oczywiście, i w miły majowy wieczór 1417 r. przybyła do Tours, gdzie czekało na nią trzech mężczyzn o surowym wyglądzie, którzy mieli być jej strażnikami.

Bez żadnych względów dla jej osoby kazano jej przejść do zamku przekształconego w więzienie. Czeką ją tam ciężkie życie. Ustawicznie nadzorowana, nie mogła nic pisać, przyjmować wizyt ani swobodnie spacerować. Strażnicy, wiedząc ponadto, że kobieta ta, której miłosne przygody oburzały całe królestwo, była przyczyną wszelkich nieszczęść, jakie spadły na naród, zachowywali się wobec niej lekceważąco i impertynencko. Zapominając, że była królową Francji (ale czy sama o tym nie zapomniała?), rozmawiali z nią zuchwale, nie zdejmując kapeluszy z głów.

* * *

W Paryżu tymczasem delfin Karol nie tracił czasu. Nic nie mówiąc królowi, który przerywał chwilę otępienia jedynie wówczas, gdy szedł do łóżka Odetty de Champdivert*, skonfiskował ukryte przez matkę skarby.

Po czym, pragnąc zasilić kasę partii armaniackiej jak największą ilością gotówki, sprzedał pozłociste suknie, cenne meble i klejnoty pozostawione przez Izabelę w Vincennes...

Pieniądze to jednak nie wszystko; aby partia rosła w siłę, potrzeba jeszcze zwolenników, a tego właśnie mu brakowało. Istotnie, wskutek kolejnych pomyłek konetabla d'Armagnaca duża część wojsk porzuciła nagle delfina, aby powiększyć armię księcia Burgundii.

Król Anglii był biegły w swym rzemiośle. W tym właśnie momencie, pewien wsparcia Jana bez Trwogi, wylądował w Normandii. Wojska burgundzkie wkrótce połączyły się z

* „Królewianka” dała Karolowi VI córkę, którą, zwano Małgorzatą de Valois. Po śmierci króla dziecięciu temu przyznano rentę w wysokości pięciuset liwrów rocznie. W 1424 r. ocaliła ona króla Karola VII, powiadamiając go o uknutym przeciw niemu spisku. W dowód wdzięczności król przywołał ją na dwór i uznał jej prawa. Potem zeswatał ją z Janem de Hardepenne, rycerzem-seneszałem Saintogne, panem na Montaigu i Belleville w Saintogne. Jej herb wskazuje na to, że była ona zarówno córą królewską, jak i dziecięciem miłości: „lilie francuskie przecięte złotym pasem”...

Anglikami i Henryk V ruszył na Paryż. Przybywszy do Senlis, zażądał od Karola VI, by ten scedował mu koronę Francji.

– Sprecyzujcie – rzekł swym wysłannikom – że dożywotnio zostawię mu jego zaszczyty, pod warunkiem, że po pierwsze, zostanę mianowany regentem z tytułem króla Francji, po drugie, że traktat przypieczętuje, dając mi rękę siostry delfina, Katarzyny.

Karol VI, który na szczęście nie miał wtedy ataku, przestudiował z radą owe propozycje.

Tymczasem w Tours Izabela tłumiała gniew. Dzięki pomocy sługi, umawiającego jej kontakty ze światem zewnętrznym, powiadomiona o tym, co działo się w Paryżu, próbowała zbiec, w celu wsparcia króla Anglii przeciw małżonkowi, który od lat trzydziestu jej zawadzał i delfinowi, który zagarnął jej bogactwa...

Pewnego wieczoru wspólnik powiadomił ją, że książę Burgundii na czele ośmiuset żołnierzy ciągnie na Tours. Była to nieoczekiwana okazja. Zaraz przesłała mu swą złotą pieczęć. Jan bez Trwogi zrozumiał sygnał. Odpowiedział, że jest gotów i że oczekuje królowej nazajutrz, w zaduszki, w opactwie położonym o dwie mile od Tours.

Idąc spać tego wieczoru, królowa napomknęła strażnikom:

– Panowie, chciałabym pomodlić się jutro w Marmoutier. Sądzę, że nie będziecie wzbraniać mi modłów?

– Oczywiście nie, pani.

– W takim razie bądźcie o świcie gotowi do drogi.

Następnego dnia, zaledwie Izabela i jej towarzysze uklękli do modlitwy, sześćdziesięciu ludzi wkroczyło do kościoła w Marmoutier. Zaniepokojeni strażnicy szepnęli do ucha królowej.

– Miłościwa pani! pełno tu Anglików i „burgundczyków”. Uciekajcie!

– Zachowajcie spokój – odparła z uśmiechem Izabela.

Trzej strażnicy zrozumieli wówczas, że wystrychnięto ich na dudków, i próbowali zbiec. Nie mieli czasu. Hektor de Saveuse, dowódca oddziału wysłanego przez Jana bez Trwogi, stał już przed królową i kłaniał się jej z szacunkiem.

– Saveuse – rozkazała Izabela – zatrzymać mi tych trzech!

Dwóch dało się związać. Trzeciemu udało się wymknąć z kościoła.

Pobiegł nad Loarę i wskoczył do łódki, która zatonała. Słuch o nim odtąd zaginął.

Kiedy ucichł tumult, z kolei książę Burgundii podszedł powitać Izabelę.

– Bądźcie pozdrowieni – rzekła doń królowa – jesteście tym człowiekiem w królestwie, któremu najwięcej miłości winnam, albowiem rzuciliście wszystko, aby mnie uwolnić. Bądźcie pewni, że nigdy was nie zawiodę.

Po czym oboje „dobrze pojedli sobie w opactwie” i poszli „uczcić spotkanie” w odosobnionej komnacie...

* * *

Następnego dnia królowa zmusiła miasto Tours do poddania się księciu. Dwoje kochanków udało się następnie do Chartres, gdzie przyjęto ich triumfalnie. Izabela skorzystała z tego i ogłosiła się regentką „w myśl wydanych nieodwołalnych rozporządzeń” oraz kazała sporządzić sobie pieczęć, na której postać jej była wyryta w całości.

W kilka dni później przybyła do Troyes, gdzie założyła dwór i parlament. Tak więc, wedle słów markiza de Sade, „było w królestwie dwóch królów, dwa dwory i cztery stronnictwa”^{*}.

Wśród tak niezwykłego bałaganu Izabela zwróciła się do Henryka V, zapewniając go o swej przyjaźni, zachęcając do zajęcia całego królestwa i obiecując rękę swej córki, Katarzyny.

Jednakże Paryż, w którym przebywał konetabl d’Armagnac, nadal stawiał opór, co dręczyło królową. Postanowiła zająć się tym osobiście i pewnego wieczoru 1418 r. jeden z jej wiernych druhów, były sekretarz Bois-Bourdona, Perrinet Leclerc, otworzył bramę Saint-Germain „burgundczykom”, którzy zajęli miasto i mordowali każdego, kto poprzedniego dnia chlubił się przynależnością do stronnictwa „armaniaków”. Po trwającej kilka tygodni straszliwej rzezi, Jan bez Trwogi przybył wraz z Izabelą do stolicy. Mało wrażliwi paryżanie obsypali ich kwiatami...

Jeśli chodzi o króla, przyjął on małżonkę jak gdyby nigdy nic.

– Cie – powiedział – znów jesteś! Przytyłaś!

I to wszystko.

Kochankowie nie mieli jednak spokoju, albowiem delfin, któremu udało się umknąć z Paryża, nadal wiódł wojnę z matką. Izabela postanowiła w końcu go zgładzić, co istotnie w jakiś sposób załatwiłoby sprawę...

Obmyśliwszy plan, przywołała Jana bez Trwogi i powiedziała mu:

– Jako żeście mym wiernym przyjacielem, ważkie zadanie mam zamiar wam powierzyć. Poprosicie mego syna o audiencję, której ten wam udzieli w dobrej wierze i bez podejrzeń. Nieszczęsny trafem, którym z góry się martwię, rzeczony Karol przeniesie się przy was na tamten świat... Ja będę w wielkiej rozpaczce. I w wielkiej szczęśliwości zarazem. Baczcie jeno, by nie popełnić fałszywego kroku. Nie napadajcie nań pierwsi, bo wówczas całe królestwo mieć przeciw sobie będziecie. Postąpcie raczej tak, by po jakimś ostrzejszym słowie was właśnie zaatakowano. Ludzie z waszej świty w sukurs wam pójdą i z całą bezkarnością działać będą mogli. Biedaczysko zginie przez pomyłkę...

Książę zgodził się na to, i spotkanie nastąpiło 10 września 1419 r. na moście w Montreau.

Po krótkiej wymianie zdań Jan bez Trwogi zaproponował, aby udać się do króla do Paryża.

– Nie trzeba mi waszych rad – odparł urażony delfin – udam się do króla, kiedy będę chciał.

^{*} „Rojaliści”, „delfiniści”, „burgundzcy” i „armaniacy”.

– Udasz się tam natychmiast! – odpowiedział suchym tonem książę.

I chwytając jedną ręką za miecz, drugą zaś – delfina za kołnierz, czekał aż go odtrąca, tak aby jego zwolennicy mogli zripostować. Widząc jednak swego pana w niebezpieczeństwie, wierny sługa delfina Tanneguy Duchâtel rzucił się na księcia, wypchnął go z namiotu i ciosem topora rozplątał mu czaszkę. Wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że zaskoczeni „burgundzycy” nie mieli czasu na interwencję. Na oczach sług ich ukochanego pana dobito ciosami włóczy, a ciało jego stało się wkrótce kupką krwawiącego mięsa.

Spisek spalił na panewce.

* * *

Delfin nie był świadkiem zabójstwa. Dwaj rycerze, uważając, że spektakl taki jest niestosowny dla nieletniego (miał wówczas szesnaście lat), zatrzymali go wewnątrz namiotu.

Karol mimo wszystko posłyszał ryk Jana bez Trwogi, a że kuzyn uchodził raczej za człowieka spokojnego, zdziwił się:

– Czyżby coś niemiłego przytrafiło się księciu Burgundii?

– Nie, nie obawiajcie się, panie – zakrzyknęli dość obłudnie jego rycerze.

Zajął się wówczas czymś innym.

Kiedy jednak wyszedł z namiotu i ujrzał rozciągnięte na moście półnagie zwłoki, zemdlął i trzeba go było przenieść do zamku w Montreau.

Przyszedłszy do ciebie, zaczął rozpaczać.

– Czemu płaczecie? – spytali go przyjaciele.

– Oplakuję śmierć kuzyna – wykrzyknął – i oplakuję siebie, pewien jestem bowiem, że mnie właśnie przypiszą winę za to straszliwe morderstwo.

Delfin miał rację. Opinia publiczna w całym królestwie oskarżyła go wkrótce o to, że wciągnął księcia Burgundii w zasadzkę i w swojej obecności kazał zmasakrować.

To okropne oszczerstwo rozpowszechniane było z rozkazu Izabeli, której nienawiść do delfina zdwoiła się z chwilą śmierci kochanka.

Sprawa z mostu w Montreau dotknęła ją boleśnie. Całą noc jęczała i snuła się z łuczywem w dłoni po zamku; obawiano się nawet o jej życie.

W obliczu takiego bólu – niezwykle wszak u tej nieczulej królowej – można zadawać sobie pytanie: czy Izabela rzeczywiście kochała Jana bez Trwogi?

Nie, nie bardziej od innych.

Skąd więc ten ból?

Kobiety, które wiek pozbawił powabów, rozumieją jej rozpacz. Królowa nie oplakiwała kochanka, lecz ostatniego kochanka. Miała obecnie pięćdziesiąt lat, w ciągu paru miesięcy niewiarygodnie się roztyła, nogi jej rozděło, twarz stała się zwiędła i trzęsąca; zdawała sobie sprawę, że nie ma już żadnych szans zwabienia do swego łóża żadnego z pięknych rycerzy,

których zapał odgadywała, i żałowała tego żywotnego człowieka, co czas jakiś jeszcze, z czułości czy też z przyzwyczajenia, mógłby składać jej jakieś hołdy...

Rozumiemy teraz, jak bardzo delfinowi miała za złe.

Jej pierwszym odruchem było oczywiście zgładzić go przy pomocy któregoś ze swych zauszników, potem pomyślała, że czyn taki teraz, gdy zabrakło makiawelicznego Bois-Bourdona, jest trudny do popełnienia, postanowiła więc pozbawić syna popularności, aby uniemożliwić mu wstąpienie na tron po śmierci Karola VI.

Rozpuszczając oskarżenia w sprawie zabójstwa Jana bez Trwogi właśnie w chwili, gdy partia burgundzka miała najwięcej wpływów we Francji, pewna była, że niemal całe królestwo powstanie przeciw delfinowi.

* * *

W walce przeciw młodemu Karolowi Izabela nie pozostała długo osamotniona. Wkrótce zyskała cennego sprzymierzeńca w osobie syna swego kochanka, księcia Filipa Burgundzkiego, który miał dwadzieścia trzy lata i pałał żądzą pomśzczenia śmierci ojca.

Razem ułożyli plan batalii. Kiedy osiągnęli porozumienie, pozbawiona wstydu królowa rzuciła się do stóp króla, błagając go, by zabójców jej kochanka spotkała przykładowa kara...

– Wasza dostojność, domagam się łaski waszej, byście nijakim miłosierdziem nie powodowani aresztować kazali człeka, co, z serca złego, onego księcia, którego tak kochałam i nad którego śmiercią tak boleję, zgładzić kazał...

Często spotykając tego typu żądania, Karol słuchał jej z roztargnieniem.

Zawiedziona Izabela postanowiła wówczas zasiać ziarno wątpliwości co do ślubnego pochodzenia jej własnego syna.

Jacyś ludzie zaczęli niebawem rozgłaszać plotki, że następca tronu jest bękartem (co nie dziwiło zbytnio pospólstwa, od dawna wiedzącego o skandalicznej rozpuszczonej monarchii), i wkrótce już paryżanie nie nazywali biednego Karola inaczej niż „tak zwany delfin”.

Sukces ten, jak łatwo się domyślać, nie zadowolił Filipa i Izabeli. Stosownie do nakreślonego planu nawiązali kontakt z królem Anglii, który przez ten czas zajął już znaczny szmat Francji, i obiecali mu całkowite poparcie przeciw wojskom delfina...

Po wymianie korespondencji młody książę Burgundii udał się do Arras, gdzie przebywał Henryk V, i podpisano tam porozumienie.

Izabela, której działania szły odtąd wyłącznie w kierunku wydziedziczenia syna, przesłała wówczas królowi Anglii zadziwiająca propozycję; zobowiązała się ustanowić go jedynym spadkobiercą królestwa kwiatu lili, jeżeli poślubi on jej córkę, księżniczkę Katarzynę..

Henryk V był absolutnie zaskoczony faktem, że Izabela ofiarowuje mu koronę Francji. Podejrzewając pułapkę, zaczął mieć się na baczności. Dobrze poinformowani doradcy

zapewnili go jednak, że bez obawy może przyjąć tę nieoczekiwaną ofertę; zredagowano projekt traktatu. Zawierał on między innymi następujące artykuły:

Primo: król Anglii poślubi królową Katarzynę i zostanie jedynym dziedzicem Francji.

Secundo: zostawszy teściem Henryka V, Karol VI panować będzie nadal, jednakże, z racji jego choroby, Henryk V zostanie ogłoszony regentem.

Tertio: po śmierci Karola VI Henryk V zostanie uznany królem Francji z pominięciem Karola, tak zwanego delfina, którego prawa do korony wyklucza się raz na zawsze.

Podczas gdy w swym wspaniałym pałacu w Troyes Izabela z niecierpliwością czekała na wynik negocjacji, król, który mieszkał wtedy z nią (o niczym jednak nie wiedział), figlował po krążgankach nie podejrzewając zupełnie, że tak oto frymarczy się jego królestwem.

Z tekstem traktatu w ręku królowa pobiegła do apartamentów Karola VI, który dziwnym „zbiegiem okoliczności” cierpiał tego dnia na straszliwe bóle głowy i nie był zdolny do przytomnego myślenia. Kazała mu złożyć podpis u dołu pergaminu oddającego Francję Anglikom.

Wystosowała potem piękne przemowy do parlamentu i ludu paryskiego, przedstawiając w nich cierpienie od dłuższego czasu niedole, wszystko po to, by zapewnić, że jedynie król Anglii zdolen jest kres im położyć. Zwracała uwagę na „przymioty Henryka, jego poczucie sprawiedliwości, umiłowanie pokoju, łaskawość, a nawet na piękną postawę, podczas gdy tak zwany delfin i jego ludzie doprowadzają kraj do upadku, śmiercią zaś księcia Burgundii i mnogością innych niecných postępów ściągnęli na siebie nieszczęścia i przekleństwa”^{*}.

Naród łatwo jest wzruszyć. Przyklasnął więc warunkom traktatu...

Zadowolona z takiego obrotu sprawy Izabela zajęła się przygotowaniem do ślubu królowny Katarzyny z królem Anglii, którego postawiła w miejsce własnego syna...

* * *

Henryk V przybył do Troyes 20 maja 1420 r. Całe miasto przystroić się na jego przyjęcie. Udał się natychmiast do kościoła Świętego Piotra, gdzie czekali nań Karol VI, Izabela i królowa Katarzyna.

Gdy tylko wszedł do kościoła, nie mógł już oderwać oczu od narzeczonej, która przyniosła mu w posagu drugie królestwo...

Była jasnowłosa, uśmiechnięta, i rad był, że jest równie piękna jak w ów dzień, kiedy przedstawiono mu ją niedaleko Pontoise^{*}.

^{*} Sade, *Histoire secrète d'Isabelle de Bavière*.

^{*} Izabela, aby upewnić się, że król Anglii nie zmieni swego postanowienia, na jakiś czas przed podpisaniem traktatu z wielką paradą zawiozła Katarzynę na łąkę niedaleko obozowiska Anglików i tam „okazała ją” narzeczonemu.

Ślub, który odbył się 2 czerwca, dał pretekst do szalonych zabaw i Henryk V z pewną ironią stwierdził, że zacny naród francuski weseli się, nie zdając sobie nawet sprawy, iż został oto zdradzony przez swą królową...

W jakiś czas potem odbył się uroczysty wjazd dwóch królów i dwóch królowych do Paryża. I tu również, pomimo wielkiej nędzy, w jakiej tkwiło pospólstwo, zorganizowano wspaniałe uroczystości i wszyscy paryżanie, spodziewający się być może ulgi w cierpieniach, przyjęli czwórkę monarchów okrzykami radości.

– Chwała! Chwała dzielnemu królowi Karolowi, królowi Anglii, królowej Izabeli i królowej Katarzynie...

Za radą Izabeli Filip Burgundzki, pewny obecnie poparcia Henryka V, zażądał wreszcie kary za zabójstwo ojca. W pałacu Saint-Pol zebrało się zgromadzenie i postanowiono obejść się surowo z mordercami.

Skutkiem tego delfin, uznany za wyłącznie winnego, pozwany został przed marmurowy stół i skazany zaocznie na banicję z królestwa; ponadto uznano go za niezdolnego do dziedziczenia korony francuskiej.

Następnego dnia po Paryżu rozbiegli się heroldowie, aby przy dźwięku trąb ogłosić podpisany przez Karola VI ordonans, w którym znajdowało się zdanie: „Imć pan Karol de Valois, delfin Vienny, niegodzien jest władać jakimkolwiek lennem teraz jako i w przyszłości”. Izabela mogła wreszcie poszczycić się, że osiągnęła, co chciała. Przyszły Karol VII został wydziedziczony.

Było to w roku 1420.

W Domrémy, nad brzegami Mozy, ośmioletnia dziewczynka bawiła się z koleżankami, nie podejrzewając, że któregoś dnia naprawi krzywdy wyrządzone przez „złą królową” Francji, spełniając w ten sposób stare proroctwo Merlina: „Królestwo zatracone przez jedną kobietę uratuje inna niewiasta...”

* * *

Podczas gdy delfin próbował w okolicach Poitiers zgromadzić trochę zwolenników, Izabela zabiegała w Paryżu o ściślejszy związek z Filipem z Burgundii, synem oplakiwanego przez nią ukochanego.

Przed dziesięciu laty uczyniłaby go zapewne swym kochankiem, co na ogół jest dość pewnym środkiem pozyskania sobie przyjaznych uczuć mężczyzny. Jednakże biedaczka mocno się już zestarzała. Roztyła się tak bardzo, że nie mogła się ruszać i do przemieszczania się potrzebowała fotela na kółkach. Zgrzybiałość uniemożliwiała jakiegokolwiek zakusy miłosne.

Sięgnęła więc po inny sposób, oddała Filipowi swoją córkę Michalinę, uroczą blondynkę o fiołkowych oczach i gibkiej talii.

Książę Burgundii szybko zakochał się w tej ładnej osobce; poślubił ją z wielką ochotą i żył z nią, bacząc, by w niczym jej nie uchybić. Izabela wielce to sobie chwaliła.

Wkrótce jednak stara królowa-przechera spostrzegła, że Michalina, której wpływ na Filipa ustawicznie wzrastał, nadal darzy brata przyjaźnią. Złękła się. Obawiała się, że córka może spróbować doprowadzić do ugody między obu mężczyznami i zrujnuje tym samym nadzieje pokładane przez nią w angielskim przymierzu.

Słusznie podejrzewała, że gdyby Filip ugodził się z Karolem, armia Henryka V zostanie szybko przegnana z Francji.

Pragnąc wybadać tajne zamiary córki, umieściła przy niej damę de Viesville, która donosiła jej wiernie o wszystkim, o czym mówiono na dworze księcia Burgundii. W ten sposób mogła się przekonać, że obawy jej były uzasadnione. Michalina przygotowywała owo tak groźne pojednanie.

Trzeba było działać spiesznie.

Izabela była do tego przyzwyczajona.

Wydała parę rozkazów i w trzy dni później powabna księżna Burgundii zmarła otruta...

Filip był niepocieszony. Czy cokolwiek podejrzewał? Nie wiemy. W każdym razie pewne jest, że od tego dnia jego postawa wobec królowej zmieniła się diametralnie.

Zamierzał zresztą okazać jej wyraźną niechęć.

Wkrótce po śmierci Michaliny, króla Anglii, z którego osobą Izabela wiązała największe nadzieje realizacji swych planów, chwyciły ostre bóle i zmarł 31 sierpnia 1422 r. w baszcie obronnej zamku w Vincennes, dokąd w pośpiechu go zaniesiono.

Zanim wydał ostatnie tchnienie, Henryk V wyraził prośbę, by książę Burgundii został regentem na okres małoletności jego syna*. Filip, natychmiast o tym powiadomiony, dumnie odrzucił tę propozycję i odstąpił regencję księciu Bedfordowi.

Królowa omal nie pożółkła z wściekłości. Wszystkie jej nadzieje waliły się jednocześnie w gruzy: król Anglii, którym mogła powodować za pośrednictwem córki Katarzyny, nie żył, książę Burgundii zaś, w którym upatrywała pewnego sprzymierzeńca, wymigiwał się przed ostateczną zdradą...

Może dopiero wówczas pojmując swój błąd, zaczęła trochę żałować, że kazała otruć biedną Michalinę...

* * *

W dwa miesiące później, 20 października 1422 r., w pałacu Saint-Pol Karol VI oddawał Bogu biednego, schorowanego ducha.

* W chwili śmierci Henryka V przyszedł Henryk VI liczył sobie sześć miesięcy.

Lud Paryża opłakiwał swego króla. Pogrzeb nieszczęsnego monarchy zgromadził znaczne tłumy zacnych ludzi, którzy, pragnąc okazać wrogość królowej i księciu Bedfordowi, zawadzili w głos:

– Ach! drogi książę, równie dobrego nigdy mieć nie będziem!

Kiedy ciało Karola VI pogrzebano w Saint-Denis, herold zwrócił się do modlącego się tłumu i zakrzyknął zdanie, które zatrzęsło prostym ludem:

– Niech żyje Henryk Lancaster, król Francji i Anglii!

Ale ów rytualny okrzyk nie wystraszył Izabeli, która pilna do wykonania traktatu z Troyes. Nagliła regenta, by ogłosił Francji wstąpienie na tron nowego króla, Henryka VI, który na razie gruchał sobie, jak to niemowlę, na zamku londyńskim. Nie bez powodu, potulny tym razem regent zwołał zebranie parlamentu i kazał obwieścić, że „w związku z narodzinami księcia imieniem Henryk, zrodzonego ze związku królowny Katarzyny ze zmarłym niedawno w Vincennes królem Anglii, korona Francji i Anglii temu jedynie księżęciu przypada, z wyłączeniem Karola, tak zwanego delfina”.

W tym samym czasie w Poitiers tenże delfin, którego Izabela uważała już za ostatecznie odsuniętego od tronu, został przez swych wiernych zwolenników ukoronowany na króla Francji pod imieniem Karola VII...

Królestwo, tym razem oficjalnie, podzieliło się na dwie części. Po jednej stronie władał książę francuski odrzucony przez własną matkę, po drugiej – obce niemowlę, reprezentowane przez regenta...

Wojna domowa między „armaniakami” a „burgundczykami” otrzymała nowy podmuch i rozplomienia się jeszcze większym ogniem.

W nadziei zdobycia opinii publicznej Anglicy wytoczyli przeciw Karolowi VII broń, którą Izabela raz już się posłużyła kilka lat temu. Podważyli legalność jego pochodzenia, dowodząc, że nie jest synem Karola VI, lecz dzieckiem z nieprawego łoża, pochodzącym z kazirodczego związku królowej z jej szwagrem, księciem Orleanu.

Karol VII był załamany. Zbyt dobrze znał matkę, by nie wiedzieć, że oskarżenie to może być uzasadnione. Nabrał kompleksów, które czyniły go przesadnie ostrożnym.

* * *

O ile manewr Anglików odbił się nikłym echem wśród ludu, o tyle udało im się jednak tym sposobem poruszyć Karola VII i zachwiać jego wiarę w samego siebie. Nie był to mizerny rezultat.

Powstaje pytanie, czy był istotnie bękartem? Skoro wielu historyków zajmowało się tym problemem, a nikt nie udzielił stanowczej odpowiedzi, można w takim razie stwierdzić, iż nic nie wskazuje na to, że nie mógł być dzieckiem ślubnym.

Jeśli ktoś przejrzy rejestry pałacowe z miesiąca jego poczęcia, to jest z maja 1402 r., można zauważyć, że Izabela przebywała w pałacu Saint-Pol czternastego, dwudziestego pierwszego i dwudziestego ósmego tego miesiąca i wieczerzała z królem. Czy również tam spała? Rejestry o tym nie mówią; coś jednak znaczy ten szczegół, skoro znane nam są zapawy seksualne Karola VI, i skoro wiadomo, że ów chwyt mógł równie dobrze przy deserze wyciągnąć się na chwilę na łożu z królową.

Szalony król mógł więc w 1402 r. uczynić niewierną Izabelę matką.

Powtarzamy jednak, że w grę wchodzi tu tylko prawdopodobieństwo, i łatwo zrozumieć, że rozmyślając o swoim pochodzeniu, Karol VII często odczuwał lęk. Zadawał sobie niekiedy pytanie, czy nie zajmuje miejsca, do którego nie ma żadnego prawa.

Maria Andegaweńska, którą właśnie poślubił, starała się rozpraszać te jego rozterki*.

Pewnego ranka wszedł do jej oratorium i tam „z głębi serca pokorne prośby i modły do Boga zanosił, prosząc Go nabożnie, by dane mu było strzec i bronić królestwa, jeśli iście dziedzicem jest legalnym dynastii francuskiej i królestwo z prawa jemu przynależy”.

W kilka miesięcy później, w Chinon, Joanna d’Arc, rozpoznawszy Karola ukrytego wśród domowników, odwiodła go na stronę i udzieliła odpowiedzi na jego tajemne pytania. Rozwiązując dręczący go problem, odpowiedź ta miała zadecydować o losach Francji:

– Powiadam ci w imię Pana Boga, żeś prawym dziedzicem Francji i synem króla!

Cudowne słowa, które wszakże nie przeszkodziły Ludwikowi XI stwierdzić w obecności jednego z ambasadorów, że jego babka była *una gran puttana*, stąd w zasadzie nie wie, czym jest wnukiem...*

* Maria Andegaweńska była córką jednej z największych postaci XV wieku – Joanny Aragońskiej – oraz siostrą „dobrego króla Ireneusza”. Joanna Aragońska, księżna Andegawenii, królowa Sycylii, Neapolu, Jerozolimy i Cypru patronowała Joannie d’Arc i odegrała doniosłą rolę w dziejach królestwa.

* Archiwa mediolańskie. List Jana Andrzeja Caynoli do księżnej Mediolanu z 13 stycznia 1479 r.

23.

Izabela podsuwa Anglikom pomysł spalenia Joanny d'Arc

*Księżę Bedfordu i królowa popełnili błąd
sądząc, że każą Joanny
polepszy sytuację króla Anglii*

Markiz de Sade

5 kwietnia 1429 r. paryżanie, usłyszawszy z rana tę zadziwiającą nowinę, byli wielce podnieceni. Na wszystkich skrzyżowaniach ulic, w tawernach i na nabrzeżach Sekwany, na których zaczynały rozkwitać pierwsze kępy głogu, dyskutowali wymachując rękami.

– Ma ponoć siedemnaście lat – mówili jedni – i jest bardzo piękna.

Baby szydziły:

– Ładny wiek, jak na poćpiegę.

– I nie brak jej śmiałości: powiada, że przegoni wszystkich Anglików.

– Przegoni? Niewłaściwe słówko dla tej ślicznotki. Jestem pewna, że chciałaby się dowiedzieć, jak się strzela z kuszy na sposób londyński.

– To pewne! I to mimo jej przezwiska. Bo wiecie, jak ta żołnierska dziewczka każe się nazywać i jak się sama określa? – Dziewica...

Ledwie wymawiano to słowo, tłum wybuchał na ogół tłustym śmiechem, baby zaś w formie delikatnego żartu dorzucały parę plugawych słów, wyrażając tym swój pogląd na sprawę.

Postawa taka może się wydać dziwna. Przypomnijmy, że paryżanie ci, mieszkający wówczas w angielskiej „strefie okupacyjnej”, byli niemal wszyscy „kolaborantami”. Małego Henryka VI angielskiego uznawali za króla i nie cierpieli partii armaniackiej. Było więc normalne, że dziewczyna idąca na pomoc Karolowi VII była w Paryżu przedmiotem drwin i zniewag wszelakich.

Cóż jednak o niej wiedzano? Doprawdy niewiele. Oto co między notatką dotyczącą cen cebuli a relacją z łowów na wilka przy bramie Saint-Denis pisał pewien mieszczanin prowadzący skrupulatnie swój dziennik:

„Nad brzegami Loary była w onym czasie, jak powiadają, Dziewica, która podawała się za proroka i mawiała: «To i to zaprawdę mi się przydarzy.» Przeciwiła się regentowi* Francji i jego pomocnikom... Wiele o niej powiadają ci, co bardziej kochają armaniaków niż burgundczyków czy też regenta Francji. Twierdzą, że dzieckiem jeszcze będąc owieczki pasła i że ptaszęta z pól i lasów na zawołanie chleb z jej fartuszka dziobać przylatywały kieby oswojone. *In veritate apocriphum est*”^{*}.

A w kilka dni później dodaje:

„W tymże czasie armaniacy poniechali oblężenia i siłą odrzucili Anglików spod Orleanu, ruszyli też na Vendôme, które wzięli, jak wieść niesie, a wszędzie z armaniami szła ona zbrojna Dziewica i sztandar swój niosła, gdzie napis był «Jhezus», i powiadano, że rzekła jednemu z dowódców angielskich, by od oblężenia odstąpił ze swą kompanią lub gańba wszystkim im będzie uczyniona; ów zelżył ją wielce, dziwką i ladaczną zowiąc; ona zaś odrzekła, że maluczko a wszyscy oni odejdą, chcą czyli nie chcą: on jednak nie użrzy jej więcy. I tak też się stało, bo utopił się potem”^{*}.

Podczas gdy kpiarski, acz zdumiony, Paryż przypatrywał się czynom Dziewicy, która zdawała się dokonywać cudów, zamknięta w pałacu Saint-Pol Izabela nie posiadała się z wściekłości.

Spotkanie w Chinon, wyzwolenie Orleanu, zwycięstwa pod Beaugency, Patay, Auxerre, Troyes czyniły ją chorą ze złości. Kiedy pewnego lipcowego dnia dowiedziała się, że Karol VII, Joanna i armia królewska ruszyli właśnie z Chalons, ciągnąc na Reims, gdzie przygotowywano uroczystości koronacyjne, pobladła z gniewu.

– Trzeba zgładzić tę czarownicę – rzekła do księcia Bedfordu.

Joanna spędzała jej sen z powiek. Próżno usiłowała ją oczernić, podle oskarżając, że dzieli łożo królewskie. Wymawiając jej imię, tłustymi łapskami o grubych, szponiastych paluchach wielokrotnie czyniła gest, jakby ukręcała jej szyję.

Dlaczego? Cóż stara, opasła królowa miała do zarzucenia młodej dziewczynie z Szampanii?^{*} Po prostu pomagała Karolowi VII, którego królowa znienawidziła od chwili zabójstwa Jana bez Trwogi. Izabela nie mogła zapomnieć swego ostatniego kochanka. Myśląc o dawnych uściskach, szalała na łóżku, wydając okrzyki, gryząc pościel i drąc na sobie bieliznę. Wielokrotnie próbowała dać do zrozumienia jakiemuś żołnierzowi straży, że chcąc uzyskać awans powinien okazać jej trochę uczucia. Nie udawało się jej to, ponieważ

* Księciu de Bedford.

* Prawdziwie to spisane.

* *Journal d'un bourgeois de Paris sous Charles VII* przyp. tłum.)

* Joanna d'Arc nie pochodziła z Lotaryngii. Domrémy w połowie należy do Szampanii, w połowie do okręgu Bar.

funkcjonariusze dworscy dobrze wiedzieli, że od chwili mianowania regenta nie ma ona już żadnej władzy i wdrągali się spełnić tak nieużyteczną posługę...

Od śmierci księcia Burgundii królowa była przeto skazana na cnotliwość, co stanowiło dla niej stałą i nieznośną torturę. Targana żądzą, całą niewyżytą moc seksualną obracała w nienawiść do Karola. Szkodząc mu, odczuwała prawdziwą rozkosz zmysłową. Można też sobie wyobrazić, z jaką namiętą żarliwością starała się zgubić Joannę, która jako cel swego życia wyznaczyła sobie przywrócenie królestwa „wydziedziczonemu”... Koronacji dokonano.

Izabela, nie mogąc działać, oczekiwała okazji. Dokonawszy namaszczenia króla, Joanna postanowiła ruszyć na Paryż. 22 lipca Karol VII otrzymał klucze Soissons, dwudziestego dziewiątego poddało się Château-Thierry, potem kolejno otwierały bramy coulommiers, Crécy-en-Brie, Crépy-en-Valois. Compiègne poszło za ich przykładem. Tam Joanna d'Arc rzekła księciu d'Alençon:

– Drogi książę, przygotujcie wasze oddziały i wojska pozostałych dowódców. Na Świętego Marcina pragnę ujrzeć Paryż z tak bliska, jak nigdy dotąd jeszcze go nie oglądałam.

* * *

26 sierpnia Dziewica bez przeszkód wkroczyła do Saint-Denis, a 8 września była już pod murami stolicy. O drugiej po południu powiewając sztandarem wiodła atak na fosy u bramy Świętego Honoriusza (w miejscu, gdzie znajduje się dziś Teatr Komedii Francuskiej).

W ogólnej wrzawie rozległ się nagle jej czysty głos:

– Na Jezusa, poddajcie się skoro, bo jeśli nie złożycie broni przed północą, wiedzmy się siłą i wszystkich wyrzniemy bez litości.

Jeden z łuczników paryskich wycelował do niej z kuszy, krzyząc:

– Zamknij się, ty dziewczko! Ladacznico!

Grot bzyknął z hałasem, jaki czyni pszczoła, strzała poszybowała w kierunku Joanny, która padła na ziemię z udem przeszytym strzałą.

Nocą, na rozkaz Karola VII, armia królewska odstąpiła od oblężenia Paryża. Dziewica przeniesiona została do Saint-Denis, gdzie opatrzono jej ranę. Kiedy żołnierze angielscy i burgundzcy świętowali to zwycięstwo, jakiś człowiek zjawił się w pałacu Saint-Pol. Izabela przyjęła go natychmiast...

– Miłościwa pani – rzekł jej – zraniłem i przypuszczalnie ubiłem tę czarownicę. Dlatego przychodzę prosić was o przyobiecaną nagrodę...

Rozpromieniona królowa kazała natychmiast wręczyć łucznikowi dwa tysiące salutów*, rozkazując mu, by próbował dalej, jeśli okaże się, że pierwszy strzał nie był skuteczny*.

* Salut miał wartość 25 soldów.

* Scena ta przytoczona została przez markiza de Sade.

* * *

Zimę Joanna spędzała u przyjaciół, orleańczyków, i Izabela nie mogła nic przeciw niej zdziałać. Niezadowolona z bezczynności króla, Dziewica, chociaż Głosy zapowiadały jej bliskie uwięzienie, wiosną 1430 r. pociągnęła na Mehun, potem na Lagny i Compiègne, gdzie zamierzała natrzeć na czterotysięczną armię burgundzką.

W czasie starcia znienacka otoczyli ją Anglicy. Walczyła z sześcioma konnymi. Krzyknęli do niej:

– Poddajcie się i dajcie parol!

– Poprzysięgam już wierność komu innemu i dochowam tej przysięgi.

Wtedy jakiś łucznik uchwycił płaszcz Joanny i ściągnął ją z konia. Była w niewoli.

Tegoż wieczoru Izabela otrzymała pismo powiadamiające ją o tym wydarzeniu.

Czy poprzestała na wewnętrznym zadowoleniu? Nie jest to takie pewne. W napisanej pod koniec swego życia, na podstawie źródeł z Archiwów Domu Burgundzkiego, „Tajemniczej historii Izabeli Bawarskiej” markiz de Sade przytacza ciekawy list, który pełna nienawiści stara królowa przesłała 26 maja do księcia Bedfordu:

... Wiecie, mości księżę, jak wielką wagę ma dla was szybkie skazanie onej przeklętej czarownicy, którą zwą Joanną Dziewicą, ujętej przez jednego z waszych dzielnych żołnierzy i przekazanej teraz hrabiemu na Ligny, Janowi z Luksemburga. Ta właśnie potępiona istota, powiadająca o sobie, że jest natchniona, za podszeptem szatana mimo tysiąca niebezpieczeństw doprowadziła rzekomego króla Karola do koronacji w Reims. Bóg okazał jednak swą sprawiedliwość; za swe nieczne czyny pokarana została raną i uwięzieniem. Macie ją teraz w ręku, baczcie, by nie umknęła: ufność, jaką Francuzi w niej pokładają, czyni ją tym groźniejszą, powiadają, że dobry Bóg robi dla niej cuda; nasze stronnictwo, i tak już zachwiane, tego jeno potrzebuje do całkowitego upadku, a wiecie jakie wrażenie na ciemnym narodzie sprawia wszystko, co z zabobnem się wiąże. Rzeknijcie, by zajął się nią inkwizytor; winien to uczynić, albowiem dziewczka ta srodze jest podejrzana o wiele zbrodni tracących herezją... Zbrodni, których nie można ukryć i nie ukarać nie sposób. Trzeba przeto, by mnich, któremu działać zlecicie, zażądał od was wydania tej kobiety, jako podpadającej pod jurysdykcję urzędu, na który przez Stolicę Apostolską powołany został, z chwilą gdy czarownica znajdzie się w jego ręku, przykażcie, by jak najszybciej zmierzał do wykonania na niej wyroku.

Izabela z Bawarii, królowa Francji

Co sądzić o tym niezwykłym piśmie? Czy jest ono wymysłem markiza de Sade? Mało to prawdopodobnie; w całym swoim dziele źródła wybierał on bardzo skrupulatnie. Czy znajdowało się ono wśród dokumentów odnalezionych przezeń w klasztorze kartuzów w

Dijon, zniszczonych następnie – jak powiada w przedmowie – „wskutek durnego barbarzyństwa wandalii XVIII wieku”, czyli rewolucjonistów? Być może. W tym wypadku list byłby autentyczny, a Izabela w znacznej mierze odpowiedzialna za straszną kazań Joanny d’Arc. Ona też byłaby tą, która po raz pierwszy nazwała Dziewicę czarownicą i heretyczką, czyli tą, która wysunęła dwa główne punkty oskarżenia mające zaprowadzić Joannę na stos...

* * *

Joanna nie znajdowała się jednak jeszcze w rękach Anglików. Poddała się do niewoli rycerzowi ze stronnictwa burgundzkiego Lyonnelowi de Vendôme, który przekazał ją Janowi Luksemburskiemu. Trzeba było ją od niego wykupić. 14 lipca Piotr Gauchon, biskup Beauvais i kanclerz królowej Anglii, zaproponował za wydanie Joanny kwotę dziesięciu tysięcy złotych talarów*. Mimo prośb żony Jan z Luksemburga przyjął te pieniądze i wydał Dziewicę. Przewieziono ją do Rouen.

30 maja 1431 r. na starym rynku Joanna, „cud historii Francji i historii świata”, zginęła w wieńcu płomieni, padając ofiarą podstarzałej królowej, oszalałej z żądzy miłości.

* * *

Śmierć Joanny d’Arc ożywiła pewne nadzieje Anglików i Izabeli.

Postanowiono ukoronować Henryka VI.

Rankiem 2 września 1431 r. dziewięcioletni już prawie chłopczyk odbył triumfalny wjazd do Paryża. Prewot kupców oraz ławnicy w uroczystych strojach wyszli mu na spotkanie, niosąc dlań lazurowy baldachim usiany złotymi kwiatami lili.

Pochód, poprzedzany przez dwudziestu pięciu heroldów i dwudziestu pięciu trębaczy, przeszedł następnie do pałacu, do Świętej Kaplicy i do Tournelles. Zawsze miłujący procesję lud Paryża, ustawiony szpalerem wzdłuż ulic, wykrzykiwał: „Niech żyje! Niech żyje!”; młody król zaś uprzejmie pozdrawiał przychylny mu tłum. Przejeżdżając przed pałacem Saint-Pol, ujrzał wychylającą się z okna zawoalowaną staruszkę. Była to jego babka, Izabela Bawarska, która radowała się tak długo wyczekiwany przez nią widokiem.

Uchylając kaptura, Henryk VI skłonił się jej z szacunkiem. Ruchem ręki królowa oddała mu pokłon i upojona radością wróciła do swej komnaty. Oto zrealizowało się jej najdroższe marzenie: mocą królewskiego namaszczenia jej wnuk miał zostać królem Francji i Anglii, ona zaś mogła rządzić obu krajami. Czyż dziewięcioletnie dziecko nie będzie ślepo posłuszne woli swej babki?

Po wieczery Henryk przyszedł złożyć wizytę Izabeli. Od razu umiała znaleźć wobec niego właściwy ton.

* Stanowiłoby to obecnie wartość około miliona franków.

– Syneczku – powiedziała – nie ustąp nigdy z tronu, na który cię wyniosłam. Tylko ty go dzien jesteś na nim zasiadać...

17 listopada w katedrze Notre-Dame kardynał Winchesteru ukoronował wreszcie Henryka VI na króla Francji.

Izabela miała na tyle taktu, że nie zjawiała się na uroczystości. Nie mogła jednak odmówić sobie przyjemności, by nie uczcić w gronie kilku przyjaciół wydarzenia, które pozwalało jej żywić z gruntu szalone nadzieje.

Nie mogła przewidzieć, że w kilka miesięcy później małżeństwo zawarte z miłości zmieni całą sytuację i oddzieli stronnictwo burgundzkie od Anglii...

* * *

13 listopada 1432 r. o godzinie drugiej po północy „w pałacu Burbonów niedaleko Luwru” zgasła cichutko młoda, dwudziestoosmioletnia niewiasta. Jej śmierć przynieść miała nieoczekiwane skutki.

Była to Anna, siostra Filipa z Burgundii i żona regenta Francji, księcia Bedfordu. Wszyscy w Paryżu lubili ją ze jej dobroć i wdzięk. Powiadano o niej, że była to „najmilsza dama ze wszystkich znajdujących się wówczas we Francji”... Pogrzeb jej zgromadził bolejące tłumy współczujące szczerze księciu Bedfordu, którego rozpacz zdołałaby wycisnąć łzy z oczu „największego zbója”.

Z początkiem wiosny niepokieszony, zda się, dotąd regent zmienił gwałtownie nastrój. Smutek ustąpił miejsca łagodnej melancholii. Jego otoczenie nie zdążyło się nawet zdziwić, gdyż rozeszła się wieść, że napotkał pewną rudą dziewczynę o oczach zielonych, cętkowanych złotem, w której zakochał się na zabój. Podziwiano jej falujące ruchy, a nazywała się Jacqueline z Luksemburga.

W kwietniu księżę poślubił ją w Paryżu. Tłum, płaczący na pogrzebie Anny, z radością poszedł teraz na ślub Jacqueline.

Poinformowany o tym małżeństwie księżę Burgundii zapalał srogim gniewem. Nazwał swego szwagra krzywoprzysięzcą i wiarołomcą:

– Nie chcę go więcej widzieć na oczy – rzekł. – Ktoś, kto zdolny jest tak szybko zapomnieć o swej żonie, tym szybciej jeszcze przyjaciół będzie zdradzać.

Filip Dobry postanowił zerwać natychmiast z Anglikami i uznać Karola VII za króla.

Pokrzyżowanie przymierzy miało przyspieszyć porażkę Anglików. Miało również nieodwołalnie zburzyć nadzieję Izabeli.

Królowa pojęła to w lot i stosowanie do zwykłej już metody próbowała zgładzić zawadzającego jej człowieka. Niejaki Idzi de Postel otrzymał od niej polecenie zamordowania księcia Burgundii. Schwytany w momencie, gdy miał wypełnić zadanie, zbrodzień został bezzwłocznie ścięty.

Izabela po raz drugi próbowała pozbyć się księcia Burgundii, gdy ku swemu przerażeniu dowiedziała się, że w Paryżu zwołano naradę mającą na celu omówienie warunków traktatu pokojowego i że Filip Dobry zaofiarował się być rozjemcą w sporze między Henrykiem VI i Karolem VII.

Tym razem uznała się za pokonaną.

Przybita, doprowadzona do obłądu bezbrzeżną rozpaczą, zaszyła się w swym pałacu, z dreszczem wzdłuż pleców wspominając umarłe marzenia...

W Święta Wielkanocne 1435 r. księżę Burgundii wraz ze swą małżonką przybył do Paryża w charakterze negocjatora. Przed udaniem się na obrady Filip zapragnął odbyć triumfalny przejazd ulicami stolicy, szczególnie przed pałacem Saint-Pol, w którym kołatała się królowa.

Ukryta w obramowaniu okna, widziała, jak syn jej ostatniego kochanka śmieje się, jadąc powozem wybitym złotogłowiem. Usłyszała, jak tłum paryżan ryczy z radości na widok wspaniałych zaprzęgów. Rozpłakała się...*

* * *

Ponieważ ambasadorowie francuscy odmówili przyjęcia propozycji Anglików, Filip Dobry i Karol VII podpisali w Arras osobny traktat pokojowy. Jedną z klauzul traktatu była prawdziwym policzkiem dla Izabeli. Stwierdzono w niej, że księżę Burgundii wyraża przekonanie, iż Karol nigdy nie nastawał na życie jego ojca, Jana bez Trwogi, zamordowanego na moście w Montereau, wobec czego nadal prowadzić się będzie dochodzenie w celu ujęcia sprawcy zbrodni. Filip uznawał ponadto oficjalnie króla Karola za swego wyłącznego i prawowitego monarchę.

Mieszkańcy całej Île-de-France, później zaś i Normandii, wszyscy powstali przeciw Anglikom, którzy musieli wycofywać się w stronę morza.

Podczas gdy król z każdym dniem odzyskiwał w ten sposób jakąś część swego królestwa, opuszczona przez wszystkich stara królowa dogorywała nędznie w pałacu Saint-Pol. Ona, co niegdyś pełną garścią czerpała ze skarbcza królewskiego, pozbawiona teraz pieniędzy, zmuszona była nosić okrycia, „na widok których czerwieniłyby się przedtem ze wstydu, widząc je na grzbiecie którejś ze swych służek”.

„Była tak nędznie zaopatrywana – powiada ówczesny kronikarz – że kto ją spotkał, zadawał pytanie, gdzie jest królowa. Dawano jej tylko osiem kwaterek wina dziennie dla niej i dla służby. Dla wielkich krzywd, jakie tu na ziemi wyrządziła, tak mało na nią zważano, że ośmielono się nawet pozwać ją za długi, zaciągnięte na pokrycie podstawowych potrzeb życiowych, jako to: opał, oświetlenie, żywność i zasądzono od niej zapłatę”.

* Filip miał tego dnia na szyi Order Złotego Runa. Uściślijmy tu, że dla niego samego insygnia tego sławetnego odznaczenia, ustanowionego w 1429 r., sporządzone były nie z owczej wełny, lecz ze złocistych włosów pewnej Flamandki, w której był zakochany.

30 września 1435 r. Izabela wydała wreszcie ostatnie tchnienie. Miała sześćdziesiąt osiem lat.

Jej ciało, którego gorącość była przyczyną tylu krzywd Francji, przez trzy dni wystawiano na widoku publicznym. Paryżanie tłumnie ciągnęli do Notre-Dame, by się mu przypatrzeć.

Problemy były i z pochówkiem. „Armaniacy” zajmowali wówczas niektóre wioski wokół Paryża; obawiano się spotkania i starcia z nimi w drodze do Saint-Denis. Po wielu wahaniach umieszczono w końcu zwłoki królowej na łódce pod opieką kapłana, jednego sługi i dwóch wioślarzy. Z takim orszakiem, bez żadnej pompy Izabela Bawarska popłynęła do nekropolii królów Francji...

24.

Agnieszka kończy wojnę stuletnią

*Luba Agnieszko, tym większa ci
chwała za to, żeś Francję z biedy
zratowała, że z dziełem twoim
równać się nie może trud eremitów
czy mniszek w klasztorze*

Franciszek I

W pięć miesięcy po śmierci Izabeli Paryż poddał się konetablowi de Richemont i Karol VII mógł wkroczyć do stolicy.

Od tego czasu osiem lat upłynęło na niewielkich potyczkach, w których Francja krok za krokiem odzyskiwała swój kształt. 28 maja 1444 r. podpisano rozejm z Anglią.

Król odetchnął. Mógł wreszcie zająć się sprawami, którymi rzeczywiście się interesował, a mianowicie – miłostkami. Obdarzony dość bujnym temperamentem, w młodości miał tysiące przygód; o ile jednak zdarzało mu się wielokrotnie zdradzać swą małżonkę, królową Marię, o tyle nigdy nie starczało mu czasu, by mógł poświęcić się temu zajęciu z taką sumiennością, jak sobie tego życzyłby. Postanowił nie tracić już więcej ani chwili i pilnie obserwował mieszkające na dworze panny*.

Pierwsza zwróciła na siebie jego uwagę pani de Joyeuse. Była ładna, pełna powabu i obdarzona uroczą przewrotnością, dodającą blasku jej spojrzeniu. Słyszała z elegancji. Nosila stroje najpiękniejsze i najkosztowniejsze w całym królestwie. Suknie jej ozdobione były cennymi futrami, klejnoty dorównywały biżuterii królowej, a jej uczesania złożone ze wspaniałych kornetów były tak obszerne i strzelały tak wysoko w górę, że musiała chylić głowę w drzwiach.

* Kochanką jego była m.in. Eleonora de La Pau.

– Imć pan de Joyeuse musi być bardzo bogaty – mawiali ludzie kiwając głowami.

Jak zwykle, dobrzy ludzie mylili się: nie mąż ubierał ją z takim przepychem, lecz ojciec, Jan Louvet. On bowiem nosił tytuł „doradcy do spraw obrotów pieniężnych” i nie uważał za sprzeczne ze swymi zasadami czerpać pełnymi garściami z królewskiego skarbcza. Zbił w ten sposób krągłą fortunę...

Spotkawszy się któregoś dnia sam na sam w korytarzu z panią de Joyeuse, „dwornym gestem i słowem” Karol VII poczynił jej tak nieczne propozycje, że obrażona piękność poszła zaraz powiadomić ojca, iż z jej przyczyn król – zda się – popadł w stan zgoła nieprzystojny.

Radca się uradował. Od dawna liczył na to, że Karol VII da się ponieść namiętności zdolnej odebrać mu wszelką ochotę zajmowania się sprawami państwa, zwłaszcza zaś – rachunkowością skarbową...

– Niezręcznie byłoby okazywać wobec niego nadmierną pruderię – rzekł do pani de Joyeuse. – Mimo to nie biegaj zbyt spieszenie na zaproszenia naszego władcy. Postępuj tak, by „rozpłomienić jego uczucia”.

Ślicznotka była szczwana. W lot pojęła, co ma robić, i zaczęła wynajdować tysiące kokieteryjnych sposobów mających podniecić namiętność Karola. Wiadomo jednak, że takie postępowanie nie pozbawione jest ryzyka. Niektóre namiastki kuszą ponoć los. Tym tłumaczyć można fakt, że młoda niewiasta spostrzegła któregoś dnia, iż zakochała się w królu. Zawstydzona, że sama wpadła w pułapkę, jaką kazano jej zastawić, starannie skrywała swe uczucia i trzeba było przypadku, by Karol mógł je odkryć.

Rzecz przydarzyła się w lasku Chinon podczas konnej przejażdżki, której dwór zwykle zażywał po zachodzie słońca. Królowi udało się odciągnąć panią de Joyeuse na ustronie i, jak zwykle, w celu wywołania u niej pożądanego i przychylnego dlań nastroju, zaczął nagabywać ją dość obcesowo. Raptem, jak powiada jeden z historyków, „kiedy schylił się aż do łęku siodła, aby szepnąć jej coś na uszko, i zajęty przemową nie zwracał uwagi na narowy swego wierzchowca, ogniste zwierzę wywróciło się i przygniotło go. Na widok wypadku pani de Joyeuse pobladła, a przestрах spowodował u niej niemoc, którą niemal omdleniem nazwać można”^{*}.

Spostrzegłszy „wzruszenie wywołane jego przygodą”, król był tak wstrząśnięty, że nie mógł wymówić ni słowa. Aż do powrotu do Chinon pani de Joyeuse milczała i drżała... Również bez słowa, „ledwo do zamku przybyli, ujęli się za ręce i poszli lec pospołu”.

Ich burzliwy i namiętny związek trwał kilka miesięcy, do chwili gdy Karol VII poznał pewną dworzkę Izabeli Andegaweńskiej^{*}. Była ona tak piękna, że śnił o niej na jawie i nie wierzył, że sen prawdziwy mógłby mu przynieść piękniejsze sny”.

^{*} *Mémoires secrets de la cour de Charles VII.*

^{*} Izabela Andegaweńska była żoną, dobrego króla Ireneusza, brata Marii Andegaweńskiej (żony Karola VII).

Podziwiał jej włosy, jasne z popielatym odcieniem, błękitne oczy, doskonale ukształtowany nosek, czarujące usta, śmiało wydekoltowaną pierś. Urzeczony, spytał ją o imię.

– Jestem córką Jana Soreau i zowią się Agnieszka Sorełówna – odrzekła*.

Król bez słowa poszedł do swych apartamentów. Był oczarowany.

Jakżeby mogło być zresztą inaczej, skoro kobieta ta olśniewała wszystkich mężczyzn. Z otchłani pięciu wieków niczym litanie dolatują do nas okrzyki podziwu. Posłuchajmy ich:

– W całym świecie była to najpiękniejsza z pięknych – woła Jakub Chartier.

Olivier de la Marche dodaje:

– Była to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek znałem.

– Była to doprawdy najpiękniejsza niewiasta, jaką można było wówczas zobaczyć – zachwyca się autor „Kroniki martyniańskiej”.

– To jedna z najpiękniejszych kobiet w królestwie – stwierdza Jakub Leclerc.

Miano Agnieszki Pięknej Agnieszka zachowa

Dopóki Piękno Pięknem ludzie będą zować

– pisze poeta Baif.

Nawet Pius II nie mógł powstrzymać się od uwagi:

– Miała najpiękniejszego buziaka...

Co w ustach papieża z pewnością nie jest komplementem banalnym.

* * *

O pochodzeniu Agnieszki Sorel właściwie nic nie wiemy, sprowadzić to bowiem można do trzech zdań: jej ojciec, Jan Soreau, był doradcą księcia de Clermont; jej matka, Katarzyna de Maignelay, była kasztelanową Verneuil; gdy Agnieszka miała piętnaście lat, ciotka wprowadziła ją jako dworękę do świty Izabeli Lotaryńskiej, królowej Sycylii, żony króla Ireneusza.

To wszystko. Nie wiadomo bowiem nawet, kiedy i gdzie najpiękniejsza kobieta XV wieku otworzyła na świat śliczne oczęta.

Bo choć jeden z kronikarzy raczy nam objawić, że Agnieszka urodziła się we Fromentau, to nie precyzuje, czy chodzi tu o Fromentau w Pikardii, czy w Turenii...

Historycy zgodni są co do tego, że miała ona dwadzieścia dwa lata w chwili, gdy król ujrzał ją po raz pierwszy, ale dzieje się tak tylko dlatego, że ustny przekaz głosił, iż urodziła się w 1422 r.

Nic z tego nie jest uściślone, nic nie potwierdzone żadnym dokumentem.

* Niegdyś odmieniano nazwiska również i w języku francuskim.

Jedyna rzecz pewna, to tyle, że „w żadnym kraju nie było tak blisko pięknej królowej”...

* * *

Uroda ta, jak już rzekliśmy, dosłownie zbiła z nóg Karola VII, który wrócił do siebie w stanie niemal ekstazy, czuł się jak w raju.

Tegoż wieczoru usiłował dowieść swego uczucia do Agnieszki, młoda dziewczyna umknęła mu jednak z przestraszoną miną, co tylko zaostrzyło gorejący w nim zapał. Przez kilka następnych dni dwór niepokoił się niezwykłym nabrzmieniem żył na skroniach Karola VII, wreszcie pewnego ranka dostrzeżono, że przybrały one normalny wygląd; wszyscy pojęli, że tym razem Agnieszka nie spała samotnie.

Kiedy pani de Joyeuse dowiedziała się o swej niełasce, rozchorowała się z bólu i zazdrości do tego stopnia, że poważnie zaniepokojony małżonek przepisał jej leki zdolne przywrócić radość życia. Medykamenty poskutkowały: w dwa tygodnie później pani de Joyeuse została kochanką imć pana de la Trémoille...

* * *

W ciągu paru miesięcy wszyscy wiedzieli już o miłostkach króla i damy de Fromentau.

Nie wiedziała o nich tylko królowa.

Pewnego wieczoru wszystko uległo jednak zmianie. Maria Andegaweńska spotkała faworytę spacerującą po korytarzu zamkowym z odkrytą piersią. Ta świadcząca o pewności siebie swoboda zachowania nasunęła jej myśl, iż Agnieszka zajęła jakieś ważne miejsce w hierarchii dworskiej, zaczęła więc śledzić swego małżonka.

Ów był wielce przezorny i kronikarz Jan Charier powiada, że „nie widziano odtąd, by podszczypywał podbródek Agnieszki...” Należy przypuścić, że podszczypywał ją za to odrobinę niżej, gdyż w 1445 r. ślicznotka zaszła w ciążę...

W dniu porodu, widząc, że król uśmiecha się pyszałkowato, królowa nie wątpiła już w swego pecha. Udała się do swej matki Joanny Aragońskiej i opowiedziała jej o swych zmartwieniach. Joanna była mądrą kobietą. Wiedziała, że córka jej, o przeciętnych walorach fizycznych i umysłowych, nie może rywalizować z olśniewającą i inteligentną Agnieszką. Wiedziała ponadto, że jeśli zmusi się Karola VII do oddalenia faworyty, poszuka sobie partnerki poza dworem, nawet wśród ladacznic. Lepiej więc było pogodzić się z losem...

Dobra i wyrozumiała królowa poddała się z łatwością i utrzymywała odtąd świetne stosunki z kochanką męża. Razem spacerowały, słuchały muzyki i wieczerały gawędząc ze

sobą, co cieszyło wielce Karola VII, który rad był, że wokół niego panuje tak świetna atmosfera*.

Przez kilka lat król, który według słów papieża Piusa II „nie mógł spędzić ni godziny bez swej przyjaciółki”*, zajmował się bardziej doskonaleniem techniki miłosnej niż prowadzeniem spraw państwowych.

W rezultacie w 1448 r. Francja ugięła się od podatków, Agnieszka Sorel miała natomiast już troje dzieci...

* * *

Pewnego dnia Karol VII postanowił uczcić matkę swych bękartów. Wpadł na uroczy pomysł, który bez wątpienia stanowi najpiękniejszy hołd, jaki mógł złożyć swej uwielbienia godnej faworycie. Niedaleko Paryża, na wzgórzu górującym nad zakolem Marny, na skraju lasu Vincennes Karol VII miał dworek, pobudowany dla biblioteki królewskiej. Miejscowość nazywała się Beauté-sur-Marne. Król podarował ją Agnieszce, która mocą faktu i prawa została panią na Beauté – Królową Piękności*.

Hojne dary, zwłaszcza zaś gnuśny żywot wypełniony zabawami i „słodkimi psotami”, wywołały szemrania ludu żyjącego w owej dobie nader nędznie.

Tak więc, gdy w kwietniu 1448 r. Agnieszka przybyła do Paryża, tłum nie przyjął jej zbyt życzliwie.

Posłuchajmy, co pisze mieszczanin paryski w swym „Dzienniku”.

„W ostatnim tygodniu kwietnia przyjechała do Paryża panienka, którą, jak powiadano, król umiłował bez czci i wiary i bez baczenia na poślubioną przez się zacną królową; a tryb życia wiodła, jako się zdaje, jak księżna jaka czy grabini; a z zacną królową Francji przechadzała się, wcale się grzechów swoich nie wstydząc. Wielką tym boleść w sercu królowej czyniła od czego cierpieć była powinna. Król zaś, by tym bardziej pysznić się swym wstydem a grzechem, a występkami onej takóŜ, nadał jej zamek Beauté, najpiękniejszy, najładniejszy i najlepiej położony gródek w Île de-France. Zwała się i zwać nakazywała «piękną Agnieszką». A że lud Paryża nie okazał jej czci takiej, jakiej pycha jej nieukrywanie poŜądała, rzekła na odjezdnym, że są to jeno nędzne roby i że gdyby była wiedziała, że z takim przyjęciem się spotka, jakie jej zgotowano, noga jej tam nigdy by nie powstała. Tedy grzeszyć jak przody piękna Agnieszka odjechała dnia dziesiątego następnego miesiąca”.

I mieszczanin dorzuca taki oto gorzki komentarz:

* Marcel Frager pisze: „Wiedząc o potwornym dziedzictwie ciążyącym na Karolu VII oraz o konieczności kierowania jego działaniami, jest wielce prawdopodobne, że królowa Sycylii (Joanna Aragońska) nie tylko tolerowała Agnieszkę, ale również «posługiwała się nią» by narzucać swą politykę”.

* P i u s II, *Mémoires*: „Król był tak srodze zakochany, że nie mógł bez niej spędzić ni godziny, tak przy stole, jak i na radzie, jak i w łóŜku...”

* *Beauté* znaczy Piękno (*przyp. tłum.*).

„Wielkać to szkoda, kiedy szef królestwa tak niegodziwy przykład ludowi swemu dawa; jeślić mimo to tak czynią albo i gorzej, nie powinni tego głosić, gdyż jak powiada przysłowie: jaki pan, taki kram, jako to wiemy o królowej Babilonu imieniem Semiramida, między bohaterki zaliczonej, która własnego syna gaszkim swym uczyniła; a kiedy dostrzegła, że lud szemrze, w całym królestwie rozgłosić kazała, że kto by chciał wziąć matkę, córkę czy siostrę małżeństwem albo miłością szaloną, albo inaczej, całemu ludowi, ktokolwiek by to był, daje prawo i możność i zaleca tak uczynić; wiele nieszczęść z tego w onym królestwie Chaldei wynikło, albowiem męże niewiasty i dziewczęta gwałcili. Wielu zabójstw się wydarzyło, od chwili gdy Semiramida wydała one prawa wszeteczność jej pokryć mające; bo gdy tak wielka dama czy tak ważny mąż publicznie grzeszy, rycerze i lud także do grzechu ośmielani bywają”.

* * *

Zaczęto też mówić o ekstrawaganckich strojach projektowanych przez faworytę*. Agnieszka wiedziała, iż nawet w ubraniu nie może przestać być „intrygująca”, porzucając więc luźne stroje maskujące kształty, zaczęła ubierać się w dłuższe suknie, oblepiające ją ciasno i w sposób niemal nieprzyzwoity.

Wymyśliła ponadto ów dekolt, który wprowadził w takie osłupienie królową Marię. Zakrywając wstydliwie jedną pierś, z wielką gracją odkryła drugą. Nowa moda rozwścieczyła wiele dam na dworze, zwłaszcza te, które nie mogły się do niej zastosować.

Przypuszczalnie owe to damulki o wdziękach mało nadających się do ekspozycji nakłoniły paru dygnitarzy do głośnych protestów przeciwko fantazji strojów faworyty. Kanclerz Juvénal des Ursins grzmi pośród nich tonem pełnym oburzenia: „by król we własnym pałacu kres położył wielkim, podbitym futrem trenom, jako i onym rozcięciom z przodu, przez które cycki babom widać... I aby w pałacu swym, jako i w domu królowej i ich dzieci nie lza było cierpieć niewiasty czy męża pogańbionych wszeteczeństwem i łajdactwem a wszystkimi innymi grzechami. Poblązanie im ściąga bowiem same nieszczęścia a kary boskie. U przodkiń króla widywałem suknie z trenem na stopę jeno długim”.

Nie tylko Juvénal des Ursins traktował Agnieszkę Sorel jako kobietę lekkich obyczajów. Burgundczyk Chastelain również mówi o niej: „Wszystkiego z czego w materii stroju czerpać może rozwiązłość i łajdactwo, była ona sprawczynią i wynalazczynią”.

Zważywszy, że z racji swych stanowisk Juvénal des Ursins i Chastelain musieli wyrażać się w sposób umiarkowany, łatwo sobie wyobrazić, co też o faworycie Karola VII wygadywał prosty naród...

* * *

* Ona pierwsza zaczęła nosić szlifowane diamenty, co wzbudzało zazdrość.

Wyrzuty i obelgi doszły któregoś dnia do uszu Agnieszki, która, choć daleka od gniewu, zmartwiła się tym bardzo. Zapragnęła poznać przyczyny skłaniające lud, którego wcale nie znała, do pogardy i nienawiści wobec niej. Dowiedziawszy się, że w królestwie panuje sroga nędza, skruszyło ją to i postanowiła przypomnieć królowi o jego obowiązkach i odpowiedzialności.

Użyła w tym celu zręcznego wybiegu, który Brantôme przytacza w „Żywotach pań swawolnych”. Píše on: „Widząc, że król zakochał się w niej, troska się jeno o to, by miłość z nią uprawiać, a tchórzliwie i niegodnie nie bierze pod uwagę spraw swego królestwa, Agnieszka powiada doń:

– Gdy byłam jeszcze młodą dziewczyną, przepowiedział mi astrolog, że będę kochana przez jednego z najmądrzejszych i najodważniejszych królów chrześcijaństwa. Kiedy uczyniliście mi ten zaszczyt, że pokochaliście mnie, sądziłam – oto ów przepowiedziany mi szlachetny król... Ale tacyście gnuśni i tak niewiele na sprawy wasze baczyście, że widzę, jako się myliłam. Ów dzielny król to nie wy, lecz król Anglii, co kuje tak piękną broń i tyle miast zdobywa pod samym waszym nosem*. Żegnajcie. Idę do niego, gdyż o nim to astrolog mi bajął.

Słowa, te tak króla w serce ugodziły, że zapłakał. Nabrał odwagi i porzucając ogrody i łowy, nałożył sobie takie wędzidła, że dzielnie i szczęśliwie Anglików ze swego królestwa wygonił”.

Brantôme ma słuszość. W jakiś czas po tej rozmowie Karol VII zreorganizował swoje sławne kompanie ordonansowe i, łamiąc rozejm z Anglią, w 1449 r. podjął znów działania wojenne. Nieprzyjaciel zajmował jeszcze wiele kluczowych pozycji. Wyparł go stamtąd i w kilka miesięcy, iście zelektryzowany miłością Królowej Piękności, zakończył wojnę stuletnią.

Karola Nieudolnego Agnieszka przekształciła w Karola Zwycięzcę*.

* * *

Los nie pozwolił niestety faworycie ujrzeć zwieńczenia dzieła. Trwały jeszcze ostatnie walki wyzwolencze, gdy zmarła ona raptem w okolicznościach zasługujących na zbadanie.

Był rok 1449. Król od kilku tygodni przebywał w opactwie Jumičges.

Przygotowywał szczegółowe plany oblężenia Harleur, trzymanego jeszcze przez Anglików, i odbywał liczne narady mające na celu poprowadzenie trudnego ataku. W przerwach między dyskusjami z dowódcami oddziałów spacerował czasem po ogrodzie z

* Brantôme chciał tu raczej powiedzieć: „co tyle miast dźierży”, gdyż podczas zawieszenia broni król Anglii nie mógł nic zdobywać.

* Królowa Maria Andegaweńska, która za poradą matki, Joanny Aragońskiej, zaakceptowała obecność Agnieszki na dworze, była jej teraz wdzięczna za wpływ, jaki wywierała na Karola VII. „Wdzięczna była faworycie – pisze Marcel Frager – że natchnęła króla energią, podtrzymywała go w dobrych zamiarach i dbałym o chwałę swoją czyniła” (*ibidem*).

twarzą zatroskaną, której widok mógł nasuwać przypuszczenia, że nie wierzy w powodzenie działań. W rzeczywistości rozmyślał o Agnieszce Sorel, o Agnieszce, którą pozostawił w Loches, a która spodziewała się rychłego rozwiązania...

Odbijając mężnie swoje piękne księstwo Normandii, Karol VII oczekiwał narodzin czwartego bękarta*.

– Może tym razem będzie syn – myślał. – Chciałbym mieć z nią syna.

Pragnienie to nie miało żadnego podłoża politycznego, albowiem Karol, ojciec pięciorga ślubnych dzieci zrodzonych ze związku z Marią Andegaweńską, miał już dziedzica, delfina Ludwika*, i zapewnioną ciągłość dynastii. Było to więc po prostu pragnienie mężczyzny zakochanego do szaleństwa w swej metresie.

Pewnego styczniowego popołudnia, gdy zażywał przechadzki rozmyślając o Agnieszce i o mającym zjawić się wkrótce dziecięciu, ujrzał nadbiegającego furtiana opactwa.

– Miłościwy panie, bieżajcie, imć panna Agnieszka Sorel tu jest, i to w nader smutnym stanie!

Karol VII pobladł i, gubiąc wszelką powściągliwość, pognął na miejsce, gdzie zatrzymał się powóz z faworytą. Z trudem rozpoznał Królową Piękności, tak bardzo niewygody podróży ściągnęły jej rysy i tak ciało jej zniekształcone było ciążą. Na widok króla uniosła się i uśmiechnęła.

– To szaleństwo, pani – powiedział król – przyjeżdżać tu w takim stanie!

– Musiałam was zobaczyć – odrzekła Agnieszka – nikt prócz mnie nie mógłby rzec wam tego, co winniście wiedzieć.

Wielce zaintrygowany król poprowadził ją do jednej z komnat, gdzie położyła się, wyczerpana. Nie czekając aż wypocznie, przyszedł do jej wezgłowia, ciekaw, co ma mu do powiedzenia. Powiadomiła go wówczas, że „niektórzy z jego ludzi chcą go zdradzić i wydać w ręce Anglików”.

Nastawiony dość sceptycznie Karol VII zaczął się śmiać. Mimo nadzwyczajnego zmęczenia, Agnieszka ciągnęła dalej opowieść, podając tysiące szczegółów na temat zawiązanego spisku i spiskowców, których zamiary odkryła przez przypadek.

– Przyjechałam uratować was – rzekła łagodnym tonem.

Miała rację, albowiem następnego dnia wrogowie króla, dowiedziawszy się, że Agnieszka przeniknęła ich tajemnicę, uznali za słuszne nie wszczynać działań...

* * *

* Agnieszka obdarzyła już Karola VII trzema córkami: Charlottą, Marią i Joanną.

* Ludwik XI urodził się 3 lipca 1423 r. Marcel Frager powiada, że „w całej historii Francji nie było bardziej smutnych narodzin”. Królowa Maria Andegaweńska przebywająca podówczas w Bourges w stanie skrajnego niedostatku, musiała prosić o gościnę w biskupstwie. Musiała także pożyczyć pościel, meble i statki, by młody delfin nie wyglądał jak syn byle kmiotka. Wreszcie zmuszona była zastawić własną *Biblię* i pożyczyć sumę 343 liwrów od pokojowca.

Rada, że uprzedziła kochanka o grożącym mu niebezpieczeństwie, faworyta się zdrzemnęła. Krótki był to sen: pod koniec popołudnia chwyciły ją pierwsze bóle i z jękiem zaczęła zwijać się na posłaniu.

Karol VII rozkazał przenieść ją natychmiast do domku wypoczynkowego opatów w dworku w Mesnil-sous-Jumièges*, aby tam mogła łatwiej odbyć poród. Następnego dnia wydała na świat córkę, która zresztą umarła w sześć miesięcy później.

Wywiązały się powikłania poporodowe. Kronikarz Jan Chartier pisze: „Naszły ją długotrwałe biegunki, a w czasie onej choroby Agnieszka skruczę i żal za grzechy wyznawała. Wspominała często Marię Magdalenę, co wielką grzesznicą w cielesnym obcowaniu była, i Boga a Dziewicę Maryję na pomoc nabożnie wołała. I jako prawa katoliczka, po sakramentów przyjęciu zażądała brewiarza dla odczytania wersetów świętego Bernarda, które własnoręcznie kiedyś przepisywała. Potem zaś wiele życzeń wyraziła, które spisane zostały, by wykonawcy testamentu mogli je wypełnić. Na jałmużnę, a sług wynagrodzenie kwotę bliską sześćdziesięciu tysiącom talarów przeznaczyła, a wykonawcami ostatniej woli uczyniła Jakuba Coeura – radcę i podskarbiego króla, mistrza Roberta Poictevina – medyka, i mistrza Stefana Chevaliera – skarbnika królewskiego, i rozkazała, by sam król we wszystkim stał nad onymi trzema.

Ona też Agnieszka, widząc i wiedząc, że choroba coraz bardziej ją ima, rzekła do tych, co ją otaczali, iż żywot nasz doczesny pył to jeno nieczysty a cuchnący”.

Poprosiwszy wreszcie swego spowiednika, księdza Dionizego o rozgrzeszenie, Agnieszka, Najpiękniejsza z Pięknych, zmarła o szóstej wieczór 9 lutego 1450 r.

* * *

Śmierć ta przyszła tak niespodziewanie, że pospólstwo, znane z zamiłowania do dramatu, natychmiast zaczęło gadać o zbrodni.

– Agnieszka Sorel została otruta – szeptano.

A ponieważ w takich przypadkach gawiedzi potrzeba sprawcy o głośnym nazwisku, o pozbycie się ojcowej faworyty oskarżono delfina Ludwika, przyszłego Ludwika XI.

Niektórzy przypominali, że następcą tronu nie znosił Agnieszki Sorel; obawiał się zawsze jej wpływu na ojca, a pewnego dnia w Chinon tak się zaperzył, że wymierzył jej policzek, krzycząc:

– Na Boga! Wszelkich naszych nieszczęść niewiasta ta jest przyczyną!*

Inni dodawali, że próbował ją nawet zabić, goniąc z obnażonym mieczem, i że umknęła śmierci, chroniąc się w komnacie króla*. Wreszcie parę dobrze poinformowanych osób autorytatywnie stwierdziło, że to właśnie z powodu faworyty delfin otwarcie zadarł teraz z

* Na pamiątkę pobytu Agnieszki Mesnil-sous-Jumièges nosi obecnie nazwę Mesnil-la-Belle.

* *Annales d'Aquitaine*.

* *Commentari verum...* pióra Piusa II.

ojcem. Monstrelet daje temu wyraz, pisząc w swej kronice: „Nienawiść Karola VII przeciw Ludwikowi spowodowana była tym, że z uwagi na Agnieszkę księżę kilkakrotnie szemrał przeciw ojcu, albowiem ona ślicznotka w większych niż królowa łaskach była u króla... delfin niechęć czuł do niej i z tej niechęci śmierć jej przyspieszył...”

Minęło osiemnaście miesięcy i zacny naród zaczynał zapominać o sprawie, kiedy pewna dama dworu imieniem Joanna de Vendôme, która była dłużniczką Jakuba Coeura, zeznała pod przysięgą, że wielki podskarbi królewski otruł Agnieszkę Sorel.

Wielce poruszony Karol zarządził natychmiast dochodzenie.

W tydzień później aresztowano Jakuba Coeura w jego domu i zaciągnięto przed dziwny trybunał złożony z mało szacownych sędziów, skoro zasiadał wśród nich były herszt ekorszerów* i pewien italski awanturnik o przyszłości bardziej niż podejrzaney...

Aresztowanie to wywołało wielkie zdumienie w królestwie, ale i ulżyło wielu ludziom. Podskarbi był nie tylko wierzycielem króla, pożyczał również znaczne kwoty dostojnikom dworu, tak że niektórzy sądzili, iż jego skazanie mocno im będzie na rękę. Tak bardzo po ich myśli, że sędziowie zrozumieli, iż skazując go na dożywocie, zapewnią sobie możnych przyjaciół.

Rozpoczęto proces. Pierwszym punktem oskarżenia był oczywiście zarzut otrucia Agnieszki Sorel. Dowody dostarczone przez panią de Vendôme nagle okazały się jednak niepewne dla najzacieklejszych wrogów podskarbiego.

Czyżby więc miano go uniewinnić? Nie. Zbyt radzi, że mają na swej łasce i niełasce człowieka krępującego ich z racji swej potęgi i bogactwa, popierani przez niektórych dworzan sędziowie postanowili skorzystać z okazji, by go obalić. Proces zmienił oblicze. Wszyscy ci, którzy w zgnie podskarbiego wierzyli jakąś korzyść dla siebie, przychodzili podle go oskarżać. Setki dyszących nienawiścią „świadków” rzuciły się na salę sądu i osłupiały Jakub Coeur został zasypany nieuzasadnionymi i absurdalnymi zarzutami. Oskarżono go o sprzedaż broni dla niewiernych, wywóz do Londynu pieniędzy francuskich i sztabek złota z wybitym znakiem lilii, bicie zbyt lekkich talarów, przywłaszczenie darów poczynionych przez króla na rzecz różnych miast Langwedocji, wymuszanie łapówek w tej prowincji, mustrowanie siłą marynarzy do obsługi jego galer itd.*

Sędziowie skazali w końcu Jakuba Coeura za „sprzeniewierzenie funduszy”. Nie chcąc jednak sprawić wrażenia, że pierwszy punkt oskarżenia został definitywnie odrzucony, perfidnie oświadczyli, „iż w kwestii otrucia, jako że sprawa nie mogła być na razie rozpoznana, nie ogłasza się żadnej sentencji...”

Podskarbi, jeden z najlepszych sług króla i jeden z najbliższych przyjaciół Agnieszki, został wtrącony do więzienia. Na szczęście po kilku miesiącach udało mu się stamtąd zbiec. Schronił się w Rzymie, gdzie papież przyjął go z prawdziwą przyjemnością.

* Ekorszerzy, inaczej łupieżcy, były to zorganizowane bandy rabusiów pustoszących Francję przez wiele lat.

* V. de Virville, *Nouvelles recherches sur Agnès Sorel*.

Czy był winien? Z pewnością nie. Z tej prostej przyczyny, że Agnieszka Sorel nie zmarła wskutek trucizny. Wystarczająco uwidacznia to fakt, że dziecko jej żyło jeszcze sześć miesięcy. Według opinii specjalistów badających symptomy przytaczane przez kronikarzy wydaje się, że Najpiękniejsza z Pięknych zmarła wskutek dyzenterii popołogowej.

Oslabienie spowodowane trudami podróży z Loches do Jumiéges nie pozwoliło jej przemoc choroby. Tak więc Królowa Piękności zmarła z tego powodu, że chciała uratować od śmierci swego kochanka.

* * *

Po stracie Agnieszki Karol VII, „z natury namiętny i swawolny”, poszukiwał nowej kochanki. Sądząc, iż owoce z jednego drzewa mają ten sam smak, wybrał sobie Antoninę de Maignelay, kuzynkę Królowej Piękności. Była to bardzo ładna kobieta, która szybko zyskała wielki wpływ na króla. Powodowany resztkami wstydu, chciał usprawiedliwić obecność tej uroczej osóbkki na dworze; wyswatał ją więc z jednym ze swych przyjaciół, Andrzejem de Villequier, znakomicie nadającym się do odgrywania roli pobłażliwego małżonka. Przeszło już czterdziestoosmoletni Karol VII odnalazł odtąd drugą młodość. Szaleńczo zakochany w Antoninie, pod różnymi, lecz nikogo nie wprowadzającymi w błąd pretekstami, cztery czy pięć razy dziennie zaciągał ją do swej komnaty i zapominał całkowicie o biednej Agnieszce, która wszak uratowała mu i życie, i honor.

Nowej kochance niczego nie skąpił. Oto na przykład opis uczty wydanej na jej cześć 6 czerwca 1455 r.: „Stół przybrany był zielonym trawnikiem otoczonym pawimi piórami i palmowymi liśćmi przeplecionymi fiołkami i innym kwieciem. Pośrodku łączki stała srebrzysta wieżyca tworząca wolierę z ptaszętami o złożonych czubkach i łapkach. Podano comber jeleni, ćwierć łani, kurczęta nadziewane, górkę cielęcą w polewce piwnej, pasztety o skórcie srebrzonej i złożonej, jesiotry i dzika zapiekanego w śmietanie. Przy biesiadzie przygrywali minstrele i trębacze”.

Nie tylko król obsypywał piękną Antoninę podarkami. Jak dowodzi księga rachunkowa dworu, sama królowa z godną podziwu wielkodusznością dawała jej wspaniałe prezenty noworoczne.

Jednego roku przesłała jej kryształową fontannę ozdobioną złotym listowiem...

Jak stwierdza jeden z historyków, „żeby być tak kochaną przez żonę swego kochanka, musiała to być bardzo miła faworyta”^{*}.

Jedna metresa przestała jednak niebawem wystarczać żarliwemu Karolowi VII.

* * *

^{*} J. Vidal, *Charles VII*.

Pewnego dnia król, którego apetyty miłosne wzrastały wraz z wiekiem, wezwał Antoninę de Maignelay i zapytał ją, czy nie zna ona jakichś pańienek miłych w dotyku i wdzięcznych dla oka, które zechciałyby odwiedzać go pojedynczo bądź nawet grupowo w jego apartamentach.

Nowa faworyta знаła nienasycone apetyty swego kochanka i jego zamiłowanie do pewnych utrudnień. Udała jednak głuptaska.

– Skąd, szlachetny panie, to nagle pragnienie wielu partnerek?

– A stąd – odrzekł – że muszę pofolgować humorom.

Antonina nie była wcale zakochana w Karolu VII. Korzystała jedynie z kaprysu królewskiego, rada z otrzymywanych klejnotów, które przekazywała mężowi i zdecydowana była na wszystko, byle tylko sytuacja ta trwała jak najdłużej. Nie widziała więc żadnych przeszkód, aby zadośćuczynić prośbie kochanka.

Wręcz przeciwnie...

Sama miała zamiłowanie do pewnych szczególnych igraszek...

Od tego dnia wystawała więc na czatach i wszystkie znajdujące się w jej zasięgu młode osoby „o wdzięcznym ciałku” miały zaszczyt otrzymać za jej pośrednictwem zaproszenie do królewskiego łóżka...

A w konsekwencji i do jej łóżka...

Oto zresztą co o tym pisze kronikarz Jan du Clerq: „Dama de Villequier (Antonina de Maignelay) napotkała któregoś dnia u pani de Genlis córkę pewnego giermka z Arras, Antoniego z Rebreuves. Młoda dziewczyna imieniem Blanka była nadzwyczaj piękna. Dama de Villequier poprosiła panią de Genlis, żeby ją odstąpiła. Ta odmówiła, stwierdzając, że bez przyzwolenia ojca nie jest upoważniona do dysponowania osobą dziecka. Blankę odwieziono do Arras, Kiedy Antoni de Rebreuves dowiedział się o życzeniu faworyty, postanowił pilnie zadośćuczynić tej prośbie i polecił synowi Jakubowi, przystojnemu, dwudziestosiedmioletniemu giermkowi, zaprowadzić osiemnastoletnią siostrę na dwór króla, aby tam powolna była rozkazom damy de Villequier. Przybyła tam we wtorek. Tego samego wieczoru król poszedł spać z nią i z damą de Villequier...”*

Po kilku dniach Karol VII przypomniał faworycie, że gwoli pofolgowania humorom potrzeba mu bardziej wyrafinowanych rozrywek. Antonina znów wzięła się do roboty i przykazała wędrownym kupcom, aby donosili jej o wszystkich apetycznych dziewczątkach z okolicy. Dzięki tak metodycznej pracy, Antonina zgromadziła wkrótce na dworze dziarski oddziałek, którego obecność dodała nowego blasku królewskiemu spojrzeniu.

Noce w pałacu Saint-Pol stały się odtąd bardziej ożywione. Po Paryżu szybko rozeszła się pogłoska, że Karol VII oddaje się bezeznej rozpuście w towarzystwie bezwstydných pańienek. Napomyka zresztą o tym wielu kronikarzy. Zwłaszcza Jan du Clerq, który pisze:

* Te wymyślne przecież igraszki wkrótce przestały wystarczać Antoninie. Kronikarz pisze, że zachowała dla siebie brata Blanki i ustanowiła go swoim krajczym.

«Po śmierci pięknej Agnieszki król Karol wziął sobie w jej miejsce siostrzenicę onej*, zamężną z panem de Villequier; męża zatrzymała przy sobie; a była równie piękna jak jej ciotka. Było tam również pięć czy sześć najładniejszych panienek królestwa, pośledniego pochodzenia, które jeździły wszędzie za Karolem, dokądkolwiek się wyprawiał; ubrane były bogato i strojnie niczym królowe, zachowywały się z pańska i wielce swobodnie, wszystko to zaś na koszt króla, a tryb życia wiodły, jakiego i królowa by nie prowadziła.»

Inny piętnastowieczny historyk, Klaudiusz de Seyssel, jeszcze bardziej otwarcie wyraża swoje oburzenie: „Onże król Karol Siódmy, pokonawszy wrogów i zaprowadziwszy pokój w królestwie, nie pozbawiony był przywar, albowiem na starość żył nader pochutliwie i uciechom cielesnym zbytnio się oddawał z kobietami o złej reputacji i złego prowadzenia, którymi dom jego był przepelniony. A za tym wzorem baronowie i słudzy rozkoszy, tańców, maskarad i miłostek wszetecznych zażywali”^{*}.

Zupełnie obojętny na szemrania ludu, Karol VII wszędzie woził za sobą swój harem. To „stadko bogato ubranych kobietek” (*copiosus grex muliercularum*) drogo go kosztowało. Królowa z bólem patrzyła, jak król Francji ośmiesza się i ogałaca skarb, aby przypodobać się gąskom, dla których właściwym miejscem byłby jakiś burdel na przedmieściu^{*}.

* * *

Postępowanie króla miało znaczny wpływ na obyczaje jego poddanych. Wydaje się nawet, że przez jakiś czas potężny podmuch miłości zawrócił w głowie nawet najmądrzejszym. Wilcze pragnienie rozkoszy popchnęło część paryżan do przeraźliwej rozpusty. Duchowni, zakonnicy, urzędnicy, ludzie wszelkiego stanu i klas wszelakich miewali konkubiny, którymi afiszowali się bezwstydnie, ku wielkiemu zadziwieniu bawiących przejazdem w stolicy obcokrajowców. W utworze „Matheolus Bigamus” poeta Matthieu nie potrafi ukryć swego oburzenia: „Ktokolwiek konia na sprzedaż do kościoła by prowadził – powiada – rzecz zdrożną by uczynił; lecz czyż nie są bardziej winne niewiasty, co pod pozorem praktyk religijnych ciała swe do kościoła przedawać przychodzą? Czyż nie zamieniają one Domu Bożego w targowisko prostytucji?”

O postępowaniu reprezentantów duchowieństwa francuskiego dowiedziano się wkrótce w Rzymie. Wywołało to wielkie poruszenie.

– Księża ci ożywieni są nieskromnymi zapałami – rzekł papież, który nawet w gniewie potrafił temperować swe wypowiedzi.

I postanowiwszy położyć kres skandalowi, o którym zaczynała już mówić cała Europa, wysłał surowy list do złych pasterzy, zbytnio zajmujących się swymi owieczkami.

* Jan de Clerq popełnił omyłkę; była ona nie siostrzenicą, a dalszą krewną.

* K. de Seyssel, *Les louanges du bon roi de France Louis XII*.

* Maria Andegaweńska mimo to okazywała wobec tych panienek tę samą wielkoduszność, z jaką odnosiła się do Antoniny de Maignelay, skoro w jej książce rachunkowej odnajdujemy następującą notatkę: „Trzy złote talary dla dziewczek towarzyszących dworowi...”

W liście tym nakazywał im „przegonić kobyły diabelskie”, które pod dach swój przyjęły nie z miłości chrześcijańskiej, lecz w niegodziwych celach, i przypominał im, że jeden z kanonów Soboru Augsburskiego „zabrania duchownym goszczenia u siebie kobiet podprowadzonych...”*

Duchowni okazali skruchę i postanowili się poprawić. A że zobowiązał ich do tego kanon czterdziesty piąty Synodu Toledańskiego, sprzedali niewiasty, z którymi grzeszyli, co pojednało ich z papieżem i przyniosło ponadto trochę grosiwa.

* * *

Miłosne wyczyny, praktykowane przez Karola VII bez wyraźnych oznak znużenia, zyskały wreszcie pobłażanie wśród ludu i na widok jakiejś ładnej dziewczyny weszło nawet w zwyczaj powiedzenie, że stanowi ona „królewski kąsek”. Powiedzenie to tak często powtarzano, że pewna sprytna (chyba że naiwna) para rodziców uznawszy, że córka ich jest wielce ponętna, wysłali ją do Karola VII.

– Tyle zrobił on dla dobra kraju, można coś zrobić i dla niego – orzekli.

Ślicznotka spotkała się z tak gorącym przyjęciem, że i inni rodzice, dowiedziawszy się o tym, zaczęli z kolei przysyłać co ponętniejsze córeczki do zamku w Chinon. Wkrótce, jak donosi nam autor kronik martyniańskich*, ustalił się osobliwy zwyczaj: „z racji prac rozlicznych dokonanych przez króla w celu odzyskania królestwa postanowiono, że dawać mu się będzie najpiękniejsze dziewczyny, jakie tylko da się znaleźć...” Niestety, z początkiem 1461 r. rozeszła się wieść, że wyczerpany do cna król umiera w zamku Mehun-sur-Yèvre.

– To przez te baby – powiadali ludzie.

Nie było to w pełni słuszne. O ile wyczyny miłosne króla nadweryły mu nieco rozsądek, o tyle nie one były powodem fizycznego osłabienia. Wiedząc, że syn jego, delfin Ludwik, z niecierpliwością oczekuje chwili wstąpienia na tron, Karol VII od kilku miesięcy lękał się otrucia. Ta obsesja nakazywała mu odmawiać przyjmowania pokarmów. I 22 lipca otoczony zapłakanymi konkubinami król, którego chwałę stworzyły dwie kobiety – Joanna i Agnieszka – umarł z wycieńczenia.

* * *

W owej dobie Francja, której granice rozrastały się niczym paki wiosenne, by zająć przeznaczone im miejsce między Alpami a Atlantykiem, była już królestwem, które osiągnęło wewnętrzną zwartość i równowagę. Od tysiąclecia cudownie kształtowana miłością, o której

* Takim terminem określano niewiasty mieszkające u księży.

* *Chroniques martiniennes*, folio 302.

zwykło się mawiać, że jest ślepa, olśniewała wszystkich monarchów Europy pożądamy jej tak, jak pożądamy kobiety.

Była piękna. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, by w pełni rozkwitnąć. Miało się tym zająć kilka kolejnych ambitnych, uduchowionych i pełnych zapału panienek, które w jakimś czasie później uczynią Francję najpotężniejszym państwem świata...